

L A Y N E M O S L E R

PODRÓŻ W TRZECH SMAKACH



*Przepyszne opowieści
z Buenos Aires, Nowego Jorku i Berlina*



L A Y N E M O S L E R

PODRÓŻ W TRZECH SMAKACH



*Przepyszne opowieści
z Buenos Aires, Nowego Jorku i Berlina*

TŁUMACZENIE:
Kinga Markiewicz



DLA LEROYA I VIRGINII

Chcę Pana, mój drogi, prosić, tak bardzo, jak tylko potrafię, by był Pan cierpliwy wobec wszystkiego, czego nie potrafi rozwiązać Pańskie serce, i by spróbował Pan polubić same pytania – niczym zamknięte izby albo książki napisane w całkiem obcym języku. Niech Pan nie poszukuje teraz odpowiedzi, których nie może Pan dostać, gdyż nie mógłby Pan ich odpowiednio przeżyć. A chodzi o to, by wszystko znajdowało oddźwięk w życiu. Niech Pan żyje teraz pytaniami. Może wówczas pewnego odległego dnia przeżyje Pan odpowiedź, dochodząc do niej stopniowo i niepostrzeżenie...

— RAINER MARIA RILKE
*Listy do młodego poety**

* Rainer Maria Rilke, *Listy do młodego poety*, tłum. Justyna Nowotniak, Wydawnictwo Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2010.

CZĘŚĆ
PIERWSZA

BUENOS AIRES

*Na początku jest cierpienie, żal
Potem jest miłość, potem dal
Na końcu nie rozumiesz nic...*

— HOMERO EXPÓSITO
Kwitająca pomarańcza

– **DOKĄD MAM PANIĄ ZABRAĆ?** – spytał taksówkarz, kładąc sobie *mate* z tykwy na kolanach i upijając szybki łyk przez metalową *bombillę*, jednocześnie zerkając na mnie we wstecznym lusterku.

Przekartkowałam planner, żałując, że nie zapamiętałam nazw ulic.

– Avenida Santa Fe y... – Ile razy oglądałam mapę w Internecie? – Santa Fe... y Bulnes – powiedziałam, ścierając z czoła kroplę potu. Opuściłam szybę. Styczeń w Buenos Aires niczym nie różnił się od czerwca w Miami. Wyjście z lotniska Ezeiza w poranny skwar przypominało chodzenie w skarpecie lub wpadnięcie do kadzi z gorącym rosołem.

– *Bueno*. – Taksówkarz kiwnął głową. – Santa Fe y Bulnes. – Zjechał z krawężnika, mijając inne taksówki zaparkowane w strefie przylotów, głównie fiaty i renaulty, żółte od góry i czarne po bokach. Wyglądały jak zabawkowe auta, jakby mógł je przesuwać silny wiatr. – Santa Fe y Bulnes – powtórzył, znów patrząc w lusterko z nieśmiałym uśmiechem czającym się w zmarszczkach wokół głęboko osadzonych brązowych oczu. – Bardzo możliwe, że utkniemy w korku, ¿*sabés?*

Przysunęłam się bliżej otwartego okna, dziwiąc się, jak kierowca może wytrzymać w koszuli z długim rękawem.

– *Bueno...*

– *Bueno no es* – odparł taksówkarz. Wcale nie jest dobrze. Podjechaliśmy do budki parkingowej. – ¡*Che, Juan! ¿Como estás, viejo?* – Wręczył parkingowemu kilka pesos, a ramię drewnianej barierki powoli i chwiejnie uniosło się w górę, jak gdyby nie chciało, żebyśmy opuścili lotnisko. – *Piqueteros* – powiedział, machając tykwą, gdy odjechaliśmy od budki i ruszyliśmy w stronę wyjazdu z lotniska – maszerują dzisiaj przez miasto.

– Naprawdę? – Schowałam planner do torebki. – Dlaczego?

– Kto wie? – odparł, sącząc swoją *mate* przez srebrną *bombillę*, napój podobny do zielonej herbaty, który w argentyńskich sklepach spożywczych zajmował na półkach więcej miejsca niż kawa i pozostałe rodzaje herbaty razem wzięte, kończąc napój z głośnym siorbnięciem. – *Piqueteros* mają prawo wyrażać swoje opinie – oznajmił, kładąc naczynie na desce rozdzielczej przed skrzynią biegów. – Z drugiej strony, ja również mam prawo do jeżdżenia ulicami swojego miasta w spokoju, prawda?

Uśmiechnął się do mnie w lusterku, na którym wisiał drewniany różaniec i wstążka w białoniebieskich barwach Argentyny, która zafurkotała, gdy wjechał na *autopista*, pustą, nie licząc kilku innych taksówek. Spojrzałam na migoczące w południowym upale pampasy, ocean wysokiej trawy rozciągający się aż po błękitno-brązowy horyzont. Nie pojmowałam ich bezkresu tak samo, jak tego, że w ogóle tu jestem.

– Co pani robi w Buenos Aires?

Wyjrzałam przez szybę, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Przejeżdżaliśmy przez *villa*

miseria, dzielnicę slumsów. Słońce odbijało się od cienkich dachów z blachy falistej, sznury z praniem kołysały się między barakami z betonowych pustaków. Tuż za granicami *villa* stał billboard z napisem namalowanym na tle pasiastej flagi narodowej: *Argentina. Un país en serio*. Argentyna. Poważny kraj.

Starłam z czoła kolejną kroplę potu i wróciłam myślami do Wieczoru Nienaruszalnych Ostryg.

– Jesteś za wolna! – krzyknęła na mnie Czarodziejka przez okienko podawcze w kuchni. Jej zwykle pełne stoicyzmu, brązowe oczy wyglądały na powiększone i dzikie za szklami okularów bez oprawek. – Nawet ostrygi nie umiesz otworzyć!

Czarodziejka była czterdziestoletnią, pękatą szefową kuchni o sianowatych włosach, uzależnioną od środków przeciwbólowych i prawdopodobnie będącą pod ich wpływem w momencie, w którym zdecydowała się nazwać swą ekskluzywną restaurację w San Francisco serwującą francusko-azjatycką kuchnię fusion *Vertigineuse*. Nazywałam ją Czarodziejką, ponieważ wszystko, co gotowała – białe *gazpacho*, *foie gras* z masłem z dodatkiem mango, smażoną japońską seriolę owiniętą liśćmi *shiso* – było tak pyszne, że nie sposób było przestać jeść, bez względu na to, czy człowiek był głodny, czy nie.

Teraz próbowała olśnić grupę vipów przy stoliku numer jednaście, zaczynając od ostryg podanych na połówkach muszli. Usiłowałam wetknąć nóż w pofalowaną szczelinę skorupy bez uszkodzenia jej zawartości, ale ostryga nie chciała się otworzyć, zaciskając muszlę. Czarodziejka przewróciła oczami. W tej nienaruszalnej ostrydze widziała uosobienie całej mojej nieudolności i braku kompetencji.

– Co zrobisz, gdy zacznie się prawdziwy ruch? – spytała, przyciskając dłonie do krzyża i ignorując talerze, które pozostali kucharze ustawiali przed nią do inspekcji.

Nie miałam zielonego pojęcia. Zgarnęłam tuzin ostryg do fartucha, złapałam za nóż do otwierania (krótki, gruby i tępy, zaprojektowany do podważania, a nie do krojenia), zostawiłam w piecu do pizzy trzy chleby pita z figami, gorgonzolą i karmelizowaną cebulką, przebiegłam obok Boba stojącego przy płycie do smażenia (który lawirował między *foie gras* a stojącym na kuchence bulionem z kukurydzą), obok Roba przy grillu (piekącego jagnięce żeberka i wykańczającego dzikiego łososia) oraz Czarodziejki, która syknęła „Masz minutę!”, gdy mijałam ją w pośpiechu.

Popędziłam korytarzem w kierunku obieraka.

– Raúl! – krzyknęłam, rozkładając fartuch, aby pokazać mu ostrygi. – ¡Ayúdame, por favor!

Raúl był naszym głównym kucharzem odpowiedzialnym za przygotowanie składników. Odłożył nóż do trybowania, odsunął na bok deskę z filetowanym przez siebie tuńczykiem i jednym ruchem przełożył ostrygi z mojego fartucha na blat ze stali nierdzewnej. Współczuli mi wszyscy pracownicy kuchni – w końcu byłam za wolna – jednak w odróżnieniu od pozostałych Raúl był miły.

Powinien być na moim miejscu, gotować z innymi kucharzami, ucząc się podstaw na stanowisku z przystawkami, sałatkami i deserami. Był półprofesjonalnym piłkarzem w Guadalajarze, dopóki nie zerwał więzadła w kolanie. Nigdy nie tracił czasu. Nie posługiwał się nożem gorzej niż Bob i Rob, a może nawet robił to lepiej. Mimo to po trzech latach pracy na dwóch kuchniach w San Francisco potrafił powiedzieć zaledwie kilka słów po angielsku, przez co zajmował stanowisko na tyłach restauracji. Potrafił jednak otworzyć tuzin ostryg w czterdzieści pięć sekund z wrzeszczącym szefem w tle, ukazując w łagodnym uśmiechu

idealnie białe zęby.

Wiele godzin później po tym, jak vipy opuściły restaurację, Czarodziejka wróciła do domu, a Vertigineuse została zamknięta na noc, siedziałam przy barze, popijając Johnnie'ego Walkera Black, którego Ray, nasz piegowaty kierownik sali o łabędziej szyi, polewał tak, jakby był właścicielem.

Wszyscy uwielbiali Raya. Co wieczór, przed każdym otwarciem, przygotowywał kawę dla całego personelu według indywidualnych instrukcji. Potrafił nakłonić każdego kucharza na przerobienie dania, jeśli jakiś klient był niezadowolony, i w przeciągu paru sekund rozładować napięcie panujące przy stoliku. Moja babcia określiłaby go mianem restauracyjnej osobowości.

– Co się stało? – spytał Ray, patrząc na moją dłoń owiniętą bandażem.

Westchnęłam.

– To samo, co zawsze. Przypalałam pitę. Chrzanię *tuille*. Przesadam z dekoracją sałatek albo dodaję za mało składników. A to – wskazałam na bandaż – jest rana po palniku spożywczym. Nie wolno mi już robić *crème brûlée*.

– Masz zamiar się zwolnić? – spytał Ray, uśmiechając się kącikiem ust i unosząc jedną z łukowatych brwi.

Próbowałam się roześmiać, odwracając głowę od odbicia mojej czerwonej twarzy widocznej w lustrze za barem.

– Czarodziejka nie płaci mi od dwóch miesięcy, więc chyba i tak jestem zwolniona.

– Jak to nie płaci?

– Wiesz, że restauracja nie przynosi dochodu, prawda?

Ray skinął głową. Wiedział i wcale się tym nie martwił. Zawsze znajdzie się miejsce, w którym będzie mógł obsługiwać stoliki.

Pochyliłam się nad barem, zniżając głos.

– Spytała mnie, czy mogę poczekać na wypłatę, a ja odparłam, że tak. Nie sądziłam jednak, że potrwa to aż dwa miesiące. – Przełknęłam resztkę whiskey, zamykając oczy, gdy jej ciepło rozlało mi się po brzuchu.

– Dziewczyno, to niedobrze! – powiedział Ray, cmokając językiem.

– Wiesz, że nie zostanę kucharzem. Sama dobrze to wiem. Wygląda na to, że chyba nie zasługuję na wypłatę. – Stuknęłam resztkami paznokci w bok szklanki. – Ale staram się poznać każdy zawód w tej dziedzinie, żeby wiedzieć, co mam robić, gdy już otworzę własną restaurację.

– Kochanie, jesteś pewna? – Ray zerknął na bandaż, ponownie napełniając nasze szklanki. – Naprawdę chcesz otworzyć restaurację?

Wpadłam na pomysł z otwarciem restauracji – a raczej zakochałam się w tej idei – w trakcie fatalnego semestru na studiach podyplomowych w New Jersey, gdzie starałam się uzyskać stopień magistra socjologii i spędzałam kilka godzin dziennie na oglądaniu Food Network, wypróbowując przepisy na współlokatorach. W dniu urodzin pojechałam do Filadelfii i przepuściłam pieniądze na lunch w White Dog Café, restauracji Judy Wicks, która przeistoczyła się w projekt propagujący przemiany społeczne. W połowie talerza zielonej zupy czosnkowej byłam już gotowa pójść w ślady panny Wicks. „Do diabła z heurystycznymi technikami analizy SWOT i wskaźnikami rozwoju”, pomyślałam. Mogłabym w mgnieniu oka uczynić wiele dobra, karmiąc ludzi puszystym chlebem mlecznym taty, kiełbaskami z fenkułem dziadka (tylko on jako profesjonalny rzeźnik wiedział, jak przygotować je w partiach po

czterdzieści pięć kilo) lub naszą noworoczną lazań z przepisu, który babcia dostała od włoskiego sprzedawcy w Los Angeles i zdradziła mamie dopiero, gdy rodzice byli pięć lat po ślubie.

Nim zdmuchnęłam świeczkę na wiśniowym serniku, miałam już precyzyjną wizję: własną restaurację w stylu Zachodniego Wybrzeża, wariację na temat White Dog. Uprawialibyśmy własne zioła. Serwowali wina z beczki, tak jak to robią we Włoszech, koniecznie w małych, szklanych dzbankach. Klienci płaciliby tyle, ile uznali za stosowne. A wszystkie stoliki byłyby okrągłe, pozwalając na niekończące się rozmowy.

– Tyle nauki, a wszystko po to, żeby pracować w restauracji! – powiedziała mama.

– Jesteś pewna, że chcesz się tym zająć? – spytał tata.

Odłożyłam studia na potem, przeniosłam się do San Francisco i zaczęłam zgłębiać podstawy restauracyjnego biznesu. Zmywałam naczynia. Obsługiwałam stoliki. Pracowałam jako baristka w Java Supreme, gdzie nauczyłam się obsługi ekspresu do kawy. Byłam hostessą w Greens, światowej sławy wegetariańskiej restauracji w San Francisco Zen Center, której klientom nie przeszkadzało, gdy znajdowali robaki w swoich sałatkach („Cóż, przynajmniej wiemy, że są organiczne!”). Po jakimś czasie udało mi się awansować na kierownika ich lokalu Greens to Go z jedzeniem na wynos.

Zapełniałam zeszyt za zeszytem pomysłami na własną restaurację: gdy tylko goście usiedliby przy stoliku, na portugalską modłę podawanoby im ser, oliwki i marynowane warzywa, dzięki czemu mieliby co podjadać w trakcie przeglądania karty. Organizowalibyśmy konkursy z przepisami dla gości, a zwycięskie danie dodawali do menu i serwowali przez miesiąc. A ja robiłabym focaccię w stojącym na środku sali piecu z suszonej cegły opalanym drewnem. Zaczęłam myśleć o składaniu papierów do California Culinary Academy.

– Zanim wydasz pięćdziesiąt tysięcy dolarów na szkołę gastronomiczną – powiedział szef imieniem Nano, który zawiózł mnie na Lombard Street na swoim motocyklu i wprowadził w cudowny świat Super Quesadillas Suizas (gigantycznych pszennych placków podawanych z awokado, kwaśną śmietaną, serem, *carne asada* i tak dużą ilością pikantnej salsy tomatillo, jak tylko chcieliśmy) w restauracji El Farolito o pierwszej nad ranem – powinnaś zacząć pracę jako kucharz liniowy.

Nano pomógł mi znaleźć pracę za minimalną stawkę w restauracji Czarodziejki, gdzie pracował kiedyś jako zastępca szefa kuchni. Lokal mieścił się w kulinarnej próżni, między zamożną dzielnicą Nob Hill a Tenderloin zamieszkiwanym przez uzależnioną od narkotyków biedotę. W ciągu ostatnich dziesięciu lat splajtowały tu trzy restauracje.

– Tyle nauki, a wszystko po to, żeby kroić pieczarki! – skwitowała mama.

– Chyba że robienie tego sprawia ci radość – dodał tata.

Miałam nadzieję, że Vertigineuse będzie moim ostatnim miejscem pracy, zanim napiszę biznesplan i zacznę zbierać pieniądze na swoją restaurację. (Nadal szukałam dla niej dobrej nazwy. Jak na razie najlepszą, jaka przyszła mi do głowy, było: Gusto). Jednak po dziesięciu miesiącach pracy w kuchni zamiast czuć się jak na entuzjastycznym hajku, który sprawiał, że Bob i Rob rechotali ze śmiechu, gdy zasypywano ich zamówieniami, nadal panikowałam, tracąc resztki swoich zdolności do organizowania pracy. Pewnego wieczoru Bob, który nawet w chodakach i kraciastych spodniach wyglądał na zawsze gotowego do bójki, wziął mnie na stronę, próbując pomóc.

– Gdy jesteś w opałach, musisz się skupić – powiedział. – Poświęć trzydzieści sekund na

przyjrzenie się wszystkiemu, co musisz zrobić, i zdecyduj, co wykonać jako pierwsze. Ułóż sobie plan. I do roboty!

Łatwizna.

– W porządku! – kiwnęłam głową. – Właśnie tak będę robić!

Tyle że wszyscy chcieli swój japoński krem jajeczny *chawanmushi*, pikantną napoleonkę z bakłażana i ostrygi na połówkach muszli na już. Po dziesięciu miesiącach musiałam stawić czoła faktom: Bob i Rob poruszali się z zupełnie inną szybkością niż ja. I podczas gdy ich pośpiech napędzał, wciągając w stresujący, kuchenny taniec, którym żyli kucharze liniowi, mnie on kompletnie paraliżował. „A zatem nie nadaję się na kucharza liniowego – myślałam. – Nie znaczy to jednak, że nie mogę prowadzić restauracji”.

Niemniej jednak w Wieczór Nienaruszalnych Ostryg, z oparzeniem na rękę, pedałuując na rowerze przez Nob Hill po lśniącym od porannej wilgoci asfalcie, przez kłęby mgły, przypominałam sobie pytanie Raya: „Naprawdę chcesz otworzyć restaurację?”. Miałam nadzieję, że odpowiedź nadal brzmi „tak”. Pragnęłam, aby nadal brzmiała „tak”. Jednak w głębi ducha wiedziałam, że jest odwrotnie.



– Chcę napisać o Buenos Aires – powiedziała taksówkarzowi, gdy przejechaliśmy przez ostatni punkt poboru opłat na autostradzie.

– Słucham? – Ruch na autostradzie w obrębie miasta był teraz zdecydowanie większy, a mój taksówkarz przygarbił się nad kierownicą, jakby szykował się na atak. – *Mira*, jeśli powie pani ludziom prawdę o tym miejscu, nikt w nią nie uwierzy. Ale co ja mogę wiedzieć...

Wyjrzałam przez szybę na wyblakłe od słońca zabudowania: miasto wyglądało jak przedłużenie otaczających go równin, z dodatkami w postaci wieżowców.

– Tak naprawdę – odwróciłam się w stronę taksówkarza, uśmiechając się do jego profilu – to interesuje mnie tutejsze jedzenie.

– *¿Cómo?*

– Chcę pisać o gastronomii.

– O astronomii?

– Nie. – Parsknęłam śmiechem. – Gastronomii: jedzeniu, restauracjach, tego typu rzeczach.

Po Nocy Nienaruszalnych Ostryg, gdy uświadomiłam sobie, że poświęciłam prawie całą dekadę na spełnianie chybionego marzenia, zaczęłam szukać nowego zajęcia, co chwila zmieniając pracę, mieszkanie, przemieszczając się w tę i we w tę w okolicach Zatoki, odczuwając coraz większy niepokój i znużenie za każdym razem, gdy mój nowatorski scenariusz przeistaczał się w rutynę. Tymczasem moi znajomi w San Francisco kupowali domy i planowali wesela, kończąc prawo, rachunkowość, medycynę i nauki społeczne. „Wszyscy się ustatkowali, tylko nie ja”. Wierzyłam jednak, że wybór jednej ścieżki eliminuje pozostałe. Nie chciałam zarabiać na życie – chciałam żyć. Chciałam spróbować wszystkiego, wszędzie pojechać. Pragnęłam pasji i całkowicie absorbującego zajęcia – i chciałam, aby wiązało się ono z jedzeniem.

Taksówkarz wyprostował się, przyglądając mi się w lusterku ze ściągniętymi brwiami.

- Skąd pani jest?
 - Proszę zgadywać.
 - Z Kolumbii?
- Pokręciłam przecząco głową.
- Z Wenezueli?
 - Nieee.
 - Meksyku?
 - Blisko – odparłam. – Z Kalifornii.
 - Kalifornii?

Kiwnęłam głową.

– Aj, Kaaalifoorniiii... – westchnął, jakby wspominał dawny romans. – Przez rok mieszkałem w L.A., ¿sabés? Od 2002 do 2003. Po *la crisis*. Malowałem samochody. Gdy tu wróciłem, miałem odłożonych trochę pieniędzy, ale źle zainwestowałem i robię to, co robię. Prowadzę taxi – jęknął ponownie, unosząc naczynie od *mate* w kpiącym toaście. – Za *la crisis*.

Mianem *la crisis*, jak wyjaśnił, określał załamanie argentyńskiej gospodarki pod koniec 2001 roku, które zapoczątkowały recesja, olbrzymi dług zagraniczny i pogłoski o dewaluacji peso, co doprowadziło do masowego pobierania pieniędzy z banków, co z kolei spowodowało zamrożenie kont, przyczyniając się do wszczęcia wielkich *cacerolazos* (ulicznych strajków, podczas których uderzano w garnki i patelnie). Z czasem przekształciły się one w zamieszki. Zginęło dwadzieścia pięć osób, a prezydent podał się do dymisji, uciekając helikopterem z Casa Rosada, po czym tymczasowy prezydent ogłosił niemożność spłaty krajowego długu i ustąpił ze stanowiska tydzień później. Drugi tymczasowy prezydent zdevaluował peso i tysiące ludzi straciło oszczędności, domy i pracę.

– Jak długo zostaje pani w Buenos Aires? – spytał taksówkarz.

- Na czas nieokreślony.
- Ma pani tutaj rodzinę? Męża?
- Nie. Nie mam męża.
- Ile ma pani lat?

Wybuchnęłam śmiechem.

- Trzydzieści jeden.
- Ma tu pani jakichś przyjaciół? Chłopaka?

– Nie – odparłam, mając świadomość, jak dziwna i smutna musiałam wydać się temu człowiekowi, który wywodził się ze świata, w którym o wyborach życiowych danej osoby decydowały miłość i przyjaźń. – Już tu kiedyś byłam – dodałam. – Z najlepszym przyjacielem. I zakochałam się w tym mieście, więc...

- Zakochała się pani w Buenos Aires?
- ¿Cómo te lo puedo explicar...?

Jak mam to panu wytłumaczyć? Czy to przez kombinację steku, *empanadas* i *dulce de leche*, ulic noszących nazwiska poetów, filozofów i kompozytorów tanga oraz księgarni na Avenida Corrientes, które były otwarte grubo po północy? Czy to przez melodię hiszpańskiego z włoskimi naleciałościami, charakterystyczną dla mieszkańców dorzecza Rio de La Plata? Sposób, w jaki całe miasto zakrzyknęło „GOOOOOOOOOOL!”, gdy piłkarska reprezentacja narodowa zdobyła punkt w meczu z Urugwajem w kwalifikacjach do mistrzostw świata? Czy to

przez *kioscos* z gazetami stojącymi na chodnikach, w których dzieła Nerudy i Szekspira leżały obok najnowszych wydań „Hello!” i „Hustlera”? Czy miała z tym coś wspólnego nerwowa atmosfera miasta, która zawsze, ale to zawsze nakazywała mi na wszystko uważać? Chaos komunikacji miejskiej na wielkich *avenidas*, który zdawał się być odbiciem mojego wewnętrznego nieporządku? A może poczucie, że miasto dopiero zaczynało otrząsać się z kryzysu, a tutejsze jedzenie również ulegało zmianom? Pomyślałam, że mogę tu zacząć coś nowego. Jose Luis Borges mówił o tej ziemi, że należy do „ludzi zrodzonych jako wygnańcy, ludzi tęskniących za tym, co odległe i inne”, zdających się wierzyć, że ich skarb może być zakopany gdzieś daleko stąd.

Taksówkarz zjechał z autostrady. Jechaliśmy na północ czy na południe? Nie byłam w stanie stwierdzić. Nie widziałam żadnych *piqueteros*. W powietrzu pachniało przejrzalymi brzoskwiniami i olejem napędowym. Plecy miałam złane potem. Stały tu znaki z czerwonymi, wielkimi literami – LAVANDERÍA, PAPELERÍA, HELADERÍA, EMPANADERÍA – oraz mężczyźni w podkoszulkach bez rękawów popijający fantę i kobiety o opalonych nogach w krótkich spódniczkach, kroczące nad kraterami zięjącymi w chodnikach.

Spytałam taksówkarza, co sądzi o Borgesie.

– Borges? Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie. Jeśli chce pani zrozumieć Buenos Aires, proszę nie czytać Borgesa. On nie jest nawet pochowany w Argentynie! Jeśli chce pani zrozumieć to miejsce, musi pani nauczyć się tanga. Proszę zapomnieć o Borgesie! I o astronomii!

– Tańczy pan tango?

– Nie – powiedział. – Robili to moi rodzice. Gdy byłem młody, tanga słuchali starsi ludzie, ¿sabés? My słuchaliśmy Beatlesów. I rock’n’rolla. Ale teraz, kiedy jestem starszy, żałuję, że się tego nie nauczyłem. Teraz bardzo lubię taką muzykę. – Otworzył schowek na rękawiczki, gdzie znajdowały się dwa schludne stosiki kaset. – Zna pani Julio Sose?

– Nie. Ale chyba słyszałam gdzieś to nazwisko...

– ¡Qué voz! – powiedział. Co za głos! – Proszę posłuchać.

Włożył kasetę do odtwarzacza. Baryton Julio Sosy – władczy, doniosły, podszyty ironią, zdawał się wypełniać głośniki po brzegi. Taksówkarz podkreślił nieco głośność.

– Ten głos! Proszę posłuchać, co mówi. To tango nazywa się *Cambalache*. Proszę słuchać!

Próbował przetłumaczyć słowa, podczas gdy ja słuchałam piosenki. Nie rozumiałam większości tekstu.

– Ta piosenka została napisana w latach dwudziestych, a nadal jest prawdziwa i aktualna! *Increíble*. Proszę słuchać! – Przewinął kasetę do początku. – Śpiewa: „To, że świat jest i będzie jednym wielkim chlewem, to ja wiem. W roku pięćset szóstym już i w dwutysięcznym też. Dziś wszystko jest takie samo, nic nie idzie ku lepszemu, być ignorantem, mędrcom, złodziejem, oszustem. Wszystko jest takie samo”.

Przejechaliśmy na żółtym świetle i zatrzymaliśmy się za autobusem. Taksówkarz wyciągnął metalowy termos z torby leżącej na siedzeniu pasażera i ponownie napełnił tykwę do *mate*. Prawie przekrzykiwał teraz głos Julio Sosy.

– Śpiewa o braku szacunku, utracie zdrowego rozsądku! O tym, że wiek dwudziesty jest pełen problemów. Jeśli nie płaczesz, to nie dostajesz jedzenia! Jeśli nie kradniesz, to jesteś głupcem!

– A pan jak myśli?

– Byłbym głupcem, gdybym myślał inaczej – odparł. – Nie tylko głupcem, ale w dodatku głodującym głupcem.

Julio Sosa brzmiał tak, jakby rozkoszował się bólem, zanim dotarł do końcowej zwrotki *Cambalache*, a ja zaczynałam rozumieć ogólny sens słów: idiota żyje ze swojej pracy, a mądry utrzymuje się dzięki idiotcie. A wszyscy i tak spotkamy się w piekle.

Taksówkarz objechał autobus, wpatrując się w numery ulic zmrużonymi oczami. Stał tu mój budynek: pięć pięter z betonu z lat siedemdziesiątych wciśnięte między Burger Kinga a sklep z telefonami komórkowymi. Poczułam, jak ściska mnie w brzuchu z powodu strachu i wątpliwości, gdy uświadomiłam sobie, że czas wyjść z taksówki. Za chwilę miałam wprowadzić się do mieszkania, które widziałam tylko przez internet, wzięłam ze sobą trzymiesięczne oszczędności, które miały mi zapewnić przetrwanie, a moja osoba do kontaktu na wypadek sytuacji awaryjnej znajdowała się tysiące kilometrów stąd.

WSZYSTKO, CO ZROBIŁAM W BUENOS AIRES tamtego pierwszego wykańczającego dnia po długiej podróży, przypomina mgliste wspomnienie – w opustoszałym mieście panował skwar, a *porteños* (ogólnie: mieszkańcy portu; lokalne znaczenie: każdy, kto pochodził z Buenos Aires lub tam mieszkał) wynieśli się na wybrzeże albo w góry. Restauracje były zamknięte. Banki – nadal z porozbijanymi szybami w oknach po fali protestów po załamaniu się peso trzy lata temu – również były zamknięte. Stałam samotnie w nieznośnym upale na stacji metra, ścierając pot z czoła i spoglądając na ekran telewizora z ustawionym kanałem tango pokazującym młodą, ciemnowłosą parę w dopasowanych czerwono-czarnych strojach, z nogami wirującymi w rytm pociągnięć smyczka.

Tango zaciękało mnie na długo przed spotkaniem taksówkarza ubóstwiającego Julio Sosę, na długo przed tym, jak przyjechałam do Buenos Aires. Odkąd skończyłam siedem lat, co roku oglądałam każdą rundę mistrzostw świata w tańcach latynoamerykańskich na PBS. Uwielbiałam słoneczną energię salsy i samby oraz wielką dramaturgię paso doble, ale tango fascynowało mnie najbardziej. Wpatrywałam się jak urzeczona w pary o włosach zaczesanych gładko do tyłu świdrujące się wzrokiem, odpychające i przyciągające się nawzajem – ich ruchy były takie zajadłe, takie dobitne – i obiecałam sobie, że któregoś dnia nauczę się tego dziwnego, pięknego tańca.

Tuż zanim opuściłam San Francisco, tańczący tango znajomy znajomego powiedział mi o La Catedral, jednym z najpopularniejszych podziemnych *milongas* (klubów tango) w Buenos Aires. „W poniedziałki – rzekł z melancholijnym uśmiechem – uczą tam tanga początkujących”. „Idealnie”, pomyślałam.

La Catedral znajdował się w dzielnicy mieszczańskiej zwanej Almagro, piętnaście przecznic od ekskluzywnych sklepów obuwniczych, knajpki ze świeżym makaronem i niemieckiej, organicznej piekarni mieszczących się obok małego mieszkanca, które wynajmowałam na Avenida Santa Fe. Gdy szłam do klubu, zajadając się pierożkami *empanada* z nadzieniem z wołowiny i słodką papryką, uliczne latarnie przerzedziły się, dziury w chodnikach stały się większe, a smród psich odchodów i śmieci zaścielających chodnik i wpadających do rynsztoka nasilił się w dusznym powietrzu. Odłożyłam pierożki na później i co jakiś czas długo wstrzymywałam oddech. Dotarłam na miejsce i stanęłam przed zardzewiałymi, metalowymi drzwiami bez jakiegokolwiek szyldu. Gdy zapukałam, drzwi otworzył nastolatek w koszulce z wizerunkiem Che Guevary.

– *Hola* – powiedziałam, mając nadzieję, że nie widział mokrych plam z potu pod moimi pachami. – Czy wieczorem odbywają się tu zajęcia z tango?

– *Arriba* – odparł, wskazując na betonową klatkę schodową za swoimi plecami.

Na szczycie schodów prowadzących do sali tanecznej, która wyglądała jak skrzyżowanie planu filmowego kina noir i pchlego targu, powitał mnie bezgłowy manekin w stringach. Drewniany sufit wisiał jakieś dwanaście metrów nad moją głową, a niepomalowane ściany były

zastawione używanymi oponami do rowerów, ramami obrazów, kołpakami, samotnym, zakurzone butem do tanga i rdzewiejącymi wiatrakami, które leniwie filtrowały gorące powietrze w pomieszczeniu. Kocie przybłędy spały wśród krzesel stojących na skraju parkietu, który oświetlała garstka gołych żarówek w podstawowych kolorach. Miejsce było ciemne, brudne i wyglądało, jakby czekała je rychła rozbiórka. Nie mogłam wyobrazić sobie bardziej romantycznej sali do nauki tanga.

Na środek parkietu wyszła wysoka kobieta w czerwonych szpilkach i klasnęła w dłonie.

– ¡*Vamos, chicos!*

Fantazjowałam o tej chwili. Podczas mojej pierwszej wycieczki do Buenos Aires czasu starczyło mi tylko na jedno tango – z tancerzem zatrudnionym w restauracji serwującej steki w La Boca. To doświadczenie było bardziej niż żenujące, ale powiedziałam sobie, że to dlatego, że nasze tango trwało jedynie czterdzieści pięć sekund. I choć miałam świadomość, że nigdy nie zostanę profesjonalną tancerką – ta nadzieja została zaprzepaszczone, gdy miałam cztery lata, a nauczycielka podczas pierwszych zajęć baletowych powiedziała mi, że mój tors jest zbyt długi w stosunku do nóg – nic nie mogło powstrzymać mnie przed fantazjowaniem o tym, że mogę być kimś w rodzaju geniusza tanga, moje podejście do nauki tańca okaże się nadzwyczajne i ujawni wrodzony talent. Być może któregoś dnia uda mi się zatańczyć dla publiczności w Teatro Colón (argentyńskim odpowiedniku Carnegie Hall), myślałam, posiłkując się marzeniami głównej aktorki z filmu *Lekcja tanga*.

Wtopiłam się w krąg uczniów otaczających *profesorę*. Większość kobiet nosiła buty do tańca na wysokich obcasach, pozostałe – baletki. Mężczyźni mieli na sobie różne stroje, od krawatów po koszulki. *Profesora* zmierzyła nas wzrokiem, zwijając kręcone, kasztanowe włosy w kok. Gdy dotarła do mnie, utkwiała spojrzenie w moich stopach.

– Jak, u diabła, zamierzasz tańczyć tango w tych butach?

Wszyscy spojrzeli w moją stronę. *Profesora* przestąpiła z jednej długiej, smukłej nogi na drugą i wycelowała długi, bordowy paznokiec w moje klapki japonki. Wydało mi się, że papierosowy dym unoszący się w powietrzu zastygł w bezruchu.

– Przepraszam – zaczęłam. – Ja nie...

Jej partner, niższy od niej, wyszedł na środek koła i objął ją ramieniem w pasie. Spojrzał na mnie, a w jego ciemnych oczach odmalowało się współczucie.

– To jedyne buty, jakie ze sobą masz?

Kiwnęłam głową, czując, jak twarz mi płonie.

Odwrócił się do *profesory*.

– Giselo, to jej pierwsze zajęcia. Na pewno sprawi sobie nowe buty.

Nie przestawałam kiwać głową. „Tak! – pragnęłam im powiedzieć – Tak! Kupię sobie inne buty!”. Dwie dziewczyny w sandałkach z paseczkami zaczęły chichotać. Chciałam zapaść się pod ziemię.

– *Bueno* – powiedziała *profesora* Gisela, wydymając usta i podwójnym kłaśnięciem przywołując grupę do porządku. – ¡*Vamos, chicos!* Czas się przejść. Spójrzcie na mnie!

Ruszyła do przodu w swoich czerwonych obcasach, unosząc podbicia stóp nad podeszwami butów. Patrzyłam, jak moi koledzy z grupy płyną nad spaczonymi, drewnianymi deskami podłogi, wiernie naśladując kocie ruchy *profesory* Giseli. Z trudem ruszyłam w ich ślady. Wystarczyło zaledwie parę kroków, abym uświadomiła sobie, że z całą pewnością nie byłam

geniuszem tanga.

Profesor, który przedstawił się jako Luis, wcisnął guzik odtwarzania na przenośnym radiomagnetofonie. Teraz mieliśmy odtworzyć kocie ruchy w rytmie muzyki. Moje japonki za nic nie chciały zostać na swoim miejscu. Gisela przygryzła język. Czułam się tak, jakby przewiercała mnie spojrzeniem na wskroś, doskonale zdając sobie sprawę ze wszystkich kretyńskich wyobrażeń, jakie zabrałam ze sobą na jej zajęcia. Byłam zbyt zawstydzona i za bardzo spocona, aby nie mieć co do tego żadnych złudzeń.

Profesor Luis wyłączył muzykę.

– Okej, *chicos*, wybierzcie sobie partnera!

O nie.

Podeszłam do krawędzi parkietu i patrzyłam, jak moi koledzy dobierają się w pary, witając się radosnym całusem w policzek. W moją stronę szedł mężczyzna w podobnym do mnie wieku. Zauważyłam go – oraz jego falujące, czarne włosy związane w kucyk i starannie przystrzyżoną bródkę – na początku zajęć. Z takim wyglądem mógłby z powodzeniem grać wojownika z mieczem w jednym z filmów Errola Flynna albo pirata w filmie Disneya.

– *Hola* – powiedział z półuśmiechem na ustach. – Jestem Daniel. – Jego oczy miały barwę złotawobrazowego portu.

– A ja Layne. – Wyciągnęłam dłoń na powitanie.

– E-la...?

– Jak Luisa Lane. No wiesz, dziewczyna Supermana.

Uśmiechnął się, bardziej trzymając moją rękę, niż nią potrząsając.

Po obu stronach bródki miał urocze dołeczki w policzkach. Spojrzałam na jego białą, idealnie wyprasowaną, frakową koszulę, na której nie było ani śladu potu. Był równie elegancki, co ja niechlujna. Schowałam włosy za uszami. Jego uroda wytrąciła mnie z równowagi. Uśmiechnął się ponownie. Przypomniałam sobie o pierożkach, które zjadłam w drodze na zajęcia, i odwzajemniłam uśmiech z zamkniętymi ustami.

Gisela i Luis zademonstrowali sekwencję kroków. Poruszali się bez wysiłku, obracając się i odskakując w bok, ze złączonymi torsami i stopami wyrażającymi jeden rytm. Nie byli aż tak efekciarscy i ostentacyjni jak pary, które oglądałam na telewizorze w stacji metra, lecz tak samo zmysłowi.

– *Es lindo, ¿no?* – spytał Daniel. Piękne, prawda?

– *Sí* – zgodziłam się, kiwając głową. – *Muy lindo*.

Gisela i Luis powtórzyli układ, rozbierając go na czynniki pierwsze i sprawiając, że kroki wyglądały na proste.

– *Vamos* – powiedział Daniel, prowadząc mnie w róg sali. – Spróbujmy.

Spróbowaliśmy. Za każdym razem, gdy robiłam krok w tył – czyli przez większość czasu, ponieważ zdecydowana ilość kroków w tangu dla kobiet składała się z jakiejś wariacji na temat wycofywania się – albo gubiłam, albo prawie gubiłam jedną z japonek. Jednak mój problem nie dotyczył wyłącznie butów: nie miałam za grosz pamięci tancerza. Bez względu na to, ile razy przyglądałam się, jak Gisela i Luis powtarzają kroki, nie umiałam przełożyć ich na język swojego ciała. Wyglądało na to, że inni potrafili – wirowali po parkiecie w stłumionym świetle, flirtując nieco w trakcie odnajdywania się w sekwencji. Promienieli, jak gdyby te ruchy wydobywały z nich blask, podczas gdy ja spływałam potem po wewnętrznej stronie łokci i pod

kolanami. Chciałam zjeść kolejnego pierożka.

– Luiso Lane? – odezwał się Daniel.

– Wybacz. Nie wiem, co robić.

– Nie przejmuj się. Rób to, co ja. *Yo te llevo*.

Yo te llevo. Ja cię poprowadzę. Brzmiało zachęcająco. Dokąd chciał mnie poprowadzić?

Spróbowaliśmy wykonać układ jeszcze kilka razy, zanim Daniel zatrzymał się w pół ruchu.

– Co robisz w Buenos Aires? – spytał, odsuwając się ode mnie o krok.

Przejechałam palcami po brwiach, ścierając pot. Mogłam powiedzieć mu to samo, co taksówkarzowi: że przyjechałam, aby pisać, lecz nazwanie siebie pisarką byłoby kłamstwem.

– Po prostu mam przecucie – odparłam, krzyżując i rozkładając ramiona – że to dobre miejsce, aby tu być.

– Jeśli chcesz nauczyć się tanga, to trafiłaś idealnie – stwierdził Daniel. Powiedział mi, że był *porteño*, urodzonym, wychowanym i mającym zamiar umrzeć w Buenos Aires.

Tymczasem *profesora* Gisela przechodziła od pary do pary, śmigając po parkiecie jak nimfa na obcasach i dokonując poprawek. Daniel i ja ponownie spróbowaliśmy odtworzyć układ. Zatrzymaliśmy się, gdy do nas doszła.

– Ta ręka – Gisela chwyciła mój prawy biceps – jest miękka jak budyń. Nie chcemy budyniu. Jak masz zamiar poczuć, że on prowadzi? Napnij nieco mięśnie. O tak! – Uniosła suchą dłoń do mojej spoconej ręki. – Tylko nie naciskaj! Chcesz odrobiny napięcia, ale nigdy, przenigdy nie zmuszaj siłą ramienia mężczyzny do uścisku. Masz zaznaczyć swoją obecność, ale nie chcesz, żeby bolała go ręka!

Moja głowa doskonale rozumiała, co chciała mi przekazać, jednak sprawienie, aby moja ręka to zrozumiała, było zupełnie inną sprawą.

Daniel wpatrywał się w nogi Giseli, gdy ta odchodziła.

– Gisela jest wymagająca, ale to dobra nauczycielka – powiedział. – Po prostu chce mieć pewność, że poważnie do tego podchodzisz.

Spojrzałam na swoje stopy.

– Rozumiem.

– *¡Vamos, chicos!* – *Profesor* Luis kazał podejść wszystkim na środek sali, a Gisela znalazła się w jego objęciach. Jej ciało rozluźniło się, jakby układała się w wygodnym łóżku.

– Zawsze kończą zajęcia tangiem dla uczniów – wyjaśnił Daniel. – Potem możemy zostać, jeśli chcemy.

Ktoś wcisnął guzik w radiomagnetofonie. Daniel zamknął oczy.

– *Paciencia*. Przepiękne tango. Posłuchaj.

Muzyka była lekka i żwawa – skrzypce przeplatały się z rytmicznymi dźwiękami instrumentu przypominającego akordeon. (Później dowiedziałam się, że był to *bandoneón*, kuzyn akordeonu, który trafił do Argentyny dzięki Niemcom, instrument nadający tangu jego charakterystyczne brzmienie). Jednak słowa piosenki, a raczej to, co z nich rozumiałam, szybko uległy zmianie ze słodkich („Zeszłej nocy znów cię ujrzałem...”) w pełne goryczy („Koniec końców, byliśmy sobie obcy... Po co udawać?”).

– Rozumiesz? – szepnął Daniel. – Tekst jest o przyznaniu się, że nie należysz do drugiej osoby, lecz nie możesz nic poradzić na to, że dalej pragniesz z nią być.

I w taki właśnie sposób Gisela i Luis poruszali się do dźwięków *Paciencii*: obejmując się jak

skazani na niepowodzenie kochankowie upajający się swym ostatnim tangiem. Patrzenie na nich było jak bezprawne wkraczanie na obce terytorium, które mogło okazać się zbyt intymne.

Tango dobiegło końca. Rozległy się brawa. Gisela ukloniła się, a Luis dotknął jej ramienia.

– Zostajesz? – Daniel spojrział na swój zegarek. – *La noche está en pañales*.

– Noc jeszcze w powijkach? – parsknęłam śmiechem.

Była północ. Rozejrzałam się dokoła. Milonga dopiero się rozkręcała. Mężczyźni ustawiali się przy barze, zapalając papierosy. Kobiety rozeszły się na strony, same lub w parach, zajmując pierwsze napotkane wolne miejsca i szybko zmieniając obuwie na buty do tanga. Dwie pary tańczyły tango w rytmie walca. Mężczyźni dotykali pleców kobiet jedną ręką, a one zamykały oczy, wirując po parkiecie i okrążając swych partnerów.

Ich taniec oraz tango zaprezentowane przez Giselę i Luisa w niczym nie przypominały tanga, które widziałam na PBS. Żadnych wyprostowanych rąk, żadnych obracających się z boku na bok głów i żadnych róż w kobiecych ustach. To tango miało charakter bardziej refleksyjny niż dramatyczny. Traktowało bardziej o uległości i poddaniu niż walce – było wspaniałe i seksowne (ta bliskość!), i o ile poprawnie odczytywałam pełen spokoju wyraz twarzy tancerzy, miało w sobie również coś z zadumy i kontemplacji. Chciałam się tak poruszać, czuć to samo, co oni. Jednak w japonkach było to niewykonalne. Powiedziałam Danielowi, że muszę już iść.

Byłam już prawie przy drzwiach, zamierzając milcząco pożegnać się z bezgłowym manekinem w stringach, gdy na mojej drodze stanął profesor Luis.

– *No te vayas*. – Nie idź. Ujął mnie za rękę. – *Vamos a bailar un tanguito*. – Zatańczmy małe tango.

– Co? Nie. *No puedo bailar*. – Nie umiem tańczyć. Wskazałam na swoje japonki.

– W takim razie przejdziemy się. Chodź.

Zaprowadził mnie między tańczące pary na sam środek sali.

– Spokojnie! *Ya sé*. Martwisz się, że wszyscy będą się na ciebie gapić. Oni mają to gdzieś.

– Ale...

– *Vamos*. Przejdź się ze mną. Udawaj, że spacerujemy po lesie.

Wyciągnął ramię, a ja je ujęłam. Zrobiliśmy kilka kroków do przodu, a potem kilka w tył. To było niedorzeczne. Roześmiałam się, starając się nie zwracać na to uwagi, z nadzieją, że Daniel tego nie widzi.

– Nie myśl o tango – powiedział Luis. – Po prostu idź.

Zamknęłam oczy, próbując wyobrazić sobie las. Luis stanął przede mną, ujmując moją prawą dłoń i obejmując mnie w pasie. Zrobiłam krok w tył i zgubiłam japonkę. Zatrzymaliśmy się, abym mogła ją założyć. Potem przyciągnął mnie do siebie bliżej, tak że dotykaliśmy się klatkami piersiowymi, a głowy mieliśmy jedna obok drugiej. Policzek Luisa był chłodny. Odetchnęłam drżąc. Tak bezpośredni dotyk był dla mnie szokiem. Byłam ze Stanów, gdzie kontakt z obcymi osobami ograniczał się do podania dłoni lub niemrawych uścisków. Ale jeszcze bardziej przerażające było to, że nie wiedziałam, w jaki sposób miałam się poruszać.

– Nie staraj się niczego przewidzieć – powiedział Luis. – To pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć. Nie próbuj zgadnąć, dokąd idę.

– Co?

O ile akurat nie jadłam, zawsze starałam się coś przewidzieć. Gdy nie miałam pod ręką żadnych pyszności – na przykład sałatki ziemniaczanej babci albo rybnego taco z Mariscos

Sinaloa w Oakland – rozmyślałam o przyszłości i robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby się do niej przygotować. To było moje ustawienie domyślne. W tej chwili chciałam, aby tango dobiegło końca, mając nadzieję, że zdołam dotrzeć do sklepiku z pierożkami przed jego zamknięciem. Wcisnęłam pięty w japonki, zmuszając je do zostania na miejscu.

– Oddychaj – powiedział Luis.

Złapał mnie, gdy wypuszczałam oddech, i zrobił krok naprzód, potem w lewo i znów w lewo, a gdzieś w ułamku sekundy, w którym nie myślałam, pozwoliłam się poprowadzić. Nie wiedziałam, dokąd mnie zabiera i wcale nie chciałam. Mój umysł ustąpił pierwszeństwa ciału, poddał się jego ciału, instynktowi, tamtej chwili. W melodii rozległy się triumfalne akordy. Moje buty zostały na swoim miejscu.

Dźwięk skrzypiec oznajmił koniec piosenki. Wysunęłam nogę, przybierając końcową pozę, opierając stopę na czubkach palców i przeciągając nią po podłodze w półokręgu, tak jak robiła to Gisela na końcu swojego tanga, ale zderzyłam się z nogą Luisa, sprawiając, że się potknął. Zepsułam magię chwili.

– Nigdy nie przeprasza – powiedział. – *Lo tenías*. – Udało ci się.

Udawało mi się przez jakąś sekundę. Wtedy stało się dla mnie jasne, dlaczego byłam w Buenos Aires, dlaczego przyszłam na te zajęcia, i dlaczego mimo uwag *profesory*, mojej wrodzonej niezdarności i trudnego tańca i tak pojawię się tutaj w następnym poniedziałek. Musiałam oduczyć się naprawdę wielu rzeczy.

PO TAMTYCH ZAJĘCIACH zaczęłam zanurzać się w świecie tanga. Poznałam innych nauczycieli. Kupiłam parę butów do tańca – szpilki z wyciętymi noskami, cienkimi paskami i ośmiocentymetrowymi obcasami – i w satynowym woreczku nosiłam je wszędzie, rzadko opuszczając bez nich mieszkanie. Chodziłam na popołudniowe *milongas*. Nauczyciele mówili mi, że starzy mistrzowie cieszyli się, mogąc wytłumaczyć podstawy tanga kobietom z zagranicy niemającym o nim zielonego pojęcia, zwłaszcza gdy były młode. Na jednym z takich *milongas* poznałam Lilianę, lekarzkę psychiatrę po pięćdziesiątce z Lomas de Zamora o niebieskich oczach ze srebrzystymi plamkami i wspaniałej grzywie falujących blond włosów.

– Buenos Aires to freudowskie miasto – powiedziała Liliana w przerwie między *tandas* (serią trzech–czterech utworów), chłodząc wysokie czoło czarnym koronkowym wachlarzem, gdy siedziałyśmy przy jednym ze stolików obok parkietu. – Mamy najwyższą liczbę psychiatrów przypadających na jednego mieszkańca na świecie.

– Więcej niż w Nowym Jorku? – Zaoferowałam jej kawałek pierożka *empanada*. Pierożki na *milongas* zazwyczaj pochodziły z mikrofalówki, a ja uczyniłam rytuał z zamawiania dwóch lub trzech przed każdym zajęciem.

– Znacznie więcej – odparła Liliana. – *No, gracias*. – Uśmiechnęła się, dziękując za poczęstunek. – Mamy takie powiedzenie, że na każdego Argentyńczyka przypada dwóch terapeutów.

Roześmiałam się, a ona wstała, aby dołączyć do mężczyzny o wąskich wargach, w liliowej koszuli, który czekał na nią na parkiecie. Przez chwilę rozmawiali jak starzy znajomi, pozwalając, aby inne pary tańczyły wokół nich, po czym przysunęli się do siebie, zaczynając własną sekwencję tańca przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

– Tango – powiedziała Liliana po *tanda* ze swym partnerem, który odeskortaował ją z powrotem do naszego stolika i uklonił się nam, zanim wrócił do siebie – to taniec o najgłębszej psychologii.

– Dlaczego?

– Chodzi o uścisk – wyjaśniła, biorąc do ręki wachlarz. – Jak to wytłumaczyć? To tak, jakbyś się z kimś komunikowała, tyle że nie w tradycyjny sposób. Raczej w bardzo, bardzo intymny sposób. To emocjonalny dialog. – Liliana opowiedziała mi, że od czterech lat spotyka się ze swoim partnerem z parkietu. – Tak czy owak – dodała, zamykając z trzaskiem wachlarz – zawsze powtarzam pacjentom, że angażowanie się w związek z partnerem z milongi to zły pomysł.

Między milongami pisałam swoje pierwsze artykuły o jedzeniu. Oscylowałam głównie wokół niekonwencjonalnych tematów: na przykład o wyspie nowych restauracji wegetariańskich w krainie wołowiny, którą była Argentyna, albo grupie anarchistycznych

dziewiętnastowiecznych piekarzy, którzy wymyślili serię wyrobów cukierniczych (wliczając w to pączki *bolas de fraile*, czyli jądra księdza, i *suspiros de monja*, westchnięcia zakonnicy) mających na celu zakpienie z Kościoła. Jednak mój ulubiony artykuł, zainspirowany obiadem przygotowanym przez młodego szefa kuchni Lucasa Mallmanna, dotyczył narodzin ruchu *slow food* w tamtym kraju. Potrawy Mallmanna – zupa z cebuli i leśnych grzybów z dodatkiem białego wina Torrontés, pasztet z pstrąga sprowadzany z San Martín de los Andes, kozi ser z Santiago del Estero, marynowana wołowina z Bariloche – stanowiły odę do smaków argentyńskiej prowincji. Kiedy Mallmann, siostrzeniec Francisca Mallmanna, jednego z najświetniejszych szefów kuchni w Argentynie, wyszedł z kuchni po skończonym posiłku, gładząc się po małym wąsiku i rumieniąc pod wpływem naszego aplauzu, powiedział: „Ależ proszę, skoro już bijecie brawo, powinniście klaskać z powodu zachwytu nad cudownym bogactwem kulinarnym naszego kraju”. Poczułam wtedy, że zbliżam się do swego prawdziwego powołania.

Wiedziałam jednak, że dziennikarstwo kulinarne nie pomoże mi w opłacaniu rachunków, a ja wydawałam oszczędności na badania (czyli jedzenie) stanowiące podstawę dla moich historii. Zaczęłam odpowiadać na ogłoszenia o pracę w *La Nación*. W końcu znalazłam posadę: zarządzałam projektami w firmie telekomunikacyjnej sprzedającej satelity z siedzibą w dzielnicy biznesowej Microcentro, choć nie miałam zielonego pojęcia o satelitach ani telekomunikacji. Wieczorami, ku uciechu moich znajomych, z których każdy był rodowitym Argentyńczykiem i żaden nie tańczył tango, chodziłam na milongi. „Co ty tam właściwie robisz?”, pytali. „Myślisz, że zostaniesz gwiazdą tango? Albo wyjdiesz za *milonguero*? ¡Muy buena suerte!”.

Mimo to kilku moich kolegów z pracy było zaintrygowanych, gdy powiedziałam im, że zamierzam pójść do Sunderland, mitycznego *milonga* mieszczącego się w pawilonie klubowym w dzielnicy Villa Urquiza na północnym skraju Buenos Aires, gdzie chodziła elita *tangueros* i tańczyła wyłącznie z ludźmi, których znała, patrząc krzywym okiem na kobiety zjawiające się samotnie, a nawet w parach.

Według moich instruktorów tańca Sunderland był najlepszym klubem tango na świecie. To miejsce utrzymało tango przy życiu, gdy w różnych momentach dwudziestego wieku groziło mu wyginięcie – za czasu rządów wojskowej junty w latach pięćdziesiątych, po pojawieniu się rock’n’rolla, w trakcie szaleńczej na Beatlesów w latach sześćdziesiątych, a potem w trakcie kolejnej wojskowej dyktatury z końca lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych, gdy generałowie zakazali publicznych zgromadzeń trzech lub więcej osób.

Młodzi tancerze przychodzili do Sunderland, by uczyć się tradycyjnego kodeksu tanga od doświadczonych *milongueros*. To miejsce wzbudzało największy strach w tancerzach, którzy wykonywali nocne solówki, zaszczyt zarezerwowany wyłącznie dla profesjonalnych lub półprofesjonalnych par, które tańczyły do dwóch lub trzech utworów, aby dostarczyć rozrywki wymagającej, krytycznej publiczności. Do Sunderland przychodził tańczyć Robert Duvall podczas swoich wizyt w Buenos Aires, będąc tam wówczas po prostu jednym z wielu tancerzy. Innymi słowy, skoro tango było aktem spowiedzi, a *milonga* kościołem, to Sunderland można było nazwać Watykanem (nawet jeśli jego parkiet służył w ciągu tygodnia za boisko do koszykówki).

Gdy o drugiej nad ranem ja i moi koledzy z zajęć byliśmy zajęci odwracaniem krzesel w stronę parkietu, Joaquín Aragón zaprowadził swoją partnerkę na środek sali, aby wykonać wieczorną solówkę. To był nasz pierwszy raz w Sunderland. Nie tańczyliśmy zbyt wiele tamtej

nocy, ale też nie spodziewaliśmy się, że będzie inaczej. Joaquín, nowy mistrz świata w kategorii tanga salonowego, był powodem naszej obecności w tym miejscu. Ubrany w bladoszary garnitur, zaczesał cienkie włosy tak, że zamaskowały prześwity. Jego kozia bródka była marną próbą wprowadzenia harmonii w rysy twarzy, której nie można było uznać za przystojną. Miał jednak gładką skórę o barwie cynamonu, był wysoki – z wzrostem przekraczającym metr osiemdziesiąt mógł uchodzić w Argentynie za giganta – i miał smukłe, umięśnione ciało tancerza.

Joaquín obejmował swoją partnerkę Sonyę, czarnowłosą seksbombę ubraną w białą, koronkową sukienkę z rozcięciem na udzie, w nieruchomym uścisku na środku parkietu, czekając na muzykę. Wyglądali zjawiskowo, zupełnie nie pasując do wnętrza, oświetlonego fluorescencyjnymi żarówkami, pełnego zardzewiałych wiatraków stojących na tle ogłoszeń w podstawowych kolorach reklamujących naprawy butów, ubezpieczenia na życie, pralnię, targ rybny i bingo.

Popłynęły pierwsze dźwięki muzyki, ale Joaquín i Sonya nie drgnęły z miejsca. Minęło dziesięć sekund, potem dwadzieścia, potem trzydzieści, a gdy wśród publiczności rozległy się szepty, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy będą się tak do siebie tulić przez całą piosenkę, wykonali długi, powolny krok w bok.

Joaquín przeciągał każdą pauzę w utworze – zmysłowym walcu wypełnionym dźwiękami skrzypiec – obejmując Sonyę, jakby była czymś cennym i rzadkim. Tancerka poruszała się z zamkniętymi oczami, zupełnie jak w transie. Joaquín obrócił się trzy razy na jednej nodze, owinięty wokół jakiegoś niewidzialnego słupa sięgającego od sufitu do podłogi. Sonya przejechała podbiciem stopy po jego łydce, rysując nią ósemki i malutkie spirale na podłodze. Żadna z figur nie wyglądała, jakby ją wcześniej przećwiczyli. Rozległy się oklaski, pogwizdywania i szepty „¡Esaaaaaaaaaaaaa!”.

W pomieszczeniu eksplodowało, gdy muzyka dobiegła końca. Ryk tłumu odbił się echem od ścian sali gimnastycznej, gdy ludzie wstali i zaczęli bić gromkie brawa, krzycząc „¡Ooooooooootra, campeones! ¡Ootra!”, aż muzyka rozległa się ponownie, a Joaquín pociągnął Sonyę do kolejnego tanga, tym razem radosnego i żartobliwego, tańcząc w nieszablonowy sposób i zmieniając się prowadzeniem. Gdy piosenka dobiegła końca, sala ponownie oszalała. Włoski na rękach stanęły mi dęba. Joaquín i Sonya ukłonili się we wszystkie cztery strony, trzymając się za dłonie i uśmiechając promiennie, po czym w pośpiechu opuścili parkiet, gdy tłum w końcu zaczął się rozchodzić. Jakiś mężczyzna uścisnął dłoń Joaquína, klepiąc go po plecach i mówiąc, że z każdym dniem tańczy coraz lepiej. Kobieta, która mogłaby być jego babcią, ujęła jego twarz w dłonie, pocałowała prosto w usta i powiedziała „*Gracias, gracias, gracias por tu tango*”. Odczekałam chwilę, aż tłum się rozejdzie, a Joaquín usiądzie na krześle i zapali papierosa. Gdy się przedstawiłam, przeniósł spojrzenie z parkietu na moją twarz i stopy.

– Podoba mi się twoja sukienka, Luiso Lane – powiedział, wydmuchując dym kącikiem ust, kierując wzrok na drugą stronę parkietu na rudzielca w kobaltowej spódniczce. Kiwnął głową. Ten ruch był znany jako *cabaceo*, milczące zaproszenie do tańca, które oszczędzało mężczyznom ryzyka związanego z przejściem przez salę i poproszeniem kobiety tylko po to, aby usłyszeć, jak odmawia. Jeśli mężczyzna zaprosił kobietę w ten sposób, jedyną rzeczą, jaką ona musi zrobić, by odrzucić zaproszenie, jest odwrócenie głowy. Jeśli jednak miałyby ochotę zatańczyć, odwzajemnia się ledwo zauważalnym skinieniem głowy, podtrzymuje jego spojrzenie i opuszcza stolik, by spotkać się z nim na parkiecie – czyli dokładnie to, co w tej chwili robił

rudzielec.

Poczułam, jak twarz mi płonie, i zerknęłam na biało-czarne zakładki swojej sukienki. Zakładając ją kilka godzin wcześniej, musiałam wciągnąć brzuch. (Nim to nastąpiło, moi koledzy z grupy wtajemniczyli mnie w magię lodów z dostawą do domu: pół kilo lodów o smaku *dulce de leche* – albo *dulce de leche* z kawałkami czekolady i rumem – utrzymywane w chłodzie za pomocą suchego lodu i dostarczone tuż pod moje drzwi, kosztowały około pięć dolarów, nawet o trzeciej nad ranem). Wtedy odezwałam się do Joaquína, szybciej niż bym sobie tego życzyła, bo właśnie wstawał z miejsca:

– Czy mogłabym kiedyś przeprowadzić z tobą wywiad? – spytałam, odchrząkując dyskretnie. – Jestem dziennikarką.

„Tak jakby”, pomyślałam.

– Jasne. – Uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni, wyciągnął wizytówkę i opuścił ją obok popielniczki, w której dopalał się jego papieros. Powiedział „Wybacz”, wchodząc w tłum ludzi dołączających na parkiecie do swych partnerów. Rudzielec stał w dalekim końcu sali. Objęli się bez słowa. Przeczytałam wizytówkę. Pierwsza linijka: Joaquín Aragón. Druga linijka: Tango. Trzecia linijka: numer jego telefonu. Nic więcej.

– Każde tango ma własną duszę – powiedział Joaquín. – Własne życie, siłę, własne... ¿*Cómo se dice?* Niepowtarzalność. To nie jest konkretne tango. To po prostu tango. Możesz tańczyć z tą samą osobą do tej samej piosenki w dokładnie tym samym miejscu, lecz zupełnie innego dnia. Jesteś inny. Partnerka jest inna. Wilgoć na podłodze jest inna. – Zaciągnął się krótko papierosem. – Tanga są jak małe stworzenia, których długość życia wynosi trzy minuty. Każde z nich ma własną duszę.

Minął tydzień, odkąd widziałam, jak Joaquín tańczy w Sunderland. Przeprowadzałam z nim wywiad do artykułu, którego nie miałam w planach od razu pisać, w mało znanej *café-kiosco* obok Tango Escuela Carlos Copello, w której był dyrektorem.

– Zaczęłam tańczyć w wieku sześciu lat w ramach hobby – powiedział, gdy ja bazgrałam w notesie. – Kiedy miałem siedemnaście lat, zobaczyłem film, który strasznie mi się spodobał. Po wyjściu z kina byłem bardzo podekscytowany. Może go znasz? Nazywa się *Dirty Dancing*...

Zadzwoił jego telefon. Dźwiękiem dzwonka była piosenka *Mahna Mahna* z *The Muppet Show*. Stłumiłam uśmiech, zjadłam kawałek *alfajor* – ciasteczko było suche, z cienką warstwą *dulce de leche* między dwoma krążkami herbatnika – i ponownie przeczytałam pytania, wierząc się na swoim plastikowym krześle obok półki z zakurzonymi czekoladowymi batonikami, zastanawiając się, z kim mógł rozmawiać.

Joaquín umówił się na wieczór z osobą, z którą rozmawiał przez telefon, zniżając głos o oktawę: „¿*A las ocho? Bien. Y después vemos. Besoooo. Chauuuu*”. Usiłowałam nie podsłuchiwać i nie gapić się na jego usta – tak pełne i kształtne, że wyglądały jak u kobiety – i zamiast tego skupiłam się na jego zębach, połamanych i brązowych, co według mnie było spowodowane latami picia kawy, sączenia *mate* i nałogowego palenia jednego papierosa za drugim.

– Wybacz – powiedział, odkładając telefon i zamawiając drugą *café cortado*.

– Nigdy bym nie zgadła, że jesteś fanem muppetów.

– *Claro que sí*. – Uśmiechnął się, wyciągając z kieszeni koszuli kolejne Marlboro.

- Jaki jest twój ulubiony muppet?
- A twój?
- Ty pierwszy.
- Gonzo.
- Dlaczego Gonzo? – spytałam.
- Dlatego, że niczego się nie boi. – Zapalił papierosa i zaciągnął się dwa razy. – A twój?
- Zwierzak.
- Przecież to wariat!
- A Gonzo nie jest wariatem?

Joaquín wybuchnął tak głębokim i donośnym śmiechem, że kasjerka spojrzała na niego znad swojej gazety.

– Aj, jaj, jaj. – Oparł się wygodnie na krześle, krzyżując nogi i obserwując, jak kartkuje swój notes. – *Bueno*. O czym właściwie rozmawialiśmy?

– Wspominałeś o *Dirty Dancing*...

– *¡Ah! Sí*. – Położył papierosa na popielniczce Budweisera. – Gdy teraz oglądam ten film, nie wiem, co takiego w sobie ma, ale wówczas sprawił, że uwierzyłem, uświadomiłem sobie, że mogę żyć z robienia czegoś, co naprawdę lubię. Powiedziałem sobie wtedy: „Zostanę profesjonalnym tancerzem”. I tak też się stało.

– Jak do tego doszło?

– Ciężko pracowałem. Wstawałem o szóstej, chodziłem do szkoły, uczęszczałem na zajęcia z tańca klasycznego, współczesnego, każdego, na jaki się natknąłem. Więcej pieniędzy wydawałem na zajęcia niż na jedzenie. A potem, *bueno*, zdałem sobie sprawę, że nie rozwinę swych umiejętności w Rosario, gdzie się urodziłem, i przyjechałem do Buenos Aires.

– Ile miałeś lat?

– Dwadzieścia trzy. – Ponownie zaciągnął się papierosem, czekając, aż skończę robić notatki. – To było dziesięć lat temu. Pracowałem w Ballet Folklórico Nacional i któregoś wieczora poszliśmy zobaczyć show *Tango x 2*. Poczuję to samo, co wtedy, gdy oglądałem *Dirty Dancing*. Powiedziałem sobie: „Chcę tańczyć tango. Chcę być tancerzem tanga”. – Zgasił papierosa na środku popielniczki. – I tak też się stało. – Urwał, wpatrując się w plamy po dymie na suficie. – Nadal nie wiem, kim chcę być, ale na razie jestem tancerzem tanga.

Przerwałam pisanie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nadal nie wiesz, kim chcesz być?

– Mam takie przeczucie. – Machnęła dłonią w kierunku batoników. – Że jest coś jeszcze. Coś więcej.

– Hmm. – Dotknęłam ust długopisem, zerkając na notatki, zastanawiając się, jakim cudem połąpię się w swoich niechlujnych bazgrołach. – Chyba wiem, o czym mówisz.



Uzgodniliśmy, że nasza pierwsza, prywatna lekcja tanga odbędzie się w studiu na drugim piętrze tuż nad Tango Escuela Carlos Capello, gdzie ktoś poprzyklejał plakaty z festiwalu tanga do

wykładanych boazerią ścian z łuszczącą się farbą. Przyjrzałam się plakatom – z których większość przedstawiała Joaquína i jego partnerkę Sonyę, ją w czerwonej sukience mini bez ramiączek i z lśnjącymi, czarnymi włosami sięgającymi pasa i jego w fioletowym garniturze i butach pod kolor.

– Ujarzmiasz muzykę jak dzikiego konia – powiedział, pstrykając palcami w rytm tanga z radiomagnetofonu. Podszedł do okna, wyciągnął metalowy termos ze skórzanej torby i nalał wrzątku do tytkwy z *mate* ze srebrną obwódką. – Możesz słuchać tego samego tanga setki razy i za każdym razem tańczyć do niego w zupełnie inny sposób. – Wsadził do ust bombillę i jak nakazywał zwyczaj, sączył napój do momentu, w którym dał się słyszeć odgłos siorbania, stanowiący wskazówkę, by podać naczynie następnej osobie. – Dlatego mówię, że to przypomina dosiadanie dzikiego konia. Nigdy nie wiesz, co się stanie. Dajesz się ponieść melodii, a ona zabiera cię tam, gdzie pragniesz być. Jeśli skupiasz się na niej wystarczająco, podpowie ci, dokąd musisz iść.

Napełnił naczynie i podał mi je. Wysączyłam gorzki płyn aż do samego dna. Od swoich kolegów z firmy zajmującej się obsługą satelit dowiedziałam się, że odrzucenie propozycji napicia się *mate* było równoznaczne z odrzuceniem przyjaźni, więc z powrotem oddałam naczynie Joaquínowi. Nie miałam pojęcia, co miał na myśli, mówiąc o ujeżdżaniu muzyki.

Odstawił naczynie na parapet.

– Zamknij oczy. – Ujął mnie za rękę, prowadząc na środek pokoju. Próbowалам odciąć się od dźwięków Avenida Corrientes, klaksonów samochodów, bzyczenia motorowerów, zgrzytu skrzyń biegów w autobusach, dobiegających przez cienkie ściany. – A teraz wyobraź sobie, że jesteś na lotnisku i po bardzo długiej podróży spotykasz się z kimś, kogo kochasz. Nie myśl o tangu. Po prostu mnie obejmuj. *¡Eso es!* Teraz rozluźnij nieco ramiona. Podaj mi rękę. Nie, nie przestawaj. Pamiętaj, jesteśmy na lotnisku. *¡Sí!* Właśnie tak. Chwileczkę.

Wyciągnął rękę, żeby włączyć radiomagnetofon. Rozległy się dźwięki powolnego tanga, którego nie umiałam rozpoznać.

– Tango ma swoją własną energię, własny bieg. Odpręż się. Pozwól porwać się temu prądowi.

Tańczyliśmy przez kilka minut, nie mówiąc ani słowa. Jego uścisk miał w sobie coś niezwykłego, pewien rodzaj opanowania, z którym nie zetknęłam się jak dotąd u żadnego ze swych partnerów. To było tak, jakby chciał mnie wchłonać, przekazując mi coś strasznie osobistego, lecz w dalszym ciągu zapewniając mi przestrzeń, abym mogła znaleźć własną drogę w muzyce. Staralam się być gibka i lekka w jego ramionach, płynąć tak, jak – wydawało mi się – chciał, abym płynęła. Jednak gdy piosenka dobiegła końca, jego oczy wyrażały frustrację.

– Boisz się upaść? – spytał.

– Co takiego?

Puścił mnie, wspierając dłonie na biodrach.

– Nie ufasz mi?

– Słucham? – Spojrzałam na sęk wystający z jednej z drewnianych klepek podłogi. – Nie, nie o to chodzi.

Podszedł do okna i wziął swoją *mate*.

Uniosłam wzrok. Widok Sonyi wykonującej szpagat w swojej czerwonej sukience na plakacie z Genoa Tango Festival ponownie przykuł moją uwagę.

– Bez względu na to, ile razy każesz mi się odprężyć, nie umiem tego zrobić – odparłam. – Nie wiem, co zaraz zrobisz w tańcu. A skoro tego nie wiem, nie mam pojęcia, co robić...

– Ach. – Wyras jego twarzy złagodniał. Odstawił naczynie z powrotem na parapet.

– Nie chcę popełnić żadnego błędu.

Stanął za moimi plecami, kładąc mi dłonie na ramionach.

– Ludzie to naprawdę niezwykle istoty.

– Co masz na myśli?

– Zawsze kończy się na tym, że robimy dokładnie to, czego staraliśmy się uniknąć.

Poczułam, jak ramiona mi sztywnieją.

– Nie rozumiem.

– Znasz historię o Edypie, o tym, jak ojciec wygnał go z domu, bo się go obawiał?

Kiwnęłam głową.

– Gdy Edyp wrócił, zakochał się w swojej matce i zabił ojca. Zrobił dokładnie to, czego obawiał się jego ojciec. Ty robisz to samo. Manifestujesz swój największy strach. Co jest takiego złego w tym, że człowiek nie wie, dokąd zmierza?

Poczułam się tak, jakby uderzył mnie w twarz. Usilne starania, aby nie popełnić żadnego błędu, były moim największym błędem. Wiedziałam, że nie ograniczało się to wyłącznie do parkietu. Ale jak mogłam zaufać temu, dokąd on zmierzał, skoro nie miałam pojęcia, gdzie istniało to miejsce?

– Język ciała nigdy nie kłamie, zwłaszcza w uścisku – powiedział Joaquín, ponownie włączając muzykę. – Wiesz, co w tańcu czuje dana osoba, bez względu na słowa, których używa.

SCHODZĄC PO SCHODACH DO LA VIRUTA, klubu tango mieszczącego się w piwnicy Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, poczułam się tak, jakbym obudziła się we śnie albo wtargnęła niczym intruz do wytwornego i urzekającego czarem podziemia. Była czwarta rano. Światła były niebieskie, turyści dawno się ulotnili, a parkiet należał do nauczycieli tańca, starych *milongueros*, popularnych *tangueras* i maniaków tanga.

Nieco wcześniej, po naszej kolejnej lekcji – trzeciej albo czwartej – Joaquín, który oficjalnie stał się moim nowym instruktorem tanga, wysłał mi wiadomość: „Wieczorem idę do La Viruta. Pójdiesz ze mną?”. Miał doskonałe wyczucie czasu. Szukałam wymówki, aby odłożyć na później pisanie zaległego artykułu o osiemdziesięcioletnim wytwórcy win z Mendoza, który do wyciskania winogron nadal używał drewnianej prasy koszowej. Ucięłam sobie krótką drzemkę dla urody, by wyglądać na wypoczętą. Przymierzałam strój za strojem, ciskając na łóżko odrzucone sukienki i oglądając jednym okiem odcinek *Bez rezerwacji* na Travel Channel – Anthony Bourdain był akurat w Bangkoku, prosząc kierowcę tuk-tuka, aby zabrał go na jakieś dobre jedzenie. Rozmyślałam o tym, czego nauczył mnie Joaquín, a raczej czego próbował mnie nauczyć tamtego popołudnia.

– *Contención* – powiedział, gdy tańczyliśmy do tanga pod tytułem *Poema*. – *Contención* jest wtedy, gdy oddajesz się drugiej osobie, akceptując jednocześnie to, co ona ma ci do zaoferowania.

Kilka godzin później, stojąc na czubkach palców, usiłowałam wyglądać możliwie jak najbardziej nonszalancko, przeczesując wzrokiem zalany przyćmionym, niebieskim światłem parkiet i otaczające go krzesła w poszukiwaniu Joaquína. Żołądek wywinął mi fikołka na jego widok. Miał na sobie ten sam bladoszary garnitur co podczas solówki w Sunderland, i gładko zaczesane, ciemne włosy. Siedział przy stoliku z tyłu pomieszczenia, niedaleko baru. Gdy mnie zobaczył, odstawił piwo, wstał i zgodnie ze zwyczajem pocałował mnie w policzek. Przyniósł mi plastikowe krzesło, poczęstował cukierkiem w czerwono-żółtym papierku i powiedział: „*Hola, Layne! Permiso, pero...*”, po czym wyszedł na spotkanie brunetce w sukience z krzyżującymi się na plecach ramiączkami stojącej po drugiej stronie parkietu.

Rozwinęłam cukierek z papierka – woskowa czekolada i miałkie masło orzechowe rozpuściły się, jak tylko wsadziłam go do ust – nie bardzo wiedząc, dlaczego mi go dał. Przez następne dwie godziny patrzyłam, jak tańczy z najpiękniejszymi kobietami na milondze, zastanawiając się, po co mnie zaprosił. Gdy nie tańczył, chodził po sali, wymieniając uściski dłoni, całując policzki, prowadząc grzecznościowe rozmowy z innymi *tangueros*, wracając do naszego stolika, aby napić się szybko piwa i parę razy zaciągnąć się papierosem.

– Nie lubię siedzieć, gdy jest tak tłoczno – powiedział. – Czuję się jak w klatce.

– *Entiendo* – odparłam. Rozumiem. Czy aby na pewno?

Joaquín przeszedł przez parkiet do miejsca, w którym czekała na niego kobieta o skórze barwy karmelu w fioletowej koktajlowej sukience.

Spojrzałam ponad ramieniem na *tangueras* siedzące przy stoliku obok naszego – śliczną brunetkę i tlenioną blondynkę, które wyglądały na kobiety po czterdziestce. Obserwowały mnie, odkąd zjawiłam się na milondze. Przyglądały mi się, podczas gdy ja przyglądałam się Joaquínowi. Ulżyło mi, gdy zaprosiły mnie do swojego stolika. Dopijały butelkę taniego szampana.

– *Ay, me muero.* – Och, zaraz umrę, powiedziała brunetka z licznymi, srebrnymi bransoletami na przedramionach, które podzwaniały, gdy klaskała w dłonie, czyli za każdym razem, gdy DJ puszczał tango, które lubiła.

– Słyszałaś o ludziach, którzy umarli na parkiecie? – spytała blondynka. – Często do tego dochodzi. Wszystko przez whiskey i papierosy.

– Nie sądzisz, że może oni chcą umrzeć na parkiecie? – spytałam.

– Oczywiście, że tak! – odparła brunetka.

– *¿Bailás?* – Joaquín poklepał mnie po ramieniu, zaskakując kompletnie. *Tangueras* spojrzały na siebie wymownie, a na ich twarzach pojawił się uśmiech.

Poszłam z nim na skraj parkietu. Objął mnie w pasie ramieniem, opierając palce tuż za piersią. Muzyka zaczęła grać, ale on stał w bezruchu, a ja poczułam podmuch powietrza, gdy inne pary zaczęły tańczyć wokół nas. Joaquín wsłuchiwał się w mój oddech, upewniając się, że jego oddechy dopasowały się do moich, nim zaczął się poruszać, szepcząc mi na ucho słowa piosenki, gdy wirowaliśmy po parkiecie.



– *¿Te gustaría ir a casa conmigo?* Chciałabyś pójść ze mną do domu? – spytał Joaquín kilka godzin później, gdy zapaliły się fluorescencyjne światła, a DJ zaczął puszczać *cumbias*. – *Así tenés más para escribir, y te vas a entender más de mi esencia.* Dzięki temu będziesz miała o czym pisać i zrozumiesz coś więcej na temat mojej filozofii.

– *¿Tu esencia?* – Uśmiechnęłam się, po czym wybuchnęliśmy śmiechem. Poszłam za nim po schodach. Wyszłam w blade światło świtu, mówiąc sobie w duchu, że pójście do jego domu było raczej nieuchronne niż niemądre.

Wsiadliśmy do taksówki. Joaquín wziął mnie za rękę, zwracając się po imieniu do kierowcy ubranego w różową koszulę polo, Pablo.

– Znasz tu dosłownie wszystkich – powiedziałam.

– Poznawanie ludzi to niewielki wysiłek – odparł.

Chmury za drzewami *jacaranda* na Calle Armenia nabrały fioletowej barwy. Miasto sprawiało wrażenie ospałego, jakby uspokajało się w świetle wilgotnego poranka. Czułam we włosach zapach dymu z marlboro Joaquína i tych, które palili wszyscy pozostali.

– *Che, Pablo, zatrzymaj się tu, dobrze?* – powiedział Joaquín. – Chcę kupić trochę *facturas*. – Wskazał na piekarnię, w której za zarosiałymi gablotami paliło się złote światło. Pablo wyłączył licznik.

– *Qué buen tipo.* Dobry z niego chłop – powiedział Pablo po tym, jak Joaquín wyskoczył z taksówki z niezapalonym papierosem zwisającym z ust. – A co z tobą? – odwrócił się i spojrzał na satynowy worek z butami na moich kolanach. Jego wielkie, brązowe oczy otoczone krótkimi,

prostymi rzęsami wyglądały młodziej niż reszta jego twarzy. – Jak ci idzie z tangiem?

Przejechałam palcem pod rozdarcie na tylnej stronie siedzenia pasażera.

– Wydaje mi się, że jestem w okresie dojrzewania, jeśli chodzi o tango.

Pablo uśmiechnął się.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę powiedzieć, że nic o nim nie wiem albo że dopiero zaczęłam uczyć się od innych tancerzy z *milongas*... Mimo to nadal popełniam mnóstwo błędów. – Wyjrzałam przez szybę. Joaquín wychodził z piekarni, niosąc w ręku owiniętą papierem tacę z drożdżówkami przewiazaną sznurkiem.

– *Bueno* – odparł Pablo. – Tylko nie zapominaj, *linda* – odwrócił się przodem, kładąc dłoń na skrzyni biegów – że czasem musisz pocierpieć dla swojego tanga.

Joaquín wyrzucił papieros do rynsztoka, otworzył drzwi taksówki i podał mi ciastka.

– *Vamos a casa* – powiedział do Pabla. – Chcę, żebyś poznała Sofię.

– Kim jest Sofia?

– To mój pies.

Wybuchnęłam śmiechem.

– *A casa entonces* – odparł Pablo. A zatem do domu.

Sofia zbiegła po schodach, jak tylko usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi.

– *¡Hola, mi amor!* – Joaquín pogłaskał ją po nosie i podrapał za uszami. – *¡Hola, princesa!*

Czarna labradorka pomachała radośnie ogonem, polizała go po palcach i oparła błyszczące ciało o jego nogi, jak tylko dotarliśmy na szczyt schodów. Uniosłam tacę z drożdżówkami nad głowę i podałam jej drugą rękę.

– *Hola, Sofía* – szepnęłam. – *Hola*.

Obwąchiwała przez chwilę moją dłoń, nie przestając machać ogonem, po czym uniosła nos w kierunku drożdżówek i wróciła do oblizywania palców Joaquína.

– Jest piękna – powiedziałam, przesuwając palcami po jej grzbiecie. – Ile ma lat?

– Trzy. – Uklęknął, pozwalając jej lizać się po twarzy. – *Si, mi amor, ya sé*. – Tak, kochanie, wiem. – *Bueno, Sofía, bueno. ¡Vamos!*

Zbiegli po schodach jak para starych towarzyszy zabaw. Odstawiłam buty i tacę na siedzisku i przeszłam się po salonie, oglądając zdjęcia wiszące na ścianach w kolorze morskiej zieleni. Na jednej z czarno-białych fotografii była kobieta, która musiała być matką Joaquína, w kraciastym fartuchu zawiązanym wokół wydatnego brzucha, z małymi oczami i pełnymi ustami, które po niej odziedziczył. Kolejne zdjęcie przedstawiało Joaquína w gumowych sandałkach z dumą pokazującego wędkę ręcznej roboty. Miał kręcone włosy i brakowało mu dwóch przednich zębów.

– Byłem śliczny, kiedy byłem dzieckiem – powiedział, wycierając buty na szczycie schodów i odpinając smycz Sofii. – Teraz nie jestem już taki ładny. – Parsknęłam śmiechem. Sofia otrzepała się i położyła obok siedziska. – Zrobię *mate* – zaproponował, wchodząc do kuchni, jakbyśmy codziennie jedli razem śniadanie. – Zanieś drożdżówki na *terrafa*.



Zanim pojawiła się Sofía, w czasach, gdy jeszcze nie tańczył, Joaquín lubił spacerować nocami po ulicach Buenos Aires.

– Chciałem mieć psa, bo pragnąłem się przekonać, czy będę w stanie o kogoś zadbać – dodał, podając mi *mate*. Strzepnęłam z palców okruchy rogalika *medialuna*, zanim wzięłam do ręki naczynie. – Ale czuję się winny, zostawiając ją samą, gdy idę na milongę – ciągnął, głaszcząc łapę, którą Sofía położyła mu na kolanach. Joaquín nie jadł. Siedzieliśmy przy stoliku z kutego żelaza zajmującym znaczną część powierzchni jego *terrazza*, którego betonowa podłoga była usiana pęknięciami. – Nie wiem, jak by to było, gdybym miał rodzinę. Martwi mnie to.

– Nie możesz tego wiedzieć – odparłam, upijając małe łyżki *mate*, bardziej czując na ustach gorąco metalowej słomki niż słodko-gorzki smak płynu. – Czy to nie to samo, gdybyś powiedział mi, że wiesz, jak masz zamiar wykonać następne tango?

Spuścił głowę, nie przestając pocierać łapy Sofii. Kwiecista pościel sąsiadki łopotała na sznurze kilka metrów dalej.

– *Sos tan delicada* – powiedział. – *Tan culta, tan femenina*. – Spojrzał na mnie. – *Me encanta*.

Zarumieniłam się. Czułam się jak kawał mielonki wśród oszałamiających kobiet, z którymi tańczył na *milonga*. *Delicada? Culta? Femenina?* Gdy tylko wypowiedział te słowa, wiedziałam, że będę nosić je w pamięci przez wiele dni, a może nawet tygodni. Wiedziałam również, że my, czymkolwiek byliśmy, nie możemy, nie mogliśmy przetrwać. Nie chciałam jednak wyrzekać się pragnienia, aby dowiedzieć się, co mogło wydarzyć się przez ten czas między nami.

Wiatr zdmuchnął ze stołu sznurek od zapakowanych drożdżówek. Sofía rzuciła się na niego i zaczęła go żuć. Joaquín zacisnął palce na jej szczęce, zmuszając ją do otwarcia pyska.

– Oddaj mi to, Sofía. To nie dla ciebie. – Sznurek wypadł z jej pyska na jego otwartą dłoń. – Chodź – powiedział właściwie do nas obu. – Wejźmy do środka.

– Jak nauczyłeś się uwodzić taniem? – spytałam. Leżeliśmy na plecionym dywaniku w salonie, z Sofią między nami, słuchając brazylijskich boier.

– Uwodzę, gdy tańczę tango? Ha, ha, ha. Ho, ho, ho. – Przekreślił się na bok, opierając głowę na łokciu. – Kiedy? Gdy tańczę z tobą? Czy z kimś innym?

– Mówię ogólnie.

– Nie wiem. Nie miałem pojęcia, że to robię. Uwodzenie nie jest moim zamiarem.

– Nie?

– Nie. – Wsunął dłoń pod obrozę Sofii, masując ją po karku. – Zdaję sobie sprawę, że tango to zmysłowy taniec, ale ogólnie rzecz biorąc, podczas tańca staram się otworzyć na drugą osobę. Przypuszczam, że właśnie to jest najbardziej atrakcyjne.

– Owszem.

Położył się z powrotem na plecach, składając ręce na piersi.

– Gdy dana osoba pokazuje siebie dokładnie taką, jaką jest, gdy można z niej czytać jak

z otwartej książki... Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach nie widuje się tego zbyt często i właśnie dlatego to takie pociągające. Ludzie nie wiedzą, kim są. Zawsze próbują pokazać innym to, co tamci chcieliby zobaczyć. Gdy ktoś potrafi być otwarty i szczery... Sam nie wiem. Wydaje mi się, że chodzi tu bardziej o więź, jaką jestem w stanie nawiązać. Owszem – odchrząknął – wiem, że czasami są rzeczy, które dana osoba może zrobić w tańcu, aby uwieść swojego partnera...

– Na przykład?

Sofía przewróciła się na grzbiet, wyciągając łapy przed siebie.

– Na przykład miary, oddechy, uściski, pauzy, napięcie w ramionach... Ale ja nie staram się uwieść żadnej dziewczyny. Nie, nie, nie! Staram się połączyć z nią przez dotyk. Jeśli jakaś dziewczyna mi się podoba, tańczę inaczej, ale nie zacząłbym tak tańczyć tylko po to, by mnie polubiła.

– W porządku – odparłam, głaszcząc Sofię po brzuchu. – Ale...

– Gdy próbujesz wziąć coś od drugiej osoby, to właśnie jest uwodzenie. Ja nie chcę niczego. Po prostu otwieram się na emocje, na to, co czuję dzięki danej osobie. *Es eso*. To wszystko.

– ¿Nada más? – Nic więcej?

– *Nada más*.

Sofía uniosła łeb. Joaquín przeciągnął palcami po jej szczęce, sprawiając, że ziewnęła.

– Ale wiesz co? Nie interesuje mnie przyjaźń z kobietami.

– Och, naprawdę?

– Kobiety wiecznie chcą się ze mną przyjaźnić – powiedział. – A potem zakochują się we mnie w przeciągu miesiąca albo dwóch. Za każdym razem jest tak samo. Mam tego serdecznie dość.

– Więc jestem jedną z wielu.

– Tak.

Wybuchnęłam śmiechem. W tej chwili jego szczerość uczyniła go jeszcze bardziej pociągającym. Sięgnęłam ponad Sofią, ujęłam jego dłoń i zaczęłam ją masować.

– Rozluźnij palce. – Zamknął oczy. – Nauczyłam się tego w Tajlandii. Wiedziałaś, że w tajskim masażu istnieją sto sześćdziesiąt cztery techniki ucisku? Zapomniałam większość z nich.

Joaquín nie otwierał oczu. Gdy puściłam jego dłoń, zobaczył, że Sofía liże mnie po palcach.

– Nie martw się, Sofía – powiedział. – Zawsze będziesz królową tego domu. – Sofía zamerdała ogonem. Joaquín poklepał ją po brzuchu. – Przyjęła cię do naszego plemienia. Jestem samcem alfa, a ona samicą alfa, ale przyjęła cię. Oblizywanie palców oznacza, że zostałaś zaakceptowana. – Pocałował mnie, smakując bardziej jak *mate*, niż marlboro. – Lubię cię.

– Ja też cię lubię – odparłam.

Gdy wyszłam z jego mieszkania, spał z twarzą schowaną w brudnych prześcieradłach. Pocałowałam go w środek pleców, uwieczniając w pamięci ten obraz: jego skórę barwy cynamonu, długie włosy zasłaniające twarz i ciało rozciągnięte na całej długości dużego łóżka w blasku słońca wpadającego przez podartą roletę.

– **WYGLĄDASZ NA ZMĘCZONĄ** – powiedziała Liliana, przerzucając przez ramię falujące blond włosy i częstując się kawałkiem pizzy.

Spotykałyśmy się teraz co najmniej raz w tygodniu. Jeśli nie na koncercie tanga, to w Guerrín, liczącej sobie siedemdziesiąt pięć lat pizzerii na Avenida Corrientes, gdzie mozzarella ściekała z gąbczastej skórki ciasta niczym miód.

– Czuję się jak wampir – odparłam, gapiąc się na krople tłuszczu pływające w kałuży sera na naszej *muzzarella chica*.

Ostatnimi czasy miałam trudności z utrzymaniem otwartych oczu w biurze, gdzie od samego początku czułam się jak szarlatan. Pracowałam na stanowisku kierownika projektu odpowiedzialnego za koordynację instalacji satelitarnej na trzech kontynentach, choć nie miałam bladego pojęcia o inżynierii związanej z przeprowadzanymi przez siebie operacjami, nawet wtedy, gdy uparcie zapewniałam klientom w Genewie, że właśnie zajmujemy się rozwiązywaniem problemu z przerwami w dostawie prądu na Filipinach lub błagałam naszego kierownika logistyki, aby przyspieszył wysłanie satelity do Kampali. Życie, prawdziwe życie, zaczynało się po północy, gdy spotykałam się z Joaquínem na *milonga*. Przesiadaliśmy tam do czwartej, piątej, szóstej nad ranem, po czym o wschodzie słońca łapałam taksówkę do domu. Jeszcze nigdy w życiu nie zamówiłam ani nie widziałam tylu taksówek. Liliana powiedziała mi, że w Buenos Aires było ich trzydzieści cztery tysiące – jak dowiedziałam się później, trzy razy więcej niż w Nowym Jorku. Niewielu *porteños* jeździło nimi regularnie, nie licząc tych, którzy tańczyli tango, ponieważ metro przestawało kursować o jedenastej wieczorem, nocne autobusy były dość nieuchwytnie, a w najlepszych *milongas* ruch zaczynał się dopiero po drugiej w nocy.

– On zmienia cię w *perra milonguera* – stwierdziła Liliana.

– Sukę *milonga*?

– Tak mówi o mnie Mariano. – Mariano był jej wielbicielem. – Gdy mówimy o *perras milongueras*, mamy na myśli naprawdę seksowne, zmysłowe kobiety, które wychodzą z domu, aby przetańczyć całą noc.

– Tak sądzisz? – Uśmiechnęłam się.

– Uhm. – Kiwnęła głową, kładąc kawałek pizzy na moim talerzu. – Tylko pamiętaj, *nena*... – Oczy miała zatroskane jak wtedy, gdy opowiedziałam jej o Joaquínie kilka tygodni temu. – Jeśli spotykasz się z mężczyzną, który chodzi do *milonga*, on nadal będzie pragnął widywać się z innymi kobietami. To zasada, nie wyjątek. A teraz jedz – powiedziała.

Późnym wieczorem spotkałam się z Joaquínem w La Viruta. Minęła druga w nocy, a Lalo, organizator milongi, świętował swoje urodziny, krojąc prostokątny tort na kawałki i rozdając je wszystkim zebranym na styropianowych talerzykach.

Gdy DJ puścił *Poema*, zaczęłam rozglądać się za Joaquínem. Stał przy barze, pochłonięty

rozmową z zielonooką dziewczyną w szmaragdowej sukience. Gdy poprowadził ją na parkiet, trzymając dłoń na jej nagich plecach, pochylając głowę, aby szepnąć jej coś na ucho, wyczułam jego zafascynowanie. Nawet w półmroku wydawało mi się, że dostrzegam w jego oczach uwielbienie, a nawet chęć poddania się – i właśnie wtedy, siedząc przy stoliku z gigantycznym kawałkiem bezowego urodzinowego tortu Lalo, który był tak słodki, że aż bolały mnie zęby, uświadomiłam sobie, że choć wiedziałam, że jestem jedną z wielu, że życie Joaquína upływa pod znakiem serii piosenek, że był uzależniony od nocy, milongi i związanego z nim spektaklu, nie byłam gotowa na tę chwilę. Jeszcze nie.

– Tango sprawia, że czuję się wolny – powiedział podczas jednego z naszych udawanych wywiadów. Jak dawno to było? Straciłam poczucie czasu. – Tango, milonga, uścisk: czuć dotyk ciała innej osoby, która nie jest przyjacielem ani członkiem rodziny, ani kimś, kogo kochasz, nie jest twoją matką, ojcem ani dziewczyną, tylko zupełnie obcym człowiekiem. Poczucie dotyku tego ciała na swoim, tych wszystkich drobnych kości, sposób, w jaki jej pierś dopasowuje się do twojej – to natychmiastowa łączność duchowa. Dzięki niej czujesz się tak, jakbyś mógł połączyć się z całym światem. Przynajmniej na trzy minuty.

Tanda dobiegła końca, a Joaquín nie wypuszczał z objęć kobiety w szmaragdowej sukience aż do momentu rozpoczęcia się następnego utworu. Nigdy nie widziałam, żeby tańczył więcej niż jedną *tanda* – zestaw trzech lub czterech piosenek, który trwał około dwunastu minut – z tą samą kobietą, a już na pewno nie bez pauzy między nimi. W języku tanga, przynajmniej według Liliany, dwie *tandas* z rzędu oznaczały „Chciałbym zabrać cię ze sobą do domu”.

Wbiłam plastikowy widelec w resztki swojego tortu i zdjęłam buty do tanga. Dlaczego byłam taka zdenerwowana? Przecież Liliana mnie ostrzegała, a Joaquín zawsze mówił prawdę: „Czasami dziewczyna naprawdę mi się podoba, więc z nią tańczę. Czasami tańczę ze starszą panią, która nie jest atrakcyjna, ale uwielbiam sposób, w jaki się porusza. Szukam wrażeń. Wszystkich możliwych. Śmiech, zabawa, pozytywne wibracje – to znaczy pod względem emocjonalnym. Nigdy nie przestaję szukać wrażeń...”.

„Ja również”, pomyślałam, obserwując, jak tańczy (i tańczy, i tańczy) z kobietą w szmaragdowej sukience, czując się tak, jakby coś przecinało mnie na pół.

W drodze powrotnej do domu, taksówkarz, którego czarne włosy dopiero co przyprószyła siwizna, próbował zeswatać mnie ze swoim synem.

– Niech pani nie zadaje się z tymi draniami z milongi – powiedział, spoglądając wymownie na satynowy worek z butami leżący na moich kolanach. – Proszę mi wierzyć, pożą panią żywcem.

O niczym mu nie powiedziałam, ale domyśliłam się, że naoglądał się już kobiet z czerwonymi oczami i spuchniętymi twarzami w samotności opuszczających *milonga*.

– Nie jest pani tancerką, prawda? – Pokręciłam przecząco głową. – Jest pani pisarką? ¡Ay, *qué linda!* Czytała pani Manuela Puiga? *Pocałunek kobiety-pająka*? – Znów zaprzeczyłam. – To książka, którą koniecznie trzeba przeczytać. A Cortázar pani czytała?

– Jeszcze nie – przyznałam. – Miałam taki zamiar, ale...

– *Rayuela* – wtrącił. – Musi pani przeczytać *Rayuelę*. Wszyscy wiecznie mówią tylko o Borgesie. Borges, Borges, Borges. A przecież on nawet nie zdobył Nobla. Dla mnie *Rayuela* to najlepsza powieść dwudziestego wieku. Cortázar to *maestro*. Eksperymentalna, ale naprawdę

świetna.

Zrzuciłam buty do tanga z kolan, wyjęłam notes i zapisałam „*Rayuela*”.

– Trudno spotykać się z pisarką, prawda? – spytał taksówkarz.

Kiwnęłam w roztargnieniu głową. Joaquín już pewnie zauważył, że wyszłam z La Viruta. A może nie. Taksówkarz skręcił powoli w Avenida Santa Fe. Minęła czwarta rano, ale stoiska z kwiatami nadal były otwarte, oferując goździki, lilie i błękitne róże.

Gdy zatrzymaliśmy się przed moim budynkiem, taksówkarz powiedział:

– Jest pani za mądra dla mojego syna, ale będzie pani miała dobre życie. Jak pani na imię? Proszę powiedzieć. Któregoś dnia będę mógł się pochwalić, że panią podwoziłem.

Nie spałam tamtej nocy, oglądając na YouTube stare odcinki *Bez rezerwacji*, próbując zapomnieć o milondze i wyobrażając sobie, że jestem w drodze z Anthonym Bourdainem. Zazdrościłam podróżującemu szefowi kuchni, który rozplęwał się z zachwytem nad prosiakiem w Puerto Rico, jadł palące w usta curry z rybich łbów w Malezji, zbierał kapary na włoskiej Pantellerii i rozprawiał o każdym daniu z elokwencją godną Huntera S. Thompsona. „On spełnia swoje marzenia – pomyślałam, gdy przez żaluzje wpadły do środka pierwsze promienie słońca. – A ja co robię?...”.

WCHODZĄC DO LA CONFITERÍA IDEAL, usłyszałam muzykę dobiegającą z sali balowej na drugim piętrze. Zawrota głowy robiła się coraz głośniejsza, gdy wspinałam się po marmurowych schodach otaczających niedziałającą windę z kutego żelaza.

Gdy dotarłam na szczyt schodów, zauważyłam Lilianę i jej wielką blond fryzurę. Czarna, jedwabna bluzka ześlizgnęła się z jej ramienia, gdy machnięciem ręki przywołała mnie do stolika stojącego obok kolumny z różowego marmuru, zaledwie o krok od parkietu. Było nieco po czternastej. Sobotnia, popołudniowa milonga dopiero co się zaczęła. Wstrzymałam oddech – zapach kadzidła i kocich sików był silniejszy niż zwykle. Jedna piźmowa woń tłumiła drugą w salonie, który zdawał się uosabiać dawno utraconą dekadencję miasta.

„La Ideal”, jak nazywała go Liliana i inni stali bywalcy, zawierał w sobie całą majestatyczność *belle époque* Buenos Aires: kryształowe żyrandole z Francji, witraże z Włoch czy ręcznie rzeźbioną, dębową boazerię ze Słowenii. Jednak czasy jego świetności dobiegły końca wraz z upadkiem Argentyny – kilka miesięcy po mojej pierwszej wizycie w tym miejscu żyrandol oderwał się do sufitu w samym środku zajęć, upadając na głowę siedemdziesięciosześcioletniego mężczyzny. (Przeżył mimo ciężkich obrażeń, a La Ideal został tymczasowo zamknięty z powodu źle wykonanych napraw). Mimo niebezpieczeństw, paskudnego zapachu i podejrzanej jakości tańca lubili tu zaglądać turyści, którzy nigdy wcześniej nie tańczyli tanga. Uwielbiałam dawne piękno tego miejsca. Tak samo Liliana.

– *¿Cómo te va, nena?* – spytała, nachylając się nad stolikiem, by pocałować mnie w policzek. – Wyglądasz okropnie.

– Wiem. – Przesunęłam palcami po skórze pod oczami, jak gdybym mogła usunąć ciemne kręgi malujące się pod nimi od dłuższego czasu, tłumiąc chęć spojrzenia na siebie w koślawych lustrach na ścianie. Po tym, jak zostawiłam Joaquína w La Viruta, sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Odezwął się do mnie dopiero po trzech dniach. A potem w ogóle przestał się odzywać. – Nie zostanę tu długo – powiedziałam.

W ogóle nie powinno mnie tu być. W tym tygodniu moja produktywność w pracy była na katastrofalnym poziomie... „*¿Qué te pasa?*”, spytał mój zazwyczaj wyrozumiały szef. Co się z tobą dzieje? „*Nada*”, odparłam. Nic. Obiecałam, że do poniedziałku skończę raport z wejścia na rynek dla wszystkich naszych oddziałów w Afryce i Azji.

Liliana położyła dłoń z perfekcyjnym manikiurem na moim nadgarstku.

– Kiedy odzywał się do ciebie po raz ostatni?

– Tydzień temu – odparłam. – Miał zadzwonić, żebyśmy mogli wyjść potańczyć. – Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka. – A potem cisza. – Nie mogłam znieść świadomości, że sprawy między Joaquínem a mną zaszły tylko do pewnego momentu, w którym wszystko spaliło na panewce. Że nie postaraliśmy się nawet o to, żeby pokłócić się przed końcem.

Liliana przeczesywała wzrokiem stoliki po drugiej stronie parkietu.

– Musisz dalej tańczyć. – Mężczyzna z tweedowej marynarcie wpatrywał się w nią, kiwając głową, chętny do tańca, lecz nie podchwycił jego spojrzenia i odwróciła się do mnie. – Nie możesz pozwolić, aby odebrał ci twoje tango.

Spojrzałam na stolik obok nas. Mężczyzna w brązowym blezerze wyciągał buty do tańca z plastikowej torby na zakupy.

– Już sama nie wiem, gdzie kończy się on, a zaczyna tango – odparłam. – Tango... Buenos Aires... Joaquín... – Odliczyłam słowa na palcach i zacisnęłam dłoń w pięść.

– ¡Mozo! – zawołała Liliana. Zamrugałam szybko, odpędzając łzy. Kelner w poliestrowej kamizelce pośpieszył do naszego stolika. – Dwa kieliszki *champán*, proszę – powiedziała Liliana. – I dwie *empanadas de carne*. – Kelner uklonił się i ruszył prosto do baru, ignorując po drodze las uniesionych dłoni. – Po pierwsze – ciągnęła Liliana, ujmując w dłonie moją rękę – musisz zrozumieć, że to swego rodzaju rytuał przejścia. Każdy, kto podchodzi na poważnie do tanga, prędzej czy później angażuje się w jakiś romans.

– Wiem. – *Tanda* dobiegła końca, a tancerze rozproszyli się, schodząc z parkietu i zajmując miejsca. Spojrzałam na obrus, zauważając wypaloną w materiale dziurę po papierosie. – Po prostu nie starczyło nam czasu.

Liliana westchnęła, puszczać moją dłoń. Właśnie zaczynała się nowa piosenka, tango walc, a Mariano, wielbiciel Liliany, szedł w stronę naszego stolika, uśmiechając się. Spotykali się od prawie czterech lat – nadzwyczajne osiągnięcie w przypadku pary tancerzy amatorów.

Mariano był żyłasty i umięśniony, niższy od Liliany i miał lekko pałakowate nogi. Liliana lubiła mówić, że w jego ciele widać ślady walki na noże z *compadritos* (twardzielami) rządzącymi na rogach ulic na przedmieściach Buenos Aires, gdzie na przełomie wieków narodziło się tango. Jednak w tańcu Mariano w niczym nie przypominał *compadrito*. W jego kroku i posturze kryły się wytworność i majestatyczność. Zawsze miał świadomość, gdzie jest na parkiecie, i nigdy nie wpadał na inne pary, bez względu na to, jak szybko się poruszał, ani jaki był tłum zgromadzony na milondze.

– ¿*Bailás?* – spytał Mariano, uśmiechając się do mnie.

Spojrzałam na Lilianę.

– Zatańcz z Mariano.

– Ale...

– *Vamos* – powiedział Mariano.

– Idź – zakomenderowała Liliana.

Nogi chwiały mi się nieco, gdy poszłam za Mariano w róg sali. Nigdy wcześniej z nim nie tańczyłam. Był popularną postacią w klubach tango, jednym z bardziej szanowanych tancerzy towarzyskich w mieście. Jeśli dobrze mi pójdzie, będę proszona do tańca przez resztę popołudnia. Jeśli zawałę sprawę, będę zmuszona siedzieć przy stoliku.

Mariano zaczął tańczyć w tempie na dwa, obracając się coraz szybciej i szybciej w miarę trwania piosenki. Robiłam, co w mojej mocy, aby dotrzymać mu kroku, ale zapomniałam o punktach swoich obrotów. Coraz bardziej kręciło mi się w głowie i wkrótce zrobiłam krok po złej stronie swojego długiego, cienkiego obcasa, który zapadł się pode mną. Zaczęłam upadać. „O nie. Nie, nie, nie...”. Puściłam Mariano, gdy dotarło do mnie, że nie zdołam złapać równowagi. Odskoczył w tył z twarzą wykrzywioną przerażeniem, próbując uniknąć zderzenia z moimi cienkimi jak ołówki obcasami mlóćącymi powietrze. Grzmotnęłam o podłogę, lądując

na pupie, zbyt zszokowana, aby odczuwać jakikolwiek ból. „Błagam, niech to będzie tylko sen”, pomyślałam, gdy para starszych tancerzy minęła mnie posuwistym krokiem w idealnym tempie walca. Gdzieś spośród stolików przy parkiecie dał się słyszeć kobiecy chichot. Mariano poderwał mnie na równe nogi.

– Tak mi przykro – wyjąkałam z płonąca ze wstydu twarzą, czując, jak na plecach zaczyna mi rosnać wielki siniak.

– Nie przejmuj się – odparł Mariano, unikając mojego wzroku. – Chyba potrzebujesz odpoczynku.

Odprowadził mnie do stolika przy różowej, marmurowej kolumnie, czubkami palców trzymając za triceps, jakby był brudną ścierką. Liliany nie było. Tańczyła po drugiej stronie sali, pochłonięta tangiem z przystojnym, o połowę od niej młodszym tancerzem. Na stoliku czekał szampan i *empanadas* wydzielające parę z mikrofalówki i słabą woń kuminu. Miałam na nie ochotę. Nie chciałam jednak, aby ktokolwiek w La Ideal zapamiętał moją twarz.

Mariano przeprosił i zniknął w łazience. Zdjęłam buty do tanga – brązowa farbka na prawym obcasie zdarła się, odsłaniając warstwę czarnego lakieru. Próbowałam zwrócić na siebie uwagę Liliany, ale ona nadal tańczyła. Postanowiłam, że zadzwonię do niej później.

W pośpiechu opuściłam La Ideal, szukając taksówki. Jesienna burza siała zamęt na ulicach Buenos Aires, a niespotykany o tej porze roku *sudestada*, lodowaty wiatr niosący ze sobą zimny prąd znad Antarktydy, tylko pogarszał typowy chaos panujący na Avenida 9 de Julio. Podmuch wiatru przeleciał po chodniku, rozdzierając druty mojego taniego parasola i wywracając go na drugą stronę. Serio? Miałam ochotę pogrozić niebu pięścią. Musisz mi to robić akurat teraz? Z mojego żołądka doleciało potworne burczenie podobne do ryku lwa. Przypomniałam sobie o zostawionych w lokalu *empanadas*. Pierwszy raz od tygodni czułam, że umieram z głodu.

Wepchnęłam zepsutą parasolkę do kosza, machając ręką za przejeżdżającymi taksówkami. Mijały mnie z wyłączonymi na dachach neonami, ignorując kompletnie. Poziom wody sięgał im do kołpaków.

Nigdy wcześniej nie miałam problemu ze złapaniem taksówki w Buenos Aires. Każdego innego dnia, o każdej porze, na niemal każdej ulicy wystarczyło, abym ledwie uniosła rękę do góry, a już zatrzymywał się przede mną samochód. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj *sudestada* wziął miasto z zaskoczenia, a w zasięgu wzroku nie było żadnej wolnej taksówki. Tymczasem bolesne skurcze żołądka przybierały na sile, a poziom cukru we krwi spadł, zbliżając mnie niebezpiecznie do granicy omdlenia, drżących dłoni i irracjonalnych myśli. Przyjrzałam się barom z przekąskami na *avenida* – żadne *milanesa*, *sandwich de miga* ani *medialuna* nie wyglądały apetycznie, a ja nie chciałam jeść tylko po to, aby napełnić żołądek. Robiłam to od tygodni, jedząc z Joaquínem odgrzewane w mikrofalówce *empanadas*, smętne pizze i resztki drożdżówek, lecz nie rozkoszując się ich smakiem. On jadł z czysto fizjologicznych powodów, aby funkcjonować. Ja jadłam dla przyjemności, karmiąc coś, co uważałam za duchową potrzebę. Jednak bycie z Joaquínem nigdy nie wiązało się z dobrym jedzeniem.

Przebiegłam obok Hotelu Panamericano i jego słynnej oraz wybitnie drogiej restauracji Tomo I, ignorując menu wiszące na mosiężnych drzwiach. Nie byłam w nastroju na patagońską jagnięcinę, na którą i tak nie było mnie stać. Dlaczego, ach, dlaczego dałam się tak bardzo porwać tangu? Chwyciłam się za brzuch, przypominając sobie prorocze słowa Joaquína

z pierwszych zajęć – o wylądowaniu w miejscu, którego obawiamy się najbardziej. To była prawda: poszłam do klubu, próbując uciec przed rozpaczą, a tylko pogłębiło to moje nieszczęście.

Teraz na tyłku robił mi się wielki siniak i byłam przemoczona do suchej nitki. Taksówka zatrzymała się na światłach kilka przecznic dalej. Neon z napisem LIBRE był włączony. Jego czerwone światło promieniało blaskiem w popołudniowej szarówce. „Zobacz mnie”, myślałam, unosząc rękę i ścierając krople deszczu z czoła. „Zobacz mnie”. Samochód był zbyt daleko. Stałam na czubkach palców, machając ręką. Taksówkarz włączył przednie reflektory. Światła sygnalizacji zmieniły się na zielone.

Poczułam przyływ maniackiej radości, gdy uświadomiłam sobie, że taksówkarz przedzierał się przez cztery pasy ruchu, aby do mnie podjechać.

W tym przyływie radości, obserwując, jak kierowca manewruje po jezdni w żółtym jak trzmiel fiacie, wpadłam na pomysł. Pomysł, który rozprzestrzenił się powoli w mojej podświadomości, a którego do tej pory nie miałam odwagi wcielić w życie. Szalony, napędzany głodem oraz przeczuciem, że nie mam nic do stracenia.

Przeszperałam torebkę w poszukiwaniu cieniutkiej, złotej obrączki należącej do mojej babci, którą nosiłam od czasu do czasu, aby odstraszać mężczyzn. Ręka trzęsła mi się, gdy ją zakładałam. Taksówka zatrzymała się. Otworzyłam drzwiczki, wrzuciłam buty do tanga na tylne siedzenie i wgramoliłam się do środka.

– *Buenas tardes* – powiedziałam, żałując, że nie wyżełam uprzednio włosów, bo woda ściekała mi strugami po plecach prosto na siedzenie.

Taksówkarz odwrócił się na fotelu. Miał brązowe oczy w kształcie migdałów, nakrapiane złotymi plamkami, otoczone siateczką cienkich zmarszczek.

– *Buenas tardes*. – Uśmiechnął się szeroko otwartymi ustami, jakby był o krok od parsknięcia śmiechem. – Dokąd chce pani jechać?

Przekręciłam kciukiem obrączkę babci.

– Mam dość niecodzienną prośbę. – Chciałam przygotować go na swoje pytanie. Siebie również.

– Słucham.

Zerknęłam na zegar na desce rozdzielczej. Minęła trzecia po południu – pora lunchu już prawie dobiegła końca.

– *Señorita* – dopytywał kierowca, nie przestając się uśmiechać. – Dokąd chce pani jechać?

Pochyliłam się do przodu, wciskając między przednie siedzenia i zmieniając pozycję tak, aby usiąść na nieposiniaczonej części tyłka.

– Czy mógłby mnie pan zabrać do swojej ulubionej restauracji? – spytałam.

Taksówkarz zatrzymał się na środku drogi. Samochody trąbiły i pędziły wokół nas, ale on zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Wyłączył CB radio i zdezorientowany odwrócił się, aby na mnie spojrzeć.

– Jestem głodna – wyjaśniłam szybko – i nie mam przy sobie za dużo pieniędzy. Miałam nadzieję, że zna pan jakieś godne polecenia miejsce niedaleko stąd.

– Słucham? – Zmarszczył brwi, pogłębiając bruzdę na środku czoła. Nie zdążył włączyć licznika.

– Na przykład jakąś restaurację, do której chodzi pan z rodziną – podsunęłam.

– Na co ma pani ochotę? – Zdjął stopę z hamulca.

– Nic wyszukanego. – Przycisnęłam dłonie do zapadniętego brzucha. – Wie pan, normalne, zwykłe jedzenie. *Empanadas*, stek...

– Stek? – Uśmiechnął się. – Może być *Siga la Vaca*?

– *Siga la Vaca*? – Słyszałam już gdzieś tę nazwę. – Czy do tego lokalu nie chodzą głównie turyści?

Skręcił w prawo, jadąc powoli wzdłuż krawężnika.

– Ma pani rację. Każdy zna to miejsce. Niech pomyślę... – W dalszym ciągu nie włączył licznika. – Dobry stek, dobry stek...

Zaczęłam mieć wątpliwości, czy to był dobry pomysł. Ile razy Liliana ostrzegała mnie przed taksówkarzami z Buenos Aires? „Wyglądasz jak Argentynka i mówisz po hiszpańsku, ale słychać twój akcent, więc domyślą się, że nie jesteś stąd, jeśli powiesz więcej niż dwa zdania. Jak tylko to podchwycą, będą cię wozić w kółko”.

Jednak jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Przypomniałam sobie o wszystkich kursach do i z milongi oraz porannych powrotach z mieszkania Joaquína. O tym, jak wychodziłam z taksówki zdumiona (przez kierowcę, który powiedział mi, że nie istnieje teoria większa od praktyki) lub uświadomiona (po tym jak wytłumaczono mi słowa *Cambalache*, tanga, które szydziło z realiów tak zwanej Niesławnej dekady lat trzydziestych), lub mądrze ostrzeżona (po przejażdżce z Pablem, który powiedział: „Czasami musisz pocierpieć dla swojego tanga”). Taksówkarze z Buenos Aires mieli wyrobione opinie na każdy temat, począwszy od Maradony i Boga, a skończywszy na miłości i dziurach w jezdni. Czy naprawdę zbyt wiele oczekiwałam, podejrzewając, że znają miejsca, gdzie można dostać coś pysznego do jedzenia?

– Mam! – zawołał taksówkarz. – Jakies piętnaście przecznice dalej, nie pamiętam nazwy... To jedna z najlepszych knajp serwujących steki w mieście, *segundo me*.

– Naprawdę?

– Spodoba się pani – powiedział, włączając licznik.

W żołądku burczało mi tak głośno, że z pewnością to słyszał.

– *Bueno*. – Uśmiechnęłam się do niego we wstecznym lusterku. – *Vamos*.

– Zabierze mnie pani ze sobą?

Przekręciłam na palcu udawaną obrączkę, czując, jak twarz czerwienieje mi z gorąca.

– Jasne. – Co innego mogłam powiedzieć?

Taksówkarz uśmiechnął się na widok mojej czerwonej twarzy. Kilka ulic dalej zadzwonił jego telefon. Oparłam się plecami o siedzenie i udawałam, że nie słucham.

– *Hola, mi amor*. Czy mogę zadzwonić do ciebie za pięć minut? Jestem teraz zajęty... – Wykonał sprawny skręt w prawo. – *Sí, ya sé*, ale właśnie prowadzę... *Bueno, ya sé*. Pięć minut, okej? *Beso. Chao, mi amor. Chao, chao*.

Deszcz słabł, nie przypominając już biblijnego potopu. Przejechaliśmy przez Avenida Córdoba, kierując się na południe.

– Jestem pewien, że to gdzieś za rogiem – powiedział taksówkarz, prostując się na swoim siedzeniu przykrytym koralikową narzutą. – Aha! – Wskazał przez mokrą od deszczu szybę na zatłoczoną witrynę widoczną za dwoma platanami. – Oto i ona!

Wyrzałam przez okno. Mężczyźni w garniturach kulili się pod ociekającą deszczem markizą, paląc papierosy. Nie sposób było określić, czy właśnie przyszli, czy też wychodzili.

– Wygląda na popularną – powiedziałam.

– Widzi pani? Nie wprowadzałbym panią w błąd. Proszę, oto moja wizytówka. – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął mały, pozaginany na rogach kartonik z napisem TAXI ENRIQUE. – A to numer mojej komórki. W razie potrzeby proszę dzwonić. Mówię serio! Powodzenia!

Złapałam worek z butami i wyskoczyłam z taksówki. Boże, ależ byłam głodna. Strasznie spodobał mi się wygląd restauracji: skromna, nierzucająca się w oczy fasada ze szkła i metalu, z ledwie widocznym biało-błękitnym neonem wzierającym spomiędzy drzew. Pomachałam Enrique na pożegnanie, schowałam jego wizytówkę do torebki, minęłam mężczyzn w garniturach i weszłam do lokalu o nazwie Parrilla Peña.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy po otwarciu drzwi, był grill – długi na metr osiemdziesiąt ruszt obładowany kawałkami wołowiny, żeberkami, kurczakami w całości, poczeriałymi paprykami, kiełbaskami i nerkówkami. Wszędzie unosił się zapach dymu i pieczonego mięsa. Ślinka napłynęła mi do ust, a w żołądku zaburczało. Miałam ochotę na wszystko.

Goście spojrzeli w moją stronę, gdy zaczęłam ściągać mokre ubranie, szukając wzrokiem wolnego stolika. Mężczyźni we frakowych koszulach i ciemnych swetrach rozsmarowywali kaszankę na swoich białych bułeczkach i kroili wielkie steki, większe od talerzy. Na przytwierdzonych do ścian stojakach spoczywały butelki wina. Z sufitu zwisały szynki. Podszedł do mnie kelner w białej kurtce szefa kuchni.

– Czy nie byłby to problem, gdyby dzieliła pani stół z tymi panami? – spytał, wskazując na czteroosobowy stolik, przy którym po przeciwnych stronach blatu siedzieli dwaj mężczyźni dobiegający sześćdziesiątki, gestykułując nad talerzami pełnymi żeberek.

– Ani trochę.

Panowie zamilkli, wygładzając swetry na brzuchach i taksując mnie wzrokiem od stóp do głów, mokrą i rozczochraną. Usiadłam na krześle obok. Zostawiłam menu na stoliku i spytałam, co polecają. Powiedzieli, że tutejsze żeberka są najlepsze w Buenos Aires. Polecili też spróbować grillowanego sera *provolone*, równie wyśmienitego.

Kelner w stroju szefa kuchni podszedł, aby przyjąć moje zamówienie.

– Je pani sama?

Kiwnęłam głową.

– Zobaczmy. – Skrzyżował ręce na piersi, wpatrując się w jakiś punkt na suficie. – Może pani zamówić pół steku z polędwicy, jedną porcję żeberek, stek ze szpondra...

– Pół polędwicy – odezwał się pan w swetrze w serek. – Naprawdę polecam.

– Niech będzie pół polędwicy – powiedziałam. – I grillowany *provolone*.

– To może być dużo dla jednej osoby... – odparł kelner.

– Może zabiorę resztę na wynos, jeśli nie uda mi się zjeść wszystkiego?

– Jasne, weźmie pani resztę na wynos – zgodził się pan w swetrze.

Kelner skinął głową i odszedł. Moi towarzysze podjęli przerwana rozmowę – coś o mieszkaniu w Palermo, które jeden z nich chciał sprzedać. Przekartkowałam menu. Serwowali tu każdy możliwy kawałek mięsa i podrobów, od steków T-bone z kością, befsztyka z polędwicy wołowej i ciętych w poprzek żeberek do kiełbasek *chorizo criollo* i flaczków. W menu znajdowały się również domowe makarony, deski lokalnych serów, pieczone warzywa, sałaty, *milanesas* (panierowane kotlety cielęce) i *empanadas*. Żadne z dań nie kosztowało więcej niż

czterdzieści pesos (czyli jakieś trzynaście–czternaście dolarów).

Zamknęłam menu, gdy kelner przyniósł *provolone*. Dym unosił się jeszcze ze śladów grilla, a na wierzchu skwierczała oliwa z oliwek. Obaj panowie przyglądali się, jak biorę do ust pierwszy kęs. Smaki sera, dymu z rusztu i oregano stopiły się w jedno. Zamknęłam oczy. Czułam się, jakbym zaspokajała głód, który dręczył mnie od bardzo dawna.

– Je pani najlepsze *provoleta* w mieście – poinformował mnie pan w swetrze z dekoltem w serek. Kiwnęłam głową, zgadzając się z jego opinią z takim entuzjazmem, że z włosów wypadła mi jedna ze spinek. On i jego znajomy roześmiali się, po czym wrócili do dyskusji o sprzedaży nieruchomości.

Kilka minut później kelner przyniósł stek wielkości połowy mojej głowy. Odsunęłam *provolone* na bok i odkroiłam dymiący kawałek mięsa. Nie poinstruowałam go wcześniej co do stopnia wysmażenia, ale najwyraźniej wcale nie musiałam. Wołowina zgrillowana przez *asadero* była średnio wysmażona i różowa w środku. Soki spłynęły do krawędzi talerza. Jediną przyprawę stanowiła odrobina soli. Stek nie potrzebował nic więcej. Dzięki niemu prawie zapomniałam o tym, że zaliczyłam głębę w La Ideal.

Moi kompani zapłacili swój rachunek, unosząc brwi ze dziwienia na widok mnie pałaszującej stek w całości.

– Skoro już się pani najadła, nie będzie miała pani nic przeciwko, że sobie pójdziemy?

– Oczywiście, że nie.

– Proszę, dam pani swój numer – powiedział pan w swetrze. Wyciągnęłam notes. – Proszę dzwonić, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

Kelner zabrał talerze i ponownie nakrył ich miejsca. Do sali wszedł łysy mężczyzna w ciemnoszarym garniturze. Zerknął na moją udawaną obrączkę i wcisnął się na krzesło obok mnie. Kiedy miałam poprosić o rachunek, kelner przyniósł mu talerz smażonych, zielonych naleśników.

– Co to takiego? – spytałam.

– Naleśniki ze szpinakiem – wyjaśnił łysy pan. Jego brązowe oczy były niemal czarne, a uśmiech uprzejmy, choć odrobinę przygnębiony. Domyśliłam się, że był już grubo po czterdziestce. – Przyrządzają je tylko w piątki. Chce pani spróbować?

– Och, nie. Dziękuję.

– Ależ w porządku, nalegam. – Odkroił połowę naleśnika i położył na brzegu mojego pustego talerza po steku. Poczęstowałam go swoim *provoleta*. – Gdyby nie to miejsce, umierałbym z głodu. Jestem starym kawalerem i nie umiem gotować, więc przychodzę tu codziennie.

Pan kawaler zawołał kelnera i poprosił, by wyjaśnił mi argentyński sposób krojenia steków, razem z diagramem pokazującym krowę. Opowiedział mi o swoich ulubionych daniach (steku ze szpandra, cynaderkach, nerkówce) oraz tutejszych daniach dnia (hamburgery w czwartek, ryba w piątek). Zamówił tiramisu do podziąku, tłumacząc, że wersja Parrilla Peña była najlepsza w Buenos Aires. „Używają prawdziwego mascarpone, a nie serka Philadelphia!”.

Gdy czekaliśmy na deser, wskazał na puciołowatego mężczyznę za kasą.

– To jeden z właścicieli. Naprawdę świetny facet. W odróżnieniu od większości Argentyńczyków, jest wierny świetnej obsłudze i świetnej jakości za dobrą cenę. Uważam go za prawdziwego patriotę. Większość ludzi w tym kraju będzie próbowała cię naciągnąć, ale nie on.

– Czy zawsze tu jest?

– Codziennie.

Kelner przyniósł nasze tiramisu. Zaczekałam, aż mój kompan spróbuje go, zanim nabrałam trochę na łyżeczkę.

– *Maravilloso* – przyznałam, i faktycznie tak było. Kakao, kawa i herbatniki połączyły się, tworząc bogatą, starannie skomponowaną harmonię.

Pan kawaler uśmiechnął się promiennie. Poprosił o swój rachunek, wstał, zaplął marynarkę i wręczył mi swoją wizytówkę. Był prawnikiem, a jego biuro znajdowało się kilka przecznic stąd.

– Proszę dzwonić, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała. To była prawdziwa przyjemność.

Na pożegnanie wymieniliśmy się tradycyjnymi całusami w prawy policzek, po czym pan wyszedł, żegnając się po drodze z właścicielem i *asadero*. Zamówiłam na wynos trzy *empanadas*. Gdy podeszłam do kasy, aby za nie zapłacić, właściciel podał mi papierową torbę.

– Na koszt firmy – powiedział, uśmiechając się. – Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

– Z pewnością – odparłam, masując się po brzuchu w drodze do drzwi.

Wyszłam na ulicę Rodriguez Peña, niosąc *empanadas* i buty do tanga, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że znalazłam się w cudownym śnie. W tym śnie nie upadłam na parkiecie legendarnego salonu tanga i nie czekałam na telefon od włóczącego się *milonguero*. W tym śnie obcy mężczyzna zawiózł mnie na stek, którego nigdy nie zapomnę, a przypadkowość sytuacji była wyjątkowo piękna – znacznie piękniejsza od wszystkiego, co byłabym w stanie wymyślić.

Przeszukałam torebkę, wyciągnęłam z niej wizytówkę taksówkarza Enrique, ściskając ją niczym amulet na szczęście, i ruszyłam przez Barrio Norte, stąpając w ostatnich resztkach deszczu ponad dziurami w chodniku i żółknącymi liśćmi platanów, omijając po drodze ociekające deszczem balkony i automaty z parasolkami.

– **SOS UNA LOCA SUELTA. WARIATKA Z CIEBIE** – stwierdziła Liliana, gdy powiedziałam jej o przejażdżce z taksówkarzem Enrique i idealnym steku w Parrilla Peña, gdy sączyłyśmy *café con leche* w Café la Paz i spoglądałyśmy przez okno na mężczyzn sprzedających losy na loterię, papierosy i *garrapiñada* (orzeszki ziemne w kakao) na Avenida Corrientes.

Ulicą przeszedł mężczyzna w wełnianym płaszczu, podjadający ciasteczko *alfajor* w fioletowym papierku. Otaksował nas wzrokiem w typowy dla mężczyzn z Buenos Aires bezczelny sposób.

Liliana wstała, ignorując mężczyznę w płaszczu i przerzucając przez ramię drugi koniec ozdobionego frędzlami szala. Śpieszyła się, aby zdążyć na milongę, i nie była zadowolona z faktu, że z nią nie idę. Mariano wtajemniczył ją w szczegóły mojego upadku w La Ideal, o którym słyszała i w który nie wierzyła. W jej mniemaniu ani mój spektakularny upadek, ani koniec znajomości z Joaquínem nie były wystarczająco dobrymi powodami, aby przestać tańczyć tango.

– Nie mam zamiaru przestać – powiedziałam. – Potrzebuję tylko chwili przerwy.

Na fali miłych wspomnień związanych z wycieczką do Parrilla Peña, zjadając *empanadas de carne*, które podarował mi właściciel, poczułam się tak, jakbym zetknęła się z czymś nadzwyczajnym i nieoczekiwanym, jakby miasto przedstawiało się ponownie, sugerując istnienie możliwości, z których wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. Co by było, gdybym co tydzień wskakiwała do taksówki i prosiła kierowcę, aby zawiózł mnie do swojej ulubionej restauracji? Spytałam Lilianę, co sądzi o tym pomysśle. Oderwała kawałek rogalika *medialuna* i pomachała mi nim przed nosem.

– Pamiętaj, co ci mówiłam! Taksówkarze to najwięksi oszuści w Buenos Aires...

– A co z Enrique? Nie mam pojęcia, ile czasu zajęłoby mi znalezienie tej *parrilla* na własną rękę...

Liliana nadal wymachiwała pierożkiem.

– Będą cię wozić w kółko, okradną albo zgwałcą...

Potrząsnęła głową, upuściła pierożka na talerz, zabrała swoje buty i torebkę i wyszła z pośpiechem z kawiarni. Kręcone blond włosy pofrunęły w ślad za nią jak ogon komety. Patrzyłam, jak znika w tłumie na Avenida Corrientes, nie wierząc w ani jedno jej słowo.

Mimo sprzeciwów Liliany kilka dni później podjęłam drugą próbę taksówkarskiej przygody. Odczuwałam pewien niepokój. Miałam czas na wyobrażenie sobie wszystkiego, co mogło pójść źle – scenariuszy opisanych przez Lilianę nie można było wykluczyć – i nabrałam obaw. Gdy zatrzymałam taksówkę na Plaza Salguero i spytałam kierowcę, czy mógłby mnie zabrać do swej ulubionej restauracji, przewrócił oczami i spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Niektórzy

z nas muszą pracować, aby zarobić na życie”.

– Jestem taksówkarzem! – zawołał, przekrzykując paplaninę komentatorów sportowych w radio. – Jem każdy posiłek w domu. Proszę podać mi adres, a z przyjemnością zawiozę panią, gdzie tylko pani chce.

– Nie, *señor*. – Wychyliłam się do przodu, wciskając twarz między przednie siedzenia, zauważając flagę Boca Juniors zwisającą ze wstecznego lusterka. Boca było w Argentynie piłkarskim odpowiednikiem New York Yankees. Odnieśli okrutną porażkę w ostatnim meczu ze swoimi największymi rywalami, River Plate, więc fani Boca byli teraz pogrążeni w głębokiej, zbiorowej żałobie. – Chcę pójść do pańskiej ulubionej restauracji. O ile ma pan taką.

Westchnął i zjechał na pobocze, jadąc na jałowym biegu aleją palisandrów, na której znajdowały się ekskluzywne sklepy odzieżowe i wielopiętrowe apartamenty otaczające plac.

– Nie mam bladego pojęcia o tutejszych restauracjach.

Wyciągnął spod siedzenia kierowcy segregator, oparł go o kierownicę i kartkował strony w pogniecionych, plastikowych koszulkach, dopóki nie znalazł listy restauracyjnych lokali. Zerknęłam ponad jego ramieniem na ściągawkę. Każde z miejsc na liście znajdowało się w gettocie dla turystów wokół Puero Madero, gdzie jedynymi tubylcami, jakich widziałam, byli biznesmeni karmiący gości z teksańskim akcentem bardzo drogimi stekami.

– Czego pani szuka? Jakiejś ładnej restauracji?

– Nie, nic zbytnio wyszukanego...

– Bufet? Szwedzki stół?

– Nie wydaje mi się...

– W takim razie co?

Przygryzłam dolną wargę. To było bez sensu.

– Wie pan co? Przepraszam, że zawracałam panu głowę. Może sama powinnam czegoś poszukać? Ja...

Taksówkarz z trzaskiem zamknął segregator.

– W porządku.

Wygramoliłam się z taksówki i ruszyłam Avenida Las Heras, robiąc wszystko, co w mojej mocy, aby zignorować ciasteczka we francuskiej piekarni, które wyglądały lepiej, niż smakowały, i odepchnąć od siebie myśl, że mój plan prawdopodobnie spali na panewce. Chemia między mną a kierowcą nie była zbyt dobra, i to nie tylko dlatego, że ubolewał nad przegraną Boca Juniors.

„Może mój pomysł jest zbyt ekstrawagancki?”, pomyślałam. Przeczytałam gdzieś, że w Buenos Aires byli taksówkarze, którzy nie mogli sobie pozwolić nawet na hot doga. Może Liliana miała rację. Może przejażdżka z Enrique była szczęśliwym fartem. Możliwe, ale ciągle byłam głodna. Zeszłam do stacji metra. Może udałoby mi się znaleźć taksówkę w bardziej przystępnej dzielnicy. Szukałam dobrego jedzenia, które było jednocześnie niedrogie. Lub takie, o którym zaczynałam myśleć w kategoriach demokratycznego: dostępnego dla wszystkich, często, ale nie zawsze, dającego się przenieść (jak *tacos* czy *empanadas*), wystarczająco pysznego, by przyciągnąć ludzi ze wszystkich warstw społecznych, lecz nie wytworzonego w sieciowej restauracji. Z tego, co się orientowałam, Plaza Salguero nie było miejscem, w którym serwowano demokratyczne jedzenie.

Jakieś dwadzieścia minut później stałam na Avenida 9 de Julio, wdychając południowe

spaliny przejeżdżających obok autobusów i motorowerów ścigających się z fiatami i renaultami. Uniosłam dłoń, przysłuchując się coraz głośniejszemu i bardziej natarczywemu biciu bębnow *piqueteros* na Diagonal Norte, gdy zatrzymała się przede mną taksówka. Zza zamkniętych szyb doleciała do mnie muzyka techno. Otworzyłam drzwiczki i wsiałam do środka, czując bas wibrujący w obcasach sandałów. Przyjrzałam się profilowi kierowcy. Rzęsy miał tak długie, że dotykały szkieł jego okularów przeciwsłonecznych. Zerknęłam na niego we wstecznym lusterku. Rzymski nos, rzeźbione kości policzkowe, dołeczek w podbródku. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w mieście pełnym przystojnych mężczyzn.

Ściszył muzykę i uśmiechnął się. Między zębami miał wąską szparę, która tylko dodawała mu uroku, będąc czymś w rodzaju znaku szczególnego modelu – i spytał, dokąd chcę jechać. Siłą woli zmusiałam się, aby przestać się czerwienić. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, była *aventura* z kolejnym Argentyńczykiem.

– Gdyby musiał pan wyjechać jutro z Buenos Aires – powiedziałam, szperając w torebce w poszukiwaniu notesu, podczas gdy kierowca zjechał z krawężnika – to gdzie dzisiaj poszedłby pan coś zjeść?

Uśmiechnął się do mnie w lusterku.

– Chce pani, żebym z nią zjadł?

– Co?

– Zaprasza mnie pani na obiad?

Teraz zaczerwieniłam się naprawdę mocno.

– Jasne... Możemy zjeść razem obiad...

– Żadnych buziaków? – Nadal się uśmiechał, ledwie dociskając pedał gazu, pozwalając, aby taksówka została nieco z tyłu za ruchem na *avenida*. Autobus przejechał obok nas, zionąc czarnymi kłębamii spalin.

– Żadnych buziaków.

– Nic? Nawet całusa w policzek?

– *Mira* – powiedziałam, uznając, że na świecie istniało niewiele rzeczy bardziej niebezpiecznych od mężczyzny świadomych, że są przystojni, no, może poza Argentyńczykiem świadomym, że jest przystojny. – Zrobimy tak. Zawiezie mnie pan do swojej ulubionej restauracji. Zjemy lunch. Ja wrócę autobusem do domu. Pan odjedzie w swojej taksówce. To wszystko.

– A więc to musi być na pani warunkach?

– Tak.

– W takim razie propozycja odrzucona.

Parsknęłam śmiechem, zaskoczona, mile połączona i speszona pomysłem, że taksówkarz z idealną twarzą był mną zainteresowany, nawet gdy przypominałam sobie, że flirt w Buenos Aires jest na porządku dziennym. Jeśli chciałam uniknąć powtórzenia błędu z Joaquínem, musiałam zacząć radzić sobie z uwodzeniem tak jak Liliana, szepcząc do ucha swoim partnerom z milongi słodkie słówka. „Okłamuj mnie”, mówiła. „Lubię to”.

Znaleźliśmy się na Avenida Córdoba. Mój żołądek wydawał z siebie odgłosy protestu. Taksówkarz nie zwracał uwagi na czerwone światła, obwieszczając klaksonem naszą obecność, gdy przejeżdżaliśmy przez skrzyżowania.

– *¿Sabes qué?* Któregoś razu zabrałem taką jedną rudowłosą niedaleko kasyna. Była przed

czterdziestką. *Belleza*. Zaczęliśmy rozmawiać, a potem zaprosiłem ją do siebie na kawę. Wylądowaliśmy w moim domu, pod prysznicem, i nie wyszliśmy stamtąd aż do obiadu następnego dnia. Zabrałem ją do La Taberna de Roberto.

– Tak! – zawołałam. – Znam to miejsce. Mają świetne jedzenie!

Jednak taksówkarz nie chciał mówić o jedzeniu. Wyłączył radio i zaczął opowiadać mi o swoich pozostałych podbojach. Większość swoich dziewczyn oraz dziewczyn innych facetów poznał w taksówce. Im pikantniejsze stawały się jego historie, tym głodniejsza się robiłam. Mijały minuty, a w żołądku mi burczało. Wołałabym, żeby spróbował uwieść mnie w jakiś inny sposób. „Okłam mnie”, pomyślałam. „Potrzebuję tego”.

Przejechaliśmy przez Avenida Rivadavia – ulicę, która według Borgesa dzieliła Buenos Aires na część północną i południową – nadal niezdecydowani co do adresu. Asfalt skończył się, a taksówka odbiła się od nawierzchni z kocich łbów. Zawroty głowy, które czułam, przypominały teraz te z początku tanga: nie wiedziałam, dokąd jadę ani w jaki sposób tam dotrę, zostawiając wszystko w rękach nieznajomego.

– Doświadczyła pani kiedyś przygody na jedną noc? – spytał taksówkarz.

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

– Och, to nie fair!

– Domyślam się, że pan miał ich całkiem sporo.

– Oczywiście.

– Więc pana taksówka jest, dosłownie rzecz ujmując, *tu vehículo al amor*. Pańskim wehikułem miłości.

– Miłości? – Zmarszczył brwi. – Nie, nie, nie. Namiętności, owszem. Ale nie miłości.

Znajdowaliśmy się teraz w dzielnicy robotniczej Boedo, w południowej części Buenos Aires, o starszej zabudowie. Budynek z kamiennymi fasadami pochodzące z przełomu dwudziestego wieku pozostawiono samym sobie, aby popadły w ruinę. Nadszedł czas siesty. Metalowe rolety zostały spuszczone, a zasłony w oknach zaciągnięte. „Dokąd my właściwie jedziemy?”, zastanawiałam się. Dłonie zaczęły mi drżeć – wkroczyłam w kolejną fazę desperackiego głodu – i pomyślałam o Joaquínie: „Jeśli będziesz słuchała uważnie muzyki, powie ci, dokąd masz iść...”.

– Lubi pani pizzę? – spytał taksówkarz.

– Tak, uwielbiam!

Zatrzymał się wreszcie na rogu Avenida Boedo i Juan de Garay. Obok hurtowni z artykułami skórzanymi, na parterze współczesnego, białego, trzypiętrowego apartamentu, znajdowała się pizzeria o nazwie San Antonio. Okna od ulicy były ozdobione jasnym błękitem argentyńskiej flagi. Na szklanych drzwiach widniały rysunki świętego w aureoli z pękatym brzuchem, trzymającego pizzę, który przypominał mi trochę Braciszka Tucka.

– Na pewno pani nie chce, żebym jej towarzyszył? – spytał taksówkarz.

Nie byłam pewna.

– To proszę przynajmniej dać się pocałować. – Zdjął okulary przeciwsłoneczne. Jego orzechowe oczy były o ton jaśniejsze niż Joaquína. – Tak na marginesie, jestem Hernán.

A gdybym faktycznie dała się pocałować? Oczami wyobraźni widziałam, jak opisuje mnie swojej następnej zdobyczy. („Któregoś razu trafiła mi się szalona *gringa*. Nie uwierzysz, jak jadła...!”). Poza tym wtedy musiałabym czekać Bóg jeden wie jak długo, zanim udałoby mi się

spróbować pizzy San Antonio, a naprawdę nie mogłam zwlekać ani chwili dłużej. Mój głód osiągnął ten okropny poziom, w którym byłam bliska płaczu lub omdlenia albo obu naraz.

– Lepiej mnie nie całować – odparłam. – Za dużo ze mną kłopotów. – Wręczyłam mu dziesięć pesos i wyszłam z taksówki.

– Zaczekaj! A twój numer telefonu?

Pokręciłam głową, wpatrując się w niego, gdy wychylił się przez szybę od strony pasażera, usiłując jak najlepiej zapamiętać rysy jego twarzy, po czym odwróciłam się i weszłam do lokalu, gdzie powietrze było przesycone zapachem pieczonych cebul i rosnącego ciasta.

Zajęłam ostatnie wolne miejsce – wyglądało na to, że zeszła się tu cała dzielnica, a ja byłam jedyną osobą jedzącą w samotności. Przyjrzałam się pochyłym, białym literom na czarnej tablicy z menu nad barem, gdzie dwaj mężczyźni stali i jedli, a ich łysiny błyszcząły we fluorescencyjnym świetle żarówek.

Kelner w cienkiej, białej koszuli żartował z pijącymi piwo emerytami siedzącymi przy stoliku obok mnie. Spojrzał na mnie, odczytując głód na mojej twarzy, przyjął zamówienie, nie zapisując go, i wrócił kilka minut później z kawałkiem *fugazzety* – pizzy na trzycentymetrowym spodzie nadziewanej mozzarellą, przybranej grubą warstwą krojonej cebuli – oraz kawałkiem *fainá*. Osobno żadna z tych potraw nie była czymś wyjątkowym. Razem *fugazzeta* (specjał Buenos Aires wymyślony w końcu dziewiętnastego wieku, gdy miejscowi pizzermani dodawali sterty mozzarelli do *focaccia*, którą ich genueńscy przodkowie przywieźli znad Atlantyku) i *fainá* (masa powstała z mąki z ciecierzycy i oliwy z oliwek, upieczona na kształt zbitego placka) stanowiły idealną, skrobiową kombinację. Ciecierzycza podbijała bogaty smak sera. Cebulki pieczone w piecu, cienkie jak papier, nadawały daniu pikantnej słodczy z nutą oregano.

Jedząc, patrzyłam, jak okoliczni mieszkańcy wchodzili i wychodzili z lokalu. Emeryci obejmowali kufle z piwem, studiując tabele wyników w *Clarín*, i udawali, że mnie nie widzą. Młode pary karmiły niemowlaki, które nie chciały usiedzieć w miejscu. Nastolatki w mundurkach katolickich szkół dźwigały sterty obwiązanych sznurkiem pudełek z pizzą na wynos. *Pizzaiole* w papierowej czapce wyciągnął z pieca żeliwną patelnię, odłożył ją z trzaskiem na wykładanym płytkami blacie i pokroił na kwadraty świeżo upieczoną partię *fugazzety*. Zauważyłam tabliczkę wiszącą między dwoma suchymi filodendronami, która głosiła, że pizzeria działała od ponad sześćdziesięciu lat.

Już prawie kończyłam swój posiłek, gdy kelner w białej koszuli podszedł, aby sprawdzić, jak się miewam.

– No i jak? Jak pani smakuje *fugazzeta*?

– Jest idealna – odparłam, uśmiechając się do niego. Na widok kopczyka z mozzarelli i cebulek na talerzu ucieszyłam się, że zostało mi kilka kęsów.

– ¿**DE QUÉ TE REÍES? Z CZEGO SIĘ PANI ŚMIEJE?** – spytał mężczyzna z laską o mosiężnej rączce, który minął mnie na ulicy, gdy opuściłam San Antonio, bazgrząc w notesie i zakładając, że idę w kierunku Avenida Santa Fe.

„*De tantas cosas*”, chciałam odpowiedzieć. Z mnóstwa rzeczy – Hernána, kelnera w cienkiej, białej koszuli, który stał przy moim stoliku, upewniając się, że zjem całą *fugazzetę*, plakat reklamujący lody w *kiosco* na rogu, graniczący z soft porno. Jednak przede wszystkim śmiałam się dlatego, że przepełniała mnie radość – nie było lepszego słowa, które mogłoby opisać mój stan – z powodu odzyskanego apetytu.

Stworzyłam blog i nazwałam go *Taxi Gourmet*, gdzie zaczęłam dokumentować swoje taksówkarskie przygody – dla siebie, rodziny i przyjaciół. Pragnęłam oddać hołd wyjątkowej magii Buenos Aires. „Jakie inne miasto na świecie mogłoby zapoczątkować serię taksówkarskich przygód?”, pomyślałam, spoglądając na mężczyznę z laską, który uśmiechał się do mnie tak, jakby nie mógł zdecydować, czy jestem szalona, czy faktycznie wpadłam na jakiś świetny pomysł. Dzięki pisaniu o taksówkarzach i ich ulubionym jedzeniu przypomniałam sobie, po co tu jestem. Blog nadał mojej pisaninie właściwy kształt. Nawet jeśli moja publiczność była mała i wirtualna, nadal była publicznością, i jak mi się wydawało, oczekiwała co najmniej jednej historii na tydzień.

Napisałam o wycieczce do Parrilla Peña z taksówkarzem Enrique, o Hernanie i San Antonio, z każdą kolejną przygodą nabierając coraz większej pewności siebie. Potem była przejażdżka do Barrio Norte z kierowcą imieniem Abel, który prowadził z obrazkiem Najświętszej Dziewicy z Luján przyklejonym do przedniej szyby i który wysadził mnie przed Pippo, knajpką serwującą makarony, sugerując (mądrze), abym zamówiła *vermicelli* z oliwą z oliwek i sosem *marinara*. Odbyłam też podróż do Las Cañitas z rudowłosym Juanem Pablo, który zawiózł mnie do Panaderia Santa Teresita, gdzie Abuela Beatríz robiła *struffoli* (smażone placki owocowe polane miodem z dodatkiem anyżu). Nigdy nie zapomnę drogi do Montserrat ze sprzedawcą bielizny pracującym jako kierowca, który zawiózł mnie do kawiarni na stacji benzynowej, gdzie kobieta imieniem Marta serwowała panierowane filety z morszczuka i purée z batatów, które wprowadziły mnie w stan łaski uświęcającej.

Wkrótce ludzie, których nie znałam, zaczęli komentować moje wpisy. A po opublikowaniu historii o taksówkarzu, który podrzucił mnie do Chiquilín, lokalu serwującego steki, nazwanego tak po tangu *Chiquilín de Bachín* opowiadającym o bezdomnym chłopcu sprzedającym kwiaty w dzielnicy teatralnej – otrzymałam e-mail od muzyka imieniem Hugo grającego na bandoneónie, mieszkającego w Vermont i określającego się mianem argentyńskiego uchodźcy: „Naprawdę spodobał mi się twój cudowny artykuł o *Chiquilín de Bachín*. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pełne współczucia spojrzenie na życie w Buenos Aires”. Pisał, że cieszy go fakt, że może podzielić się moim wpisem z zaprzyjaźnionymi muzykami. Teraz mogę podsunąć im perspektywę *gringa* (*lo digo con cariño!*), która przemówi do nich w bardziej bezpośredni

sposób...

Kilkukrotnie przeczytałam wiadomość od Hugo, poruszona i nieco zaskoczona, że Argentyńczykowi – i to w dodatku grającemu tango – spodobało się to, co robiłam. Poczułam, że znalazłam swój rytm, cel, inspirację do wypraw w poszukiwaniu jedzenia, wiedząc, że na pewno opublikuję coś na ich temat w cyberprzestrzeni i wyobrażając sobie, jak obcy ludzie czytają moje artykuły.

Jednak szczęście sprzyja odważnym i idealistom tylko do pewnego momentu. Kilka dni po otrzymaniu wiadomości od Hugo wsiadłam do taksówki z kierowcą, który nie wykazał żadnego entuzjazmu wobec mojej wyprawy.

– Proszę podać mi adres – wrzasnął, przekrzykując hałas muzyki reggae powodującej drzenie szyb w jego prawie nowym fiacie. – Zawiozę panią, gdzie pani tylko chce!

QUIERO SACU-DIR-TE CO-MO TERREMO-TO...

Chcę wstrząsnąć tobą jak trzęsienie ziemi?

– W rzeczywistości chciałabym – odparłam, starając się zachować powagę – pojechać w miejsce, w którym to pan lubi coś zjeść.

– *Bueno.* – Taksówkarz włączył licznik, sprawiając wrażenie bardziej obojętnego niż zaskoczonego, i jeszcze podkreślił muzykę, odpowiadając monosylabami na moje pytania, gdy wjechaliśmy na usianą dziurami Avenida San Martín i popędziliśmy w kierunku nieostrożnych przechodniów, którzy pierzchali przed nami na chodnik.

Po pewnym czasie, gdy nabrałam podejrzeń, że jeździmy w kółko – „Czy nie mijaliśmy już tej koreańskiej restauracji?” – taksówkarz zatrzymał się na Plaza Flores przed barem ciągnącym się przez pół ulicy.

Zajrzałam do środka. Jakiś mężczyzna o cienkich włosach we flanelowej koszuli siedział sam przy stoliku, pochylony nad talerzem, tuż przy brudnych oknach wychodzących na plac.

– To pańskie ulubione miejsce? – zawołałam, przekrzykując muzykę, która brzmiała coraz bardziej jak zaproszenie do sadomasochistycznej orgii („*Pantera ATRAPAME... Acorralame y luego matame*”; „Uwięź mnie, pantero... Zap mnie, a potem zabij”). W drodze do restauracji myślałam wyłącznie o tym, jak uciec z taksówki. Ale skoro dotarliśmy na miejsce do Pueyrredón Restaurante, nie chciałam z niej wysiąść, nawet mimo okropnej muzyki.

– Byłem tu w zeszłym tygodniu – odparł kierowca. Podkreślił głośność jeszcze bardziej. Szyby w oknach zaczęły drzeć, grożąc rozbiciem się w drobny mak.

Otworzyłam lekkie jak tektura drzwi fiata, przesłałam ponad stertą plastikowych butelek w rynsztoku, wsadziłam rękę w okno po stronie pasażera i podałam mu dwadzieścia pesos, czyli dwa razy tyle co zwykłam do tej pory płacić za kurs.

– Co pan lubi tu jeść? – spytałam. – Ma pan swoje ulubione danie?

– To bufet – odparł taksówkarz. – *Tenedor libre.*

Kelner w Pueyrredón Restaurante był wysokim mężczyzną o czerwonobrazowej skórze, poruszającym się z przesadną sprawnością.

– Wie pani, jak to działa? – spytał, wręczając mi menu, które przypominało bardziej kołonoatnik z mnóstwem laminowanych stron.

– Nie.

– To bufet, w którym może pani zjeść wszystko, na co ma pani ochotę – wyjaśnił tonem sugerującym, że powinnam być wdzięczna za swoje szczęście. – Cena to trzydzieści trzy pesos. Pani mówi mi, co chce zamówić, a ja przynoszę wszystkie dania. Dodatkowo otrzymuje pani napój.

Przejrzałam strony menu, czując, jak reggae nadal dzwoni mi w uszach, szukając jakiegoś odpowiedniego dania wśród kawałków steku, siedmiu rodzajów *milanasas*, roladek z szynką, jajkami i oliwkami oraz makaronem z czterema serami, beszamelem albo różowym sosem. Zdecydowałam się na *revuelto gramajo*: tłusty miszmasz frytek, pociętej w paseczki szynki, uprzednio mrożonego groszku, krojonych pomidorów i jajeczniczy, który smakował lepiej, niż sądziłam, choć udało mi się przebrnąć zaledwie przez połowę dania. Czerwonoskóry kelner pojawił się, jak tylko odłożyłam widelec, marszcząc brwi na widok reszty jedzenia, które zostawiłam na talerzu.

– Porcja była olbrzymia – odparłam, biorąc łyżkę i wciskając kilka zabłąkanych frytek w kopiec resztek, starając się, aby wyglądała na mniejszą niż w rzeczywistości. – Nie dam rady zjeść więcej.

Kelner zostawił talerz na stoliku. Rozejrzał się po sali, zatrzymując wzrok na grupce starszych pań w pastelach, które właśnie jadły swój deser.

– Nie jest pani stąd, prawda?

– Nie. – Parsknęłam śmiechem.

– W takim razie skąd? Z Kalifornii? – Spróbował się uśmiechnąć, co zupełnie nie pasowało do jego surowej twarzy. – Kalifornia musi być piękna. Wie pani, gdyby nie korupcja, Argentyna byłaby na takim samym poziomie co wy. – Przestał się uśmiechać. – Proszę się rozejrzeć. Siejesz ziarno w dowolnym miejscu tego kraju, a ono rośnie. Potrzebujemy surowszych praw. Powinniśmy być jak Stany Zjednoczone. Potrzebna nam kara śmierci, żeby ludzie zrozumieli, że nie mogą łamać prawa.

Zanim zdążyłam podważyć jego logikę, udał się w pośpiechu do grona starszych pań w pastelach, wymieniając łyżeczkę, którą jedna z nich upuściła na podłogę. Wrócił do mojego stolika z kartą deserów.

– Sytuacja była lepsza, gdy u władzy było wojsko – dodał, kładąc menu przede mną tak, jakby to był kontrakt, który miałam podpisać.

– ¿Cómo?

– Osiemdziesiąt procent działań przeprowadzonych przez wojsko wyszło nam na dobre – skwitował. – Gdyby nie ustanowili praw, byłibyśmy teraz jak Kolumbia.

Chyba nie do końca pojmowałam jego tok rozumowania.

– Z rzeczy, które zrobili w trakcie dyktatury, dwadzieścia procent było złe – ciągnął. – A ludzie nie chcą wybaczyć im tych dwudziestu procent.

Milczałam, gotując się z oburzenia i szukając odpowiedzi. Wszyscy moi argentyńscy przyjaciele, wliczając w to Joaquína, który był w tamtych czasach niemowlęciem, znali kogoś, kto znał kogoś, kto znał kogoś, kto „zniknął” podczas brudnej wojny trwającej w latach 1976–1983, gdy wojskowa junta dokonała egzekucji ponad trzydziestu tysięcy domniemyanych buntowników – lecz nikt nie chciał o tym rozmawiać. Nie wiedziałam zbyt wiele o czasach dyktatury, ale czytałam o przerażających rzeczach, między innymi *vuelos de la muerte*, czyli lotach śmierci, w trakcie których opozycjonistom podawano środki usypiające, rozbierano ich do

naga i wyrzucano z helikopterów do Río de la Plata, aby utonęli.

– Surowsze prawo nie zawsze zmienia sposób, w jaki zachowują się ludzie – odparłam. *Revuelto gramajo* zaczynał nieprzyjemnie ciążyć mi na żołądku.

– *Señorita* – powiedział, kręcąc głową. – Nie ma pani pojęcia, o czym pani mówi.

Zamknął z trzaskiem menu z deserami – panie w pastelach zażyczyły sobie więcej herbaty – i parę minut później przyniósł rachunek, nie mówiąc ani słowa i unikając mojego wzroku. Słyszałam, że istniała grupa ludzi, która tęskniła za powrotem iluzorycznej stabilizacji dyktatury, ale nigdy nie spotkałam nikogo, kto wyraziłby tę tęsknotę na głos. Wyszłam z restauracji w złym nastroju, czując mdłości po dziwnym posiłku i poprzedzającej go przejażdżce taksówką. Przez wiele dni po feralnej podróży do Pueyrredón Restaurante z trudem poruszałam się po Avenida Santa Fe, unosząc dłoń i opuszczając ją, nim taksówka podjechała na tyle blisko, aby zobaczyć mnie jej kierowca.

NIE WIEDZIAŁAM, JAK OPISAĆ SWOJĄ PODRÓŻ do Pueyrredón Restaurante. Nie byłam pewna, czy w ogóle powinnam o niej pisać. Dotychczas z każdą z moich taksówkarskich przygód wiązał się co najmniej jeden jasny punkt – jeśli nie było nim jedzenie, to rozmowa z kierowcą – lecz w tamtej przygodzie nie było nic pozytywnego. A jeśli już, to tylko złowieszczy posmak.

Tydzień później, gdy jechałam *subte* do biurowca, w którym mieściła się moja firma, nadal nie opublikowałam niczego na swoim blogu ani nie podjęłam kolejnej taksówkarskiej podróży. Czy naprawdę nie istniały łatwiejsze, rozsądniejsze sposoby na znalezienie czegoś pysznego do zjedzenia? Przycisnęłam do siebie torebkę i zamknęłam oczy, żałując, że nie mogę darować sobie porannej konferencji telefonicznej z niezadowolonym klientem z Afryki Południowej, który groził zmniejszeniem szerokości pasma częstotliwości.

Otworzyłam oczy, gdy mała dziewczynka w limonkowozielonej sukience położyła na kolanach mi i każdej osobie w przedziale po pachuszcze oprószonych brokatem ołówków.

– *Dos pesos*, powiedziała, przekładając rączki plastikowej torby z jednego nadgarstka na drugi.

– *A sólo dos pesos*.

– Dwa pesos stanowiły równowartość około sześćdziesięciu pięciu centów. Część pasażerów zignorowała ołówki, pozwalając, aby leżały na ich kolanach nietknięte. Inni obrócili pachuszek w rękach, przyglądając im się badawczo, jakby były cenną biżuterią. Kilka osób oddało ołówki, nie patrząc na dziewczynkę, której wzrok był wbity w podłogę. Rozsunęłam suwak torebki. Dziewczynka znalazła się przede mną w ułamku sekundy, rozsuwając szeroko stopy w plastikowych butach, aby nie upaść, gdy pociąg będzie zwalniał. Zajrzałam do portfela – jedyną gotówką, jaką miałam, był banknot o nominale pięćdziesięciu peso. Byłam pewna, że dziewczynka nie miała przy sobie drobnych. (Podobnie jak większość mieszkańców miasta, musiała na siebie zarabiać pomimo Wielkiego Braku Drobnych w Buenos Aires, który według Liliany został wprowadzony przez mafię, która zbierała monety i banknoty o drobnych nominałach i sprzedawała je za odpowiednią opłatą na stacji autobusowej Retiro. Rezultat? Nikt nie lubił wydawać reszty, zwłaszcza *gringas* wałęsający się po okolicy z wielkimi nominałami w kieszeni).

– *Lo siento*, odparłam, zasuwając torebkę.

– Przykro mi. Dziewczynka chwyciła pachuszkę z moich kolan, zabrała resztę ołówków i wypadła przez dwuskrzydłowe drzwi, jak tylko się otworzyły.

Ostatecznie nie udało mi się rozmiąć mojego banknotu pięćdziesięciu peso i uznałam, że muszę być szczerą – „Daj już spokój i opowiedz wreszcie tę historię!” – wobec każdego, kto nadal czytał mój blog. Napisałam o podróży z uwielbiającym reggae kierowcą, który woził mnie w kółko, oraz o kelnerze z Pueyrredón Restaurante, który z nostalgią wspominał dyktaturę. Nikt nie zostawił komentarza.

– Skarbie, jak długo masz jeszcze zamiar tam zostać? – spytał tata w trakcie niedzielnej rozmowy przez telefon.

– Nie wiem.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Buenos Aires faktycznie było moim miejscem na ziemi. Argentynski urząd do sprawy imigracji odrzucił mój wniosek o długoterminową rezydenturę. (W Argentynie nie przyznawano prawa stałego pobytu osobom wykonującym wolny zawód, a tym bardziej pisarzom freelancerom, a ja byłam tylko konsultantką w firmie sprzedającej anteny satelitarne i nie chciałam wplątywać jej w swoje problemy imigracyjne). Liliana zaoferowała się, że może nadać mi status członka rodziny, żebym mogła zostać – i choć bardzo wzruszyła mnie jej propozycja, nie mogłam prosić o tak wiele. Zamiast tego co trzy miesiące przekraczałam granicę – z Urugwajem, Chile lub Brazylią – aby odnowić wizę turystyczną. Zebrałam tak wiele pieczętek w paszporcie, że musiałam poprosić w ambasadzie o dodatkowe strony. Teraz, gdy spjrzałam w niebo i zobaczyłam lecące na północ samoloty, przyłapałam się na rozważaniu, ile czasu minie, zanim znajdę się na pokładzie jednego z nich.

– Jak długo tam mieszkasz? – spytała mama.

– Od dwóch lat.

Prawie trzech. Czego dokonałam przez cały ten czas? Nauczyłam się tańczyć tango – w miarę znośnie, choć od miesięcy nie byłam w żadnym klubie. Miałam przelotny romans – czy tak to się nazywało? – z Joaquínem, a jedyne wieści o nim dochodziły do mnie teraz z e-maili informujących o jego warsztatach tanga albo występach. Umawiałam się z gitarzystą z Patagonii, który nigdy w życiu nie zjadł pomarańczy, oraz Australijczykiem będącym o krok od zostania pisarzem, który wprowadził mnie we wspólny świat Williama Trevora i Richarda Yatesa. Opublikowałam garść artykułów kulinarnych. Zorganizowałam instalacje anten satelitarnych w krajach, których prawdopodobnie nigdy nie odwiedzę. Uruchomiłam blog i rozpoczęłam serię taksówkarskich przygód, ale nie wiedziałam, czy je kontynuować. (Po fatalnej podróży do Pueyrredón Restaurante w końcu się przemogłam – i wylądowałam w *parrilla* po drugiej stronie ulicy, mieszczącej jedyne kasyno w mieście, gdzie *chinchulines*, czyli flaczki, smakowały jak zjeżdżały tłuszcz roślinny wymieszany z papierosowym popiołem).

– Chcesz, żebym przeczytała ci twój horoskop? – spytała mama.

– Pewnie. – W ten sposób zwykle kończyliśmy naszą cotygodniową rozmowę przez telefon.

– Gdzie ja go położyłam?

– Nie mam pojęcia, kochanie – odparł tata.

– Wiem, że nie masz. – Oczami wyobraźni widziałam, jak mama grzebie w stercie wycinków z gazet leżących w kuchni obok telefonu. – Jestem pewna, że go tu położyłam... Mam! – Zaczęła czytać z manierą prezenterki telewizyjnej: – „Zaćmienie Księżyca w twoim znaku stawia cię w dość trudnym położeniu...”.

– Zaćmienie? – spytałam.

– Widzisz je stamtąd, córeczko? – spytał tata.

– Nie bardzo. – Wyjrzałam przez okno. Niebo między wieżami apartamentowców było zachmurzone.

Mama odchrząknęła dyskretnie i zaczęła czytać od początku.

– „Zaćmienie Księżyca w twoim znaku stawia cię w dość trudnym położeniu. Przechodzisz przez bardzo intensywny i kłopotliwy okres. Ma to coś wspólnego z uświadomieniem sobie, że

twoje życie zaczyna się zmieniać. Kusi cię, aby od tego odejść i żyć tak, jak dotychczas...”.

– Uhm.

– „Jednak w głębi duszy wiesz, że nie możesz tak dalej. Pewna era – zrobiła krótką pauzę – właśnie dobiegła końca. Nowy etap związany z przyszłością po prostu musi się zacząć”. – Wróciła do normalnego tonu głosu. – Co o tym sądzisz?

NIE MYŚLAŁAM O SWOIM HOROSKOPIE, gdy stałam przy krawężniku na Avenida Gallardo, osłaniając oczy przed ostrym, południowym słońcem, wysuwając biodro i unosząc wysoko rękę, starając się jak najlepiej naśladować pełną opanowania *porteñę*.

– Niestety, nigdzie pani nie zabiorę – powiedział taksówkarz, który się przy mnie zatrzymał. Miał siwe włosy, a jego koszulka z Bartem Simpsonem była za szeroka w ramionach.

– Och. W porządku. – Odsunęłam się od szyby po stronie pasażera i wróciłam na krawężnik, chwając się lekko na swoich sandałkach na platformie.

– Nie, *señorita*... – Taksówkarz pokręcił głową. – Proszę zaczekać. Nie mogę pani zabrać, bo moja ulubiona restauracja znajduje się właśnie tutaj!

Wskazał na szyld po drugiej stronie skrzyżowania, zwieńczony trzema śmiejącymi się, plastikowymi świniami naturalnych rozmiarów. LOS CHANCHITOS, czyli „małe tuczniaki”.

– Proszę wsiadać – powiedział, uśmiechając się. – Zawiozę panią.

Równie dobrze mogłabym tam pójść na piechotę. Kierowca musiał się nieco natrudzić, manewrując taksówką w szalonym ruchu pojazdów w porze lunchu, aby dotrzeć na drugą stronę ulicy, ale w końcu dojechałam pod właściwy adres. Gdy wrzucił pierwszy bieg, zauważyłam parę błękitnych, dziecięcych bucików zwisających ze wstecznego lusterka.

– Dla nas Argentyńczyków to obowiązek sprawić, aby obcokrajowcy czuli się tu dobrze – powiedział, robiąc zakręt o sto osiemdziesiąt stopni podzielony na wiele części i zatrzymując się w końcu przed wejściem do restauracji. – Proszę. – Nie chciał przyjąć zapłaty za kurs. – Życzę smacznego lunchu.

Szkoda, że nie było ze mną Liliany. Może powiedziała by wtedy, że to łut szczęścia. (Nie zdziwiła się, gdy opowiedziałam jej o wyprawie do Pueyrredón Restaurante). Ale kiedy siwowłosy taksówkarz odmówił przyjęcia zapłaty, po czym praktycznie wyrzucił mnie za drzwi i kazał iść do Małych Tuczniaków, gdzie stek z pieprzem owinięty plastrami pancetty był tak delikatny i kruchy, że mogłam go kroić nożem do masła, poczułam, że to coś więcej niż łut szczęścia.



Podjęłam decyzję, że rezygnuję z pracy na pełny etat. Po wyprawie do Małych Tuczniaków powiedziałam swojemu szefowi, że przyleciałam do Buenos Aires, żeby pisać, i że w końcu dotarło do mnie, o czym tak naprawdę chciałam opowiadać – o jedzeniu. Moje wypytywanie o restaurację stanowiło wstęp do dłuższych rozmów z taksówkarzami. Mój szef spojrział na mnie, jakbym właśnie powiedziała, że zamierzam popłynąć do Urugwaju. Potem zaoferował mi pracę zdalną w dziale obsługi klienta, gdzie miałam obdzwaniać klientów firmy z Europy, Afryki

i Filipin tylko raz na kwartał, sprawdzając poziom ich zadowolenia i skargi oraz składając sprawozdania dyrektorowi generalnemu. Przyjęłam posadę, bo musiałam z czegoś płacić rachunki oraz dlatego, że była elastyczna: teraz mogłam zająć się organizacją bloga i taksówkarskich przygód od strony formalnej, zamiast odwrotnie.

Ta swoboda była warta obciążenia pensji. Nie miałam pojęcia, kto czytał mój blog – celowo utrzymywałam dystans do internetowych analiz, współczynników odrzuceń, kliknięć i odwiedzin strony – jednak coraz więcej osób spoza mojego grona znajomych wysyłało mi wiadomości o *Taxi Gourmet*: emigranci tacy jak Hugo, którym podobało się moje podejście do Buenos Aires, *porteños*, którzy mówili, że nigdy wcześniej nie słyszeli o opisywanych przeze mnie restauracjach (i że chcieliby je odwiedzić), albo studenci ze Stanów, którym zalecano zachowanie szczególnej ostrożności w kontaktach z taksówkarzami z Buenos w trakcie zagranicznych semestrów. Odpowiedziałam na komentarze wszystkich, rozkoszując się czymś, co wreszcie mogłam nazwać poczuciem sensu – „W końcu nie piszę po omacku!” – i ani się spostrzegłam, jak zupełnie obcy ludzie zaczęli prosić o dołączenie do moich kulinarnych wypraw.

– Denerwujesz się czasem? – spytała Sandra, ładna studentka dziennikarstwa z krótkimi włosami pochodząca z Teksasu, która kilka dni wcześniej przedstawiła się w e-mailu. Podeszłyśmy do taksówki zaparkowanej pod koronami platanów na Plaza del Congreso. Była pierwszą osobą, którą zabierałam ze sobą na taksówkarską przygodę. Choć nie miałam pewności co do łączącej nas chemii, podobał mi się pomysł, że ktoś inny zobaczy to, co ja. Chciałam też, aby ludzie wiedzieli, że historie na moim blogu nie były zmyślane.

– Za każdym razem – odparłam, spoglądając na kierowcę przez przednią szybę. Był łysy, ale wyglądał na młodego, w wieku Sandry. – Zawsze mam wątpliwości. Ale lubię myśleć, że jestem coraz lepsza w odróżnianiu instynktu od niepokoju.

Taksówkarz zlustrował południowy ruch drogowy na Avenida Rivadavia jak rolnik oglądający niebo. Powiedział, że jest rzeźbiarzem. Spytałam, czy dzielenie czasu na sztukę i prowadzenie taksówki jest trudne.

– Bogaczem nie jest ktoś, kto ma najwięcej – powiedział, gdy słońce przeświecało przez szybę na jego oliwkową skórę, która była gładka jak kamyki w górskim strumieniu. – To ten, który potrzebuje najmniej.

Prowadził, jakby był odporny na gorączkowe manewry pozostałych samochodów na drodze, wysadzając nas przy tawernie w dzielnicy Balvanera, której drzwi były pomalowane na czarno. Pachniało tam tak, jakby nigdy nie gaszono tu ognia pod rusztem. Na zewnątrz stał rząd zaparkowanych taksówek oraz grupa mężczyzn na chodniku, przepychających się łokciami w stronę otwartego okienka, z którego mężczyzna w czerwonym fartuchu rozdawał kanapki.

– Byłem tu wczoraj – poinformował nas taksówkarz, masując się po brzuchu. – Zjadłem *sanduche de vacío*... – Przełknął ślinę. – Widzicie? Ślinka napływa mi do ust na samą myśl! Ale nie mogę tu dzisiaj zjeść, jestem na diecie.

– Na diecie? – spytała Sandra.

– Spójrzcie na mój brzuch.

Pochyliłam się między siedzeniami. Kierowca zdjął rękę z brzucha, żebym mogła obejrzeć go dobrze w pasie.

– Nie widzę żadnego brzucha.
– No cóż, dobrze go ukrywam. W dodatku zbliża się lato. Później zjem sobie jogurt.
– Nie jest pan głodny? – spytałam.
– Nie. – Przesunął dłonią po girlandzie jedwabnych kwiatów udrapowanych wokół wstecznego lusterka. – Po prostu staram się myśleć o czymś innym.

Żegnając się z nim, wcale nie miałam ochoty na kończenie podróży. Czułam się tak samo jak wtedy, gdy muzyka przestawała grać po wyjątkowo udanym tangu. Patrząc, jak kierowca odjeżdża, przypominałam sobie słowa Joaquína, że tanga to małe istoty żyjące trzy minuty.

Głowy odwróciły się w naszą stronę – wraz z Sandrą wkroczyliśmy do El Litoral, w którym całą klientelę stanowili mężczyźni siedzący przy stolikach nakrytych winylowymi obrusami w kolorze soczystej zieleni lub stojący przy ladzie zastawionej pojemnikami Tupperware z plasterkami cytryny, *chimichurri* i *salsa criolla*. Gdy jadliśmy na spójkę *sanduche de vacío* – chrupiącą z zewnątrz i miękką w środku bułkę pełną pokrojonego na plasterki, cudownie poprzecinanego tłuszczem steku – zastanawiałam się, jakim cudem kierowca mógł przestać myśleć o tak dobrej kanapce? Zajadając bez pośpiechu *queso y dulce*, pragnęłam zrozumieć, dlaczego więź łącząca nas w taksówce była tak podobna do tej, którą budowało się w tangu? Dlatego, że nie trwała wiecznie?

Po lunchu Sandra i ja obiecałyśmy sobie, że będziemy w kontakcie. Wróciłam do mieszkania na Avenida Santa Fe z notesem w ręce, rozmyślając o sposobach opisanego tego steku, mojego najnowszego odkrycia, zatrzymując się co parę kroków i notując pomysły. Jak zwykle nie nadążałam z pisaniem.

Niemniej jednak, gdy nadchodziła pora przeniesienia moich notatek na blog, jak zwykle godzinami szukałam właściwych słów, by opisać wręcz magiczne chwile, unikając banału i kwiecistego stylu. Utrzymywałam się na powierzchni, gdy pisałam o rzeźbiarzu, i w przypadku pozostałych wpisów, podkreślając najlepsze momenty rozmowy w taksówce i chwając El Litoral oraz *sanduche de vacío* kierowcy w najbardziej rzeczowy sposób, na jaki było mnie stać.

Mimo to pod rozrywkową warstwą mojego projektu kryło się coś, co działo się ze mną. Z jakiegoś powodu w taksówce było mnie stać na całkowitą otwartość. Byłam wylewna, bardziej wylewna, niż gdziekolwiek indziej. I to mimo strachu, przebywania w obcym pojeździe i niewiedzy, dokąd właściwie jadę. Nawet gdy droga prowadziła do wyjątkowo dziwnego miejsca albo donikąd, nadal się denerwowałam, lecz strach już mnie nie paraliżował, jak często bywało to na *milonga*. W taksówce zaczynałam się czuć jak tancerka tanga, którą nigdy nie miałam zostać.

DOCHODZIŁO POŁUDNIE, a ja nadal byłam w pizamie, słuchając radia cicho grającego tango (sponsorowanej przez miasto stacji La 2x4, 92.7 FM, która puszczała tango oraz nadawała relacje na żywo przez dwadzieścia cztery godziny dziennie siedem dni w tygodniu), siedząc przy kuchennym stole dwa razy większym od mojego biurka i przeglądając czwartą albo piątą wersję wpisu o przejażdżce do El Litoral. „Na tym właśnie polega problem z własnym blogiem”, uznałam, wgrzyzając się w pierożka *medialuna*, ta „swoboda” w nanoszeniu wiecznych poprawek i korygowania każdego zdania. „Cóż za przekleństwo dla perfekcjonistki takiej jak ja”, pomyślałam, gdy komputer zapiszczał, informując mnie o nowej wiadomości w skrzynce. Starłam okruszki z palców i kliknęłam na ikonkę, unosząc brwi na widok linijki z tytułem maila: „Washington Post”.

Panno Mosler,

jestem reporterem redakcji „Post” z siedzibą w Rio de Janeiro, przez kilka następnych dni będę w Buenos Aires... Podoba mi się Pani blog i pomyślałem, że poszukiwania dobrego jedzenia w towarzystwie kierowcy taksówki mogą być tematem do dobrego artykułu... Może mógłbym dołączyć do Pani podczas następnej wyprawy?

„Dołączyć?”. Zamknęłam wiadomość. Otworzyłam ją ponownie, z niedowierzaniem przecierając oczy. „Washington Post”! Wyłączyłam radio i powtórnie przeczytałam wiadomość, tym razem na głos. Jak on mnie znalazł? Oczywiście, że mógł dołączyć... Jak szybko powinnam mu odpisać? Zaczęłam pisać odpowiedź, dodając zdania, kasując, ważąc każdego słowo. Zmusiłam się, aby odczekać dziesięć minut, zanim ją wysłałam. „Będzie dla mnie przyjemnością, gdyby zechciał mi Pan towarzyszyć podczas następnej przygody”, napisałam, wiedząc, że wyjdę na przejętą, choć miałam nadzieję, że nie aż tak strasznie. Może moglibyśmy się spotkać w Las Violetas, na rogu Rivadavia i Medrano?

Wybrałam Las Violetas, kawiarnię w dzielnicy Almagro, z powodu jej historii – oraz historii jej odrodzenia. Liliana powiedziała mi, że lokal, będący ostoją okolicy przez ponad wiek, został zamknięty u schyłku lat dziewięćdziesiątych i otwarty ponownie w 2001 roku dzięki mieszkańcom, którzy przekonali inwestorów, aby ocalili go przed popadnięciem w ruinę. To w Las Violetas Osvaldo Pugliese, mój ulubiony kompozytor tanga, zwykł jadać ciasto. To tutaj pod przykrywką przyjęć urodzinowych spotykały się babcie z Plaza de Mayo, żeby planować odnalezienie zaginionych wnuków, synów i córek „wywrotowców”, którzy „zniknęli” podczas brudnej wojny. Niemal dziesięć lat po wielkim wznowieniu działalności – po renowacji włoskich marmurów, secesyjnych witraży i stropów ozdobionych wzorem ze złożonych liści – w Las Violetas nadal słychać było triumfalny gwar. Nie umiałam wyobrazić sobie lepszego miejsca na rozpoczęcie taksówkarskiej przygody, a szczególnie tej.

Zjawiłam się w Las Violetas nieco wcześniej, ponad pół godziny przed planowanym spotkaniem z reporterem, i wypijałam szklanekę drogiego soku pomarańczowego, mając nadzieję, że ręce drżały mi z powodu niskiego poziomu cukru we krwi. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin między otrzymaniem wiadomości a chwilą, w której weszłam do kawiarni, olbrzymia krostka zagnieżdżyła się tuż obok mojego nosa, a ja zdążyłam wymyślić serię najgorszych czarnych scenariuszy, jakie tylko przyszły mi do głowy. Co, jeśli taksówkarz będzie odpowiadał monosylabami? Co, jeśli będzie woził nas w kółko, tak jak ten, który zabrał mnie do Pueyrredón Restaurante? A co, jeśli będzie się upierał, aby zabrać nas do Siga la Vaca? A jeśli jada wyłącznie w domu? Co będzie, jeśli cała przygoda okaże się totalnym niewypałem? Nie wzięłam pod uwagę natychmiastowego zadurzenia się w Joshui, wyżej wspomnianym reporterze, który wyglądał jak argentyńska wersja zrelaksowanego Clarka Kenta, z rozwianymi przez wiatr włosami o barwie zgaszonego brązu, jednodniowym zarostem i okularami w czarnych oprawkach. Chodził z płócienną torbą z wojskowego demobilu, a ubrania nosił w taki sposób, jakby miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż równe podciąganie rękawów.

Było lato. Noc była gorąca i parna – prawie trzydzieści stopni, z *sensación térmica* dochodzącymi do trzydziestu trzech, według prognozy pogody stacji radiowej grającej tango. Nawet asfalt na Avenida Rivadavia łśnił, jakby parowała z niego wilgoć. Pociłam się w swojej bluzce bez rękawów, usiłując sprawiać wrażenie, że łapanie taksówki z przystojnym zagranicznym korespondentem było naturalną, codzienną czynnością. Stałam po jego lewej stronie, tak aby nie zobaczył pryszczka na moim profilu. Zerknął na zegarek z umyślną nonszalancją, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, jakie wrażenie na mnie wywierał.

– Rób to, co zwykle – powiedział, robiąc krok w tył, abym mogła rozejrzeć się po ulicy.

Sprawdziłam godzinę na telefonie – dochodziła dziesiąta wieczorem. Pora kolacji w Buenos Aires. Podeszłam bliżej krawężnika, zamknęłam oczy i uniosłam dłoń. Taksówka podjechała kilka sekund później. „Zaraz, nie jestem gotowa!”. Czułam, jakby ktoś wpychał mnie na scenę, zanim zdążyłam nauczyć się swoich kwestii.

– Ty pierwszy – powiedziałam, otwierając drzwiczki z udawaną pewnością siebie i siadając z tyłu po tym, jak Joshua zajął swoje miejsce. Próbowałam zapomnieć o wulkanie na twarzy i skupić się na kierowcy. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy w jego wyglądzie, były wąsy: siwe, krzaczaste i zaczesane w dół nad górną wargą jak u Einsteina. – Mam nietypową prośbę – powiedziałam, uznając za dobry znak to, że brzuch taksówkarza widoczny pod koszulą z krótkim rękawem dotykał spodu kierownicy. – Czy mógłby nas pan zabrać do jakiejś dobrej restauracji? – spytałam, napotykając w lusterku jego oczy sprawiające wrażenie zaspanych. – Do miejsca, gdzie jada pan z rodziną albo przyjaciółmi?

Taksówkarz zacisnął usta pod wąsami.

– Znam takie miejsca, ale czy to ma być gdzieś w okolicy?

Nie chciałam podawać mu zbyt wiele wytycznych.

– Może być w okolicy. Ale nie musi.

Starłam się sprawiać wrażenie pogodnej i opanowanej, choć serce waliło mi w piersi coraz szybciej, a to, że taksówkarz, w odróżnieniu od pozostałych kierowców towarzyszących mi w trakcie przygód, nie miał żadnych pomysłów odnośnie do miejsca, w które moglibyśmy pojechać, napawało mnie niepokojem. „*Bailar la pausa*”, przypomniałam sobie, przesuając się bliżej krawędzi tylnego siedzenia. Przetańcz pauzę. To była jedna z ostatnich lekcji, jakie próbował przekazać mi Joaquín, lekcja, która jakimś cudem nabierała większego sensu

w taksówce, niż na *milonga*. „Bądź otwarta między jednym a drugim ruchem – przypomniam sobie jego słowa. – Zwłaszcza między jednym a drugim ruchem...”.

Autobus przejechał obok z wizgiem, gdy zjechaliśmy z krawężnika i pojechaliśmy w ciemności wzdłuż *avenida*, nawiązując rozmowę, która nie miała nic wspólnego z jedzeniem. Kierowca opowiedział nam, że jego rodzina zbiegła do Argentyny w 1952 roku, uciekając przed dyktaturą generała Franco w Hiszpanii. Pięćdziesiąt siedem z pięćdziesięciu dziewięciu lat przeżył w Buenos Aires, ale urodził się w Galicji na północno-zachodnim wybrzeżu Hiszpanii. Poczł się w obowiązku poinformować nas, że umrze również jako Hiszpan.

Zerknęłam na Joshuę. Wyraz jego twarzy był uprzejmy i neutralny – pokerowa mina reportera – gdy zapisywał mikroskopijne słowa w swoim notatniku.

– Argentyna różni się od reszty państw Ameryki Łacińskiej – ciągnął taksówkarz. – Wiedzieliście, że to jedyne państwo w Ameryce Południowej z trzema zdobywcami Nagrody Nobla w dziedzinie nauk ścisłych? – Uniósł trzy palce. – Jeśli ciężko pracujesz, na pewno do czegoś dojdiesz. A jedyną rzeczą, jaką rozumie Galicjanin taki jak ja, jest ciężka praca.

Wybuchnęłam śmiechem i ponownie zerknęłam na Joshuę, który jeszcze raz spojrzął na zegarek.

Im większe było podekscytowanie taksówkarza, tym wolniej jechaliśmy. Gdy mijaliśmy Saverio, stuletnią lodziarnię, którą kilka miesięcy temu pokazał mi inny kierowca, uświadomiłam sobie, że trafiliśmy do Caballito, dzielnicy zamieszkałej przez klasę średnią, znajdującej się w geograficznym centrum Buenos Aires. Ślinka napłynęła mi do ust na samo wspomnienie *ristretto granizado* (lodów o smaku espresso z kawałkami słodko-gorzkiej czekolady). Joshua podrapał się po głowie długopisem.

Taksówkarz otworzył portfel i wyciągnął z niego zdjęcie.

– Spójrzcie na nią! – powiedział, unosząc pogniecioną fotografię małej dziewczynki z kręconymi, kasztanowymi włosami, która wyglądała na jakieś trzy lata. – To Lola. Moja wnuczka. – Podał mi zdjęcie, abym mogła podziwiać je z bliska, ale zanim zdążyłam o nim cokolwiek powiedzieć, zagłębił się w opowieść o porażce swojego zakładu produkującego drzwi garażowe w latach osiemdziesiątych. – Wszystko przez inflację – pociągnął nosem. – Nic nie można było na to poradzić. – Właśnie wtedy zaczął jeździć taksówką. Wysłał wszystkie trzy córki na studia dzięki pensji kierowcy i wszystkie trzy odniosły sukces.

– Musi pan być bardzo dumny. – Uśmiechnęłam się. Nadal trzymałam w dłoni zdjęcie Loli. – Jest śliczna! – Pokazałam zdjęcie Joshui, który kiwnął głową, jak zawsze uprzejmy i opanowany. Skoro Lola, która naprawdę była śliczna, nie mogła zmieknąć jego powściągliwości, to chyba nic nie mogło. Oddałam zdjęcie taksówkarzowi. Ucałował je.

– Owszem – przyznał. – Ale wie pani, z czego jestem najbardziej dumny? Z tego, że wyrosły na dobrych ludzi.

Joshua opuścił notes i ponownie spojrzął na zegarek. Nie byłam pewna, ile czasu minęło od momentu, w którym wsiedliśmy do taksówki na Rivadavia i Medrano. Tak czy siak, cały urok, swoboda i wiara w los, jakie zdobyłam podczas taksówkarskich przygód, zniknęły w obecności reportera. Gdybym była sama, nie martwiłabym się zbytnio, dokąd jadę – nadal nie miałam o tym pojęcia – ani tym, jak bardzo byłam głodna.

Taksówkarz zatrzymał się w końcu na rogu Avenida Pedro Goyena i Avenida Moreno, pod drugiej stronie drogi, przy której znajdowała się restauracja o nazwie Tía Susanita, gdzie spora grupa ludzi stała w kolejce pod turkusowym neonem.

– Skąd wiadomo, że to miejsce jest takie dobre? – zagadnął kierowca, kiwając głową przez okno i przeczesując wąsy kciukiem. – Stąd, że zawsze czekają tu tłumy.

Zaufałam mu. Byłam pod takim wrażeniem jego uroku osobistego, że nie zadałam mu żadnych pytań, których nauczyłam się po prawie dwóch latach weryfikowania kulinarnych rekomendacji napotkanych kierowców. Nie spytałam, jak znalazł to miejsce ani kiedy jadł tu po raz ostatni.

Joshua pstryknął kilka zdjęć i poprosił kierowcę, aby przeliterował swoje nazwisko, prawie się uśmiechając, gdy powiedzieliśmy *gracias* i pożegnaliśmy się, po czym weszliśmy do restauracji.

Usiłowałam nie zwracać uwagi na białe obrusy – taksówkarze nie mieli w zwyczaju podrzucać mnie do knajp z białymi obrusami – i miałam nadzieję, że to nie jest zły omen. Spojrzałam na młode pary trzymające się za ręce, na pary z wieloletnim stażem ignorujące się wzajemnie, na czarnowłose niemowlę zgniatające w malutkich piąstkach tłuczone ziemniaki, lecz ich twarze nie podsuwały mi żadnych wskazówek co do ich sądów o jedzeniu w Tía Susanita. Zauważyłam kelnera w muszce niosącego sałatkę ze świeżą bazylią.

– Dobry znak – powiedziała Joshui. Nieczęsto miałam okazję widzieć w Buenos Aires świeże zioła. Było to również miasto, w którym ludzie w autobusach odsuwali się ode mnie, gdy zjadłam zaledwie jeden ząbek czosnku. Gdy otworzyłam oprawione w skórę menu, w oczy rzucił mi się wędzony pstrąg oraz małże – i wtedy zdałam sobie sprawę, że zapomniałam spytać taksówkarza o jego ulubione danie.

– Wygląda obiecująco – powiedziała, studiując menu i próbując odprężyć się nieco przy woni smażonych kalmarów rozchodzącej się po sali, oraz nie dopuścić do tego, by Joshua zobaczył, jak krępujące było siedzenie naprzeciwko niego ze złożonymi przy twarzy rękami, które miały zasłonić przyszc.

Zostawił swoje menu na stoliku, odgarnął grzywkę znad okularów i powiedział, że to ja powinnam wybrać wszystko, co dzisiaj zjemy.

– Czy jest coś, czego nie jesz?

– Zamów to, co wydaje ci się najlepsze.

„Dobry Boże”.

Menu opierało się głównie na owocach morza, jednak Buenos Aires, jak zdążyłam się przekonać po kilku kosztownych próbach, nie należało do miast serwujących dobre ryby. Owszem, graniczy z Río de la Plata, gigantycznym ujściem rzeki tworzącym część granicy między Argentyną i Urugwajem, jednak miłośnicy ryb wiedzieli, że owoce morza należało jeść w okolicach urugwajskiej części rzeki, gdzie wody były czystsze. Przez wzgląd na żołądek swój i Joshui – który musiał być tak samo głodny, jak ja – miałam nadzieję, że Tía Susanita okaże się wyjątkiem na mapie Buenos i że serwowane tu owoce morza będą naprawdę smaczne.

„Zamówiła smażone kalmary – napisał Joshua w artykule, który ukazał się pięć dni później – oraz przystawkę w postaci podsmażanych krótko grzybów z prosciutto i jajkiem, których smak podsumowała, mówiąc: «Nie zamówię ich ponownie». Żadna z potraw ani wystrój oparty na dziwnych olejnych obrazach łodzi i skrzypiec nie były szczególnie wyszukane...”.

– Jak mogłam popełnić tak podstawowy błąd? Dlaczego nie upewniłam się, że zjemy w miejscu, w którym taksówkarz już wcześniej był? Ale ze mnie idiotka!

– Przecież jesteś na pierwszej stronie! – zawołała mama. Odsunęłam słuchawki od uszu. Miała głos, który nadawał się do teatru albo na kościelną ambonę, szczególnie gdy była czymś podekscytowana.

– Mamo, nie na pierwszej stronie, tylko w sekcji na pierwszej stronie...

– Twoje cytaty są naprawdę świetne. Prawda, Leroy?

– Są świetne, kochanie! – powiedział tata.

– A zdjęcie nie jest takie złe. Ten reporter oddał ci wielką przysługę. Mówiłaś, że był uroczy?

– Tak, mamo, bardzo uroczy. Ale nie jest mną zainteresowany.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem. – Joshua był bardzo uprzejmy i nic poza tym, odpowiadając na e-mail, w którym dziękowałam mu za dołączenie do mojej wyprawy. – W dodatku prawdopodobnie zostanie przeniesiony do Afganistanu.

– Och! No cóż. A o co chodzi z tym Nowym Jorkiem?

Joshua kompletnie mnie zaskoczył, pytając o przyszłość bloga. Nie wiedziałam, dokąd prowadzą moje wyprawy, ale część mnie miała nadzieję, że do miejsca, w którym było coś więcej prócz steku. Kończyły mi się już przymiotniki do opisywania *bifes*, na które niemal zawsze namawiali mnie kierowcy. Nie wspominając już o tym, że zgromadziłam siedemnaście pieczętek TOURISTA 90 DIAS w swoim paszporcie – Urząd do Spraw Imigracji w każdej chwili mógł przestać wierzyć w to, że jestem turystką, i odmówić wjazdu na teren Argentyny przy kolejnym powrocie z wypadu do Urugwaju.

Nowy Jork był pierwszym miejscem, jakie przyszło mi na myśl, gdy zaczęłam się zastanawiać, dokąd pojechać w następnej kolejności. Po pierwsze, mówiłam po angielsku. Po drugie, miasto skupiało największą na świecie liczbę taksówek. Z tego, co wiedziałam, nawet w Londynie taksówki nie były tak zrośniętym z krajobrazem symbolem. Zaczęłam rozważać ten pomysł na poważnie, gdy pewna osoba czytująca mój blog wysłała mi artykuł z „National Geographic Traveller” o grupie Szerpów z Nepalu, którzy prowadzili żółte taksówki w Nowym Jorku. („Taksówkarze są zdania, że góry i ruch uliczny wymagają cierpliwości rodem z filozofii zen, więc zaadaptowanie się wcale nie było takie trudne”). W Tía Susanita po paru kęsach grzybów, które smakowały, jakby zostały podsmażone na starym tłuszczu, powiedziałam Joshui o jeżdżących taksówkami Szerpach i o tym, że zaczęłam marzyć, by odnaleźć ich i wypytać o najlepsze lokale, w których można było zjeść *momos* (nepalsko-tybetańskie pierogi). Zanim doszliśmy do głównego dania – wyschniętego kawałka pstrąga pod stertą białych mały – wyznałam, że chciałabym spróbować kolejnych taksówkarskich przygód w Nowym Jorku (mimo sprzedawanych tam na ulicy *tacos*). Nawet bardziej niż w Hongkongu, Rzymie i Meksyku.

– Taksówkarze pochodzą z każdego miejsca na świecie – powiedziałam rodzicom, parafrazując to, co Joshua napisał w artykule. – Nowy Jork ma prawdopodobnie najlepiej rozwiniętą kulturę taxi na Ziemi. I to jedzenie! Jedzenie na pewno będzie niesamowite!

– A co z tangiem? – spytała mama. – Czy w Nowym Jorku mają lekcje tanga?

– Oczywiście, że tak. – Obraz milongi gdzieś w Central Parku zaczął formować się w moim umyśle. – Choć to pewnie nie to samo.

KOTY W JARDÍN BOTÁNICO UCIEKAŁY NAM Z DROGI, gdy Liliana i ja przechodziłyśmy obok kępy paproci i bromelii. Opowiadałam jej o kobiecie, która poprzedniego dnia siedziała obok mnie w metrze.

– Gdy wyjęłam książkę, spytała mnie, co czytam. To była *Księga śmiechu i zapomnienia...*

Liliana szczerzej otuliła ramiona szalem.

– Spytała, czy lubię Kunderę – ciągnęłam. – Powiedziała, że koniecznie muszę przeczytać *Żart*, jego pierwszą powieść, oraz *Powolność*. Chwilę później wysiadła już z metra. „Wybacz, ale muszę iść – powiedziała. – „Gotuję gulasz z soczewicy!”. Dasz wiarę?

Liliana wzruszyła ramionami.

– Są lepsi pisarze – odparła. – Kundera w kółko pisze tę samą książkę.

– *Bueno, puede ser*. Okej, może i masz rację. Ale nadal nie mogę uwierzyć, jak bardzo ludzie uwielbiają tutaj czytać. Więcej dowiedziałam się o literaturze od Argentyńczyków niż w szkole.

– *Bueno, puede ser*. – Znów wzruszyła ramionami. – Ale nadal nie możemy wypożyczać książek z bibliotek. A wiesz dlaczego? Bo nikt nigdy ich nie zwraca.

Spojrzała na drzewo *palo borracho*, którego gałęzie były pokryte kolcami w kolorze błota, i podeszła do drewnianej ławki, gdzie na oparciu wisiała sekcja *Espectáculos* z gazety „La Nación”. Usiadłyśmy i kontynuowałyśmy rozmowę, próbując rozładować napięcie obecne w naszym milczeniu.

Opowiedziałam jej o taksówkarzach, których udało mi się spotkać od czasu wyprawy z reporterem z „Washington Post”.

– Ostatni, Jorge, miał figurkę smerfa przyklejoną do przedniej szyby. Jego ulubionym daniem jest pizza z szynką i pieprzem w La Continental. Przed nim poznałam Estebana, który nosił kolczyki z cyrkoniami. – Pociągnęłam za płatek ucha. Liliana uśmiechnęła się, starając się odwzajemnić mój entuzjazm. – Spodobałby ci się. Chodził na terapię, ale przerzucił się na ogrodnictwo. Twierdzi, że to działa tak samo dobrze jak terapia, tyle że jest tańsze. Czy to nie świetne? Tak czy inaczej, powiedział mi, że w Punto y Banca mają naprawdę dobre *empanadas*. Spróbowałam, okazuje się, że dobre są tylko te smażone...

– *Entonces te vas de Buenos Aires*. A zatem wyjeżdżasz – odezwała się Liliana. Poczulałam ściskanie w dołku. Liliana pociągnęła za końce szala. – Jesteś pewna, że chcesz wyjechać?

Skrzyżowałam ręce na brzuchu, słuchając szumu samochodów dobiegającego zza drzew. Stado gołębi wylądowało kilka metrów od nas, dziobiąc resztki pierożka *medialuna* i zmieniając je w okruszki.

– Masz zamiar powiedzieć o tym Joaquínowi?

Oparłam łokcie na kolanach i utkwiałam wzrok w gołębiach. Według wiadomości z masowej poczty elektronicznej, przesłanej dwa tygodnie temu, Joaquín był na tournée w Australii ze swoją nową partnerką. Liliana wiedziała, że nadal o nim myślałam, nawet po tak długim czasie.

Jednak po tym, jak rozpoczęłam taksówkarskie przygody, moje uczucia względem niego zaczęły się zmieniać. Był teraz bardziej niepoprawnym *milonguero* niż starym przyjacielem czy utalentowanym nauczycielem. Zauważyłam też, choć z bólem, że to on zaszczerpił w moim umyśle metafory leżące u podstaw mojego projektu: „przetańcz pauzę”, „daj się ponieść muzyce”, „co złego w tym, że człowiek nie wie, dokąd zmierza?”. To dzięki niemu, wszystkim popołudniom spędzonym w Tango Escuela Carlos Copello oraz nocom przechodzącym w poranki na *milonga* potrafiłam walczyć z wątpliwościami i dalej łąpałam taksówki, i zawierałam swój kulinarny los w ręce osób, których nigdy wcześniej nie spotkałam.

Mimo to nie miałam zamiaru informować go, że wyjeżdżam.

Tamtego wieczora zawlokłam się do La Viruta o trzeciej nad ranem, aby potańczyć tango, obawiając się i jednocześnie mając nadzieję, że wpadnę na Joaquína, choć wiedziałam, że dzielił nas ocean. Zakładając buty do tanga, pomyślałam o Lilianie. „Możesz tańczyć tango w dowolnym mieście na świecie – rzekła, gdy opuszczałyśmy Jardín Botánico – ale nigdy nie znajdziesz nic, co będzie przypominać *milongas* w Buenos Aires. Ludzie w Nowym Jorku tańczą do *La última curda*, najmroczniejszego z mrocznych tang, ody do alkoholu, śmierci i zapomnienia, z uśmiechami na twarzach!”. Liliana nigdy nie tańczyła tanga w Nowym Jorku, ale to nie miało znaczenia. Zapewne się myliła.

W La Viruta nie było Joaquína, ale był za to mężczyzna po czterdziestce, z włosami związanymi w kucyk i skórzaną saszetką na biodrze. Gdy weszłam z nim na parkiet, objął mnie tak mocno, że ledwie mogłam ruszać nogami. A kiedy zauważył, że jestem zagubiona i nie potrafię dostosować się do jego prowadzenia – minęło wiele miesięcy od mojego ostatniego tanga i to było widać – zaczął mówić mi, co mam robić:

– Nie śpiesz się. Zrób *ocho*. Tak! A teraz obrót.

Po pierwszej piosence wyciągnął ze swojej skórzanej saszetki telefon.

– Muszę zadzwonić – powiedział i szedł z parkietu.

Byłam zdruzgotana. Na milondze tradycją było zatańczyć *tanda* (zestaw kilku utworów) do samego końca, wkładając w to całe swoje serce, bez względu na to, jak wyglądał czy pachniał twój partner. Liliana nauczyła mnie kiedyś, że „*tanda* wolno przerwać wyłącznie w ekstremalnych okolicznościach. Na przykład gdy twój partner jest pijany albo właśnie ma zawał serca”.

Opuściłam La Viruta, choć moją zasadą było nigdy nie wychodzić z milongi po złej *tandzie*, i wskoczyłam do taksówki, zapominając, że mam przy sobie tylko pięćdziesiąt peso. Gdy podjechaliśmy pod budynek, w którym mieściło się moje mieszkanie, taksówkarz nie mógł wydać mi reszty.

Zaoferowałam mu trzy pesos, które znalazłam na dnie torebki, ale kurs kosztował sześć. Kierowca odmówił i musieliśmy poszukać miejsca, w którym udałoby mi się rozmienić pieniądze. Powiedział, że od razu powinnam go była uprzedzić, że mam przy sobie tylko duże nominały. Dochodziła piąta rano. Niby gdzie mielibyśmy rozmienić pieniądze?

– To pański biznes – stwierdziłam. Nie miałam już cierpliwości do Wielkiego Braku Drobnych w Buenos Aires. – To pańskim obowiązkiem jest wydać resztę.

– A pani jest teraz w moim kraju – odparł, a jego pełne usta nagle zacisnęły się w wąską kreskę. – Musi pani szanować zasady mojego zawodu. Nie pani zasady, tylko moje.

Czułam, jak twarz mi płonie. Byłam o krok od niewybaczalnej zniewagi. Wysiadłam z taksówki i trzasnęłam drzwiczkami, gryząc wewnętrzną stronę policzków tak mocno, aż poczułam posmak krwi, i cisnęłam trzy pesos na siedzenie pasażera, odchodząc.

– ¡Estafadora! – wrzasnęła za mną taksówkarz. Oszustka! – ¡Estafadora de mierda!
Pokręciłam głową, myśląc sobie: „Miasto mówi mi, że czas odejść”.

Kilka dni później podjęłam kolejną próbę. Mogłam opuścić milongę po fatalnej *tanda*, ale nie mogłam opuścić Buenos Aires po fatalnej przejażdżce taksówką. Gdy wgramoliłam się do auta na Calle Arenales, od razu zauważyłam, że kierowca był cały siwy – miał siwą bluzę dresową, siwe, sprane džinsy i krótkie, gęste, kręcone siwe włosy. Kolejną rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy po przejechaniu jakichś dwóch przecznic, był fakt, że kierowcą była kobieta.

– Ludzie wołają kobiety za kierownicą – powiedziała znudzonym, szorstkim tonem, który sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, jak często musiała użerać się z zaskoczeniem pasażerów. – Nie narzekamy jak mężczyźni i jesteśmy dużo spokojniejsze.

Miałam nadzieję, że uda mi się spotkać kobietę za kierownicą, od kiedy dwa lata temu rozpoczęłam swoją przygodę. Jednak przez cały ten czas nie natknęłam się na ani jedną taksówkarkę. Taksówkarki stały się dla mnie mitem, mało prawdopodobnym zjawiskiem w mieście słynącym ze swojej przesadnej męskości. Owszem, w 2007 roku Argentyna wybrała kobietę na prezydenta, ale objęcie urzędu przez Cristinę Fernández de Kirchner nie przyczyniło się do zmiany postrzegania roli kobiet. Owszem, społeczeństwo Argentyny szanowało kobiety – w jakim innym miejscu na świecie supermarkety miały kasy pierwszeństwa dla kobiet w ciąży? – lecz nadal był to kraj, w którym dziewczęta uczyły się baletu, a chłopcy grali w piłkę nożną. Skoro prowadzenie taksówki w Buenos Aires można było określić jako odważne, to prowadzenie taksówki jako kobieta było czynem heroicznym.

– Mężczyźni wsiadają i milczą – powiedziała taksówkarka. – Ale przyłapuję ich, jak gapią się na moje stopy. Chcą widzieć, jak prowadzę. Ale to kobiety denerwują mnie bardziej. Któregoś razu wsiadła jakaś i spytała: „Czy ma pani dzieci? Jak może prowadzić pani taksówkę, skoro dzieci czekają na panią w domu?”. – Przewróciła oczami. – Powiedziałam jej, że będzie lepiej, jeśli złapie inną taksówkę.

Zatrzymałyśmy się na czerwonym świetle na Calle Paraguay, a do taksówki podszedł chłopiec o zapadniętych policzkach z brudną wycieraczką do szyb, wpatrując się w taksówkarkę, zastanawiając się, czy da mu coś w zamian za umycie szyb. Kobieta kiwnęła głową, a chłopak umył przednią szybę szybkimi, nierównymi pociągnięciami wycieraczki, stojąc na palcach. Gdy zmieniało się światło, kobieta spuściła szybę i wręczyła mu dwa pesos. Woda ściekała po szybie brudnymi strumyczkami, gdy przyśpieszyła.

– Prowadzenie taksówki albo się kocha, albo nienawidzi. Nie ma niczego pośrodku.

– ¿Y usted? – spytałam. – Kocha to pani czy nienawidzi?

– Sądzi pani, że siedziałabym tu, gdybym nienawidziła?

Była zdecydowana i niezłomna, co bardzo mi się podobało, choć nieco zbijało z pantafyku. Zaczęłam się zastanawiać, czy była taka już wcześniej, czy to prowadzenie taksówki tak ją zahartowało. Praktycznie każdy napotkany przeze mnie taksówkarz w Buenos Aires co najmniej raz został swego czasu obrabowany lub grożono mu bronią.

– Dokąd chce pani pojechać? – spytała.

– Uhm – odchrząknęłam. – Przepraszam. Byłoby świetnie – zaczęłam – gdyby mogła mnie pani zawieźć do swojej ulubionej restauracji...

– Co takiego?

Zatrzymała się za stojącym na jałowym biegu autobusie.

– Może do miejsca, w którym lubi pani jeść z rodziną?

Sięgnęła do przegródki na drzwiach od strony kierowcy i wyciągnęła paczkę lucky strike'ów.

– Będzie pani przeszkadzać, jak zapalę?

– Nie. Śmiało, proszę.

Podążyłam za jej wzrokiem. Wpatrywała się w kobietę siedzącą po turecku na chodniku obok przystanku autobusowego, otoczoną rzędami etui na telefon w zwierzęce wzory. Jak wiele z nich sprzedawała w ciągu dnia? Przejechaliśmy przez Avenida Córdoba.

– Spiagge di Napoli – powiedziała taksówkarka z niezapalonym papierosem dyndającym z ust.

– ¿Cómo?

– Spiagge di Napoli. Czasami zabieram tam swoją wnuczkę.

– Och, słyszałam o tym miejscu!

– Oczywiście, że pani słyszała. Jest naprawdę dobre! – Przechyliła głowę w stronę lusterka. Kolejna taksówka zajmowała miejsce niewidoczne dla niej jako kierowcy. – Chodziłam tam ze swoją córką.

– ¿Ah, sí? – Pragnęłam podtrzymać naszą rozmowę, więc zadałam pytanie, które zadawałam zawsze, gdy ludzie mówili mi, że mają dzieci. – Ile lat ma pani córka?

Taksówkarka wyjęła papieros z ust.

– Ona nie żyje.

Zamknęłam oczy.

– Tak mi przykro.

– Umarła pięć lat temu.

– Ja...

– Nie mogła pani o tym wiedzieć.

Złączyłam dłonie i wbiłam wzrok w kolana. Nie mówiłyśmy nic przez kilka ulic. Minęłyśmy Avenida Rivadavia. Ruch uliczny zaniknął, a liście z wyglądających na chore platanów zatykały rynsztoki.

– Czasem zabieram tam nawet swoją prawnuczkę. Ma dwa lata.

– Do Spiagge di Napoli?

– Sí. – Wetknęła papieros za ucho. – Doprowadza mnie do szau. Ma na imię Jazmín. – Pokiwała głową, jakby była zirytowana, ale nie do końca. – Mam też dwie wnuczki. Nastolatki. Mieszkają ze mną.

Zatrzymałyśmy się przed markizą ze znaczkiem Coca-Coli. Wyłączyła licznik, przerzucając się na światła awaryjne, gdy wręczyłam jej pieniądze.

– Tak na marginesie – dodała, parkując taksówkę – jestem Mabel. – Byłam zaskoczona, gdy wysiadła razem ze mną. – Chodź – powiedziała, przywołując mnie machnięciem ręki. Była taka malutka, że gdybym zmrużyła oczy, uznałabym, że chodzi do podstawówki. – Przedstawię cię kierownikowi.

Mabel przytrzymała drzwi do Spiagge di Napoli, szklane drzwi ozdobione koronkowymi zasłonami. Ludzie spojrzeli na nas, gdy weszliśmy do sali. Był to pierwszy raz, gdy taksówkarz wszedł do restauracji razem ze mną. Poszłam za nią tak, jakby prowadziła mnie po czerwonym dywanie, uśmiechając się szeroko do nikogo konkretnego.

– Proszę posadzić ją przy ładnym stoliku – poinstruowała Mabel mężczyznę z menu pod pachą, który stał pod dyndającymi z sufitu salami – i porządnie o nią zadbać.

Mężczyzna zaprowadził nas do stolika w rogu pod drewnianą półką uginającą się pod ciężarem butelek wina.

– Powinnaś zamówić *rabas* – powiedziała Mabel – oraz *sorrentinos*. Moja córka je lubiła.

Chciałam ją uściskać, ale zamiast tego podziękowałam, choć miałam wrażenie, że to za mało.

– *Que la disfrutes* – rzuciła na koniec. Smacznego. Wyszła z restauracji z rękami w kieszeniach, nie oglądając się za siebie.



Na ścianach Spiagge di Napoli wisały zdjęcia rodzinne z czterech pokoleń oraz szyld z napisem SALÓN PARA FAMILIAS. Każdy stół był przykryty obrusem w czerwonej kratę i prawie każdy w mieszczącej około setki miejsc sali jadalnej był zajęty przez Argentyńczyków w przedziale wiekowym od siedmiu do siedemdziesięciu lat.

– Naszą specjalnością są makarony – poinformował mnie kelner w zapinanej na guziki kamizelce, wręczając mi obciążone winylem menu. – Wszystkie są wyrabiane na miejscu. – A według tego, co napisano na okładce, wyrabiano je tu od 1962 roku.

Kelner przyniósł polecane przez Mabel *rabas* (idealnie chrupiące krążki z kałamarnicy usmażone w lekkim, podobnym do tempury cieście) oraz *sorrentinos* (okrągłe wianuszki makaronu nadziewane mozzarellą i świeżą bazylią polane sosem *puttanesca*) w kilka minut po złożeniu zamówienia. Makaron został ugotowany *al dente*. Zadbano o to, aby nie utopić go w sosie z kaparów, czosnku i anchois. W miarę jedzenia, gdy już zaczynałam żałować, że nie będę miała czasu, aby tu wrócić, do restauracji wtoczyła się kobieta w czarnym futrze sięgającym ziemi i ciemnych okularach, z kasztanowatymi włosami upiętymi w wysoki kok na czubku głowy przypominający wieżę z waty cukrowej. Kelner w zapinanej kamizelce pośpieszył w jej stronę, a ona wyciągnęła dłoń i pozwoliła poprowadzić się do stolika obok lodówki z deserami.

„Miasto mówi mi, że czas odejść”, pomyślałam, przyglądając się, jak kobieta wita się po imieniu z każdym członkiem obsługi w trakcie swojego wielkiego wejścia. Nie znaczy to jednak, że miasto nie przypomni wam, dlaczego się w nim zakochaliście.

Gdy kilka godzin później Liliana i ja pojawiłyśmy się na milondze w Salón Canning, pary zamknięte w uścisku – mężczyźni w ciemnych garniturach, kobiety w błyszczących, odsłaniających plecy sukienkach – poruszały się po parkiecie przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, kelnerzy biegali w tę i z powrotem, balansując butelkami szampana na małych tacach, a dyskotekowa kula zdawała się tłumić swój blask w mrocznym świetle. „Dlaczego – pomyślałam, rozglądając się po sali – opuszczam to piękne miejsce?”.

Nie miałam ochoty tańczyć. Wpatrywałam się w parkiet, obserwując Lilianę tańczącą tango za tangiem. Praktycznie nie miała okazji usiąść między *tandas*. Mężczyźni całowali jej dłoń, gdy eskortowali ją z powrotem do jej krzesła, lecz wstawała z niego w mgnieniu oka, jak tylko zaczynała grać muzyka. Czułam jej uścisk za każdym razem, gdy witała się ze mną i zęgnała, i doskonale rozumiałam, dlaczego wszyscy chcieli z nią tańczyć. Była piękna i była blondynką, lecz nie najpiękniejszą i nie jedyną. Była dobrą tancerką, lecz nie najlepszą. Tym, co mężczyźni znajdowali w jej ramionach, był nieujarzmiony zapał. Pragnęli z nią tańczyć, ponieważ była, jak to sama kiedyś określiła, *una persona que es fiel a lo que se siente* – osobą, która jest wierna temu, co czuje.

– ¿*Bailás?*

Julio, który był po siedemdziesiątce i nosił ten sam wyblakły, granatowy garnitur na każdej milondze w mieście, pochylał się nad moim krzesłem, szepcząc mi do ucha. Zawsze prosił mnie do tańca, nie licząc wieczorów, gdy byłam z Joaquínem. Ja również lubiałam z nim tańczyć, choć trzęsy mu się dłonie i tak naprawdę jedynym, co robiliśmy na parkiecie, było dreptanie w rytm muzyki. Julio był architektem, o czym poinformował mnie za pierwszym razem – i za każdym innym – gdy tańczyliśmy. Rozwiódł się ze swoją żoną, o czym przypomniał mi z dumą, ponieważ nie tolerowała jego uzależnienia od tango.

– ¿*Y? Qué hace tu tanguero?* – spytał Julio. No i jak? Co porabia twój partner? Nie miało znaczenia, że Joaquín i ja już dawno przestaliśmy się spotykać. Julio pytał o niego przy każdej okazji.

– Nie wiem. – Tak naprawdę wiedziałam. Była niedziela. Gdyby nie tournée po Australii, Joaquín tańczyłby albo brylował na milondze w Porteño y Bailarín.

Pierwszy utwór w zestawie tang Carlosa Di Sarli pełen lotnych skrzypiec i lekkich nut pianina właśnie się zaczynał. Julio ujął moją dłoń, a ja oparłam głowę na jego ramieniu. Jego garnitur pachniał kurzem i szampanem.

Zamknęłam oczy i nie otwierałam ich w ogóle, gdy razem poruszaliśmy się po łagodnej orbicie wokół parkietu.

– Masz lepszą posturę – powiedział przed ostatnią piosenką w *tabla*. – Pamiętam, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Czy to było w La Ideal?

Kiwnęłam głową.

– Twoja postura! Była naprawdę okropna! Teraz trzymasz się prosto. – Przycisnął dłoń do mojego kręgosłupa. – *Más abierta*. – Bardziej otwarta. – *Pero mucho más abierta*.

Zaprowadził mnie na środek parkietu.

– I nie chodzi tylko o parkiet, Luiso Lane. Chodzi o twoje życie. – Znowu zaczęliśmy chodzić w takt muzyki. – ¿*Pero vos ya sabés eso, no cierto?* Ale ty już o tym wiesz, prawda?

Wyszłam z Salón Canning po tangu z Juliem. Liliana pokiwała głową na mój widok. Rozumiała, tak samo jak taksówkarz z plastikową figurką świętego Krzysztofa, patrona podróżników, jedyne go patrona, jakiego znałam, przymocowaną do deski rozdzielczej. Po tym, jak podałam mu swój adres, nie zamieniliśmy już ani słowa, co było dość niezwykle. Jednak cisza nie była krępująca – czułam się tak, jakbyśmy podejmowali wspólną decyzję o zachowaniu milczenia. Ściągając się z nocnymi autobusami na Avenida Santa Fe i słuchając Cyndi Lauper, pragnęłam jechać całą noc i nie myśleć o Nowym Jorku.

CZĘŚĆ
DRUGA

NOWY JORK

A teraz, Joey, opowiem ci co nieco o swoich samotnych wieczorach w Nowym Jorku, o tym, jak przemierzałem Broadway, wchodząc w boczne uliczki, zaglądając do okien i drzwi i zastanawiając się, kiedy, i czy w ogóle, zdarzy się cud.

— HENRY MILLER
Aller Retour New York

– **NIEZŁE MIASTO SOBIE PANI WYBRAŁA** – powiedział taksówkarz, patrząc na mnie we wstecznym lusterku zmrużonymi oczami, jadąc krętą drogą dojazdową prowadzącą z lotniska JFK na autostradę szybkiego ruchu. Włosy o barwie słomy miał tłuste i przylizane, a na jego koszulce widniały plamy potu. – Była pani kiedyś w Nowym Jorku?

– Tylko trzy dni – odparłam. Opuściłam szybę, wystawiając twarz do wiatru. Był czerwiec, a powietrze w taksówce lepiło się jak marmolada. – Ale spędziłam je w łóżku z powodu zatrucia pokarmowego.

– Fúj!

– Nieświeże małże w Little Italy – wyjaśniłam, spoglądając na pomięty skrawek papieru, na którym napisałam swój nowy adres.

– Co?

– Nieświeże małże w Little Italy! – Pochyliłam się do przodu, prawie krzyżąc, aby mógł mnie usłyszeć przez ściankę z pleksiglasu, która oddzielała przednie siedzenia od tylnych.

– Fúj! – powtórzył. – Cóż, jakoś mnie to nie dziwi. W tej dzielnicy jest parę kiepskich restauracji. – Obejrzał się przez ramię, wjeżdżając na pas szybkiego ruchu. – A tak w ogóle to skąd pani pochodzi?

– Tak w ogóle to z Kalifornii – odparłam, zwijając i rozwijając róg świstka między palcami. – Ale przez jakiś czas mieszkałam w Argentynie...

– Argentyna! – gwizdnął taksówkarz. – Zwolennicy Perona wycieli temu krajowi niezły numer, co?

– Moi znajomi też są tego zdania. – Uniosłam brew. – Był pan w Argentynie?

Pokręcił głową.

– Pochodzę z Nowego Orleanu – powiedział. – I lubię czytać.

– *Touché*. – Uśmiechnęłam się. „Oto Nowy Jork”, pomyślałam, tak bardzo połączony z resztą świata, że może uda mi się uniknąć szoku kulturowego po powrocie. – Jak to możliwe, że nie ma pan akcentu?

– Mieszkam w Nowym Jorku od dwudziestu pięciu lat. Akcent zdążył zniknąć.

Zjechał z autostrady. Słońce zachodziło za małą restauracją o nazwie Neptune. Kilka budynków dalej dostrzegłam przepalone litery na środku neonowego szyldu sklepu spożywczego.

– Pierwszy raz jadę taksówką po Nowym Jorku – powiedziałam, próbując wygładzić skrawek papieru z nowym adresem, który był teraz ledwie czytelny.

– Ha! – powiedział taksówkarz. – Mam nadzieję, że wywarłem na pani dobre wrażenie.

Było już praktycznie ciemno, gdy wysadził mnie przed trzypiętrowym budynkiem mieszkalnym

z cegły, z płaskim dachem, który niczym nie różnił się od sąsiednich zabudowań. Nacisnęłam dzwonek, zaglądając przez szklane drzwi podzielone metalowymi kratkami, usiłując złapać oddech. Uznałam, że żadna dezorientacja nie da się porównać z uczuciem, które towarzyszyło zredukowaniu całego dobytku do rozmiarów jednej walizki i bagażu podręcznego i zjawieniu się w nowym miejscu, w którym twoje życie nie miało ustalonego rytmu, planu, korzeni ani związku z życiem innego człowieka. Tego uczucia zagubienia nie można było obejść, uniknąć ani przemknąć koło niego pędem. Jedyna droga prowadziła prosto przez nie.

Ponownie wcisnęłam dzwonek, wsłuchując się w szum pojazdów na czymś, co prawdopodobnie było mostem Triborough Bridge, pragnąc, aby przestał spływać po mnie pot. Czy trafiłam pod właściwy adres? Wynajęłam pokój w jednej z dzielnic Queens, Astorii, po drugiej stronie cieśniny East River oddzielającej Long Island od Manhattanu, nie oglądając go wcześniej. „Apartament składa się z salonu, łazienki, kuchni oraz przedpokoju z dwoma schowkami”, brzmiało ogłoszenie w internetowym serwisie Craigslist. Będę dzieliła je z wiolonczelistą jazzowym imieniem Jefferson, którego poznałam wyłącznie za pośrednictwem poczty elektronicznej. Dlaczego nie otwierał drzwi? Ponownie sprawdziłam kartkę z adresem. Mój szósty adres w przeciągu czterech lat. Przeprowadzałam się z jednego umeblowanego mieszkania do drugiego, pragnąc wy badać różne dzielnice w Buenos Aires. „Jakie to żenujące – pomyślałam, patrząc na chwasty przedzierające się przez beton pod moją walizką – ciągle szukać nici prowadzącej w głąb labiryntu...”

Możliwe, że nic tam była. Wróciłam myślami do pierwszej wycieczki do Nowego Jorku podczas fatalnego semestru na studiach podyplomowych w New Jersey. Mimo zepsutych małży byłam zachwycona, kupując mango od ulicznego sprzedawcy z wózkiem na Broadwayu, słuchając bębniarzy grających na wiadrach na Times Square i śmiejąc się z szyldu sprzedawcy skórzanych pasków na Canal Street (SPODNIĘ DO GÓRY: 3 DOLARY). Miasto było wspaniałe, olbrzymie i rozległe, dumnie wypinało pierś ku niebu, jak wysoka osoba o idealnej sylwetce. Na chodnikach panowała swoista gorączkowa energia. Nawet zapachy – hot dogów, moczu, kebabów, kuminu, drogich i tanich perfum – zdawały się przemieszczać z dziką prędkością. A do tego wszystkiego dochodził dający wiele do myślenia przekaz nowojorczyków, z którymi udało mi się porozmawiać: mieszkanie w tym mieście było prawdziwym osiągnięciem, przywilejem, na który należało sobie zasłużyć.

Mamie i tacie opisałam je jako „zniewalające”. Obiecałam sobie, że któregoś dnia na pewno tu wrócę.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, jak bardzo samotna (nie miałam tu żadnych przyjaciół), uboga (stanowisko edytorskie znalezione przez internet oraz obsługa klienta w argentyńskiej firmie ledwie starczały na opłacenie rachunków) i pełna niepokoju będę, gdy już dotrę na miejsce, czekając, aż obcy facet otworzy mi drzwi.

– Większość taksówkarzy mieszka w Queens – powiedziała para nowojorczyków spotkana w Buenos Aires, która skontaktowała się ze mną za pośrednictwem bloga. Ona pracowała jako rysowniczką dla „New Yorkera” i miała cerę jak z obrazów Botticellego. On zajmował się pisanem scenariuszy. Dziesięć lat mieszkali na Greenpoincie, na Brooklynie. – Queens jest pełna niewielkich, kulinarnych dzielnic różnych tradycji, których nie ma już na Manhattanie – mówili. – Właśnie tam powinnaś zamieszkać.

Prawie rozplakałam się, czując ulgę, gdy Jefferson, łysiejący facet z wielkim brzuchem, ubrany w lniany kaftan i mierzący ponad metr osiemdziesiąt, otworzył w końcu drzwi.

– Layne?

Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, nie byłam w stanie powiedzieć, czy mam na rękach swój pot, czy jego. Wziął moją walizkę i wniósł ją na górę po trzech piętrach brudnych schodów, po których wspinaliśmy się w milczeniu, stawiając stopy w zagłębieniach pośrodku stopni. Im wyżej byliśmy, tym ciemniejsze robiły się światła. Gdy otworzył drzwi do mieszkania, uderzyła mnie fala gorącego, ciężkiego powietrza cuchnącego surową cebulą. Kiedy zaprowadził mnie do mojego pokoju – z popękany, nasiąknięty wodą sufitem, w którym większość miejsca zajmowały biurko z Ikei i kanapa z cienkim, poplamionym materacem stojące na krzywej, drewnianej podłodze – jedyną rzeczą, jaką czułam, był strach.

– No dobra – powiedział Jefferson. – Gotowe. Witaj na miejscu.

Po czym poszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Gdy obudziłam się następnego ranka, Jeffersona nie było w domu. „Dobry Boże” wystarczyło za cały mój komentarz, gdy obejrzałam mieszkanie w świetle dnia. Salon, pusty, nie licząc kanapy w żółtą kratę i skórzanego, niegdyś czarnego fotela, który wyblakł i zrobił się szary, przykrywała warstwa kilkuletniego kurzu. Farba odłaziła z sufitu w łazience jak martwy naskórek po poparzeniu słonecznym. Kwiaty bluszczu kisły się w wazonach ze śmierdzącą wodą na parapecie w kuchni, gdzie warstwy brudu i oleju pokrywały kuchenkę i okap. W każdym kącie każdego pomieszczenia znajdowała się wylęgarnia karaluchów.

– Dobry Boże – powtórzyłam, odkurzając, kichając i rozpakowując się. Wyciągnęłam esej *Here Is New York* autorstwa E. B. White’a, odę z końca lat czterdziestych, przepelnioną fascynacją do tego miasta, napisaną „w ponadtrzydziestostopniowym upale, w dusznym pokoju hotelowym mieszczącym się w połowie szybu wentylacyjnego, gdzieś w samym środku miasta”. Przypomniałam sobie, że jego warunki sprawiały wrażenie nieco gorszych, a przynajmniej bardziej klaustrofobicznych od moich, i to do niego należały słowa, których uczepliłam się podczas swojej pierwszej, bezsennej nocy w Queens.

Istnieją trzy Nowe Jorki. Po pierwsze, Nowy Jork kobiet i mężczyzn urodzonych w tym mieście, którzy biorą je za pewnik i akceptują rozmiar i ruch miasta jako jego naturalny i nieodłączny element. Po drugie, Nowy Jork dojeżdżających – co dzień pożerany przez szarańczę i co noc przez nią wypluwany. Po trzecie, Nowy Jork ludzi, którzy urodzili się gdzieś indziej i przyjechali tu w poszukiwaniu czegoś. Najlepszym ze wszystkich tych drżących miast jest ostatnie.

Skończyłam się rozpakowywać. Żołądek burczał mi z głodu, gdy napisałam ponury raport dla argentyńskiej firmy o naszym kliencie w Rzymie, największym odbiorcy usług satelitarnych. „Satysfakcja na najniższym z zanotowanych dotychczas poziomie. Spotkanie z dyrektorem generalnym w marcu nie przyniosło oczekiwanych rezultatów odnośnie do dystrybucji części zamiennych...”. Utkwiłam wzrok w migającym kursorze, wracając myślami do opisów chińskiej kuchni Ruth Reichl w dzielnicy Flushing, które doprowadzały mnie do szału, gdy czytałam je w Buenos Aires, nie mogąc znaleźć niczego, co byłoby chociaż zbliżone do wędzonej ryby z anyżem gwiazdzistym, pijanych krabów, placków z białej rzepy albo domowych pierożków z zupą w środku, typowych dla kuchni Szanghaju. Teraz to wszystko było w zasięgu ręki. Zamknęłam laptop i schowałam do torebki *Here Is New York*, notes oraz paczkę migdałów,

pozostałość po podróży samolotem.

W metrze próbowałam zachować entuzjazm i wycofać w świat fantazji o chińskiej kuchni, gdy pociąg numer 7 oddalał się od srebrzystego Manhattanu i zagłębiał w szarą monotonię płaskiego miasta (czy to nie Kerouac powiedział kiedyś, że Wschód miał w sobie coś świętego?). Za każdym razem, gdy zatrzymywaliśmy się na stacji, potworny zgrzyt pociągu wyrывał mnie z zamyślenia, tak samo jak wyrazy twarzy moich współpasażerów. Twórca filmowy, którego spotkałam w Buenos Aires, powiedział mi kiedyś, że można dostrzec sens miasta, jego prawdę i nastroje, jeśli człowiek przyjrzy się twarzom ludzi niezdających sobie sprawy z tego, że są obserwowani. W pociągu numer 7 oczy ludzi, które nie były zamknięte, przepełniały zmęczenie lub wściekłość, usta były ściągnięte, a czoła poprzecinane bruzdami melancholii.

Mżyło, gdy dotarłam do Flushing, podmuchy wiatru zwiewały krople deszczu na boki. Ubrałam się zgodnie z wczorajszą prognozą pogody zapowiadającą upał, więc miałam gołe ręce. Stojąc wygłodniała na skrzyżowaniu Main Street i Roosevelt Avenue i wpatrując się w witryny sklepów ze znakami po angielsku i mandaryńsku (a może to był koreański? Albo oba?), pożałowałam, że nie zabrałam ze sobą kurtki.

„Gdzie się podziały wszystkie taksówki?“, pomyślałam, wciskając głowę między ramiona. Gdy przyjechałam do Nowego Jorku po raz pierwszy, co drugi samochód był żółtą taksówką – a teraz nie widziałam ani jednej. Błąkałam się przez dwadzieścia minut, mijając po drodze Fancy Wave Salon i QQ Fruit and Flower Shop, śliniąc się pod wpływem zapachu imbiru, czosnku i smażonej wieprzowiny, szukając taksówki i uparcie nie chcąc kupić parasolki. Już miałam się poddać, gdy zauważyłam cztery biorące pasażerów na lewo nielegalne taksówki zaparkowane przed New World Mall.

Nie chciałam wsiadać do żadnej z nich. Według rysowniczkii z „New Yorkera” o cerze jak z obrazów Botticellego taksówkom biorącym pasażerów na lewo, limuzynom lub czarnym taksówkom technicznie rzecz biorąc nie wolno było zabierać nikogo z ulicy, a poza tym nie miały liczników. „Jeździsz nimi na własne ryzyko – powiedziała. – W przypadku twojego zajęcia, zdecydowanie powinnaś wziąć żółtą taksówkę”.

Lecz w tej chwili nie mogłam wybrzydzać. Podeszłam do pierwszego pojazdu w rzędzie, czarnego buicka z wgnieceniem na przednim zderzaku. Kierowca opuścił szybę. Był chudym mężczyzną z Południowej Azji, pomarszczonym i wąsatym.

– Moją ulubioną restauracją jest dom – powiedział. – A kiedy nie mogę zjeść w domu, wybieram McDonald’s.

Próbowałam zmusić się do podejścia do samochodu stojącego tuż za nim i przybrać taneczną, życzliwą pozę z rodzaju gotowych na wszystko, której nauczyłam się w tangu. Nie potrafiłam jednak zignorować kwaśnego, rybnego odoru bijącego ze ścieku przed New World Mall ani frustracji płynącej z faktu, że byłam głodna i zagubiona we własnym kraju. Ostatnia „lewa” taksówka w rzędzie zatrąbiła na mnie, gdy odsunęłam się od postoju. Kierowca walnął w klakson z całej siły, a ja potknęłam się, zaskoczona, i wpadłam w torby z zakupami dwóch pań, które wyraziły swoje oburzenie w nieznanym mi języku, jednak wystarczająco dobitnie, abym je zrozumiała.

– Hej – powiedział Jefferson, gdy weszłam do mieszkania. Pochylony nad kuchenką robił pierożki na parze w garnku do makaronu.

Urodził się na Trynidadzie i dorastał w Londynie, a w Nowym Jorku mieszkał od dziesięciu lat. Przyjechał tu, aby studiować muzykę, a teraz był profesjonalnym wiolonczelistą jazzowym. Gdy nie wykładał teorii jazzu w City College, grywał w różnych zespołach w klubach rozsianych po całym mieście i co roku wyjeżdżał w lecie na trasę koncertową. Powiedział mi, że Nowy Jork jest wymarzonym miastem dla muzyka. Dopiero co skończył nagrywać piąty album.

– Hej. – Pomachałam mu bez entuzjazmu i oparłam się ciężko o framugę kuchennych drzwi.

– Jak tam twoja przygoda z taksówkami? – Wyłączył kuchenkę, wyjął durszlak z garnka i przesywał pierożki do metalowej miski, zalewając je płynnym koncentratem aminokwasów firmy Bragg, stanowiącym zdrową alternatywę dla sosu sojowego.

Słumiłam westchnięcie. Przygoda z taksówkami szła dość kiepsko. Byłam w Nowym Jorku od dziewięciu dni, wydałam ponad siedemdziesiąt dolarów na jazdę taksówkami, a jedynym restauracyjnym tropem, na jaki dotychczas wpadłam, był McDonald's. Mama i tata dopytywali, dlaczego nie aktualizuję bloga. „Nie mogę napisać o miejscu, które nie zostało polecane przez kierowcę taksówki”, wyjaśniłam im. A skoro już byłam w Nowym Jorku, nie mogłam pozwolić sobie na jedzenie na mieście wyłącznie dla samego faktu jedzenia na mieście: cały dostępny dochód musiałam oszczędzać na taksówkarskie przygody.

– Będziesz dalej próbować? – spytał Jefferson. Otworzył lodówkę i wyciągnął czteropak wody kokosowej.

– Oczywiście, że tak – odparłam, starając się ukryć irytację. Zdążyłam już zorganizować sobie życie w Queens tak, aby kręciło się wokół taksówkarskich przygód, jednocześnie dbając o jakość usług satelitarnych argentyńskiej firmy.

– Na pewno dojdiesz ze wszystkim do ładu – powiedział Jefferson. Prześlizgnął się obok mnie z miską z pierożkami w jednej ręce i wodą kokosową w drugiej, kierując się do swojego pokoju.

Skąd mógł mieć tę pewność? Ja również wycofałam się do pokoju. Nie chciałam myśleć o *Taxi Gourmet*. Zamiast tego próbowałam sklecić kolejny (niepokojący) raport dla firmy: „Sprzęt, który miał zostać wysłany do Kenii, wysłano do Rzymu, i w dalszym ciągu jest poddawany kontroli celnej” – ale skończyło się na tym, że zaciągnęłam zasłony i oglądałam filmiki z YouTube przedstawiające Joaquína tańczącego z nową partnerką. On i Sonya przestali tańczyć zawodowo po tym, jak wdała się w romans z jednym z uczniów i zaszła w ciążę. Nowa partnerka Joaquína, blada brunetka o okrągłej twarzy i estradowym uśmiechu, była młodsza – dreptała tam, gdzie Sonya w tańcu płynęła. Joaquín obejmował ją – tańczyli do piosenki *Esta Noche la Luna* na festiwalu tanga w Seulu – tak jakby nie chciał, aby uciekła.

– Dlaczego chce pani wiedzieć, gdzie jadam? – spytał taksówkarz, odwracając nieogoloną twarz od okienka w pleksiglasowej ścianie działowej.

– Jestem dziennikarką – odparłam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu notesu. – I jestem...

– Pociąg linii N zaryczał nad naszymi głowami na podwieszanym torze nad Trzydziątą Pierwszą Ulicą w dzielnicy Astoria, zagłuszając resztę moich słów, ale taksówkarz usłyszał wystarczająco dużo.

– Nie, nie, nie. – Machnął na mnie ręką tak, jakby odpędzał natrętną muchę. – Żadnych dziennikarzy.

– Nie. – Zostawiłam rękę w torebce, ściskając notes. – Chwileczkę. – W mieście znów

zrobiło się upalnie jak w tropikach, a ja pociłam się w džinsach, zostawiając ślady na winylowym siedzeniu. – To nie tak. Założyłam blog i piszę o taksówkarzach, o tym, gdzie lubią jeść...

Kierowca pokręcił głową.

– Ale ja nie mam ulubionej restauracji.

Spojrzałam na niego we wstecznym lusterku. Brwi miał tak krzaczaste, że przypominały wąsy.

– Jest pan pewien? – Usiadłam na brzeżku siedzenia, blisko okienka w ścianie działowej. – Nawet...

– Proszę pani – przerwał mi. – Ja muszę pracować. – Odprawił mnie kolejnym machnięciem ręki. – Jeśli nie chce pani nigdzie jechać, to może powinna pani wysiąść.

Wysiadłam, ściskając torebkę, którą prawie upuściłam do ścieku. Spędziłam cały poranek na przygotowywaniu się do taksówkarskiej przygody tak, jakbym przygotowywała się do ekspedycji, gotując jajka, na wypadek gdybym zgłodniała, pakując torebkę tak, żeby notes i aparat były pod ręką, i starając się nie myśleć o tym, że minęły tygodnie od ostatniego wpisu na blogu. Próbowałam wyobrazić sobie pozytywną sytuację, w której prowadziłam fascynującą rozmowę z kierowcą, który zawiózłby mnie do sutereny w Sunnyside albo Jackson Heights, gdzie babcie o twarzach pokrytych zmarszczkami śmiechu smażyły *pupusas* albo wałkowały *chapati*.

Zamiast tego spędziłam ostatnie półtorej godziny na przemierzaniu ulic Astorii, szukając żółtej taksówki i usiłując nie sprawiać wrażenia zdesperowanej, gdy rozbiłam skorupki gotowanych jajek o niskie, ceglane murki i wyrzuciłam je na skrawki ziemi pod drzewami na chodniku. Taksówkarz z krzaczastymi brwiami był pierwszym kierowcą żółtej taksówki, którego widziałam przez całe popołudnie.

„Co ja tu robię?“, pomyślałam nie po raz pierwszy, idąc w cieniu torów metra Trzydziestą Pierwszą Ulicą, kopiąc pusty kubek z Dunkin' Donuts i patrząc, jak kierowca odjeżdża. Wróciłam pamięcią do strumienia taksówek na Avenida 9 de Julio, taksówkarzy, którzy zawsze cieszyli się perspektywą rozmowy ze mną, do ich *choripanes*, *empanadas* i steków – nigdy w życiu nie zjadłam aż tylu steków, tak dobrych steków – i przeszło mi przez myśl, że prawdopodobnie przeprowadziłam się dalej o dziesięć tysięcy mil na próżno.

Na rogu Trzydziestej Pierwszej Ulicy i Trzydziestej Pierwszej Alei jakiś mężczyzna w czapeczce „Jankesów” grillował *souvlaki* na ulicznym wózku. Znad jego drobiowych i jagnięcych szaszłyków unosił się dym pachnący oregano. Za każdym razem, gdy opuszczałam mieszkanie, na ulicach Astorii unosił się jakiś cudowny zapach – czy to *falafel*, *ćevapčići* czy *focacca* – na które nie mogłam sobie pozwolić, bo nie mogłam o nich napisać, ponieważ nie naprowadził mnie na te przysmaki taksówkarz. Byłam pełna determinacji, aby pozostać wierną swemu projektowi, ale teraz po raz pierwszy w życiu zaczęłam go przeklinać. Jak to możliwe, że człowiek czuł się tak mało usatysfakcjonowany w mieście pełnym tak wspaniałego jedzenia? Zaciągnęłam się kolejnym podmuchem dymu unoszącego się znad *souvlaki*, lustrując Trzydziestą Pierwszą Ulicę, na której w dalszym ciągu nie było taksówek.

– Gdzie się podziali wszyscy taksówkarze z Queens? – spytałam Jeffersona po powrocie do mieszkania.

Byliśmy w kuchni, otwierałam puszkę cieciorki. Nie licząc gotowanych na twardo jajek, cieciorka i ryż były jedynymi rzeczami, jakie gotowałam od momentu przyjazdu do Nowego Jorku. Były tanie, szybkie w przygotowaniu i dawały uczucie sytości, a ja mogłam przyrządzić je bez konieczności wchodzenia w bliski kontakt z brudem na blatach i kuchence.

– Taksówki w Queens? – Jefferson wyciągnął z zamrażarki opakowanie pierożków i wrzucił kilkanaście do garnka do makaronu. – Nigdy nie łapię tu taksówek. Robię to tylko na Manhattanie.

– Na Manhattanie? – Przełałam cieciorkę do durszlaka i wypłukałam pod bieżącą wodą, wracając myślami do tego, co powiedziała mi rysowniczką o cerze jak z obrazów Botticellego: większość taksówkarzy mieszkała w Queens. Nie znaczyło to jednak, że jeździli po Queens. Zmniejszyłam płomień pod ryżem. To było tak oczywiste, że aż się zaczerwieniłam.

Nazajutrz, wsiałam do pociągu linii N jadącego na Manhattan, zajmując miejsce naprzeciwko reklamy książki o tytule *Uwolnij swoją wewnętrzną lisicę. Jak znaleźć, uwieść i zatrzymać przy sobie wymarzonego mężczyznę*. Wahając się gdzieś między pesymizmem i niepokojem, brałam płytkie, drżące oddechy, które kojarzyły mi się z czasem spędzonym na kuchni w Vertigineuse. Właśnie tak miałam w zwyczaju oddychać, gdy stałam przed swoim *mise en place* w momencie otwarcia restauracji, mając pełną świadomość tego, jak źle byłam przygotowana na chaos, który właśnie miał się rozpętać.

Czy to piąta próba taksówkarskiej przygody w Nowym Jorku? A może szósta? Zamknęłam oczy, słuchając melodyjnego głosu spikerki obwieszczającej kolejne przystanki metra: „Pociąg linii N jadący w kierunku Manhattanu. Następna stacja to...” – za każdym razem, gdy wjeżdżaliśmy na peron. W tonie jej głosu była jakaś pochwalna nuta, jakby gratulowała każdemu pasażerowi podróżowania po tym wielkim mieście.

Pociąg zwolnił z piskiem hamulców, z trudem skręcając tuż przed Queensboro Plaza. Otworzyłam oczy. Na ulicach w dole jeździły sznury żółtych taksówek, tłocząc się u stóp Queensboro Bridge. Nad wszystkim górowała panorama Manhattanu w całej swej geometrycznej krasie, bardziej onieśmielająca niż inspirująca.

Starłam się nie wchodzić nikomu w drogę, wysiadłszy na Union Square. Obserwowałam strumienie ludzi zmierzających w stronę drzwi obrotowych jak mrówki w świetnie zorganizowanej kolonii. Zatrzymałam się, aby posłuchać mężczyzny w poncho z alpaki, który grał bardzo przekonującą wersję *My Heart Will Go On* na fletni Pana. Błąkałam się od wyjścia do wyjścia, zatrzymując się przed znakami i próbując zgadnąć, który może prowadzić do najbliższego postoju taksówek.

Gdy wynurzyłam się na University Place, ludzie tłoczyli się wokół ulicznego akrobaty w kostiumie z zielonej lycry, który robił salta w tył i obracał się tak, jakby prawa grawitacji go nie dotyczyły. Żółte taksówki były wszędzie, pędziły Czternastą Ulicą, śmigały wzdłuż Broadwayu i kluczyły między grupami przechodniów z pustymi siedzeniami i włączonymi światłami na dachach. „Nareszcie jestem we właściwym miejscu”, pomyślałam, choć zaczęła kropić deszcz.

Ruszyłam w stronę Filene's Basement i złapałam taksówkę. Kierowca wystukiwał coś na swoim telefonie, gdy wsiałam do środka.

– Mam dość nietypową prośbę – odezwałam się.

Nie zareagował.

Samochody za nami zaczęły trąbić.

– Przepraszam – powiedział, wsuwając telefon do kieszeni koszuli. – Dokąd chce pani jechać? – Jego niebieskie oczy były spuchnięte i zaczerwienione. Na głowie nosił czapkę Knicksów.

– Uhm... – Przesunęłam się na środek siedzenia, ustawiając się tak, aby usłyszał mój głos przez pleksiglasową ściankę działową. Zaczynałam jej nienawidzić. Taksówki w Buenos Aires jej nie miały. – Zastanawiałam się... – Praktycznie krzyczałam. Musiałam krzyczeć w tutejszych taksówkach, co wcale nie wydawało mi się naturalne. – Powiedzmy, że zostały panu dwadzieścia cztery godziny w Nowym Jorku... – Taksówkarz włączył licznik. – Dokąd by pan poszedł, żeby coś zjeść?

Zmarszczył nos.

Uśmiechnęłam się do jego profilu na widok zarostu na podwójnym podbródku.

Włączył wycieraczki.

– Chce pani pojechać do restauracji?

– Uhm – mruknęłam, wyciągając z torebki notes.

– Okej. To może Tavern on the Green?

Opuściłam długopis.

– Czy kiedykolwiek pan tam jadł?

Wycieraczki przejechały po przedniej szybie.

– Nie. Nigdy.

„Żadna nowość”, pomyślałam. W Buenos Aires też byli kierowcy, którzy próbowali zawieźć mnie w typowo turystyczne miejsca.

– Właśnie się tu przeprowadziłam – powiedziałam. – I niewiele wiem o jedzeniu w Nowym Jorku. – Wsadziłam nos w okienko ścianki działowej. – Chciałabym pojechać do miejsca, w którym pan lubi jeść. Może do knajpki, w której lubi pan jeść po godzinach?

– Och! Pewnie!

Usiadłam prościej, przewracając nową kartkę w notesie. Może teraz zawiezie mnie do ulubionego ulicznego sprzedawcy kurczaka z ryżem? A może zna dobre miejsce z pizzą albo syczańskimi daniami z makaronu? A może lubił kanapki *pastrami*? Ślinka napłynęła mi do ust.

– Jem w Subwayu – powiedział, zwalniając przed przechodzącym w niedozwolonym miejscu facetem w dresie, któremu w ogóle się nie spieszyło. Zatrąbił na niego. Facet pokazał mu środkowy palec. Kierowca go zignorował. – Czasami jem też w McDonald's, bo mają teraz sałatki.

– Och...

– Rozumie pani, mam wysoki cholesterol. Jadę tam, gdzie akurat mogę zaparkować. I skorzystać z łazienki.

– Czy stołuje się pan jeszcze gdzieś poza Subwayem i McDonald's?

Taksówkarz ominął studzienkę.

– A co jest złego w Subwayu i McDonald's?

– Nic – odparłam.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

– Nic – powtórzyłam. – Ja po prostu... ja szukam... – Czego ja właściwie szukałam? Demokratyczne jedzenie nagle wydało mi się czymś snobistycznym. „Co jest złego w Subwayu, skoro właśnie tam taksówkarz lubi jeść?”. Ale przecież nie mogę napisać o kanapkach z Subwaya. Nie mogłabym napisać żadnego pasjonującego artykułu, a już na pewno nie po fantazjowaniu całymi dniami o smakach kryjących się za cudownymi zapachami Queens. – Wie pan co? – Zamknęłam notes. – Chyba będzie lepiej, jak wysiądę.

– Jak pani chce – odparł. Zjechał na krawężnik i wyłączył taksometr.

Schowałam się przed deszczem pod markizą, kartkując notes i zatrzymując się na wpisie sprzed kilku tygodni, który umieściłam przed wyjazdem z Buenos:

*Nowy Jork przeraża mnie jak jasna cholera.
Ogromny, niemożliwy do ogarnięcia.
Jak ja tu przetrwam?
Muszę się przygotować na twarde lądowanie...
Nie!
Nowy Jork może być moją Itaką!
Nowy Jork będzie magiczny...*

„Nowy Jork będzie magiczny”. To nie było przekonanie, tylko wewnętrzny rozkaz mający korzenie w strachu i fałszywej nadziei. Rozejrzałam się wokół znad notesu. Deszcz słabł, ale nad chodnikiem nadal roiło się od rozłożonych parasolek.

Wróciłam do jednego z ostatnich wpisów z Buenos Aires, który umieściłam po ostatnim tangu z Juliem, architektem w podeszłym wieku o drżących dłoniach, który bardziej lubił chodzić w rytm muzyki, niż do niej tańczyć, i który powiedział: „*Los angeles no tienen peso*” („Anioły nic nie ważą”), gdy nadepnęłam mu na stopę. „Nie ma takiego uścisku na świecie – napisałam tamtego wieczora – a przynajmniej nigdy jeszcze go nie poczułam, który mógłby się równać z ciepłym uścisku Argentyńczyka...”.

Czy wyjazd z Buenos Aires faktycznie był błędem? Czy może musiałam spojrzeć na nie z dystansu, aby ujrzeć jego prawdziwe oblicze? Nie, to było zbyt proste. Pomyślałam o Joaquínie, o jednej z ostatnich lekcji tanga w tamtej pozbawionej luster, wypełnionej plakatami szkole Tango Escuela Carlos Copello.

„Każdy krok jest inny – powiedział, zatrzymując się w pół obrotu, pozwalając, aby muzyka, powolne tango Osvaldo Fresedo, płynęła z radiomagnetofonu. – Wiesz, że najwięksi śpiewacy wkładają inne uczucie w każdą z nut, prawda? Z tangiem jest podobnie. W każdym kroku kryje się inna emocja, inna intencja. Nie można tego robić automatycznie! Nie można powtarzać tego samego kroku, nawet jeśli słyszało się wcześniej daną piosenkę...”.

O to chodziło: musiałam dopasować swoje kroki. To, co doskonale sprawdzało się w przypadku wolnych duchem taksówkarzy z Buenos Aires, najwyraźniej nie przemawiało do praktycznych kierowców w Nowym Jorku. Musiałam wypracować nowe podejście. Nim wyszłam z powrotem na deszcz, w mojej głowie zdążył uformować się pewien pomysł.

CZEKAŁAM NA KRAWĘŻNIKU PO DRUGIEJ STRONIE ULICY od domu towarowego Bloomingdale, obserwując taksówki usiłujące przyspieszyć w południowych korkach na Lexington Avenue. Bez względu na to, czy udawało mi się zrealizować mój plan z taksówkarskimi przygodami czy nie, kilka spraw zaczęło się klarować: (1) musiałam podać kierowcy jakiś adres, nawet jeśli wcale nie chciałam tam jechać, (2) wypytywanie kierowcy o ulubione jedzenie od razu po wejściu do taksówki w ogóle się nie sprawdzało, (3) każdy w Nowym Jorku, poczynając od sprzedawcy hot dogów, a skończywszy na kierowniku funduszy hedgingowych, miał jasno określony rozkład dnia – i zakładali, że ja również. Taksówkarze nie byli wyjątkiem.

Zesłam z krawężnika na ulicę, unosząc rękę. Taksówkarz, który zatrzymał się przede mną, rzucił mi skonsternowany uśmiech, gdy gestem poprosiłam go, aby opuścił szybę od strony siedzenia pasażera.

– Czy mógłby mnie pan zawieźć na Union Square? – spytałam, opierając przedramiona o dolną framugę okna, stojąc między taksówką a rzędem zaparkowanych aut.

– Jasne. – Był szczupłym Afrykańczykiem o pulchnej twarzy, ubranym w koszulkę polo w czerwono-niebieskie pasy. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Kiwnął głową w stronę tylnego siedzenia.

– Jest tylko jedna sprawa – powiedziałam. Samochody ustawiały się za taksówką, trąbiąc klaksonami. – Jestem dziennikarką – dodałam szybciej. – Piszę o kierowcach taksówek i zastanawiałam się, czy nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli zadam mu po drodze kilka pytań.

W jego oczach błysnęły niepewność i konsternacja. Trąbienie robiło się coraz głośniejsze. Kierowca wystawił rękę przez okno po swojej stronie, pokazując samochodom, aby go ominęły.

– Nie ma sprawy – odparł. – Proszę wsiadać.

– Świetnie. – Usiadłam na tylnym siedzeniu. Radio było nastawione na muzykę klasyczną. Taksówkarz je ściszył, a ja przetrząsnęłam torbę w poszukiwaniu notesu, czując, jak trzęsą mi się ręce. Byłam głodna i niezdecydowana: żółte taksówki w Nowym Jorku nadal stanowiły dla mnie nieprzyjazne terytorium. Próbowałam odczytać imię kierowcy na licencji w pleksyglasowej przegródce za jego głową.

– Ma pan na imię Godfred?

– Zgadza się.

– Od jak dawna prowadzi pan taksówkę? – Pomyślałam, że zacznę od łatwych pytań. Pytań, które ludzie prawdopodobnie zadawali mu codziennie.

– Od pięciu lat.

– Czy zawsze mieszkał pan w Nowym Jorku?

Wyminął zaparkowane jeden za drugim samochody dostawcze, sterując kierownicą jedną

ręką.

– Mieszkam tu od ośmiu lat. Urodziłem się w Ghanie, ale potem kilka lat mieszkałem w Niemczech. Znam też francuski. – Miał ledwie wyczuwalny brytyjski akcent. Robił przerwy między słowami, jak gdyby starannie je dobierał.

– Iloma językami pan włada?

– Nie licząc angielskiego? – Przejechał dłonią po głowie. Włosy miał obcięte tak krótko, że można było dostrzec skórę pod poskręcanyimi kępkami. – Francuski i trochę niemieckiego. Plus akan i aszanti. To dialekty, którymi mówi się w Ghanie.

– Pięć języków?

Kiwnął głową, zwalniając, gdy przejeżdżaliśmy przez Grand Central Terminal, wyciągając szyję i spoglądając na Chrysler Building.

– Drapacze chmur – powiedział. – Uwielbiam je.

Wyglądałam przez tylną szybę, aż budynek nie zniknął mi z oczu. Ja również uwielbiałam drapacze chmur – podczas swojej pierwszej wizyty w Nowym Jorku. Jednak odkąd tu mieszkałam, jedząc na śniadanie cieciorę, zasypiając przy terkocie i szumie samochodów i ciężarówek jadących po Triborough Bridge, dzieląc obskurne mieszkanie w trzypiętrowym budynku bez windy z Jeffersonem – który pozostał mi obcy, z jakiegoś niezrozumiałego powodu zachowywał się melancholijnie i w miarę upływu czasu stawał się coraz większym samotnikiem – Nowy Jork i jego wspaniałe drapacze chmur stały się bardziej zimne, odległe i obce niż cokolwiek w Buenos Aires.

– Czy powiedziała pan – spojrzałam na Godfreda we wstecznym lusterku – że to miasto jest dla pana domem?

– Nowy Jork to marzenie każdego człowieka. – Uśmiechnął się, jakby przekazywał dobrą nowinę. – Tutaj toczy się moje życie. – Skręcił w prawo w Gramercy Park, gdzie kończyła się Lexington Avenue. – Jeżdżę do Ghany, ale tylko w odwiedziny – dodał. – Nie ma sensu wracać tam na stałe.

Skręcił w lewo w Park Avenue. W żołądku zaczęło mi burczeć z głodu.

Nie zdążyłam jeszcze spytać go o ulubione jedzenie. Czekałam na odpowiednią chwilę, ale czasu było coraz mniej. Zbliżaliśmy się do Union Square, gdzie kierowca miał mnie wysadzić, a ja przypominałam sobie coś, co Joaquín, bardziej do siebie niż do mnie, powiedział w taksówce – czy to była nasza ostatnia przejażdżka? – w drodze do La Viruta: „Prawda jest taka, że jestem bardziej sobą wtedy, gdy improwizuję na milondze, niż gdy tańczę na scenie”. Możliwe, że ja byłam bardziej sobą, gdy improwizowałam w taksówce.

– Hmm – powiedział Godfred. – Nie znam żadnych restauracji wokół Union Square.

– Nic nie szkodzi. To nie musi być tutaj.

– Hmmmm. – Zjechał na pobocze. Wsadziłam rękę do torebki w poszukiwaniu ugotowanego na twardo jajka. – Cóż... znam jedno miejsce w Harlemie... Lubi pani senegalską kuchnię?

– Nie wiem. – Uśmiechnęłam się. – Ale z przyjemnością jej spróbuję.

– La Marmite. Tak się nazywa to miejsce. Tak naprawdę przygotowują potrawy z całej Zachodniej Afryki. Restauracja znajduje się przy ulicy Adam Clayton Powell. I chyba na *One-twenty-second*. Nie byłam tam od baaardzo dawna. – Wyciągnął rękę, aby wyłączyć taksometr.

– Chwileczkę. – Wychyliłam się do przodu, wyciągając dłoń z torebki. – Zawiezie mnie pan?

– Teraz? – Rzucił okiem na licznik, który wskazywał jedenaście dolarów, po czym odwrócił

się, żeby na mnie spojrzeć.

– Tak. – Nie było mnie stać na długi kurs taksówką, ale nie mogłam pozwolić na to, aby ominęła mnie ostatnia szansa na spróbowanie czegoś dobrego, a może nawet pysznego. Nie chciałam również przerywać rozmowy z Godfredem.

Uśmiechnął się. Nie wiedziałam, czy to ze zdumienia czy z rozbawienia.

– W porządku – odparł, odpalając ponownie licznik, skręcając w prawo, potem znów w prawo i kierując się w stronę północnej części miasta na Szóstą Aleję. Korki w śródmieściu były fatalne, a nasze tempo ślimacze. Mój żołądek, wyczuwając, że wpadliśmy na jakiś trop, zaczął burczeć z jeszcze większą mocą.

– Jak się panu podoba prowadzenie taksówki w Nowym Jorku? – spytałam, gdy przejechaliśmy obok zaprzęgniętych w konie powozów stojących w rzędzie po południowej stronie Central Parku.

– Podoba mi się bardziej, odkąd jeżdżę własnym samochodem.

– To pańska taksówka?

– Tak. Moja. Mój medalion. – Rozpromienił się w uśmiechu, wskazując przez przednią szybę niebiesko-białą odznakę przylutowaną do maski. – Dopiero co ją kupiłem. Za czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów...? – Próbowałam gwizdnąć. – Jezu, to mnóstwo pieniędzy!

– Owszem – zgodził się. – Prawie tyle, co za dom. Najpierw trzeba dokonać pierwszej wpłaty. Dać zaliczkę. Zebranie tych pieniędzy zajęło mi pięć lat. – Skręciliśmy w Broadway. Gdy jechaliśmy na północ, Godfred wytłumaczył mi, że wszystkie żółte taksówki w mieście miały medaliony, jednak ich cena sprawiała, że posiadanie taksówki na własność było prawie niemożliwe, więc większość kierowców wynajmowała swoje pojazdy na dzień lub tydzień. Jak stwierdził Godfred, wynajem można było porównać do spuszczenia pieniędzy w klozecie. Od momentu uzyskania licencji wiedział, że chce zostać właścicielem taksówki. – Czasami bywało, że pracowałem po osiemnaście–dwadzieścia godzin dziennie.

– Dwadzieścia godzin?

Kiwnął głową.

– Teraz mam przed sobą dwadzieścia pięć lat spłacania kredytu. I wie pani co? Cena zdążyła już wzrosnąć o sto trzydzieści tysięcy od czasu, gdy kupiłem taksówkę. Możliwe, że przed końcem 2020 roku jej wartość osiągnie milion dolarów!

– Mówi pan serio?

Znów kiwnął głową.

– Tylko dwa razy w całej historii medalion żółtej taksówki stracił na wartości. Pierwszy raz podczas wojny Stanów Zjednoczonych z Koreą, a drugi raz po zamachach z 11 września. – Zamilkł na chwilę. – Powiem pani jedną rzecz. – Patrzył na mnie w lusterku. – Nowy Jork to najlepsze miasto na świecie. Daje możliwości każdemu, kto na nie zasługuje. Bez względu na kraj pochodzenia. Ale trzeba na to ciężko pracować.

Minęliśmy Sto Dziesiątą Ulicę. Byliśmy teraz w Harlemie. Im dalej zapuszczaliśmy się na północ, tym mniej widziałam żółtych taksówek. Godfred ominął dziurę w jezdni wielkości stawu i zatrzymał się na Adam Clayton Powell Jr. Boulevard przed restauracją La Marmite Inc. Okna pod markizą były ciemne, a rolety spuszczone. Żołądek opadł mi na dno brzucha, gdy

przeczytałam napis na jednym z okien: PRZEPRASZAMY! LOKAL ZAMKNIĘTY!

– Bardzo mi przykro – powiedział Godfred. – Nie wiedziałem.

Próbowałam się uśmiechnąć.

– To nie pańska wina. – Rozczarowanie w jego oczach było autentyczne, lecz na horyzoncie nie było żadnego jedzenia, a mój głód zaczął przeistaczać się w panikę.

Godfred zabębnił palcami w kierownicę, zerkając przez szybę na jadące na północ samochody.

– Chce pani pojechać na Bronx?

– A zna pan jakiś dobry lokal na Bronksie?

– Oczywiście. Mieszkam tam.

– Pojadę wszędzie pod warunkiem, że jedzenie jest dobre.

Nigdy wcześniej nie byłam na Bronksie. Jedyne, co o nim wiedziałam, wywnioskowałam ze słów Soriny, fotografki, która urodziła się tu i wychowała, a której rodzice wyemigrowali do Stanów, uciekając przez dyktaturę Ceaușescu w Rumunii. Sorina zajmowała pokój po drugiej stronie korytarza w akademiku i nienawidziła Kalifornii z pasją rodem ze wschodniego wybrzeża: chodziła w sięgającym ziemi, czarnym trenczu nawet wtedy, gdy na zewnątrz panowały ponadtrzydziestostopniowe upały, nosiła przy sobie dwunastocentymetrowy nóż sprężynowy za każdym razem, gdy wychodziła do miasta, i chodziła długimi, drapieźnymi krokami, które zdawały się mówić: „Nawet nie myśl o tym, żeby ze mną zadrzeć”. „Obiecuj, że nigdy nie nie pójdziesz na Bronx”, powiedziała mi któregoś razu, gdy minęłam się z nią w drzwiach akademika.

– Chce pani jechać na Bronx? – spytał ponownie Godfred, zerkając na licznik. Kurs kosztował mnie już trzydzieści cztery dolary.

„Czemu nie?”, pomyślałam.

– Jedziemy.

Znajdę jakiś sposób, żeby zapłacić.

Wyjechał taksówką z postoju. Pojechaliśmy za autobusem przez Harlem River, po czym Godfred skręcił w Grand Concourse – aleję z ośmioma pasami ruchu, której rozmach przypominał mi nieco Avenida 9 de Julio w Buenos Aires. Ale zamiast trzygwiazdkowych hoteli, staroświeckich budynków biurowych i *obelisco* pośrodku, Grand Concourse była pełna KFC, sklepów z drobiazgami za 99 centów i sex shopów.

– Bronx jest spoko – powiedział Godfred, kiwając głową w stronę grupy Afrykańczyków grających w osiedlową piłkę nożną, koszulki kontra gołe klaty, w parku po przeciwnej stronie ulicy od Yankee Stadium. – Nie można już dłużej rozrabiać. Policja przejęła kontrolę nad dzielnicą. Teraz mieszkają tu nawet biali.

Minęliśmy bloki mieszkalne zajmujące całe kwartały. Tutejsza architektura miała w sobie pewną ociężałość, a budynki sprawiały wrażenie udręczonych, jakby wyczerpały je lata trudnych zim Wschodniego Wybrzeża. Godfred zatrzymał się na czerwonym świetle obok salonu o nazwie Faith Unisex, a ja patrzyłam, jak trójka nastoletnich dziewczyn w obcisłych bluzkach przechadza się dumnie po chodniku, wydymając usta w dzióbek. Jedna z nich zorientowała się, że na nie patrzę, i utkwiała we mnie wzrok. Godfred parsknął śmiechem.

– Widzi pani? Bronx jest spoko.

Ja również się roześmiałam, ale głód sprawiał, że trudno mi było sklecić sensowną myśl.

Znów poszukałam w torebce ugotowanego na twardo jajka, ale zostawiłam je w spokoju. Nie chciałam nabrudzić w taksówce. W końcu, po ponad godzinie od momentu rozpoczęcia podróży na Lexington Avenue, zatrzymaliśmy się na Sto Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy i zaparkowaliśmy równolegle do witryny z barwionego szkła. Napis na bordowej markizie głosił: RESTAURACJA PAPAYE. SERWUJEMY DANIA KUCHNI AFRYKAŃSKIEJ I KARAIBSKIEJ. Zapłaciłam za kurs pięćdziesiąt dwa dolary, co trochę zabolalo, choć biorąc pod uwagę przejechaną odległość, wysokość opłaty wcale nie powinna mnie dziwić.

– Na Manhattanie trudno znaleźć afrykańskie restauracje – powiedział Godfred, odpinając pas bezpieczeństwa. – Gdy chce się coś zjeść, trzeba przyjechać aż na Bronx. – Wysiadł z taksówki i wskazał sześciopiętrowy blok z cegły z fasadą w kolorze owsianki. – Tutaj mieszkam.

– W takim razie często pan tu jada – zauważyłam.

– Kilka razy w tygodniu – odparł, idąc ze mną w stronę wejścia.

„Czyżby miał zamiar zjeść razem ze mną?”. Zaczęłam się dziwić swojemu szczęściu, dopóki nie przyjrzałam się ponownie barwionym szybom. Były zupełnie czarne. „O nie”. Poczułam, jak żołądek zjeżdża mi gwałtownie w dół. Czy to możliwe, że ten lokal również był zamknięty?

Godfred chwycił za klamkę, a drzwi ustąpiły. Miałam ochotę wznieść ręce do nieba.

Gdy weszliśmy do środka, w całej sali zapanowało milczenie, nie licząc afrykańskiego popu. Wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę. Panie w wielokolorowych nakryciach głowy przerwały swoje rozmowy, a mężczyźni wpatrujący się w gigantyczny płaski telewizor odwrócili się, aby na nas spojrzeć – a raczej głównie na mnie.

Godfred zaprowadził mnie do lady, witając się ze wszystkimi po drodze. Mężczyźni klepali go po plecach, jakby cieszyli się, że wrócił do domu. Kobiety utkwili wzrok w swoich stolikach albo w podłodze. Ja również przywitałam się, rumieniąc się odrobinę i kiwając głową. Panowała tam nieskazitelna czystość. Na ścianach i podłodze wyłożonych białymi płytkami, które lśniły tak, jakby ktoś polerował je kilka razy dziennie, nie było ani jednej plamki brudu.

Godfred skinął głową na dwie kobiety za ladą, które nosiły na włosach pomarańczowe siatki i wycierały brzegi metalowych naczyń z jedzeniem w podgrzewaczu. Uśmiechnęłam się do nich. Nie odwzajemniły się tym samym.

Przyjrzałam się uważnie obrazkom dwudziestu jeden dań w menu przymocowanym do ściany za ladą. Czym było *banku*? Co to takiego *fufu*? Czy mogłam zamówić gulasz z okry z koźliną? Tymczasem Godfred był zajęty rozmową z kobietami za ladą w ghańskim dialekcie.

– Zamówiłem za panią – powiedział. – Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie. Dziękuję.

Panie wyjęły dwa szklano-ceramiczne talerze firmy CorningWare i ułożyły na nich jedzenie z troską i starannością, które sugerowały, że ugotowały potrawy własnoręcznie. Na pierwszy talerz powędrowały plastry świeżych pomidorów i krążki surowej cebuli, ułożone w zachodzących na siebie kręgach na wierzchu całej ryby o poczerniałej skórze.

– To grillowana tilapia – wyjaśnił Godfred. Na drugi talerz panie nałożyły pomarańczowo-czerwony ryż, robiąc w środku zagłębienie dla gęstego, ciemnego sosu chili. – *Jollof rice*, czyli zapiekany ryż po nigeryjsku – dodał. – Jemy to w całej Zachodniej Afryce.

– To wszystko dla mnie? – spytałam, gdy panie podały mi jedzenie na stołówkowej tacy, której plastikową powierzchnię ledwo było widać spod talerzy z rybą i ryżem.

Kiwnęły głowami i zniknęły na zapleczu kuchni. Godfred zabrał moją tacę i położył na stole z dobrym widokiem na ekran telewizora, na którym dwie drużyny włoskich piłkarzy walczyły o zwycięstwo, z wyciszonym dźwiękiem.

– Nie zje pan niczego? – spytałam.

– Nie mam czasu – odparł, wyciągając kluczyki. – Muszę wracać do pracy. Poradzi sobie pani?

– O tak. – Podziwiałam wzrokiem sterty zgromadzonego przede mną jedzenia, które wyglądało i pachniało niczym ambrozja po obmacywaniu jajka w torebce przez kilkaset mijanych przecznic. – Dziękuję, że mnie pan tu przywiózł. Sama w życiu nie znalazłabym tego miejsca.

– Mam nadzieję, że będzie pani smakować – odparł Godfred, spoglądając na moją tacę. Po drodze uściśnął dłonie kilku znajomych.

Jadłam powoli, ignorując mecz i przyglądając się, jak inni goście jedli rękami – stąd obecność umywalki w rogu sali – drąc na kawałki coś, co wyglądało jak surowe ciasto na bułki wielkości piłki do softballa, które, jak później odkryłam, były wyżej wspomnianym *fufu*, i maczając je w gulaszu podanym w miskach, z których spokojnie najadłaby się cała rodzina. Czułam się jak idiotka ze swoim plastikowym widelcem, ale wiedziałam, że narobię bałaganu, jeśli posłużę się palcami. Dopasowanie się do tego miejsca i tak wymagałoby ode mnie znacznie więcej niż tylko umiejętności jedzenia rękami.

Ryba, jedwabście miękka i odchodząca od kości, miała lekki posmak słonej wody. A pachnący dymem sos chili wzbogacał smak ryżu *jollof* – doprawionego olejem palmowym, pomidorami i pieprzem cayenne – nadając mu większej mocy. Danie zawierało też przyprawy, których nie potrafiłam określić. W końcu – z załzawionymi oczami, ciekącym nosem i piekącymi ustami – dotarłam do końca tej kosztującej dwanaście dolarów góry jedzenia. Ile czasu minęło od momentu, w którym próbowałam czegoś tak zupełnie nowego? Miałam ochotę roześmiać się na głos. Chciałam opowiedzieć wszystkim swoim nieistniejącym przyjaciołom z Nowego Jorku o Godfredzie i restauracji Papaye. Nie miałam zielonego pojęcia, jak wrócić na Queens. Odłożyłam plastikowy widelec i uśmiechnęłam się szeroko.

ISABEL, SWOJĄ PIERWSZĄ ZNAJOMĄ Z NOWEGO JORKU, poznałam dzięki magii internetu.

Witaj, Layne, jak się masz? Właśnie zostawiłam komentarz pod jednym z twoich wpisów na *Taxi Gourmet*. Uwielbiam twój blog! Sama też jeden prowadzę, pisząc głównie o swoim życiu w NYC. Nazywa się *Lateral Window*. Pochodzę z Brazylii i mieszkam w Stanach od prawie pięciu lat...

Ani się obejrzałam, Isabel i ja piłyśmy razem drinki w lokalu Brick Café w Astorii, gdzie mieszkała jakieś dziesięć przecznic ode mnie, w mieszkaniu z dwiema sypialniami, które dzieliła ze striptizerką podkradającą jej pocztę.

– Bez względu na to, ile lat spędzę w Nowym Jorku, zawsze będę się zachowywać jak turystka – przyznała Isabel, która opowiedziała mi, że urodziła się w São João del Rei, niewielkiej miejscinie w stanie Minas Gerais, gdzie produkowano największą ilość najlepszej *cachaça* (rodzaj wódki z soku z trzciny cukrowej) w Brazylii. Jej malutki nos usiany był piegami i miała najdłuższe rzęsy, jakie w życiu widziałam. – Uwielbiam Times Square – powiedziała między jednym a drugim dystyngowanym łyeczkiem lemoniady. – Uwielbiam Empire State Building. Kocham wszelkie szczegóły związane z tym miastem.

Przypominała mi trochę Anaïs Nin. Pisarka przyjechała tu w 1934 roku. „Jestem zakochana w Nowym Jorku – pisała do Henry’ego Millera. – Gdy przywieziesz tu swoje bogactwa, to jak picie z kryształowego kielicha”. Po dwóch miesiącach spędzonych w mieście moje uczucia były bliższe tych Henry’ego Millera: „Ze sceptycyzmem podchodzę do połyskliwych, babilońskich opisów, jakie podałaś, to tylko pierwsze wrażenie – odpisał jej. – Otrząśnij się z niego. Co wtedy zostanie?”.

W moim przypadku pozostała walka. Dorywcze stanowisko w argentyńskiej firmie przerodziło się w fikcyjną pracę, podczas której prowadziłam rozmowy takie jak ta:

KLIENT W GENEWIE: Potrzebujemy od was większego czynnego zaangażowania.

JA: Czy może pan sprecyzować, co ma pan na myśli, mówiąc o czynnym zaangażowaniu?

KLIENT W GENEWIE: Poprosiliśmy o zwiększenie przepustowości łącza w dziesięciu krajach przed końcem roku. Czy planują państwo odwiedzić te miejsca?

JA: Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie...

KLIENT W GENEWIE: Nie macie żadnego wyspecjalizowanego zespołu od tych spraw?

JA: Tak jak mówiłam, nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie. Rozumiem jednak pana obawy i podzielę się nimi z Emilio...

Emilio, którego nazywałam Diabłem Tasmańskim z Kolumbii, był dyrektorem generalnym

firmy. Lubiłam go, lecz personel nie zawsze traktował na poważnie ani jego, ani górnolotnych obietnic wciskanych klientom.

KLIENT W GENEWIE: (westknięcie).

JA: (Starając się brzmieć optymistycznie) Jeśli Emilio nie skontaktuje się z panem w przeciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, proszę dać mi znać. Czy są jeszcze jakieś zaległe kwestie, o których powinienam go poinformować?

Praca, choć całkowicie bez sensu, pomagała mi płacić rachunki, ale między wykonywaniem tej pracy a internetowymi zleceniami żyłam z dnia na dzień. Wycieczka na Bronx z Godfredem dała mi przedsmak tego, jak nadzwyczajne mogą być taksówkarskie przygody w Nowym Jorku. Jednak tutejsze taksówki były droższe – wszystko było droższe – więc kiedy się nimi nie zajmowałam, jadłam soczewicę i cieciorę, starając się schodzić z drogi Jeffersonowi, który zerwał ze swoją dziewczyną, agentką nieruchomości i performerką mieszkającą w Park Slope. Po całym tym zajściu atmosfera w mieszkaniu zmieniła się z aspołecznej we wrogą. Teraz jeśli zdarzało się, że Jefferson i ja byliśmy „w domu” w tym samym czasie, zabierał swoją wodę kokosową i pierożki z aminokwasami Bragg’s do pokoju i zamykał drzwi.

Isabel miała o wiele twardszy orzech do zgryzienia. Była w trakcie finalizowania rozvodu z Peruwianczykiem, który zdefraudował pieniądze z kawiarni w Astorii, którą razem otworzyli. Teraz pracowała nielegalnie jako osobista asystentka dla wpływowego właściciela kamienic – dokonując inspekcji, organizując imprezy dla mieszkańców i kontaktując się z krnąbrnymi lokatorami. Do chwili otrzymania zielonej karty nie mogła opuścić terenu Stanów Zjednoczonych. Rodzina również nie mogła jej odwiedzić. Amerykańska ambasada po raz czwarty odmówiła matce Isabel przyznania wizy turystycznej.

– Nie mogę nic na to poradzić – powiedziała. – Napłakałam się już wystarczająco. Gdybym miała w zwyczaju siedzieć z założonymi rękami i nie dopuszczać do siebie żadnych złych rzeczy, już dawno by mnie tu nie było. Prawda jest taka – dodała, trzymając szklankę z lemoniadę w obu (idealnie wymanikiurowanych) dłoniach – że gdy mieszkasz dziesięć godzin lotu od swojej rodziny, gdy decydujesz się zbudować coś od podstaw w nieswoim kraju, w języku, którym ledwie się posługujesz, wśród ludzi, których nie rozumiesz, to jest trudno. Ale ten wybór był całkowicie mój. – Uśmiechnęła się. Jej oczy pod podkreśnionymi rzęsami rozbłysły. – Mogłabym żyć tu wiecznie.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, czy Isabel kochała to miejsce dlatego, że dało jej w kość, mobilizując, aby je polubiła. A może od samego początku wiedziała, że Nowy Jork to jej dom?

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała – powiedziała, mieszając kostki lodu na dnie szklanki – daj mi znać.

Gdyby nie Isabel, nie spotkałabym Nidii, swojej drugiej przyjaciółki z Nowego Jorku.

Surfowałam po internecie, szukając materiałów do artykułu o taksówkarzach w Nowym Jorku, gdy natknęłam się na notkę reklamową w „Village Voice”. „Jeśli potrzebujesz kierowcy rodem z komiksu o superbohaterach, musisz zadzwonić do Nidii. Jest jedną z niewielu kobiet kierowców w Nowym Jorku i znalazła swoją niszę, bezpiecznie wożąc kobiety po mieście... Do tego zabawi cię rozmową i podaruje cukierka”. Na początku XXI wieku „Voice” wyróżnił Nidię

tytułem najlepszego taksówkarza w Nowym Jorku.

Isabel rzuciła się do działania, jak tylko powiedziałam jej o Nidii, wykorzystując cały swój zapał i urok – oraz umiejętności detektywistyczne, z których istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy – aby odnaleźć panią taksówkarkę. Gdy nie znalazła niczego w internecie, zajrzała do książki telefonicznej i wysłedziła kobietę o nazwisku takim samym jak Nidia, która mieszkała w dzielnicy Astoria. Okazało się, że była jej córką i z radością podała Isabel numer swojej mamy.

„Jasne! Kiedy?“, spytała Nidia, gdy zadzwoniłam z propozycją przeprowadzenia z nią wywiadu. Dwa dni później piłyśmy już greckie frappe w Athens Café naprzeciwko straganów na Trzydziestej Alei.

– Jestem „Nuyorican” – powiedziała Nidia, dodając łyżeczkę cukru do swojej mrożonej kawy. – Portorykanką mieszkającą w Nowym Jorku. Ale nazwisko mam pakistańskie, po mężu.

Była po czterdziestce, ze skórą w kolorze *café con leche* i bicepsami, które wystawały za każdym razem, gdy zginała ramiona.

– Boże, ale gorąco! – powiedziała. Miała ochrypły głos. Gdy mówiła, przeskakiwała od jednego słowa do drugiego tak, jakby nie miała czasu na wymówienie ostatniej sylaby. – Zazwyczaj o tej porze śpię!

– O nie. Zapomniałam. Prowadzisz taksówkę nocą...

– No tak. – Machnęła ręką, jakby to nie miało znaczenia, i zauważyłam jej pierścionek, do którego przyczepionych było pięć łańcuszków rozciągających się od środkowego palca do srebrnej bransolety na jej nadgarstku. Gdyby walnęła cię ręką uzbrojoną w ten pierścionek, twoja twarz pękłaby na pół. – Zanim zaczęłam jeździć taksówką, pracowałam w fabryce – odparła, pijąc frappe przez słomkę. – Mhm, ale dobre! – Uśmiechnęła się na widok napoju. – Ubierałam lalki. Idiotyczna praca. Mam o wiele za duże ręce! – Odstawiła szklanekę i uniosła dłonie, wymachując grubymi palcami. – Potem prowadziłam lawetę i dużą, osiemnastokołową ciężarówkę z przyczepą.

W 1999 roku zaczęła prowadzić taksówkę, „lewą” taksówkę, dla Northside Car Service, gdzie pracowała jako jedna z dwóch kobiet kierowców w czterdziestoosobowej załodze. Miała około sześćdziesięciu regularnych klientów, głównie kobiet. Dzwoniły po nią, gdy wychodziły wieczorami lub gdy żółta taksówka nie chciała odwieźć je do ich dzielnicy.

Nidia starła pot z wewnętrznej strony łokcia.

– Taksówka to mój świat – powiedziała.

Dorastała w Williamsburgu w czasach, gdy była to niebezpieczna dzielnica i raj dla handlarzy narkotyków. Wiedziała, jak radzić sobie na ulicach. Lubiła jeździć nocami. Ludzie wsiadali do jej taksówki na haju, nadzy, albo uprawiali seks na tylnym siedzeniu – czasami wszystko naraz. Opowiadali jej o swoich jednonocnych romansach, nowych miłościach, rozpadach związków. Po tym, jak „Voice” uznał ją za najlepszą taksówkarkę w Nowym Jorku, została bohaterką *Taxicab Confessions*, serialu dokumentalnego stacji HBO, który nagrywał pasażerów nocnych kursów, snując pikantne historie, ale po jakimś czasie zrezygnowała z tego.

– Ludzie nie mieli pojęcia, co mówili. Większość była kompletnie pijana. Znaczną ilość stanowili regularni klienci. To było dla nich zbyt żenujące.

Pokazała mi swoje blizny. Miała na łydce ślady po ranach od kul.

– To nie przez taksówkę – wyjaśniła. – Handlarze narkotyków dobijali targu. – Miała

większą bliznę od rany klutej, która ciągnęła się przez całą długość jej brzucha. Została jej po tym, jak wyskoczyła z taksówki, żeby powstrzymać mężczyznę bijącego kobietę na ulicy w centrum Manhattanu. – Nie mogę znieść widoku mężczyzny bijącego kobietę. – Pokręciła głową. – Po prostu nie mogę tego znieść.

Uniosła dłoń, uśmiechając się do kelnerki, wskazując nasze puste szklanki i unosząc do góry dwa palce. Kelnerka przyniosła nam po kolejnej mrożonej kawie. Nidia odczekała, aż kelnerka znajdzie się poza zasięgiem słuchu, zanim znów się odezwała.

– Gdy miałam trzynaście lat, zostałam zgwałcona – powiedziała. – A potem zaszłam w ciążę, a ojciec wyrzucił mnie z domu.

Odłożyłam długopis.

– Nie, napisz o tym, jeśli chcesz. Nie mam nic przeciwko. Ojciec czasami spuszczał mi lanie, ale nie zawsze był taki zły. Kiedyś nawet razem wędkowaliśmy. Ale kiedy wykopał mnie z domu, musiałam spać na stacji metra. Znasz te karty, które głusi ludzie zostawiają w pociągach?

Kiwnęłam głową.

– Tak nauczyłam się języka migowego.

Przycisnęłam palce do skroni, wpatrując się w jej oczy – które mieszkańcy Argentyny określiliby jako *ojos de miel*, oczy o barwie miodu – w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów cierpienia.

– Możesz o tym napisać, jeśli chcesz – powtórzyła.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Czy mogę cię o coś spytać?

– Pewnie.

– Może to głupie. Nie odpowiadaj, jeśli nie chcesz – dodałam. – Ale nie sądzę, by większość ludzi przeszła nad takimi rewelacjami do porządku dziennego. Jak ci się to udało? – Chciałam wiedzieć, jakim cudem była taka nieustraszona, a nie załamana.

– Nie wiem. – Nidia wzruszyła ramionami, patrząc w sufit. – Ale gdybym przestała prowadzić taksówkę, to chyba bym umarła.

Zaczęłam podchodzić do taksówkarskich przygód z nową nadzieją. Część kierowców udzielała mi rekomendacji bez pokrycia: przypalone naleśniki z szalotką w knajpce z *ramen* na Czterdziestej Dziewiątej Ulicy, która rozleniwiła się po zdobyciu sławy, albo smażone plantany o konsystencji styropianu w lokalu z haitańskim jedzeniem w Hell's Kitchen. Odbýłam również podróż do Sofrito, ulubionej portorykańskiej restauracji Nidii: w daniu o nazwie *mofongo*, czyli afrykańsko-portorykańskiej mieszance wieprzowiny, plantanów i słodkich krewetek polanych z wierzchu lekkim sosem pomidorowym, kryła się autentyczna magia.

Podczas taksówkarskiej przygody z Isabel, naszego pierwszego wspólnego kursu, w powietrzu również unosiła się swoista aura życzliwości. Naszym kierowcą okazał się filmowy montażysta, także Nuyorican, który jeździł taksówką swojego ojca dwie noce w tygodniu. Przez zdecydowaną część drogi opowiadał nam o wyższości bekonu nad wszelkim innym mięsem i wysadził pod Ramen Setagaya na East Village, gdzie kucharze wyrabiali makaron ręcznie.

– W jakim innym mieście możesz wsiąść do taksówki z nuyorikańskim taksówkarzem

i wylądować w barze *ramen*? – spytała Isabel.

Dzięki innym taksówkarzom poznawałam potrawy takie jak mandżurski makaron *chow mein* z papryczkami chili ptasie oko w Tangra Masala (prawdopodobnie pierwszej w mieście restauracji hindusko-chińskiej, gdzie sto osiem ze stu pięćdziesięciu dziewięciu dań w menu miało obok swych nazw symbol papryczki chili), smażonym *agedashi tofu* w lekkiej jak piórko japońskiej panierce *panko* z dipem z sosu sojowego, octu winnego i szalotek, serwowanym w Tokyo II Japanese naprzeciwko garażu taksówek w Long Island City. Smak zaczynał się stawać uwodzicielską cechą Nowego Jorku. Im więcej pokazywali mi kierowcy, tym więcej chciałam próbować.

– Aaach! – zawołała mama. – Czytanie twojego bloga doprowadza mnie do szału! Ja chcę tego tofu!

Parsknęłam śmiechem, zmniejszając głośność w słuchawkach.

– Szkoda, że nie możesz go spróbować...

– Hej, skarbie – przywitał się tata. Jego nie obchodziło tofu. Jego pasją było duszone mięso z jarzynami. – Jak tam twój współlokator?

– Cóż... – Słyszałam Jeffersona przez ścianę, jak przesuwiał po podłodze jakieś ciężkie graty. Może robił przemeblowanie w pokoju. Straciłam już rachubę, ile dni minęło, odkąd rozmawialiśmy ze sobą po raz ostatni. – Nie bardzo mogę o tym mówić.

– No dobrze, a jak tam twoja sytuacja finansowa? – dopytywał dalej.

– Świetnie! Niczym się nie martwicie.

Moja sytuacja finansowa chyba nigdy nie była gorsza. Ale jakimś cudem udawało mi się uezierać wystarczająco dużo pieniędzy na taksówki do dalekich zakątków Queens, Brooklynu i Bronxu, gdzie kierowcy zaskakiwali mnie rzeczami takimi jak *masala dosas* (naleśniki z mąki z soczewicy nadziewane ziemniakami i curry z zielonym groszkiem) w Ganapati Canteen w piwnicy hinduskiej świątyni w dzielnicy Flushing. Albo zupa łososiowa ze świeżym koperkiem w Cherry Hill Gourmet Market w Sheepshead Bay, która w niczym nie przypominała paskudnych, tłustych zup, jakie jadłam podczas dwóch podróży do Rosji. Albo sernik w De Lillo Pastry Shop, włoskiej piekarni na Arthur Avenue działającej od osiemdziesięciu pięciu lat, w której Mohamed, uchodźca polityczny z Mauretanii pracujący jako taksówkarz, lubił kupować wyroby cukiernicze.

– Chyba potrzebuję pracy... – zwierzyłam się Isabel.

– A co chciałabyś robić?

– Nie wiem.

Wiedziałam jednak, że nie mogę zajmować się niczym, co przeszkodziłoby mi w kontynuowaniu taksówkarskich przygód.

MIAŁAM PIĘTNAŚCIE DOLARÓW W PORTEFELU, gdy taksówkarka o filigranowej posturze w fioletowej fedorze zabrała mnie spod wejścia na Triborough Bridge. Jej widok na fotelu kierowcy nieco mnie zaskoczył – była jedyną kobietą prowadzącą taksówkę, którą spotkałam w ciągu pięciu miesięcy spędzonych w Nowym Jorku, oczywiście nie licząc Nidii.

Poprosiłam ją, aby zawiozła mnie na Queensboro Plaza. Chciałam spróbować kolejnej przygody, ale tym razem kurs musiał być krótki i tani.

– Nie ma problemu, złotko – powiedziała, włączając taksometr i rzucając mi oślepiający uśmiech królowej piękności. Miała na sobie sweter w kolorze bakłażana pasujący kolorystką do kapelusza. Wyglądała na trzydzieści kilka lat. – Pytaj, o co tylko chcesz.

Ominęła furgonetkę próbującą skręcić w lewo na zielonym świetle. Odczytałam nazwisko na licencji w przegródce na pleksiglasowej ścianie za jej głową: Mary Jo Barnes. Powiedziała mi, że prowadzi taksówkę od dwóch lat i że jest rodowitą nowojorczką. Jej rodzice wyemigrowali z Jamajki na Wyspach Karaibskich do Jamajki w Queens w 1964 roku.

– Kiedy była pani ostatni raz na Jamajce? – spytałam, gdy przejechaliśmy pod torami metra na Trzydziestej Pierwszej Ulicy.

– Dwanaście lat temu – odparła, przyśpieszając, dopóki nie znalazła się kilka cali od jadącego przed nami audi. – Nie mogę jednak podróżować do czasu, aż wyjdę z długów. To mało seksowne, wspomnianie o rachunkach.

– Ma pani rację – zgodziłam się. – Rachunki nie są seksowne.

Uśmiechnęła się, siedząc audi na ogonie, dopóki nie skręciło w prawo.

– Jak często prowadzi pani taksówkę?

– Tylko w ciągu dnia. Wieczorami i w weekendy chodzę do szkoły. To zabija moje życie towarzyskie. – Wcisnęła gwałtownie hamulec za furgonetką Fresh Direct. Oparłam się rękami o ścianę działową i zerknęłam na pas bezpieczeństwa, zastanawiając się, czy jeśli go zapnę, uzna to za obrazę. Zazwyczaj nie robiłam tego w taksówkach. – Chcę zostać specjalistką pielęgniarstwa chirurgicznego. Taksówka to niezły trening.

– Jak to?

– Ludzie często się kaleczą – odparła. – Wszędzie. – Skręciła w Trzydziestą Aleję, obojętna na pisk opon taksówki. – Nie oceniam swoich pasażerów. Modlę się za nich. Każdy ma swoje problemy. Zmaganie się z samą sobą jest wystarczająco trudne. Jestem osobowością typu A.

– Ja również – powiedziałam, czepiając się krawędzi okienka ścianki działowej, gdy wyhamowała gwałtownie na Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

– Któregoś razu miałam odebrać faceta z więzienia. Pomyślałam sobie: „Czy powinnam się bać?”

– A bała się pani?

– Gdy kroczy się przez życie razem z Bogiem, nie ma czego się bać. – Światło zmieniło się

na zielone, a ona skręciła w lewo, jadąc na skróty przez skrzyżowanie, zanim którykolwiek z samochodów z naprzeciwka zdążył zareagować. – To nie jest praca, którą wykonuje się dla pieniędzy. To znacznie, znacznie więcej.

Wyrzałam przez okno, gdy przemknęłyśmy obok warsztatów naprawczych, sklepów żelaznych i opuszczonych fabryk z rozbitymi oknami. Znajdowałyśmy się teraz w dzielnicy Long Island City. Wiedziałam, że będzie to zupełnie bez związku z naszą rozmową, ale skoro chciałam dowiedzieć się, gdzie lubi jeść Mary Jo, musiałam spytać ją o to teraz, zanim wysadzi mnie na Queensboro Plaza.

– Och, złotko, ja kocham jeść! – Znów posłała mi swój oślepiający uśmiech miss piękności.
– Robię taką sałatkę ziemniaczaną, że sałatka twojej mamy może się schować!

– Serio? – Wybuchnęłam śmiechem. – Jaki jest jej sekret?

– Słodka cebula *vidalia*, sos *adobo* z papryczek *chipotle*, czerwone i zielone papryki, jajka, musztarda, relisz, keczup (odrobina, to mój sekretny składnik), koszerna sól, pieprz, ziemniaki, majonez Hellmann's i cayenne. Moja rodzina... – kontynuowała Mary Jo, przejeżdżając przed autobusem i ignorując kierowcę, który pogroził jej pięścią. – Nie mieliśmy pieniędzy, ale zawsze mieliśmy fioła na punkcie jedzenia. Nie bawimy się nim. „Zjedz wszystko, bo rośniesz”, powtarzali. Ludzie w Afryce głodują! Dobrze wiem, co to znaczy być głodnym. Ale jestem anemiczką i muszę dobrze się odżywiać. Wiesz – poprawiła kapelusz – dziewięćdziesiąt procent jedzenia w Nowym Jorku jest w porządku. Ale ja lubię chodzić w miejsca, gdzie mogę odświeżyć swój smak i zjeść zdrowo. Jeśli mają toaletę, a jedzenie jest świetne, to na pewno zostanę stałym klientem. Niech pomyślę... – Wcisnęła gaz do dechy, przeleciałyśmy obok knajpki ze ścianami wykładanymi metalowymi płytami. – Bel Aire Diner! – Wskazała ręką za okno. – Ich omlet z szynką, zieloną papryką i cebulą jest naprawdę pyszny. A w Brown Cup zamówiłabym każdy z nich. Już wiem. Lubi pani indyjską kuchnię?

– No jasne!

– Proszę spróbować Sapphire Indian na Upper West Side. Zawsze zamawiam tam curry z krewetkami i koktajl jogurtowy *lassi* z mango. Jadła pani kiedyś hamburgera z grzybami w Shake Shack?

– Jeszcze nie. – Zaczęłam się ślinić na samą myśl.

– Grozi uzależnieniem. Jest jeszcze Elmo's na Siódmej Alei, gdzie podają moje ulubione frytki. Również uzależniające. Do tego Cafeteria na Siódmej – musi pani spróbować ich krabowych kotlecików. Mirandy's na Siódmej i Waverly to świetne miejsca na brunch. Na przystawkę zawsze zamawiam pączki w cukrze. Ale przez większość czasu staram się jeść zdrowo. A do McDonald's chodzę tylko i wyłącznie z jednego powodu – ich toalety.

– Ha! Czy zawsze starała się pani jeść zdrowo?

– Kolorowi są dość okrągli. – Zdjęła ręce z kierownicy i nakreśliła nieistniejącą oponkę wokół wąziutkiej talii. – Cztery lata temu nasz pastor wymyślił dla nas dietę. Musieliśmy jeść zdrowo przez czterdzieści dni. Mnóstwo sałatek. Żadnych frytek.

– Podziałało?

– I tak, i nie. – Znów złapała za kierownicę. – Po tym doświadczeniu uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę weganką. A to głównie z powodu koźliny z sosie curry. – Ulubionym lokalem Mary Jo specjalizującym się w takiej koźlinie był Door, jamajska restauracja obok lotniska JFK, niedaleko miejsca, w którym dorastała. – Ich jedzenie to czysta rozpusta – powiedziała. – I doskonale znają się na przyrządzaniu koźliny.

„Czysta rozpusta” było wszystkim, co potrzebowała usłyszeć Isabel, gdy powiedziałam jej o Mary Jo i jej koźlinie. Trzy dni po grożącej śmiercią przejażdżce na Queensboro Plaza Isabel i ja wybrałyśmy się w długą podróż pociągiem linii E, a potem w krótką autobusem numer Q111, i zjawiłyśmy się w Door w samym środku niedzielnego brunchu.

Nie mając już środków na jazdę taksówkami z Manhattanu do innych dzielnic – gdzie mieszkała większość kierowców i gdzie zdawała się mieścić większość ich ulubionych restauracji – zaczęłam prosić ich o rekomendacje i dopiero później znajdować drogę do miejsc, o których mi opowiadali – czy to metrem, czy autobusem. Wybierałam się w długie podróże pociągami na Queens, Brooklyn i Bronx, które przypominały raczej krótkie podróże dookoła świata – do Małej Odessy na Brighton Beach, Neapolu na Arthur Avenue, Bogoty na Jackson Heights, Buchary w Rego Park czy Kalkuty na Sunnyside. Miałam wrażenie, że biorę udział w poszukiwaniu kulinarnego skarbu. Jak wiersz, który ujawniał poszczególne warstwy w trakcie każdego kolejnego czytania, zewnętrzne dzielnice stanowiły źródło nowych, niezmiernie kuszących, jadalnych skarbów.

Wiązałam wielkie nadzieje z Door, który był pełen wiernych po skończonej mszy, gdy Isabel i ja weszłyśmy do środka. Czułam się wyjątkowo kiepsko w swetrze z pchlego targu i trzyletnich dżinsach w obecności tych wszystkich eleganckich, niedzielnych garniturów, szykownych kapeluszy, zasłon ze złotymi frędzlami wiszących w wejściu do sali jadalnej i błękitnych obrusów na stołach.

Kelner w satynowej kamizelce zaprowadził nas do stolika z dobrym widokiem na bufet. Zaciągnęłyśmy się wiele obiecującymi zapachami duszonego kurczaka i curry, atakując koszyk z czymś, co smakowało jak dopiero co upieczony chleb z mąki kukurydzianej.

– Czy możemy zamówić coś spoza menu? – spytałam kelnera.

– Och, oczywiście.

Kiwnął głową, sprawiając wrażenie zadowolonego, gdy spisywał nasze zamówienie. Pokazałam Isabel zdjęcie, które zrobiłam Mary Jo w taksówce.

– Co za uśmiech! Jest piękna. Prowadzi taksówkę na pół etatu?

– Tak – odparłam. – Uczy się na pielęgniarkę.

Isabel oddała mi aparat. Kelner przyniósł zamówione przez nas zupy. Dla mnie z kurczakiem i warzywami, a dla Isabel z rybą i świeżym tymiankiem. Bulion smakował powolnym gotowaniem i cierpliwością.

– To – powiedziała Isabel, zamykając oczy – jest niesamowite.

Zabrałam aparat ze stołu, zerkając na zdjęcie Mary Jo po raz ostatni, zanim wsadziłam go z powrotem do torebki. Była filigranowej budowy, ale emanowała wielką siłą.

Wróciłam myślami do ostatniej rozmowy z Nidią w Brick Café. Pokazałam jej, co napisałam o niej na blogu, a ona zapytała, czy zastanawiałam się kiedyś nad prowadzeniem taksówki. „Ja?”. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mogłabym robić to samo, co ona. „Nie, nie”. Pokręciłam głową tak mocno, że kok mi się rozsypał. „Nie ma mowy”.

Jednak mój tok myślenia zaczął się zmieniać po przejażdżce z Mary Jo. Nie byłam tak bogobojna i nie byłam rodowitą nowojorcanką znającą życie ulicy tak jak ona, ale nie mogłam pozbyć się wrażenia, że skoro ona mogła prowadzić taksówkę, to ja również.

Potem zjawiło się moje curry z koźliną oraz gulasz z ogonami wołowymi Isabel. Do tego

smażone plantany, ryż i groszek. (Na Zachodnim Wybrzeżu mówimy na to fasola. Na Karaibach nazywają to groszkiem).

– Co by było – podałam Isabel kawałek uduszonego do miękkości mięsa pokrytego pastą curry z musztardą – gdybym zaczęła prowadzić taksówkę?

– Że co? – Isabel zignorowała koźlinę i otworzyła oczy tak szeroko, że jej rzęsy dotknęły brwi.

– Co by było, gdybym zaczęła prowadzić taksówkę? – Odłożyłam mięso na brzeg jej talerza. – Przecież wiesz, że potrzebuję drugiej pracy.

Isabel chwyciła obiema rękami za krawędzie stołu.

– Super! – Wyszczrzyła się w uśmiechu, łapiąc mnie za nadgarstek. – Kobieto, ależ ty jesteś odważna!

– To się zobaczy. – Wzięłam głęboki wdech. – Sama nie wiem.

Kelner podszedł, aby sprawdzić, jak się mamy.

– Smakuje paniom?

– Tak! – zawołałyśmy razem. Wręczył nam kolejny koszyk chleba kukurydzianego.

– Dasz radę. – Isabel poczęstowała mnie kawałkiem ogona wołowego, który smakował, jakby godzinami duszono go w pomidorach, czosnku i sosie tabasco. – Ale jak masz zamiar to zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Tamtego wieczora napisałam maila do Mary Jo, dziękując za przejażdżkę i wskazówki odnośnie do Door, mówiąc jej, że poważnie rozważam wyrobienie licencji na żółtą taksówkę.

„Weszłam na twój blog – odpisała następnego ranka. – Cudownie było gościć cię w swojej taksówce. No tak, Door to naprawdę niebezpieczne ;) miejsce. Cieszę się, że ty i twoja znajoma spróbowałyście curry z koźliną. Powiem ci szczerze, że to curry i ziemniaczane chipsy Lay's wpędzą mnie do grobu. Hahahaha. Dziękuję za moje pięć minut sławy. Daj mi znać, jak ci idzie z wyrabianiem licencji. Umówimy się!”.

Myślałam o tym przez kolejne czterdzieści osiem godzin. Potrzebowałam drugiej pracy, lecz co ważniejsze, zaczynałam dostrzegać ograniczenia związane z tym, co mogłam zrozumieć z tylnego siedzenia – miałam wrodzoną tendencję do idealizowania kierowców i samej jazdy taksówką, lecz ta praca miała także swoje mroczne strony. Jak miałam się o nich dowiedzieć z siedzenia pasażera? Może jako kierowca poznam miasto, jego topografię oraz poruszających się po nim ludzi. Co by było, gdybym zrobiła mały restauracyjny rekonesans na własną rękę? Podobał mi się pomysł pójścia tą samą drogą z Nidią i Mary Jo. Pomysł był szalony, wręcz obłąkany. I jednocześnie wydawał się zupełnie właściwy.

„**DO WSZYSTKICH OUTSIDERÓW:** jesteście Nowym Jorkiem!” – powiedział mężczyzna w przekrzywionej muszce do kierowcy taksówki patrzącego na niego spode łba we wstecznym lusterku. Siedzieli w jadącej donikąd taksówce wyciętej z kartonu, odgrywając początkową scenę z „JESTEM Nowym Jorkiem. Jak zostać profesjonalnym kierowcą taksówki”. Moi koledzy z zajęć i ja zakryliśmy usta, usiłując powstrzymać chichot. To wideo, jakby nakręcone trzydzieści lat temu na parkingu Ulicy Sezamkowej, stanowiło najważniejszą część oficjalnego programu nauczania z relacji pasażerskich New York City Taxi and For-Hire Vehicle Institute. „Odwróćcie się. Spójrzcie na klienta – powiedział mężczyzna w muszce do kierowcy, który wyglądał bardziej na takiego, co ma zatwardzenie, niż zainteresowanego. – Spytajcie o miejsce docelowe. Powtórzcie jego nazwę”. – „Gdyby relacja pasażer–kierowca była jedyną rzeczą do nauki...”, pomyślałam, gdy pan w muszce ciągnął swoje kazanie: „Jeśli uczynicie podróż przyjemną dla siebie, inni też to odczują! To wasz styl sprawia, że klient jest miły albo nieznośny!”.

Wołodia, facet z Sankt Petersburga, który na zajęciach zawsze siedział za mną i nigdy nie czesał włosów, nie zwracał najmniejszej uwagi na nagranie. Jak zwykle kartkował strony swojego atlasu ulic *New York City 5-Borough Street Atlas*, mamrocząc pod nosem ich nazwy jak magiczne zaklęcia, próbując przywołać w pamięci obraz topografii miasta.

– Nie chodzi tylko o to, że chcę zdać test na kierowcę! – powiedział Wołodia po zajęciach, z niepokojem malującym się w niebieskich oczach. – Ja po prostu nie chcę się zgubić!

„Ja też nie chcę”, pomyślałam, idąc przez Queens Boulevard w stronę metra. Niepokój Wołodii udzielił się i mi, gdy wsiadłam do wagonu. „To pociąg linii 7 jadący na Manhattan”, powiedziała spikerka melodyjnym, pełnym entuzjazmu głosem. „Następny przystanek to... Queensboro Plaza”. Wyciągnęłam z torebki swój atlas nowojorskich ulic i otworzyłam go na pierwszej stronie. Gdy nie myślałam o obawach, uwielbiałam tę mapę tak, jak uwielbiałam wszystkie inne, które w moich oczach przypominały coś w rodzaju dzieł sztuki.

– Szuka pani czegoś? – odezwał się mnich siedzący naprzeciwko mnie. Jego łysa głowa i obnażone ramię wyglądały jak wypolerowane w popołudniowym ostrym świetle. Spojrzał na atlas rozłożony na moich kolanach i wyciągnął iPhone’a spomiędzy fałd swojego bordowego habitu. – Mam GPS – powiedział, uśmiechając się.

– Dzięki. – Odwzajemniłam uśmiech. – Muszę nauczyć się rozkładu ulic.

– Dlaczego?

Hamulce zazgrzytały, gdy pociąg wjechał na Queensboro Plaza.

– Próbuję... – Poczułam się głupio, tłumacząc się przed nim, ale żaden z pasażerów nas nie podsłuchiwał. Oczy mieli wpatrzone w niemowlaka w kombinezonie w kolorze fuksji, który celował z pustego pistoletu na wodę w mężczyznę w garniturze pracującego na laptopie. – Chcę zostać taksówkarką.

– Taksówkarką? – Mnich wybuchnął śmiechem. Pociąg metra zatrzymał się, a on wstał,

chowając iPhone'a w etui pasującym kolorem do jego habitu w fałdach szaty. Wychodząc z wagonu, spojrzął na mnie po raz ostatni, nadal się śmiejąc.

A zatem nawet mnich uważał za zabawne to, że chciałam prowadzić taksówkę. „Bo to jest zabawne”, pomyślałam, lecz ponownie otworzyłam atlas, czując kolejny przypływ strachu. Strachu, który pojawił się znienacka i narastał stopniowo, podsycany wątpliwościami od pierwszego dnia w szkole taksówkarskiej, gdy zdałam sobie sprawę, czego muszę się nauczyć, aby zdać egzamin i zostać kierowcą żółtej taksówki. Nowy Jork miał prawie dziesięć i pół tysiąca kilometrów ulic, trzydzieści jeden mostów i tuneli, sto osiemdziesiąt osiem teatrów, ponad trzysta tysięcy metrów kwadratowych parków, pięćset muzeów i galerii sztuki, i Bóg jeden wie, ile hoteli oraz szpitali. Jeśli miałam zdać egzamin – test wielokrotnego wyboru złożony z osiemdziesięciu pytań, który „mógł zawierać pytania dotyczącej geografii, odczytywania map, lokalizacji adresów, planowania trasy oraz regulaminu Komisji Taksówek i Limuzyn” – miałam mniej niż dwa miesiące, aby nauczyć się tego wszystkiego.

– Bez jaj! – zawołała Nidia, gdy opowiedziałam jej o swoim planie.

– Super! – powiedziała Mary Jo. – Daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Dlaczego chcesz prowadzić taksówkę? – spytał tata, gdy wreszcie zebrałam się na odwagę, aby powiedzieć o wszystkim rodzicom podczas naszej niedzielnej rozmowy przez telefon.

– Najlepsi tancerze tanga muszą wiedzieć, jak prowadzić i jak dać się prowadzić. – To były słowa Joaquína, nie moje. – Jeśli mam kiedykolwiek zostać profesjonalną tancerką, muszę wiedzieć, jak to jest być po drugiej stronie uścisku.

– Hę?

– Przez cały czas byłam pasażerem – powiedziałam, lecz po wypowiedzeniu na głos tych słów zaczęłam się zastanawiać, czy metafora nie jest zbyt naciągana. – Jeżdżenie taksówką będzie jak nauka prowadzenia w tańcu.

– Ale, słonko, czy to przypadkiem nie jest niebezpieczne? – spytał tata.

– Cóż, i tak, i nie... – W tym momencie moja obawa (och, wiedziałam doskonale, że kiedyś na pewno się zgubię) była większa od jakiegokolwiek innego strachu, który mógł towarzyszyć rzeczywistym zagrożeniom związanym z prowadzeniem taryfy.

– Ale ty nigdy nawet nie jeździłaś po Nowym Jorku! – wtrąciła mama. – Jakim cudem zamierzasz prowadzić taksówkę?

Miała rację. Mieszkałam w Nowym Jorku niecałe sześć miesięcy i byłam najnowszym nabytkiem na zajęciach w szkole taksówkarskiej. W odróżnieniu od większości kolegów z grupy nie miałam zielonego pojęcia o drogach szybkiego ruchu, tunelach i ulicach jednokierunkowych, ponieważ wszędzie dojeżdżałam metrem albo chodziłam piechotą – co znaczyło, że nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na przykład na takie pytania:

1. Najkrótsza droga z Empire State Building na Manhattanie do Citi Fields prowadzi przez:
 - a. Clearview Expressway
 - b. Long Island Expressway
 - c. Major Deegan Expressway
 - d. Cross Island Parkway
2. Która z poniższych ulic na Brooklynie jest równoległa do Clinton Street?

- a. Atlantic Avenue
- b. Court Street
- c. Flushing Avenue
- d. Fulton Street

Odpowiedzi: 1b, 2b

Gdy nie byłam w szkole – na osiemdziesięciogodzinnym kursie w La Guardia Community College, na który uczęszczałam z Wołodią, czterema mężczyznami z Egiptu, pięcioma z Bangladeszu, didżejem z Togo imieniem Sam, który powiedział mi, że lubił afrykańskie jedzenie w Accra Restaurant na Bronksie, oraz z byłym członkiem plemienia Beduinów, który powiedział mi o świetnej jagnięcinie w Hadramout, jemeńskiej restauracji na Atlantic Avenue na Brooklynie – studiowałam atlas albo przemierzałam Manhattan ubrana w kamelowy płaszcz odziedziczony po mamie i cztery pary skarpetek, które nie były w stanie uchronić mnie przed hulającymi po mieście wichurami i brutalną zimą w Nowym Jorku.

Chodziłam po mieście, starając się spamiętać wejścia na mosty i do tuneli, ulice skośne w Greenwich Village i poprzeczne w Central Parku. Wszędzie chodziłam pieszo, ponieważ nie miałam samochodu. Brnęłam przez śnieg na Brooklynie, wpatrując się w uliczne znaki i w myślach robiąc im zdjęcia. Pojechałam metrem na Bronx i dalej na Queens, szukając logiki kryjącej się za planem architektonicznym każdego okręgu. Zrezygnowałam ze Staten Island po tym, jak jeden z moich instruktorów, były programista komputerowy z Kanady, który uciekł z Wall Street, powiedział nam, że miał tylko jeden kurs na Staten Island w całej swojej dwudziestoletniej karierze kierowcy.

I choć byłam pełna determinacji, aby poznać miasto, moja wiedza wydawała mi się powierzchowna, słabo przetrawiona, jak hamburger zjedzony w biegu. Mimo okropnego zimna panującego na ulicach spędzałam bardzo mało czasu w mieszkaniu – Jefferson nadal był w strasznym nastroju po zerwaniu, trzaskając drzwiami, milcząc w mojej obecności za każdym razem, gdy byłam w domu, zamykając się w swoim pokoju i grając w kółko tę samą przygnębiającą sonatę na wiolonczeli. „Pewnie nienawidzi teraz wszystkich kobiet”, rzekła Isabel. To było jedyne wytłumaczenie, które miało dla mnie sens, ale nie czyniło mieszkania z Jeffersonem ani trochę bardziej znośnym. Gdy już musiałam przebywać w mieszkaniu, słuchałam tanga. Z dala od Buenos Aires melancholia, tęsknota i szaleństwo zawarte w muzyce nabierały dla mnie jeszcze większego sensu.

W noc przed testem zadzwoniłam do Mary Jo.

– Pamiętam swojego pierwszego pasażera z pierwszego dnia pracy – powiedziała. – Boże, co za porażka! Zabrałam pewnego dżentelmena na Houston i Avenue Coś Tam. Powiedział, że chce pojechać na Ulicę Jakąś Tam. Nie miałam pojęcia, o czym mówił.

– O Boże! – Zbyt łatwo przyszło mi wyobrazenie sobie siebie w identycznych tarapatkach.

– I tak, jak mówią w szkole taksówkarskiej, spytaj pasażera o najlepszą drogę – ciągnęła Mary Jo. – Jezu, ale ten facet się wkurzył! Powiedział: „Nic dziwnego, że ludzie nie lubią taksówkarzy!”. Wysiadł i trzasnął drzwiami. Rany, to był dopiero pierwszy dzień! Ale, skarbie, nie zniechęcaj się. Musisz robić swoje.

– Ile czasu minęło, zanim poczułaś, że wiesz, co robisz?

– Codziennie uczę się czegoś nowego – stwierdziła. Przypomniało mi to słowa Joaquína, gdy

początkujący tancerze pytali go, ile czasu potrzeba, by nauczyć się tanga: „Całego życia”. – W taksówce uczysz się rzeczy, których nie przekaże ci żadna szkoła.

Kiwnęłam głową, robiąc notatki.

– Jesteś tam?

– Tak. Robię notatki.

– Zapisz sobie wszystko, złotko. Gotowa?

– Tak.

– Dzięki ci, Boże, za twoją łaskę – powiedziała. – Będziesz jej potrzebować.

Może to za sprawą łaski – oraz dzięki miłości do map i mnóstwu testów próbnych – udało mi się przebrnąć przez egzamin. Po jego zaliczeniu byłam szczęśliwa przez około pięć minut, bo wtedy zdałam sobie sprawę z istnienia innych, znacznie większych przeszkód.

– Zaliczenie egzaminu to jedno – poinformował mnie mój instruktor, gdy przyszłam odebrać wyniki. – Teraz będziesz musiała znaleźć sobie garaż.

W mieście było więcej kierowców niż taksówek: czterdzieści osiem tysięcy taksówkarzy, których liczba stale rosła, oraz trzynaście tysięcy żółtych taksówek, i ani jednej więcej.

– Będziesz pracować jednym ciągiem? – spytał mój instruktor.

– Nie. – W taksówkarskim żargonie oznaczało to pracę na pół etatu. W odróżnieniu od kierowców pracujących jednym ciągiem, którzy jeździli sześć lub siedem dni w tygodniu, ci, którzy jeździli nieregularnie, mogli ustalać własne grafiki.

– Właściciele garaży lubią stałe posady – dodał instruktor. – Dorywcza praca w dzisiejszych czasach? Nie ma gwarancji, że dostaniesz taksówkę. W garażu trzeba się pojawić o drugiej-trzeciej nad ranem. Trzeba być pierwszym w kolejce. – Cmoknął. – Ale masz przed sobą wiele możliwości, młoda damo! Może wynajmiesz taryfę od właściciela? – Wskazał na tablicę informacyjną usianą ogłoszeniami SZUKAM KIEROWCY. – Właściciel zapewni ci lepszą umowę. A w garażu jesteś niewolnikiem!

Przyjrzałam się ulotkom. Mogłam wynająć forda crown victoria, rocznik 2009, za siedemset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo od Anwara albo dzielić taksówkę z Lulo, jeżdżąc za dnia na pół etatu, albo z kimś o inicjałach AFP, kto szukał taksówkarza jeżdżącego w ciągu dnia na weekendy, albo zwyczajnie zadzwonić pod numer 3479788023 i „zacząć jeździć od środy”. Żołądek wywrócił mi się na drugą stronę. Z jakiegoś powodu nie potrafiłam umieścić siebie w żadnym z tych scenariuszy.

– Znajdziesz garaż – powiedziała Isabel. – Jestem o tym przekonana. Pokaż mi lepiej swoją licencję!

Stałyśmy na rogu University Place i Czternastej Wschodniej, szukając taksówki.

Wyciągnęłam swoją licencję, ozdobioną na krawędziach taksówkarską żółcią, z moim nazwiskiem wydrukowanym wielkimi literami, i podałam Isabel.

– Zdjęcie jest wyjątkowo okropne – powiedziałam. Wyglądałam jak baba z wielkim nochem i mnóstwem kłaków.

– Nie przypominasz samej siebie – stwierdziła, oddając mi zdjęcie.

Schowałam licencję do portfela i wyciągnęłam rękę. Taksówkarz, który się zatrzymał, od

razu wyraził zgodę, gdy spytałam, czy możemy zadać mu kilka pytań w drodze na Dwudziestą Ósmą i Lex. Był młody – wyglądał na jakieś dwadzieścia kilka lat – i przystojny, z włosami o barwie popielatego blondu i niebieskimi oczami w kształcie migdałów.

– Nie wyglądam na Turka – odezwał się, gdy zobaczył, że przyglądam się jego licencji. Na imię miał Huseyin. – Ale nim jestem. Wbrew pozorom w Turcji mieszka wielu blondynów. – Wyminął rój pieszych przemierzających Broadway. – Przyjechałem do Nowego Jorku dwa lata temu z prowincji Hatay w południowo-wschodniej Turcji. Byłem sprzedawcą w Westco. Ale interes podupadł tak bardzo, że musiałem zacząć jeździć taksówką.

– Kiedy zacząłeś?

– Dwa miesiące temu. Mojej dziewczynie się to nie podoba. Ale to lepsze od rozwożenia bakławy.

– Bakławy? – Przynurłam się bliżej okienka w pleksiglasowej ścianie działowej.

– Najlepszej bakławy w Nowym Jorku. Gdy tu przyjechałem, w ogóle nie mówiłem po angielsku. Więc zacząłem pracę w knajpcie z bakławą. Tak poznałem Courtney. Pochodzi z Arizony. Teraz – uśmiechnął się, a na jego policzkach pojawiły się dołeczki – jestem jej winien naukę języka.

Isabel i ja wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Opowiedz nam coś więcej o tej bakławie – poprosiła. Mrugnęłam do niej porozumiewawczo.

– Nazywa się Güllüoğlu.

– Guulluu...?

– Gül-lü-o-ğlu. Produkują ją w Stambule i sprowadzają do Nowego Jorku. Potem piekarz codziennie robi z tego świeżą bakławę.

– Mówisz serio? – spytałam.

– Zawieziesz nas tam? – spytała Isabel.

– Myślałem, że chcecie jechać na Dwudziestą Ósmą i Lex.

– Jesteśmy głodne.

– Okej. – Parsknął śmiechem. – Nie ma sprawy. Ale jeśli chcecie spróbować czegoś więcej poza bakławą, to znam jedno takie miejsce... – Znajdowało się na Upper East Side i było jego ulubionym lokalem w mieście serwującym Adana kebab na płaskich, żelaznych szpadkach. – Bakławę możecie zjeść na deser.

Rozmawiało się nam przyjemnie w drodze do restauracji, jadąc na północ Trzeciej Alei, zupełnie jakbyśmy wyruszyli na niedzielną przejażdżkę po prowincji. Huseyin z początku nie chciał uwierzyć, że właśnie zdałam egzamin na taksówkę.

– Mogę ci pokazać swoją licencję, jeśli chcesz. – Sięgnęłam po portfel.

– Nie, nie – odparł. – Wierzę ci.

Powiedziałam mu, że szukam garażu.

– Może mój cię przyjmie.

Spojrzałam na Isabel z szeroko otwartymi oczami. Pochodziłam z Kalifornii, gdzie siła pozytywnego myślenia jest swego rodzaju nieoficjalną religią, jednak trudno było mi uwierzyć w aż tak szczęśliwe, przypadkowe odkrycia.

– Podam ci adres – powiedział Huseyin. – To na Brooklynie. Pasuje ci?

– Nie sądzę, bym mogła wybrzydząć.

Zaparkował taksówkę za rogiem, kawałek od restauracji, w miejscu o nazwie Üsküdar, na Siedemdziesiątej Trzeciej Wschodniej Ulicy przy Drugiej Alei. Isabel i ja byłyśmy zaskoczone, gdy zaprowadził nas do środka, przedstawił kierownikowi i nauczył, jak powiedzieć po turecku „witam” (*merhaba*). Niestety, nie miał czasu na kebab. Zanim jednak wrócił do taksówki, zaprosił nas na wspólny obiad we czwórkę na Brooklynie, w lokalu o nazwie A Bay Ridge Shish Kebab – jak powiedział, miał fioła na punkcie przyrządzanego tam gyrosa z kurczaka. Zapisał również adres swojego garażu.

– Jestem pewien, że cię przyjmą – powiedział.

Podziękowałam mu, mając nadzieję, że się nie mylił.

Następnego dnia wybrałam się metrem do garażu Huseyina.

– Jeździła pani kiedyś taksówką? – spytał kierownik. Spojrzał na moją licencję, po czym mi ją zwrócił. Materiał pod pachami jego białej koszuli był poźółkły, tak samo jak opuszki palców od palenia papierosów.

– Nie – odparłam. – Jeszcze nie.

Omiótł spojrzeniem moją wielką, czerwoną torbę i beżowy płaszcz mamy, który był najcieplejszym ubraniem, jakie posiadałam. Ręcznie szyty, pięknie skrojony. Na ulicy prezentował się bardzo elegancko. Dopiero gdy weszłam do garażu, uświadomiłam sobie, że pewnie wyglądam przez niego jak wystrojona cizia. Gdyby tylko zobaczył rozpadającą się podszewkę...

– Od jak dawna ma pani nowojorskie prawo jazdy? – spytał, krzyżując ręce na piersi.

Zerknęłam na dwóch innych mężczyzn w biurze, siedzących na metalowych krzesłach z nosami w dokumentach, udających, że wcale nie podsłuchują.

– Od października. Trzy miesiące. – Przełożyłam torebkę na drugie ramię. – Ale kalifornijskie prawo jazdy posiadam od 1990 roku.

– Musi pani mieć co najmniej dwuletnie doświadczenie w poruszaniu się po Nowym Jorku, żeby jeździć taksówką z tej floty – wyjaśnił kierownik. – Nasze ubezpieczenie nie uwzględni pani doświadczenia z Kalifornii. – Wyciągnął dłoń w stronę drzwi z uśmiechem na twarzy, jakby rozkoszował się możliwością wykopania mnie za drzwi. – Dziękuję za wizytę.

Zacisnęłam usta i wyszłam w pośpiechu. Mój oddech parował na zimnie, gdy maszerowałam przez parking. Byłam pewna, że nie odmówił mi z powodu ubezpieczenia. Ale co mogłam na to poradzić?

Próbowałam się uspokoić w drodze powrotnej na Czwartą Aleję, wyczuwając zapach czegoś, co pachniało jak smakowite połączenie czosnku, kuminu i cebulki dymki. Woń unosiła się z chińskiej restauracji *halal* o nazwie No Pork. Zauważyłam to miejsce w drodze do garażu. Napływające zapachy były kuszące, ale poszłam dalej.

To byłoby zbyt łatwe, zbyt poetyckie, gdybym dostała pracę w garażu Huseyina. Jego kulinarne wskazówki spisały się już wystarczająco dobrze. Isabel i ja z pewnością wrócimy do Üsküdar na Adana kebab z mielonej jagnięciny z czerwoną papryką, na „gołąbki” z liści winogron i szpinakowy *tarator* (domowej roboty jogurt z siekanymi orzechami włoskimi). A baklava Güllüoğlu – pistacjowa, z kasztanami, orzechami włoskimi czy kwaśnymi wiśniami – była jak na razie najlepszą, jaką kiedykolwiek jadłam, z najświeższymi orzechami, idealnym połączeniem masła i cukru oraz warstwami ciasta *yufka*, które rozpuszczało się na moim języku niczym płatki śniegu.

Rozmyślanie o baklawie nie przyniosło mi żadnej pociechy, gdy wracałam metrem na Queens. Co będzie, jeśli żaden garaż nie zechce mnie przyjąć? Co, jeśli w tym momencie szukali wyłącznie kierowców na pełen etat? Pomyślałam o czasie i pieniądzach, jakie zainwestowałam w zdobycie licencji, przeskakując przez biurokratyczne pułapki, studiując mapy, chodząc po ulicach czterech okręgów, uczęszczając do szkoły taksówkarskiej, robiąc badanie wzroku, test na obecność narkotyków, nowe ubezpieczenie społeczne i nowe prawo jazdy. A jeśli to wszystko było na próżno? Potrzebowałam kolejnej pracy – lecz tutaj chodziło o coś więcej niż pieniądze. Chciałam prowadzić taksówkę.

– Jeździłaś kiedy taksówką? – spytał kasjer ze sterczącymi, siwymi włosami w garażu o nazwie Team Systems. „Team!”, jak przedstawiali się przez telefon, było miejscem, w którym ukończyłam kurs z jazdy defensywnej, który stanowił pierwszy krok do otrzymania licencji upoważniającej do prowadzenia żółtej taksówki.

Po tym, jak odmówiono mi w garażu Huseyina, mój instruktor poradził mi spróbować w Team. „Mają jedną z największych flot w mieście!”, powiedział. Mimo to nie miałam zbyt wielkich nadziei. Duża flota czy mała, w mieście było zbyt wielu kierowców i za mało taksówek.

Kasjer stał w drzwiach między garażem a biurem, trzymając w dłoniach moją licencję, spoglądając zmrużonymi za okularami oczami na okropne zdjęcie, a potem na mnie.

– Nie – odparłam. – Jeszcze nigdy nie prowadziłam taksówki. – „Zaczyna się”, pomyślałam. Wyciągnęłam dłoń, aby zabrać dokument. – Ale zdobyłam dziewięćdziesiąt sześć punktów na egzaminie.

– No to już masz za wysokie kwalifikacje – powiedział, nadal trzymając licencję i wdychając tak, jakby świat zszedł na psy. Kazał mi pójść za sobą do gabinetu, a konkretnie do biurka stojącego w rogu, nad którym wisiał kalendarz z 1999 roku z modelkami w kostiumach kąpielowych i naklejka z napisem NIGDY NIE JEDŹ SZYBCIEJ OD SWOJEGO ANIOŁA STRÓŻA. – Trzymaj. – Podał mi stertę formularzy. – Wypełnij i pokaż swoje prawo jazdy. Miałaś jakieś wypadki?

– Nie.

– Muszę sprawdzić twoje akta.

Starałam się zachować zimną krew, robiąc miejsce na zavalonym papierami biurku i wypełniając formularze. Chcieli, żebym podała nazwisko, adres, numer telefonu, numer licencji, prawa jazdy, datę urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego i dane osoby do kontaktu w razie nagłego wypadku. Wybrałam Isabel.

Kasjer wrócił po kilku minutach.

– Twoje akta są czyste. Daj mi to. – Podałam mu formularze. – Przy okazji, mam na imię Allen.

I co, to już wszystko? Przyjęli mnie? Żadnych problemów z ubezpieczeniem? Niemożliwe. To nie mogło być aż tak proste.

– Jestem Layne.

– Jeśli będziesz miała wypadek, sprowadź samochód do garażu – powiedział Allen.

Przyjęli mnie!

– W porządku. – Kiwnęłam głową. – Tak zrobię. – „Obiecuję – pomyślałam. – Co tylko chcesz”.

– Jeśli wypadek nie będzie poważny, wyślemy cię z powrotem w trasę. Jeśli będzie, spiszesz raport o wypadku z paniami w biurze.

– Okej. – Rozejrzałam się po biurze. Nie zauważyłam żadnych pań.

– Zmiana dzienna zaczyna się o piątej rano. Nawet jeśli nie dostaniesz auta przed szóstą, nadal musisz zwrócić je przez siedemnastą. – Stuknął palcem w nadgarstek. – W przeciwnym razie zapłacisz karę za spóźnienie. Wiesz, mamy teraz naprawdę sporo kierowców, więc nie mogę zagwarantować ci samochodu.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Nie mogłam przestać kiwać głową. – Nie ma problemu.

Allen wyprowadził mnie z biura prosto do części garażowej. Wszystko – taksówki, części zamienne, okna i ściany – pokrywała warstwa smaru samochodowego. Dwóch mechaników w niebieskich kombinezonach zajmowała się żółtą taksówką z otwartą maską.

Allen odwrócił się w moją stronę.

– Wiesz, jak obsługiwać taksometr?

– Tak jakby...

– Rabin!

Rabin, zwalisty facet o posturze boksera z ogoloną głową i szeroko rozstawionymi, brązowoczarnymi oczami, przerwał rozmowę z jednym z mechaników i podbiegł do nas. Dzinyś ledwie trzymały mu się na biodrach. Kaszłał jak palacz, prowadząc mnie na parking do jednej z taksówek obok dystrybutorów z paliwem.

– Usiądź po stronie kierowcy – powiedział. Wspięłam się na fotel i przejechałam dłońmi po kierownicy, próbując znaleźć pedał gazu. Ledwie do niego dosięgałam.

Rabin usiadł na fotelu pasażera.

– Nigdy wcześniej nie prowadziłaś taksówki?

Pokręciłam przecząco głową. Poczułam kołysanie w żołądku.

– Szkolę się na radiologa – powiedział. – Ta praca to tylko tymczasowe zajęcie. – Wskazał na licznik. – Taksometr jest łatwy w obsłudze. – Machnął palcem w kierunku dolnego guzika po lewej stronie. – Wciskasz pierwszy guzik, gdy jedziesz do którejkolwiek z pięciu dzielnic. Włącza i wyłącza licznik. Drugi przycisk jest od kursów na lotnisko JFK – no wiesz, tych za czterdzieści pięć dolców. – Pokiwałam głową. Było tak, jak uczyli nas na zajęciach. – Gdy jedziesz do Newark, wciskasz trójkę – kontynuował Rabin. – Jeśli wyjeżdżasz poza granice pięciu okręgów, wciskasz czwórkę. Wtedy zacznie on podwajać stawkę. A jeśli zdarzy ci się kurs ze stałą opłatą, no wiesz, na przykład do Connecticut czy czegoś w tym stylu, wciskasz piątkę.

– W porządku.

– To naprawdę proste. – Rabin wzruszył ramionami.

– Okej. Wielkie dzięki. – Wróciłam z nim do garażu. Sprawiało wrażenie prostego, ale oczami wyobraźni już widziałam, jak miotam się wśród tych przycisków. Obsługa maszyn zawsze była moją słabą stroną.

Allen stał na środku garażu z dłońmi wspartymi na biodrach, wystającym brzuchem, naprężony jak struna i przyglądał się, jak jeden z mechaników wymienia żarówkę w rozbitym świetle stopu.

– Wiesz – powiedział, odwracając się do mnie – kierowca taksówki to wyjątek pod każdym możliwym względem.

– Jak to?

Zdjął okulary, chuchnął na szkła i wytarł je połą koszuli.

– Trzeba mieć wyjątkową osobowość, żeby prowadzić taksówkę. Aby jeździć na Manhattan, musisz być w szczytowej formie. Tam potrzeba mnóstwa cierpliwości. I energii. Większość ludzi tego nie ma. – Wsadził okulary z powrotem na nos. – Ale niektórzy... niektórzy ludzie urodzili się, aby być taksówkarzami.

Czy on naprawdę sądził, że urodziłam się, aby być kierowcą taksówki? Aż bałam się zapytać.

– Bezpiecznej drogi – powiedział, wyciągając z kieszeni moją licencję i oddając mi ją. – I uważaj na policjantów na Trzydziestej Siódmej i Lex.

Wsunęłam licencję w przegródkę portfela.

– Będę uważać.

OSIEM GODZIN PRZED WYJŚCIEM DO GARAŻU, przed pierwszą zmianą w życiu, byłam zajęta pakowaniem wszystkiego, co uznałam za przydatne, do swojej wielkiej, czerwonej torby:

- karmelowe cukierki dla miłych pasażerów – pomysł zainspirowany Nidią
- *New York City 5-Borough Street Atlas* – mogliśmy dostać mandat od Komisji Taksówek i Limuzyn, TLC, jeśli nie mieliśmy go w taksówce przez cały czas
- składana mapa Manhattanu VanDam – pomysł Mary Jo. Łatwiejsza w użyciu niż atlas i doskonała do szybkiego sprawdzenia ulic jednokierunkowych i ukośnych w Greenwich Village
- kwitariusz – książka z wydrukami z licznika; TLC wymagało od nas, abyśmy wozili przy sobie papierowe wydruki w ramach kopii zapasowych
- spis postojów taksówek, szpitali, domów towarowych, atrakcji turystycznych, terminali, hotelów, parków, większych muzeów, dróg poprzecznych w Central Parku oraz wjazdów na przejścia wodne (np. mosty)
- dekodery numerów ulic Manhattanu, niezbędny do znalezienia przecznicy w przypadku, gdy pasażer znał jedynie adres (np. Druga Aleja 1405)
- notes oraz dużo długopisów
- dyktafon, na wypadek gdybym miała zajęte ręce i nie mogła sporządzić notatek
- aparat fotograficzny
- dwadzieścia dolarów w bilonie + dodatkowe drobne na kawę
- gaz pieprzowy, z którego miałam nadzieję nigdy nie skorzystać
- ręczniki papierowe i olejek herbaciany, jeśli chciałam, żeby w mojej taksówce ładnie pachniało, przynajmniej do momentu, w którym ktoś nie puści pawia
- scyzoryk szwajcarski
- woda
- składanka muzyczna z otwarciem w postaci melodii przewodniej z filmu *Superman*.

Choć starałam się przewidzieć, czego jeszcze mogę potrzebować, wiedziałam, że żadna ilość cukierków, map, dekoderek, gazu pieprzowego i scyzoryków nie zmniejszy poczucia, że jestem nieodpowiednio wyposażona, źle przygotowana, i zwyczajnie oszalałam ze strachu. Doskonały wynik testu nie będzie miał żadnego znaczenia, gdy mój pierwszy pasażer poda mi adres. Na

razie mój niepokój mieszał się z innymi, bardziej konkretnymi obawami: A co, jeśli rozbiję taksówkę? Co, gdy kogoś potrącę? Co robić, gdy trafi mi się klient wariat? „Osiemdziesiąt pięć procent ludzi jest w porządku – powiedział nam jeden z instruktorów podczas kursu. – Siedem i pół procent nie jest, a drugie siedem i pół procenta jest takie sobie”.

Kończąc pakować torbę, ułożyłam sobie mantrę: „Będę bezpieczna, moi pasażerowie będą bezpieczni, moja taksówka będzie bezpieczna, każdy, kto zbliży się do mojej taksówki, będzie bezpieczny...”. Powtarzałam ją za każdym razem, gdy do głowy przychodził mi jakiś makabryczny scenariusz.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Sarah, moja nowa współlokatorka, opierając się o drzwi z różyczką brokuła w ręku, przyglądając się, jak wyjmuję ubrania na następny dzień.

Po Nowym Roku wyprowadziłam się z mieszkania Jeffersona. Co prawda znajdowało się ono o zaledwie trzy przystanki linii metra N od garażu Team, ale atmosfera w mieszkaniu zrobiła się toksyczna – Jeff nigdy nie opuszczał swojego pokoju, chyba że był przekonany, że mnie nie ma albo drzwi do mojego pokoju były zamknięte. Milczenie między nami osiągnęło taki poziom, że uzgodniliśmy warunki wyprowadzki za pomocą poczty elektronicznej, wysyłając sobie wiadomości z własnych pokoi. W czasie krótszym niż jeden dzień po tym, jak wystosowałam prośbę na Facebooku („Czy ktoś zna osoby poszukujące współlokatorki w Nowym Jorku?”), znalazłam tanie lokum w Ridgewood z Sarah, nauczycielkę jogi Iyengara, którą poznałam w Argentynie, Romeem, jej mężem i didżejem techno, który tak jak ona był wegetarianinem, oraz ich psem rasy chihuahua, który wabił się Papichulo. Mieszkanie leżące na granicy między Brooklynem a Queens, otoczone sklepikami z tysiącem drobiazgów za 99 centów i wpłatomatami Western Union znajdowało się dziewięćdziesiąt minut drogi od garażu Team.

„Wszystkiego najlepszego jutro – napisała do mnie Isabel, gdy zachodziło słońce. – Wiem, że się denerwujesz, ale wszystko na pewno pójdzie dobrze! Żałuję, że to nie ja będę tym pierwszym szczęśliwcem, który zasiądzie w twojej taksówce! Połamania nóg, przyjaciółko!”.

Tamtego wieczora położyłam się wcześniej, ale nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok, nie wiadomo jak długo, aż w końcu poddałam się i obejrzałam film *Taksówkarz*, po którym leżałam w łóżku i nie mogłam zmrużyć oka, mając w pamięci obraz Roberta De Niro jako Trvisa Bickle’a w jego checkerze, omijającego nocą kanały wziewne, podwożącego zbrojców i skorumpowanych polityków, z każdą następną zmianą przekraczając kolejne granice obłądzenia. Zastanawiałam się, czy prowadzenie taksówki robi ze mną to samo, co z nim, czy ta praca pomiesza mi w głowie wystarczająco mocno, że zrobię sobie irokeza i będę jadła chleb tostowy Wonder Bread namoczony w mleku i brzoskwińcówce.

Gdy o 2:30 zadzwonił budzik, zamiast mantry „Będę bezpieczna, moi pasażerowie będą bezpieczni”, miałam w głowie słowa Trvisa Bickle’a: „Nocą wyłażą wszystkie zwierzęta. Kurwy, alfonsy, pedały, transwestyci, narkomani, dilerzy. Pewnego dnia spadnie prawdziwy deszcz i zmyje cały ten brud”.

Po zagotowaniu wody na kawę i zgromadzeniu przekąsek (batonik figowy, kawałek cheddara z koziego mleka, jabłko, banan i jajko na twardo), naszła mnie myśl, że zamiast tego powinnam była obejrzieć *Kobiety na skraju załamania nerwowego* Almodóvara. *Taksówkarz* w jego filmie – który jeździł z frędzlami przyklejonymi do przedniej szyby i miał w środku aspirynę, chusteczki higieniczne, kolorowe szmatławce, krople do oczu, fantę oraz pieczołowicie dobraną kolekcję latynoskiej muzyki włączaną na życzenie klientów – był taksówkarzem, do miana którego pragnęłam aspirować, tylko bez foteli w gepardzie cętki i tlenionych włosów zaczesanych do

góry.

O czwartej nad ranem chmury spowiły księżyc, a ja brnęłam przez śniegowe zasy w swoim zimowym uniformie – z rajstopami pod spodniami, w dwóch swetrach, płaszczu mamy, czterech parach skarpetek i dwóch parach rękawiczek – w kierunku stacji metra. Palce nadal szczypały z zimna, gdy wsiadłam po pociągu linii L, w którym mężczyzna w parce czytał Biblię, a kobieta, która wyglądała, jakby miała na sobie wszystkie posiadane ubrania, spała na jednej z jasnoniebieskich ławek, tuląc plastikową torbę z Century 21. W dalekim końcu przedziału kolejna kobieta, trochę po pięćdziesiątce, ubrana w kabaretki i sięgające do połowy uda czarne kozaki z lakierowanej skóry, wydmuchiwała nos. Oto Nowy Jork Trávisa Bickle’a. Żołądek bolał mnie, jakby coś drążyło go od środka, mimo że zmusiłam się, żeby zjeść figowy batonik podczas czekania na pociąg.

Za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się, a drzwi otwierały, lodowate powietrze z peronu wpadało do wagonu, jakby szukało kogoś, kogo mogłoby ukarać. Przycisnęłam ramiona do boków i mocniej chwyciłam torbę, próbując odegnać chłód. Na Lorimer Street jakiś mężczyzna grający melodię z *Flintstonów* na miniakordeonie rozmawiał z grupką pijanych dwudziestoparolatków, którzy obmacywali się pod długimi płaszczami, dzieląc się szczegółami świetnej imprezy. Kobieta w wysokich kozakach wysiadła z pociągu, wciskając do kieszeni zmięte chusteczki do nosa. Śpiąca podniosła się z ławki. Mężczyzna z Biblią jeszcze bardziej pogrążył się w lekturze. Spojrzałam na telefon. Dochodziła czwarta rano w niedzielę albo czwarta w nocy w sobotę – w Buenos Aires była to pora, gdy światła w La Viruta robiły się niebieskie, gdy turyści rozchodzili się do domów, a nauczyciele, profesjonalni tancerze i prawdziwi zapaleńcy przejmowali parkiet. Według kilku taksówkarzy, który odwozili mnie do domu po milondze, był to również czas, gdy zasłona między tym a „tamnym” światem była najcieńsza.

Na Union Square przesiadłam się do pociągu linii N. Siedząc samotnie w przedziale, przygryzając spierzchnięte usta, trzymając torebkę i paczkę z przekąskami na kolanach, miałam nadzieję, że pociąg ulegnie awarii, że coś uniemożliwi mu dotarcie do celu, lecz gdy pociąg wynurzył się tuż przed Queensboro Plaza i zatrzymał na podwieszanym torze na Trzydziestej Dziewiątej Alei na Long Island City, po drugiej stronie ulicy od garażu, złapałam swoje rzeczy i wypadłam przez rozsuwane drzwi, zupełnie jakbym chciała stamtąd uciec. Z peronu metra słyszałam głos dyspozytora wywołującego nazwiska taksówkarzy przez megafon, nakazujący im rozpoczęcie porannej zmiany.

Zatrzymałam się na szczycie schodów i zrobiłam zdjęcie garażowi. Rzędy żółtych taksówek czekały na parkingu pod warstwą ciężkiego śniegu. Światła fluorescencyjne migotały za oszronionymi szybami biura. Przyglądałam się, jak kierowcy z nocnej zmiany wjeżdżają do środka, ze światłami stopu lśniącymi w rześkim powietrzu, gdy mijali bramę w drucianym płocie. Przypomniałam sobie Mabel, pierwszą i jedyną taksówkarzkę spotkaną w Buenos Aires, która powiedziała, że albo się tę pracę kocha, albo nienawidzi, i nie ma niczego pomiędzy. Nigdy nie sądziłam, że przekonam się o tym na własnej skórze.

Weszłam na parking i natychmiast wyczułam zaciekawienie kierowców z nocnej zmiany, którzy ustawiali się w kolejce do odstawienia taryf, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby zastanawiali się, co tutaj robię. Staralam się nie spoglądać w stronę stojących na parkingu taksówek z oderwanymi maskami, zmiażdżonymi zderzakami i wgniecionymi drzwiami od

strony kierowcy.

Gdy otworzyłam skrzypiące drzwi biura, głowy zgromadzonych odwróciły się od stołu z piłkarzykami i telewizora, w którym leciała powtórka *Footloose*. Kierowcy w poczekalni gapili się, gdy powlokłam się do okienka, stanęłam na czubkach palców i wsunęłam licencję w szparę w kuloodpornym szkłe. Było nieco po piątej rano.

– Dzień dobry – powiedziałam, uśmiechając się do dyspozytora. – Przyszłam za późno, żeby dostać jakąś taksówkę?

Miał czarne włosy poprzetykane siwizną. Był ubrany w kraciatą koszulę. Jego usta, otoczone zmarszczkami mimicznymi, wygięły się w uśmiechu tak szczerym, że na chwilę zapomniałam o Travisie Bickle’u, zaciekawieniu malującym się na zmęczonych twarzach kierowców z poczekalni oraz potwornym zimnie panującym na zewnątrz, przenikającym przez okna z pojedynczymi szybami.

– Nie, wcale nie przysłaś za późno – odparł, kładąc moją licencję na ladzie obok mikrofonu.
– Pierwszy dzień? – Spodobał mi się jego brookliński akcent.

– Tak.

– Jestem Mike. Usiądź. Za minutę cię zawołam.

Usiadłam na jednej z ławek stojących pod ścianą z pustaków. Wnętrznosci zacisnęły mi się w supeł. Zajrzałam do torby z przekąskami. Nie sądziłam, aby udało mi się utrzymać w żołądku którąkolwiek z nich.

– Chcesz zagrać? – spytał jeden z kierowców, wskazując na piłkarzyki. Boże Narodzenie było trzy tygodnie temu, a on miał na sobie świąteczny sweter z czerwonymi i zielonymi płatkami śniegu.

– Nie, dzięki. Jestem w tym naprawdę okropna.

– Serio?

Kiwnęłam głową.

Wzruszył ramionami i usiadł obok pozostałych kierowców, którzy czekali, aż Mike wywoła ich imiona. Większość miała zamknięte oczy, część oglądała popisową finałową scenę z *Footloose*. Mike włączył dmuchawę, a po poczekali rozeszła się fala gorącego powietrza, docierająca z wylotu kwadratowej rury obok telewizora. Salta Kevina Bacona na ekranie sprawiły, że i ja nabrałam ochoty, aby trochę się poruszać. Osiągnęłam taki stan niepokoju towarzyszącemu scenicznej tremie, w którym pragnienie, aby mieć to już wszystko z głowy, przesłoniło obawy.

– Jeździsz taksówką? – spytał mężczyzna siedzący po mojej prawej.

– To mój pierwszy dzień.

Spytałam go, od jak dawna prowadził.

– Zbyt długo! – odparł. Miał krzywy nos, jakby połamany go parę razy. Naciągnął na uszy dzierganą na drutach czapkę.

– José! – Nawet przez zniekształcający głos megafon słyszałam uśmiech w głosie Mike’a.

– To ja – powiedział kierowca w czapce. – Powodzenia na drogach. Miło spotkać tu kobietę.

– Dzięki.

Nie wiedziałam, czy podoba mi perspektywa bycia anomalią, ale nie miałam w tej kwestii wielkiego wyboru. W trakcie kursu zebrałam garść informacji na temat kobiet taksówkarzy. Kobiety w Nowym Jorku zaczęły masowo prowadzić taksówki podczas II wojny światowej

w związku z niewystarczającą liczbą mężczyzn kierowców, ale w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy szerzyła się przemoc wobec taksówkarzy, została ich zaledwie garstka. Obecnie miasto nie było nawet w połowie tak niebezpieczne, jak wtedy, jednak według ostatnich danych, spośród czterdziestu ośmiu tysięcy kierowców żółtych taksówek co najmniej pięć tysięcy stanowiły kobiety.

– Layne!

Wzdrygnęłam się na dźwięk swojego imienia. Mike wsunął moją licencję oraz wskaźnik przejechanych kilometrów z numerem medalionu taksówki, którą miałam prowadzić, przez szparę w kuloodpornym szkłe.

– Właśnie ją tankują! – powiedział.

Mężczyzna w futrzanej czapie biegał między taksówkami czekającymi w kolejce do dystrybutora z paliwem, uzupełniając puste baki po nocnej zmianie, które zaraz miały zostać przekazane dniówce. Moja taksówka, czy też raczej taksówka, którą wynajmowałam na ten dzień, była druga w kolejce. Serce waliło mi, jakbym wypła cztery filiżanki kawy.

– Hej, mała! – zawołał mężczyzna na siedzeniu kierowcy, ubrany w pasiasty, tęczyowy sweter i pasującą do niego czapkę uszatkę. – Będiesz prowadzić moją taksówkę?

Cóż, tak naprawdę wcale nie należała do niego – powiedział, że pracuje tu na stałe i właśnie tą taksówką jeździł sześć nocy w tygodniu.

– Tak! – Próbowałam naśladować jego entuzjazm. – To mój pierwszy dzień!

– Pierwszy dzień? Wiesz, jak działa licznik?

– Chyba tak...

– Wsiadaj.

Usiadłam na siedzeniu pasażera. Odliczył pięć dolarów, wręczył je mężczyźnie w futrzanej czapie nalewającemu paliwo, po czym ruszył do przodu i zaparkował obok taryfy bez zderzaka.

– Jestem Boris, jak Borys Jelcyn! – powiedział. I ryknął takim śmiechem, że ja też musiałam. Boris był Afroamerykaninem o wielkiej brodzie, który w niczym nie przypominał Borysa Jelcyna.

Boris wyjaśnił zasady działania każdego guzika na taksometrze. Nie wspomniałam o tym, że Rabin wytłumaczył mi to samo parę dni temu, bo chciałam zobaczyć to jeszcze raz. Potem podał mi plastikową koszulkę.

– Na twoją licencję. Przegródka jest zepsuta, widzisz? – Pleksiglasowa przegródka za siedzeniem kierowcy, gdzie mieliśmy trzymać na widoku nasze licencje, była pęknięta na dole. – Przecież nie chcesz jej zgubić, prawda? – dodał, wyskakując z auta. – Opiekuj się moją taksówką – złożył ręce jak do modlitwy – proszę!

Obiecałam, że właściwie się nią zajmę, i poczęstowałam go cukierkiem. Odmówił machnięciem ręki, parszając śmiechem.

Czułam zapach własnego strachu, gdy chwyciłam za kierownicę, kładąc dłonie na dziesiątej i drugiej, po raz pierwszy przejeżdżając po moście Queensboro Bridge. Utkwiłam wzrok w na wpół oświetlonej panoramie, wstrzymując oddech, aby nie poczuć kwaśnej woni własnego potu, i słuchając szumu krwi w uszach. Usiłowałam przekonać samą siebie, że właśnie tu znajdował się Manhattan iglic i masztów Walta Whitmana, ale jedyną rzeczą, o której potrafiłam myśleć, był labirynt pod masztami, tysiące kilometrów jednokierunkowych ulic, ślepych zaułków, ulic z zakazem skrętu w lewo, którymi rzekomo miałam umieć się poruszać.

W taksówce nie było odtwarzacza płyt CD, co oznaczało, że nie mogłam posłuchać stworzonej przez siebie składanki. Moja wizja pierwszego wjazdu na Manhattan przy akompaniamencie ścieżki dźwiękowej z *Supermana* wzięła w łeb. Włączyłam radio, ustawiając na BBC. Wyłączyłam je po paru sekundach. Rozmowa w radio za bardzo mnie rozpraszała, a pasy ruchu na moście wydawały się zbyt wąskie jak na gabaryty forda crown victoria. Do pedału gazu mogłam sięgnąć wyłącznie w wyprostowanej pozycji, jakbym połknęła kij, siedząc na samym brzeżku fotela. Za każdym razem, gdy dotykałam palcami stopy pedału gazu, ośmiocylindrowy silnik zdawał się ryczeć „Tak!”. Nigdy wcześniej nie prowadziłam tak potężnej maszyny. Przypomniałam sobie swój pierwszy samochód: forda couriera pikapa z 1983 roku, którego przemaalowałam na kolor porsche purple z 1974. Telepało nim, gdy tylko przekroczyłam prędkość czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Ford crown victoria, stworzony do pościgów, przez pewien czas oficjalny pojazd Nowojorskiego Departamentu Policji, był w porównaniu do niego prawdziwą bestią. Przez pierwsze pół godziny bałam się jechać szybciej niż czterdzieści osiem kilometrów na godzinę.

Zjechałam z mostu Queensboro Bridge i skręciłam w Drugą Aleję. Minęłam co najmniej tuzin potencjalnych klientów, którzy z początku unosili dłonie z nadzieją, po czym opuszczali je gniewnie, gdy się przed nimi nie zatrzymałam. „Nie zauważyłam ich w porę”, powiedziałam sobie w myślach. Gdybym podjechała zbyt szybko, spowodowałabym wypadek. Jednak w rzeczywistości byłam zbyt przerażona perspektywą zabrania ich do taksówki. A jeśli się zgubię? A jeśli będą pijani i narzygają mi do taksówki?

Przejechałam Drugą i Pierwszą Aleję, wzdłuż Lexington, tam i z powrotem po Park, przemierzając sieć ulic Manhattanu, nie zatrzymując się dla nikogo i nie zdejmując rąk z kierownicy. W ciemności i ciszy panujących w taksówce było coś złowrogiego. Zerknęłam na zapasowy batonik z figami na desce rozdzielczej, a żołądek zaburczał mi w wyrazie protestu. „Zasada numer jeden – powiedział jeden z naszych instruktorów w szkole taksówkarskiej – nigdy nie jedz w swojej taksówce”. Miałam świadomość, że była to zasada, którą ostatecznie przyjdzie mi kiedyś złamać.

Przejechałam zygzakiem po Central Parku, jeżdżąc po całej szerokości krzyżujących się ze sobą ulic, których nazw nauczyłam się na kursie. Spojrzałam na zegar: jeździłam po okolicy już od godziny. „Daj spokój – pomyślałam – znajdź jakiegoś pasażera”. Musiałam znaleźć klienta, no chyba że chciałam zapłacić garażowi sto pięćdziesiąt dolarów za przywilej krążenia po Nowym Jorku w pojedynkę przez dwanaście godzin.

Było jeszcze ciemno, gdy wyjechałam z Central Parku. Powtórzyłam swoją mantrę i skręciłam w lewo na Broadway, jadąc w kierunku Times Square i niebieskawego światła płonącego w ciemnościach, widzialnego z odległości ośmiuset metrów. Na miejscu było jasno jak w południe, a turyści przechadzali się pod markizą *Mamma Mia!*, gapiąc się na billboardy z reklamami bielizny, odpoczywali na czerwonych, szklanych schodach na Czterdziestej Siódmej Ulicy i oglądali noworoczną, opadającą kulę na jednym z wieżowców. Na miejscu roilo się od policyjnych samochodów patrolowych. Patrzyłam, jak żółta taksówka zabiera dwójkę wykolczykowanych nastolatków w trenczach. W samym centrum krzykliwego blasku świateł dotarło do mnie, że już nie czuję się taka samotna.

Pojechałam na śródmieście, mijając po drodze Madison Square Garden, Penn Station, Koreatown i Flatiron Building. W końcu na skrzyżowaniu Dwudziestej Pierwszej i Broadwayu dostrzegłam wysokiego, szczupłego mężczyznę w ciemnym swetrze z potarganymi, czarnymi

włosami sięgającymi ramion. „Wygląda na groźnego” – pomyślałam w pierwszym odruchu. A po chwili – „To mój pasażer!”. Z całej siły wcisnęłam hamulec, zjechałam na krawężnik, otworzyłam drzwi i odwróciłam się, aby się przywitać.

– Siemaaa – powiedział, otwierając drzwi na oścież, rozpinając sweter i rzucając się na tylne siedzenie, jakby było rozkładanym fotelem z podnóżkiem. – Trzydziesta Pierwsza i Madison, poproszę.

– Trzydziesta Pierwsza. A Madison?

– Trzydziesta Pierwsza... – uniósł głowę – ...między Madison a Piątą. – Oczy miał na wpół przymknięte. Nie był groźny, tylko pijany.

Wcisnęłam jedynkę, uruchamiając licznik. To był prosty kurs po ulicach Manhattanu, zaledwie parę przecznic stąd, ale kiedy nieznamy, który wyglądał na faceta po trzydziestce, usiadł, wsadził głowę w okienko w ścianie działowej z pleksiglasu i zauważył moje ułożenie rąk na kierownicy na dziesiątej i drugiej, powiedział:

– Wszystko w porządku? – Miał dwudniowy zarost i cuchnął whiskey. – Wyglądasz na nieco przestraszoną.

– To mój pierwszy dzień w pracy. – Skręciłam w lewo i ponownie w lewo, próbując przypomnieć sobie, gdzie zaczynała się Madison Avenue. – A ty jesteś moim pierwszym pasażerem.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się szeroko.

– Uhm.

Wcisnął głowę głębiej, zerkając na moją wielką, czerwoną torbę i kamelowy płaszcz mamy złożony w kostkę na siedzeniu pasażera.

– Spójrz na swój płaszcz! To nie jest płaszcz kierowcy taksówki! Ha, ha, ha! – Rozwalił się na tylnym siedzeniu, trzymając się za brzuch ze śmiechu.

Znalazłam Park Avenue i bardzo ostrożnie skręciłam w lewo. Chciałam zapewnić swojemu klientowi spokojną jazdę, bez względu na wszystko. Żadnego przyśpieszania, dziur w jezdni i nieoczekiwanych postojów – żeby obyło się bez puszczenia pawia. Zatrzymałam się na żółtym świetle. Mój pasażer nadal chichotał. Dzięki Bogu, że był pijany.

Gdy kazał mi się zatrzymać przed wysokościowcem ze szkła i metalu na Trzydziestej Pierwszej Wschodniej Ulicy, zahamowałam tak łagodnie, jak tylko się dało. Zanim wyszedł, spytałam, czy mogę zrobić mu zdjęcie. Zapozował z palcami ułożonymi w znak wiktorii. Potem wręczył mi swoją wizytówkę – miał na imię Iggy i był kierownikiem do spraw portfela inwestycyjnego w Credit Suisse – i dał napiwek w postaci dolara.

Jednodolarowy napiwek w przypadku kursu za pięć dolarów jak najbardziej mi odpowiadał. Schowałam banknot do portfela, czując ulgę, że nie uszkodziłam ani swojego pierwszego pasażera, ani taksówki, ani nikogo na drodze.

Pojechałam w kierunku Piątej Alei, zerkając na płaszcz – Iggy miał rację, nie pasował do kierowcy taksówki – i odetchnęłam z drżeniem. „Udało ci się! – pomyślałam. – Udało ci się!”. Nie popadłam jednak w tryumfalny nastrój. Czy to znaczyło, że byłam teraz kierowcą taksówki? Nie miałam pojęcia, ale czułam się nieco lepiej i odważniej. Naszła mnie pewna myśl: skoro wszyscy pijani ludzie byli tak samo wyluzowani jak Iggy, to może podwożenie ich nie było wcale takim złym pomysłem. Może nie będą się aż tak denerwować, nawet gdy się zgubią? Ruszyłam do West Village, gdzie nasi nauczyciele ze szkoły kazali nam szukać pasażerów

w luksusowych nocnych klubach.

Wtedy dostrzegłam rząd żółtych taksówek zaparkowanych przy Varick i Spring przed klubem o nazwie Greenhouse, gdzie na ścianie od strony ulicy rósł pionowy ogród. Zająłam miejsce w rzędzie taksówek. Kolejka przesuwała się szybko, gdy bramkarze z pośpiechem odprowadzali pięknych ludzi na chwiejnych nogach do taksówek. Zanim zdążyłam policzyć, który z oczekujących pasażerów przypadnie mi w udziale, mężczyzna o chłopięcym wyglądzie z ciemnoblond włosami i rumianymi policzkami wgramolił się do środka i powiedział:

– Dobry wiiiiieczór. Chciałbym pojechać na róg Piątej Wschodniej i Drugiej Alei. – Mówił zbyt głośno, z akcentem, który przypominał mi londyńską arystokrację w serialu *Masterpiece Theatre*. Wyjechałam z kolejki, a Anglik wypuścił z płuc przeciągłe, zaprawione wódką westchnięcie i powiedział donośnym głosem:

– Nie uwierzy pani, z iloma głupimi kobietami tam rozmawiałem.

W tym momencie mój mentalny komputer uległ awarii. Wszystko, czego nauczyłam się przed testem oraz godziny wgapienia się w mapy – w ulice jednokierunkowe, ulice przecinające miasto, miejsce, w którym Houston Street stykała się z Canal – wyparowało mi z pamięci.

– Czy preferuje pan jakąś trasę? – spytałam. Licznik był wyłączony, gdy odjeżdżaliśmy spod Greenhouse.

– Ulubioną trasę? – Odrzucił głowę, odgarniając w oczu grzywkę. – No tak! Cóż... – Uśmiechnął się głupkowato. – Może pani pojechać Pierwszą, a potem skrócić w Piątą.

Włączyłam taksometr. Nie miałam pojęcia, jak trafić na Pierwszą Aleję z miejsca, w którym obecnie się znajdowaliśmy. Dojechaliśmy do Drugiej Alei, natrafiając na ślepy zaułek w Roosevelt Park. Nie miałam innego wyboru, jak skrócić w prawo, w stronę centrum, w całkiem złym kierunku.

– Pani umiejętności nawigacyjne są isticie fatalne – powiedział Anglik, pochylając się do przodu i kładąc ręce nad okienkiem w ścianie. Zerknęłam na niego. Był przystojny, w typie chłopca z boysbandu.

Gdy spojrzałam ponownie na drogę, światła zdążyły się zmienić z żółtych na czerwone, lecz znajdowaliśmy się na środku skrzyżowania, a na zatrzymanie się było już za późno. Mimo wszystko wcisnęłam hamulec, rozglądając się za policjantami. Nie widząc żadnego w zasięgu wzroku, wcisnęłam pedał gazu.

– Dlaczego pani to robi? – spytał Anglik.

– Jestem pisarką.

– Bardzo mi przykro widzieć pisarza zdegradowanego do pozycji kierowcy. Wspieram sztukę i naprawdę uważam, że powinna pani zmienić zawód.

– Może ma pan rację. – Wyjrzałam przez szybę, usiłując odczytać w ciemności nazwy ulic.

– A może zjemy śniadanie? – zaproponował.

– Słucham?

– Co pani powie na śniadanie?

– Nie mogę teraz jeść śniadania.

Czy właśnie minęliśmy Delancey...?

– Czemu nie?

– Dopiero co zaczęłam zmianę.

– I co z tego?

Houston Street. Musiałam znaleźć Houston, a potem mogłam poszukać Pierwszej Alei. Czy w ogóle mogłam skręcić na Pierwszą z Houston?

Anglik wydał z siebie kolejne pachnące alkoholem westchnięcie i rozparł się na tylnym siedzeniu, wyglądając przez szybę.

– Proszę skręcić w lewo na następnych światłach – powiedział rzeczowym tonem. – Gdy dojedzie pani do Piątej Wschodniej, znowu skręci pani w lewo... Właśnie tak... świetnie... już blisko... po prawej. Jesteśmy na miejscu. Proszę się zatrzymać. – Wyłączyłam licznik. – Co pani powie na całusa? – spytał, nachylając się w stronę okienka. – W końcu trochę pani pomogłem.

Zatrzymałam się na postoju taksówek i odwróciłam, aby na niego spojrzeć. Oczy miał czerwone, szkliste i skąpane w alkoholu. Był młodszy ode mnie. Mimo to jakaś część mnie miała ochotę go pocałować. Czemu nie? W końcu wspierał sztukę.

– Chciałabym pana pocałować – usłyszałam własny głos – ale muszę pracować.

– Jasne. – Zaniósł się kaszlem, aby ukryć chichot. – W porządku. – Wręczył mi pieniądze za kurs oraz napiwek w wysokości dwóch dolarów, który uznałam za hojny, skoro i tak naciągnęłam go na pięć dolarów. – Dobranoc – powiedział, klepiąc dwa razy tylne siedzenie, po czym otworzył drzwi. – Czy może raczej dzień dobry?

– **WRÓCIŁAŚ PO KOLEJNY OSTRY WYCISK?** – spytał Mike, weekendowy dyspozytor, sącząc kawę i uśmiechając się w styropianowy kubek. Była czwarta trzydzieści rano, niedzielny finał Super Bowl, na termometrze prawie minus dziesięć stopni, a ja ustawiałam się w kolejce z innymi jeżdżącymi nieregularnie kierowcami, rozpoczynając swoją trzecią zmianę.

Próbowałam odwzajemnić jego uśmiech, wsuwając licencję przez szparę w okienku.

– Usiądź – powiedział Mike, kładąc ją obok pozostałych licencji ułożonych wokół mikrofonu na ladzie jak talia kart.

Czterech taksiarzy siedziało w poczekalni na ławce ciągnącej się przez całą długość ściany naprzeciwko dyspozytorni. Jeden z nich, wysoki mężczyzna z siwym afro, opierał się o pustaki z zamkniętymi oczami i skrzyżowanymi na piersi ramionami, pochrapując cicho. Pozostała trójka oglądała *Miłość*, *szmaragd* i *krokodyl* w telewizorze stojącym na zepsutym automacie do sprzedaży.

– Jak chcesz zarobić pieniądze, to nie jeźdź w niedzielę – odezwał się jeden z taksiarzy, nie spuszczać wzroku z ekranu, gdy przesunął się, żeby zrobić mi miejsce. Jego policzki ze śladami po ospie zakołysały się pod siwiejącą brodą.

– Tak, wiem – odparłam. – Ale na razie mogę prowadzić tylko w niedzielę.

Tak naprawdę niedziela była jedynym dniem, w którym czułam się gotowa na jazdę. Moje dwie pierwsze zmiany były w najlepszym razie wyboiste: po przygodach z dwójką pijaków ledwie byłam w stanie zmusić się do podwiezienia następnych klientów. A gdy już się zatrzymywałam, gubiłam się za każdym razem, gdy droga prowadziła poza Manhattan lub w okolicy Greenwich Village. Udało mi się również rozbić boczne lustro zaparkowanego równolegle audi na śródmieściu (o czym jego właściciel łaskawie i z niepojętego dla mnie powodu kazał mi zapomnieć), a gdzieś na końcu drugiej zmiany prawie przejechałam klientowi po stopie. Jak mówili nam wykładowcy ze szkoły, w niedzielę, nie licząc mniejszego ruchu i swobodniejszego podejścia do przestrzegania zakazu skrętu w lewo, większość ludzi nigdzie się nie śpieszyła, inaczej niż w ciągu tygodnia. Uznałam, że dopóki nie nabiorę większej pewności siebie w poruszaniu się po mieście i nie zapoznam się lepiej z prowadzeniem swojego forda, niedziele będą dla mnie dniami treningu – ekwiwalentem tańczenia na *milongas*, które Liliana nazywała bezzębnymi, na których wiekowi *tangueros* wybacza mi wszystkie potknięcia.

– Ona jeździ taksówką? – spytał mężczyzna siedzący obok taksjarza z ospowatymi policzkami. Kiwnął twierdząco głową, nadal gapiąc się w telewizor. Michael Douglas siłował się z aligatorem, który właśnie połknął szmaragd wielkości piłki do softballa.

– Hakeem! – zawołał Mike.

Mężczyzna z siwym afro potarł zaspane oczy i wstał. Garbiąc ramiona, odebrał od Mike'a kluczyk i licencję. Spojrzałam na resztę swoich kolegów na ławce, którzy wyglądali na równie wyczerpanych, jeśli nie nieszczęsnych, ze swoją poszarzałą skórą, przekrwionymi oczami

i nierównym zarostem. Ile poranków spędzali w ten sam sposób?

Mężczyzna z ospowatymi policzkami zamknął oczy. Wyjęłam notes. „Jeśli do tej pory idealizowałam taksówkarzy, to...”.

– Layne!

Mój żołądek wywinął fikołka. „Cholera! – pomyślałam. – Tak szybko?”.

– Właśnie go tankują! – zawołał Mike, mrugając do mnie, gdy podawał mi licencję i wskaźnik przejechanych kilometrów przez szparę w okienku.

Otworzyłam skrzypiące drzwi i wyszłam na zewnątrz, przyglądając się twarzom kierowców zwracających taksówki po sobotniej nocnej zmianie. Większość miała tryumfalne, lecz wykończone spojrzenia mężczyzn powracających z bitwy. „Jeśli przetrwasz niedzielę – przypomniałam sobie słowa Mary Jo – to przetrwasz wszystko, złotko. Uznaj to za cud, jeśli nikt nie zwymiotuje w twojej taksówce”.

– Witaj, piękna – powiedział mężczyzna w futrzanej czapie nalewający paliwo. Oddech parował mu na wietrze. – Którą taksówkę dzisiaj prowadzisz?

Pokazałam mu swój wskaźnik, a on odeskortaował mnie do pojazdu z odpowiednim numerem medalionu. Odjechałam na daleki kraniec parkingu, odprawiłam wszystkie rytuały, jakich nauczyłam się w szkole taksówkarskiej: sprawdziłam przednie i tylne światła, upewniłam się, że wszystkie pasy bezpieczeństwa są sprawne, przetestowałam przednie wycieraczki, poprawiłam lusterka i przeszukałam bagażnik oraz tylne siedzenie w poszukiwaniu rzeczy, które mogły zostawić pasażerowie. Dodałam do tego kilka własnych czynności: przesunęłam siedzenie kierowcy do przodu najbliżej, jak tylko się dało, starłam kurz z kierownicy, ułożyłam płyty CD na desce rozdzielczej i postawiłam aparat, notes, chusteczki, wodę oraz plasterki ogórka i sera w zasięgu ręki. Zrezygnowałam z pomysłu przetarcia wnętrza taksówki olejkim herbacianym – już i tak zmarnowałam piętnaście minut. Będę bezpieczna, moi pasażerowie będą bezpieczni, moja taksówka będzie bezpieczna...

Nadal było ciemno, gdy wyjeżdżałam z parkingu. Włączyłam magnetofon, uradowana faktem, że w ogóle się w tej taksówce znajdował. Chwilę później rozległy się złowieszcze dźwięki *Buenos Aires Zero Hour* Astora Piazzolli. Tango idealnie pasowało do industrialnego pustkowiecia Long Island City przed świtem. Sprawilo, że wróciłam myślami do Joaquína – niejednokrotnie mówił mi, że nie przepada za Piazzollą. Kilka dni temu, a dokładnie w czwartek o 09:44:04 rano, przysłał mi e-mail, ale nie z tych wysyłanych masowo co parę miesięcy, aby poinformować o nowym tournée, występie czy serii nowych zajęć. „Pewnie nie uwierzysz – pisał – ale naprawdę za tobą tęsknię. Dzwoniłem pod twój numer, ale nikt nie odbierał. Chciałbym wiedzieć, czy nadal jesteś w Buenos Aires...”. Dlaczego akurat teraz? Nie odpisałam.

Wyłączyłam muzykę i podążyłam za sznurem taksówek jadących Trzydziestą Pierwszą Ulicą. Ich tylne światła płonęły w krystalicznie zimnym powietrzu. Nasze pojazdy były jedynymi na drodze. Jechałam, dostosowując się do ich prędkości, zwalniając i przejeżdżając łagodnie nad niszczącymi osie kół dziurami w jezdni przy wjeździe na Queensboro Bridge, starając się dopasować ciałem do forda. Przypominało to wczuwanie się w ruchy nowego partnera na początku tanga. Jak bardzo czułe były hamulce? Jak szybko reagował pedał gazu? W którą stronę przechylała się kierownica? Jak głęboko mogłam się zapaść w siedzenie kierowcy?

W klubach tanga, nawet tych bezzębnych, już od samego początku, przerażona perspektywą popełnienia błędu na parkiecie, w ogóle nie podnosiłam wzroku, aby nie napotkać czyjegos

spojrzenia i nie ryzykować zaproszenia do tańca. „¿Y vos? A ty?”, pytali mężczyźni podchodzący do mojego stolika, zerkając na moje buty to tanga. „¿Bailás, o no? Tańczysz czy nie?”. Podczas pierwszych dwóch zmian w taksówce robiłam dokładnie to samo, mijając po drodze wielu potencjalnych klientów i nie zatrzymując się dla nikogo, kto wyglądał choćby na odrobinę szalonego. Jako nowicjuskę najbardziej przerażał mnie pasażer, który się śpieszył.

„Dziś będzie inaczej”, przyrzekłam sobie, wdychając sztuczną słodycz odświeżacza powietrza o zapachu choinki wiszącego na wstecznym lusterku, który absolutnie nie mógł się równać z woniami, jakie zostawili po sobie sobotni pasażerowie nocnych kursów. Samochód wchłonął zapachy ich perfum, wypitego alkoholu, dymu papierosowego, łącząc je z odorem potu poprzedniego kierowcy oraz kwaśną wonią mojego własnego przerażenia. „Witaj, strachu. Witaj, dezorientacjo”, pomyślałam, zjeżdżając z mostu i skręcając w lewo na Drugą Aleję. „W drogę”.

Zmiana przypominała sekwencję jak ze snu, w którym każdy z segmentów był oderwany i nieświadomy istnienia ostatniego. Mój pierwszy pasażer, mężczyzna w swetrze w kolorze magenty z kępką kręconych włosów między podbródkiem a dolną wargą, przywołał mnie gestem ręki na Port Authority. Poprosił, aby zawieźć go do Co-op City na Bronksie.

– Jeśli powie mi pan, jak tam trafić, zabiorę pana – powiedziałam. – Ale musi mi pan podać kierunek.

Nie chciałam jechać na Bronx. Byłam tam trzy razy od czasu, gdy Godfred zapoznał mnie z cudami ghańskiej kuchni w Papaye, ale nie orientowałam się jeszcze zbyt dobrze w tamtejszej okolicy, a już na pewno nie o piątej nad ranem. Z drugiej strony, przypominałam sobie przysięgę złożoną w szkole taksówkarskiej, zainspirowaną nieco przewrotnie słowami Trávisa Bickle’a: „Chcesz pracować w Harlemie?”, spytał go kierownik garażu, gdy starał się o pracę. „Wszędzie, o każdej porze”, odparł Travis Bickle z opanowanym, chłodnym wzrokiem.

„Wszędzie, o każdej porze”, pomyślałam, mając nadzieję, że mój pasażer nie czuł bijącego ode mnie strachu, gdy przejechałam z West Side Highway na Cross Bronx, zwalniając na odcinkach ulic, na których światła były zepsute albo wypalone. Na zewnątrz nadal było ciemno – uznałam, że nie cierpię jeździć taksówką w ciemnościach – a w mojej głowie zaczęły kiełkować paskudne myśli. „Co, jeśli taksówka ulegnie awarii? Co, jeśli zostanę okradziona? Albo pobita? Albo ktoś spróbuje ukraść mi auto?”. Były to obawy wywołane przez zasłyszane historie, a nie własne doświadczenia, ale nie miało to znaczenia. Na zajęciach wydawało mi się, że wiem, gdzie przebiega granica między zdolnością przetrwania a zachowaniem otwartego umysłu. Jadąc na Bronx, gdy mężczyzna w fioletowym swetrze pokierował mnie z trasy szybkiego ruchu na „dziewięćdziesiątkę piątkę”, potem na Co-op City Boulevard, a stamtąd na Bellamy Loop, nie miałam zielonego pojęcia, gdzie przebiega ta granica.

Przejechaliśmy obok rzędu bloków mieszkalnych tak monstrualnych rozmiarów, że można było dostrzec je z kosmosu.

– Widzisz? – powiedział, gdy zatrzymaliśmy się przed jego budynkiem, trzydziestokilkupiętrowym apartamentem, którego ponura, surowa fasada przypominała mi sowieckie molochy z prefabrykatów, które widziałam na przedmieściach Moskwy. – Udało ci się. – Wręczył mi pieniądze, napiwek w postaci trzech dolarów oraz kartę do telefonu. – Piętnaście minut darmowego połączenia zamiejscowego.

– Dzięki. – Poczulałam, jak moja twarz robi się czerwona. Czyżby zgadł, o czym myślałam?

– Możesz z niej dzwonić do dowolnego miejsca w Stanach, o każdej porze. Rano, po południu, w weekendy. Na Alaskę i Hawaje również.

– Super. – Obróciłam kartę w dłoniach. – Wielkie dzięki.

– Nie jesteś z Nowego Jorku, prawda? – spytał, otwierając drzwi taksówki.

– Nie. A ty?

– Urodzony i wychowany na Bronksie. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, rozpinając sweter.

– Nie mógłbym mieszkać gdzie indziej. – Patrzyłam, jak idzie po trawniku do wejścia do swojego bloku. – Hej – odezwał się, odwracając, zanim wszedł do środka. – Wiesz, jak dojechać z powrotem na Manhattan, prawda?

Było nieco po siódmej rano, gdy weszło słońce, a do mojej taksówki wszedł mężczyzna w kaszmirowym płaszczu z dwiema dziewczynkami w wieku szkolnym.

– Tatusiu, to dziewczyna! – odezwała się starsza, z czerwonymi wstążkami w warkoczach.

– Dziewczyna! – zawtórowała jej młodsza, z żółtymi wstążkami.

– Owszem – powiedział tatuś, gdy pojechaliśmy na północ Lafayette Street pod niebem upstrzonym różowymi i fioletowymi chmurami – i na pewno jest bardzo dobrą kierowcą.

Tatuś najwyraźniej lubił kusić los. Zatrzymałam się na każdym żółtym świetle między Astor Place a Grand Central Terminal w obawie, że zrobię krzywdę tym ślicznym dziewczynkom, aż wreszcie dotarliśmy do Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie tatuś i jego córki wysiadły, a ja mruknęłam „Uff!”. Wtem przez okno wsadziła głowę do taksówki kobieta w średnim wieku z bobem w kolorze perłowego blondu.

– Czy może pan otworzyć bagażnik? – spytała, nie zwracając sobie głowy poprawianiem swojego błędu po wejściu do taksówki ani w trakcie milczącej, ośmiominutowej jazdy do Javits Convention Center, gdzie podała mi zapłatę, odliczoną co do centa.

Około dziewiątej rano wybrałam się do Chinatown. Nie miałam pasażera. Obejrzałam stragany sprzedawców gorzkich melonów na chodniku, fantazjując o domowym makaronie, i zauważyłam korzenie lotosu, które sprawiły, że wróciłam myślami do Czarodziejki z Vertigineuse, która smażyła je w głębokim tłuszczu i używała jako przybrania do *foie gras* z masłem z mango.

Sięgnęłam po torebkę z przekąskami i wyciągnęłam plaster sera. Wystarczyła jedna zmiana, abym uświadomiła sobie, jak bardzo mało realistyczny był mój pomysł robienia restauracyjnego rekonesansu z taksówki. W samym środku pierwszej zmiany, daleka od pokrycia opłaty za wynajem taksówki, trzęsąc się z głodu i będąc o krok od zsikania się w majtki, zajęłam na stację BP na skrzyżowaniu Dziesiątej Alei i Trzydziestej Szóstej Ulicy, pobłogosławiłam pracownika, który dał mi klucze do łazienki, i kupiłam swój pierwszy posiłek jako kierowca taksówki: piętę z jajkiem i szpinakiem z Dunkin' Donuts.

Przed dziesiątą znów byłam w śródmieściu, w dalszym ciągu szukając pasażerów i odkrywając, że Nowy Jork był miastem, które czasem jednak spało: w niedzielne poranki, po zamknięciu nocnych klubów, przed rozpoczęciem mszy w kościołach.

Nieco po jedenastej z łagodnego nachylenia Madison Avenue miałam dobry widok na pięć, dziesięć, piętnaście przecznic do przodu, a gdy zmieniły się światła, ludzie wylali się na ulicę, poruszając się we wszystkich kierunkach, jak części żywego kalejdoskopu. „To cud, że Nowy Jork w ogóle funkcjonuje”, powiedział E. B. White. I faktycznie, było coś cudownego w widoku tych tłumów przelewających się za przednią szybą taksówki, której monstrualnych rozmiarów kadłub zamierzałam precyzyjnie przecisnąć przez wąskie ulice Manhattanu, wpadając w dziury bez rozwalania taksówki, robiąc uniki przed posłańcami na rowerach ze skłonnościami samobójczymi i pieszymi, którzy przechodzili na czerwonym i obrzucali mnie wściekłymi spojrzzeniami lub pokazywali środkowy palec, gdy na nich trąbiłam.

Żółta taksówka zatrzymała się obok mnie, a kierowca opuścił szybę.

– Udało ci się coś zarobić? – spytał.

– Od trzech godzin nie miałam żadnego pasażera!

– To przez Super Bowl. – Pokręcił głową. – Wszyscy siedzą w domach, przygotowując się do oglądania meczu. Trudno. – Wzruszył ramionami i odjechał, a ja poczułam się lepiej. Zupełnie zapomniałam o finale Super Bowl. Nie wiedziałam nawet, kto gra.

– Niech pani powie prawdę – powiedziała kobieta z włosami koloru piasku, zaczesanymi w kok banan, która zaczęła mnie przed Chelsea Market około pierwszej po południu. – Nie boi się pani czasami?

– Nieustannie. – Zlustrowałam ją szybko we wstecznym lusterku. Jej brązowe oczy były błyszczące i okrągłe, a głowę trzymała wysoko, z elegancją typową dla baletnicy. – Za każdym razem, gdy ktoś zatrzymuje moją taksówkę, boję się, że się zgubię.

Parsknęła śmiechem.

– Ale wie pani, dokąd mnie zawieźć, tak?

– Oczywiście – odparłam. – Proszę się nie martwić!

Wiedziałam, gdzie znajdował się gmach Metropolitan Opera, ale nie mogłam sobie przypomnieć rozkładu ulic jednokierunkowych wokół Lincoln Center. Siłą woli zmusiłam światła, aby zmieniły kolor na czerwone, żeby móc zerknąć na składaną mapę Manhattanu. Nie chciałam, żeby moja pasażerka pomyślała, że wożę ją w złym kierunku.

Na Sześćdziesiątej Piątej Zachodniej Ulicy utknęłyśmy w korku. Jasnowłosa kobieta poprosiła, abym zatrzymała się kilka przecznic od budynku teatru. Do opłaty w postaci dziesięciu dolarów dołożyła pięciodolarowy napiwek.

– Powodzenia – powiedziała, poprawiając szal wokół ramion przed wyjściem z taksówki. – Miło jest dla odmiany zobaczyć kobiety za kierownicą.

SARAH UŚMIECHNĘŁA SIĘ DO MNIE ze swojej maty do jogi, gdy weszłam do salonu.

– Hej – przywitała się, z nogami w pozycji lotosu, wyciągając się, aby pogłaskać Papichulo po grzbiecie. – Jak tam twoja zmiana?

Pozwoliłam, aby plecak ześlizgnął mi się z ramienia, zazdroszcząc współlokatorce bijącego od niej wewnętrznego światła. Sarah zawsze mówiła łagodnym, dopingującym tonem instruktorki jogi, nawet gdy rozmawiała z Romeem, a jej wielkie, błękitne oczy błyszczały medytacyjnym blaskiem, zwłaszcza gdy wykonywała asany w naszym salonie. Nadałoby to pomieszczeniu relaksującej aury, gdyby nie obecność Papichulo, który chyba wyczuwał, że nie uważałam go za prawdziwego psa. Warczał na mnie za każdym razem, gdy zbliżałam się do Sarah. Teraz też poszczekiwał na mnie ze swojego miejsca na skraju maty do jogi, na którym przycupnął, wkładając w to całą swoją raniącą uszy, piskliwą jak u myszy zajadłość.

– Chulo! Przestań! – zganiła go Sarah, grożąc mu palcem. – Wybacz. – Odwróciła się w moją stronę, przewracając oczami na widok psa. – Jak ci poszło?

Wszystkim, czego pragnęłam po jedenastu wyjątkowo brutalnych godzinach spędzonych w taksówce i dziewięćdziesięciminutowej drodze powrotnej z garażu, były cztery tabletki Advilu, gorący prysznic, plasterki ogórka na oczy, kubek herbaty z hibiskusa z Kalustyan's i moje łóżko z nierównym materacem. Ale Sarah była taka słodka i miła, i tak autentycznie ciekawa, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby jakoś wyartykułować słowa i zignorować obnażone kły Papichulo.

– Och... – potarłam skronie – było całkiem w porządku.

Nie miałam siły, aby opowiedzieć jej, jak straszna była moja zmiana. Między pierwszym w życiu naciągaczem – facetem ze zbyt dużą ilością niebieskiego eyelinera na powiekach, który upierał się, że ma tylko piętnaście dolarów na pokrycie kursu kosztującego trzydzieści, gdy wysadziłam go przed zaniedbanym bliźniakiem o ścianach w kolorze cytryny w Kew Gardens – złapaniem pierwszej gumy (i czterdziestopięciminutowej drodze powrotnej do garażu na Queens w celu wymiany koła) oraz policjantem, który kazał mi „przestać jeździć jak dupek”, gdy pędziłam do Port Authority, usiłując dostać się do łazienki przed zmoczeniem się w majtki – udało mi się zebrać imponującą kwotę trzydziestu dwóch dolarów. Upokarzająca suma. Po trzech miesiącach na drodze nadal zgarniałam średnio tylko pięćdziesiąt–sześćdziesiąt dolarów za zmianę, co również było dość upokarzające. Ale działało się tak wyłącznie z mojej winy: zwykle potrzebowałam pierwszych siedmiu lub ośmiu godzin od rozpoczęcia zmiany, by zarobić kwotę wystarczającą, żeby pokryć koszt wynajmu taksówki: sto trzydzieści dolarów (doliczając paliwo i opłatę za kartę). W ciągu trzech lub czterech godzin, jakie zostawały mi przed zwróceniem taksówki do garażu, gdy mogłam zarabiać pieniądze wyłącznie dla siebie, ledwie starczało mi determinacji, aby gonić za klientami. Do tego czasu jedynym, czego pragnęłam, było jedzenie. W tym celu, może jakiś miesiąc po rozpoczęciu przygody z prowadzeniem taksówki, po tym, jak podwoziłam kobietę wychodzącą z randki w ciemno na Union Square,

która powiedziała mi, że najlepszą częścią randki był makaron z serem skropiony oliwą truflową w Dogmatic (tylko trzy dolary za puszkę!), zaczęłam wyszukiwać restauracji z siedzenia kierowcy, wykorzystując każdą sposobność, aby spytać pasażerów o ich ulubione lokale, zbaczając z trasy w celu sprawdzenia ich rekomendacji i pisząc o nich na swoim blogu.

Czasami ich wskazówki wykraczały poza mój budżet, jak na przykład kaczką z mirabelkami w La Mirabelle, tradycyjnej, francuskiej restauracji na Upper West Side, którą mój pasażer, skrzypek z Tuluzy jadący do Lincoln Center, uważał za jedyny lokal w mieście serwujący przyzwoitą kaczkę. Najczęściej jednak mogłam pozwolić sobie na spróbowanie potraw polecanych przez klientów, takich jak hamburger z jagnięciny z dodatkiem ostrej pasty *harissa*, świeżej mięty i marynowanych cebulek w Vareli, „śródziemnomorską knajpką w stylu bistro na Morningside Heights”, o której opowiedziała mi pewna kobieta o kręconych włosach, która wsiadła do mojej taksówki na Dziewięćdziesiątej Szóstej Zachodniej Ulicy z niemowlakiem, składaną spacerówką, torbą z Bed, Bath & Beyond i tabletem pod pachą. Straciła cierpliwość po tym, jak terminal obsługujący karty kredytowe w taksówce przestał działać, ale nie wzięłam tego do siebie. Teraz za każdym razem, gdy prowadziłam taksówkę w pobliżu Morningside Heights, pragnęłam skosztować tego hamburgera.

Tymczasem Papichulo rozkręcał się na dobre w swoim ataku psiej hysterii, próbując dziabnąć mnie w kostkę i wydając z siebie jeszcze bardziej przeraźliwe poszczekiwanie. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy uciekać.

– Chulo, dość tego! – powiedziała Sarah, biorąc go na ręce i głaszcząc po drżącym grzbiecie. – To Layne. Twoja przyjaciółka!

Uciekłam do łazienki. Gdzieś w trakcie zmywania z siebie brudu z taksówki, zauważyłam nową książkę leżącą na spluczce. (Gdy mąż Sarah, Romeo, konwencjonalnie przystojny Włoch-Arentyńczyk o tlenionych blond włosach i zaczątkach brzuszka, nie komponował techno symfonii i nie był zajęty szukaniem pracy, która umożliwiłaby mu komponowanie techno symfonii, lubił czytać sobie w toalecie. Jego wybór lektur był dość interesujący: czasopisma o sztuce, fotograficzna historia graffiti nowojorskiego metra, *Wyrwacz serc* Borisa Viana, niedocenianego pisarza/poety/muzyka/wynalazcy z Francji, którego Romeo uważał za geniusza). Teraz na stercie czasopism Romea leżały *Dzienniki rowerowe* Davida Byrne’a. Umyłam dłonie i wzięłam książkę. Pod tytułem widniała prosta, niemal żałosna podobizna wysokiego, chudego mężczyzny jadącego na rowerze w kierunku niewidzialnego horyzontu. Spis treści stanowiła lista miast.

Czytając listę – Berlin, Sambuł, Buenos Aires, Manila, Sydney, Londyn, San Francisco i Nowy Jork – poczułam to samo wszechogarniające podniecenie, jak wtedy, gdy rodzice zabrali mnie po raz pierwszy w życiu na lotnisko LAX, z którego mieliśmy odebrać babcię (miałam wtedy osiem lat). Przez pomyłkę trafiliśmy do terminala międzynarodowego, a ja zauważyłam listę miast wypisanych wielkimi literami na tablicy odlotów: Paryż, Rzym, Rio de Janeiro, Tokio. „Mamo!”, zawołałam, szarpiąc ją za rękę, żeby zboczyć z drogi, i wskazując na procesję długonogich stewardes niosących pasujące kolorem walizki. „Mamo! Kiedy my wsiądziemy do samolotu?”. „Nie teraz!”, odparła, gdy jakiś pan ogłosił przez mikrofon pogodnym tonem komunikat w rodzaju „Ostatnie wezwanie na lot numer 835 linią Pan Am do Szanghaju”.

Skończyłam nakładać maseczkę z glinki na twarz i zabrałam *Dzienniki rowerowe* do swojego pokoju, przesuwając palcem po liście miast i chcąc przeczytać o nich wszystkich naraz. „Przed końcem lat osiemdziesiątych. – napisał Byrne we wstępie – odkryłem składane rowery,

a w miarę jak moja praca i ciekawość zabierały mnie w różne zakątki świata, zwykle zabierałem jeden ze sobą”. Przekartkowałam pierwszą część poświęconą amerykańskim miastom i zagłębiłam się w lekturze po dotarciu do rozdziału o Berlinie: „Mają tu małe światła stopu wyłącznie dla rowerzystów – zauważył ze zdumieniem. – A nawet światła skrętu!... Jak oni to robią?”. Większość jego obserwacji była nieciekawa i dość przyziemna, usiana atakami słownymi wymierzonymi w administrację Busha oraz fragmentami rozmów z właścicielami galerii i zaprzyjaźnionymi muzykami. Czytając jego książkę, wyczułam, że w odróżnieniu od wielu pisarzy podróżników, z którymi się zetknęłam, nie inspirował się ani wydumanym eskapizmem, ani pragnieniem (podświadomym bądź nie) odtworzenia wygod, jakie zapewniał dom, ani przymusem mówienia miłych rzeczy w celu zadowolenia lokalnych biur podróży. Byrne był ciekawy, szczery i nieprzesadnie wylewny. „Berlin jest cudowny latem i jest co zwiedzać – napisał. – Jedzenie jest świetne, już nie tak bardzo nastawione wyłącznie na wieprzowinę i ziemniaki jak dawniej”.

Przeczytałam linijkę jeszcze raz. „Berlin jest cudowny latem...”.

Wyłączyłam lampkę i zamknęłam zmęczone oczy. W moich myślach pojawiło się zdjęcie Byrne’a ukazujące nieskazitelną czystą ścieżkę rowerową wykładaną kamiennymi płytami i obsadzoną drzewami, przecinającą leniwym łukiem berliński park. „Berlin jest cudowny latem...”. Przekręciłam się na plecy i przycisnęłam dłonie do brzucha, czując pierwsze dreszcze znajomej fascynacji.

NIE BARDZO WIEDZIAŁAM, czemu policjant zaczął migać światłami radiowozu w moim kierunku, gdy skręciłam w Siedemdziesiątą Drugą Ulicę od strony Park Avenue, ale zwolniłam, a moje tętno podskoczyło, gdy zjechałam na prawo z policyjnym wozem patrolowym na ogonie.

– Zatrzymują nas? – spytała Panna Młoda, która siedziała z tyłu jak na szpilkach. Chwyciła mnie za ramię jedną ze swoich malutkich, wymanikiurowanych rączek.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, choć serce mi waliło, a mój żołądek był nieco podrażniony po dwóch kawach i kurczaku z ryżem i mnóstwem *harissy*, które kupiłam u Famous Halal Guys na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej i Szóstej. – Będzie dobrze.

– Cholera! – zawołała, puszcżając moją rękę. – Cholera, cholera, cholera! – Zaczęła obgryzać jeden z długich, pomalowanych koralowym lakierem paznokci.

Zaparkowałam taksówkę na postoju i zerknęłam we wsteczne lusterko na ekipę Panny Młodej: dwie skwaszone drużny w satynowych sukienkach koloru morskiej zieleni i pana w średnim wieku z orchideą przypiętą do klapy ciemnego garnituru, który trzymał na kolanach olbrzymie, błękitne pudło, w którym, jak zdążyłam się domyślić, znajdowała się Suknia. Cała trójka była pogrążona w rozmowie do momentu, w którym zauważyli policjanta. Teraz mężczyzna zaciskał szczęki, a drużny unosiły pomalowane brwi, spoglądając na siebie i wymawiając bezgłośnie „cholera!”, obserwując, jak policjant podchodzi do bocznej szyby drzwi kierowcy.

– Wiedziała pani, że jedno ze świateł hamulców nie działa? – spytał policjant, krzyżując ręce na piersi. Utkwiłam wzrok w jego bicepsach prężących się pod krótkimi rękawami koszuli, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Usłyszałam, jak Panna Młoda dyszy obok mnie, i wtedy mnie oświeciło. Nie odzywając się ani słowem, odwróciłam się w jej stronę. I choć była zajęta hiperwentylowaniem, od razu zrozumiała, że teraz kolej na nią.

– WYCHODZĘ DZIŚ ZA MAŻ! – zawyła w stronę policjanta. – Miałam być na miejscu o jedenastej trzydzięści! Proszę nam tego nie robić!

Nikt z jej ekipy nawet nie pisnął – cała trójka opierała się o tylne siedzenie tak, jakby była do niego przyklejona, próbując odsunąć się jak najdalej od naszej rozmowy. Rzuciłam policjantowi błagalne spojrzenie.

Pochylił się, by móc lepiej przyjrzeć się Pannie Młodej, rejestrując jej polakierowane loki, tiarę z cyrkonii, warstwy nieskazitelnego makijażu i obłęd w jej szeroko otwartych, zielonych oczach. Krzywy uśmieszek przemknął po jego twarzy.

– W porządku – odparł. – Proszę jechać. Tylko niech pani naprawi to światło.

Wcisnęłam pedał gazu, zanim zdążył zmienić zdanie. „Niewiarygodne”, pomyślałam, zerkając ostrożnie na Pannę Młodą. Może i była najbardziej przerażającą pasażerką, na jaką natknęłam się w przeciągu ostatnich pięciu miesięcy, ale właśnie uchroniła mnie przed kolejnym mandatem. Gdyby nie zajmowała teraz siedzenia pasażera, policjant w życiu nie pozwoliłby mi

odjechać z rozwalonym światłem. (Odnosiłam wrażenie, że nowojorska policja szukała każdej możliwej wymówki na wklepienie mandatu kierowcom żółtych taksówek. Otrzymałam już dwa, łącznie na sto pięćdziesiąt dolarów, oba za próbę skorzystania z toalety w Grand Central Terminal, gdzie policyjne wozy patrolowe zajmowały większą część miejsc parkingowych na postoju dla taksówek mieszczącym się przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy i Lex).

– O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże – powiedziała Panna Młoda, wachlując się ręką, gdy pojechaliśmy na Zachodnią Siedemdziesiątą Drugą. – Nie czuję się najlepiej. – Na czoło wystąpiły jej krople potu. – Chyba zaraz zemdleję.

O nie, tylko nie to. Włączyłam klimatyzację na cały regulator.

– Jadłaś coś? – spytałam.

– Tak.

– Potrzebujesz torebki na wymioty? – Zaczęłam grzebać w swojej wielkiej, czerwonej torbie, która spoczywała otwarta na przednim siedzeniu między mną a nią.

– Nie!

Zerknęłam we wsteczne lusterko, próbując przykuć uwagę kogoś z jej ekipy, lecz cała trójka szeptała coś między sobą, udając, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

– W porządku, spróbujmy jeszcze raz. Weź głęboki oddech...

– Nie mogę!

– Owszem, możesz.

Odgrywaliśmy tę scenę w kółko od momentu, w którym zgarnęłam ją i jej ekipę spod hotelu Waldorf Astoria, i od razu wiedziałam, że był to moment, w którym wpadłam jak śliwka w kompot.

– Nie mogę oddychać! – krzyknęła Panna Młoda.

– Owszem, możesz. No dalej. Wciągnij powietrze przez nos – zaciągnęłam się głęboko, kurcząc nozdrza – i wypuść ustami. – Wypuściłam długie, głośnie westchnięcie, aż powietrze uwięzło mi w gardle.

Zamknęła oczy.

– O mój Boże. – Jedynym, do czego mogła się zmusić, było krótkie, ochryple sapanie.

– Zuch dziewczyna. Nie przestawaj.

Im bliżej byliśmy Piątej Alei, tym większe trudności z oddychaniem miała Panna Młoda. Nie przestawała się wachlować, wiercąc się na siedzeniu, szarpiąc za pas bezpieczeństwa, jakby chciała się uwolnić. Zbliżyliśmy się do ściany zieleni Central Parku. Gdy wyłączyłam licznik i wcisnęłam hamulec, znów zaczęła oddychać za głęboko i za szybko.

– Niech pani jedzie! – zawołała.

– Co?

– Proszę jechać!

– Nie mogę tu wjechać! – Wskazałam na barykadę oraz tablicę z napisem PRZEJAZD PRZEZ PARK ZAMKNIĘTY. NIE WJEŹDŹĄĆ! – Widzi pani ten znak? – Pokręciłam głową. – Zakaz wjazdu dla wszystkich samochodów.

– Chwileczkę! – Poszperała w torebce i wyciągnęła z niej zgnieciony, ale wyglądający na oficjalny dokument z zieloną pieczęcią i pomachała mi nim przed twarzą. – Mam pozwolenie! – krzyczała teraz. – Proszę, proszę, niech pani wjedzie! – Wskazała na rowerzystę, który skręcił do parku i zniknął za drzewami. – Proszę za nim jechać! Nie będzie miała pani żadnych

problemów! Jestem już spóźniona. Błagam!

Zdjęłam stopę z hamulca. Miałam mniej niż pięć sekund na podjęcie decyzji, co jest gorsze: wściekłość Panny Młodej czy wściekłość funkcjonariuszy nowojorskiej policji. Samochód za nami zaczął trąbić.

– Błagam! – Znów chwyciła mnie za ramię. Żyły na jej szyi nabrzmiały. Zerknęłam we wsteczne lusterko. Mężczyzna ani druhnny nie pokusili się o komentarz. „I co teraz?“, zdawały się mówić ich oczy.

Samochód za nami dalej trąbił, coraz dłużej i głośniej. „Raz kozie śmierć”, pomyślałam, omijając barykadę i wjeżdżając do Central Parku. Ściskając kierownicę obiema rękami, objechałam zakręt na drodze dla pieszych z nadzieją, że jej zezwolenie było autentyczne.

– Zna pani restaurację Boat House?

– Nie bardzo...

– Proszę jechać! – powiedziała, gdy zbliżaliśmy się do rozwidlenia dróg. – Szybciej! Szybciej! Szybciej! Niech pani przejedzie, kogo musi, tylko proszę się pośpieszyć! Boże, tyle spóźnienia... Pokieruję panią!

Ale po chwili jęczała tylko: „O mój Boże!” – nigdzie nie było żadnych znaków kierujących w stronę Boat House. Nikt z jej ekipy nie wiedział, jak tam dojechać.

Skreśliłam w prawo, choć nie miałam pojęcia dlaczego. Asfalt pod kołami był dziwnie gładki, pozbawiony dziur, do których przyzwyczaiałam się, jeżdżąc po ulicach Manhattanu, gdzie prawie dało się wyczuć wyboje w kamiennym podłożu pod powierzchnią drogi. Jednak po Park Drive taksówka zdawała się płynąć, jakby opony ledwie dotykały szosy.

„Błagam, niech to będzie tutaj”, myślałam, mijając rowerzystów, łyżworolkarzy i biegaczy w strojach z połyskliwej lycry. Wszyscy odwrócili się na dźwięk silnika ford. Mężczyzna na rowerze jednokołowym pokazał mi środkowy palec. Jakaś para w identycznych daszkach przeciwsłonecznych krzyknęła coś, czego nie dosłyszałam przez zamknięte szyby, choć wcale nie musiałam tego słyszeć, żeby zrozumieć ich intencje. „Do jasnej cholery, co ty robisz na naszej drodze?!”. Jechałam na tyle wolno, na ile pozwalała mi Panna Młoda.

„To nie dzieje się naprawdę”, pomyślałam, próbując dostrzec coś za najbliższymi zakrętami, szukając tablicy informacyjnej lub samego lokalu, ale widziałam jedynie drzewa.

– Ona nie ma pojęcia, gdzie to jest – usłyszałam, jak szepcze jedna z druchen.

Jedną ręką trzymałam kierownicę, a drugą wsadziłam do torby, szukając składanej mapy Manhattanu, gdy zauważyłam drewniany budynek z miedzianym dachem pod koroną przygarbionych drzew.

– Jesteśmy na miejscu! – zakrzyknęła Panna Młoda, wyciągając rękę na wysokość mojego wzroku i machając palcem w stronę przedniej szyby. – To właśnie Boat House!

Uśmiechnęłam się.

– Widzę – odparłam, próbując wyminąć grupę biegaczy.

– Niech pani ich rozjedzie!

– Nie mogę. – Poczekałam, aż przebiegną, po czym podjechałam do niskiego krawężnika i zatrzymałam się pod jednym z pochylonych drzew.

– Proszę mnie podwieźć pod same drzwi! – zażądała Panna Młoda, nie zauważając artystycznie przystrzyżonych żywopłotów odgradzających nas od oszklonych drzwi głównego wejścia.

– Dalej już nie mogę jechać – odparłam.

– No dobra! – Wyskoczyła z siedzenia pasażera i uderzyła głową o gałąź. Polakierowane loki nawet nie drgnęły. – Nic mi nie jest – powiedziała, przyglądając włosy.

Mężczyzna z jej ekipy wsadził dłoń w okienko i bez słowa podał mi pieniądze, dołączając do tego dwa dolary napiwku. Panna Młoda otworzyła tylne drzwi i porwała mu z kolan błękitne pudełko.

– Połamania nóg! – krzyknęłam za nią, gdy popędziła w stronę Boat House.

– Tiffany! – zawołał mężczyzna. – Zwolnij!

Druhny wysiadły, nie zamykając za sobą drzwi. Osunęłam się na kierownicę, chowając głowę w ramionach.

Parę sekund później rozległo się nieprzyjazne pukanie w szybę. „Co znowu?”. Uniosłam głowę, nie mając ochoty otwierać oczu. Na szczęście nie był to policjant, tylko biegacz ubrany od stóp do głów w lycrę.

– Zdaje sobie pani sprawę, że nie powinna tu być? – spytał. Kropla potu zwiślała mu z czubka nosa.

– Wiem. – Uniosłam dłonie w niewinnym geście. – Ale ona... – Wskazałam na Boat House, lecz Panny Młodej nie było już w zasięgu wzroku. – Panna młoda mnie zmusiła! Co miałam zrobić?

– Radziłbym pani włączyć światła awaryjne i wyjechać stąd najwolniej, jak to możliwe – odparł biegacz lodowatym tonem. – Trudno sobie wyobrazić, co zrobiłaby z panią policja.

– Wcale nie tak trudno... – W tym momencie uświadomiłam sobie, że Panna Młoda zwiśla ze swoim pozwoleniem. – Ja... niech to szlag.

Czas zwolnił jak w koszmarze, gdy jechałam zakrętami tej zbyt gładkiej jak na mój gust drogi, siedząc na brzeżku fotela kierowcy i żałując, że nie mogę wytłumaczyć swojej obecności w tym miejscu ćwiczącym ludziom na mojej drodze, którzy obrzucali morderczymi spojrzeniami mnie i moją taksówkę, jakby chcieli się na nas rzucić. Za każdym zakrętem natykałam się na coraz większe grupy ćwiczących – byłam pewna, że gdyby mieli przy sobie jajka, to z pewnością by mnie nimi obrzucili – i zaczęłam odnosić wrażenie, że jeżdżę w kółko i już nigdy nie znajdę drogi powrotnej z tego zakazanego, zielonego labiryntu.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim dostrzegłam przerwę między drzewami. „No dobra – pomyślałam. – Jeszcze kawałek”. Przyśpieszyłam. „Błagam, niech w pobliżu nie będzie żadnych policjantów. Proszę”. Wcisnęłam pedał gazu, pędząc przez park i wyobrażając sobie taksówkę jako nieuchwytną, żółtą smugę. Po pokonaniu ostatniego zakrętu zahamowałam gwałtownie. „Nie, nie, nie!”. Zamrugałam z całej siły z nadzieją, że mam halucynacje. Otworzyłam oczy. Nie, to nie mogła być prawda.

Patrzyłam na całą chmurę wozów patrolowych nowojorskiej policji w towarzystwie policyjnych furgonetek oraz grupy liczącej około pięćdziesięciu umundurowanych funkcjonariuszy strzegących wejścia do parku.

Oblał mnie zimny pot. Moje myśli wskoczyły na szybsze obroty. Rozważałam szaleńczą ucieczkę, ale to nie mogło być dobre rozwiązanie. Nadal czułam się niepewnie, prowadząc taksówkę powyżej siedemdziesięciu kilometrów na godzinę w obrębie Manhattanu.

Zaparkowałam za rzędem wozów patrolowych. Co robić? Co powiedzieć? Wysiadłam z auta i przyjrzałam się tłumowi policjantów, wybierając najbardziej pulchnego. Dlaczego? Gdybym

była zmuszona uciekać, i tak by mnie nie złapał...

Telefon pyzatego funkcjonariusza zaczął dzwonić, więc odszedł od grupy kolegów. „Oddychaj – nakazałam sobie, czekając, aż przestanie rozmawiać. – Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?”

– Dzień dobry, panie władzo – powiedziałam, gdy wyłączyłam komórkę.

Zignorował mnie, wpatrując się w coś, co, jak uświadomiłam sobie po chwili, było Piątą Aleją. Kciuki wsunął za pas z bronią.

– Panie władzo? – Założyłam ręce za plecy, podążając za jego spojrzeniem w kierunku pracowników miejskich w pomarańczowych kamizelkach odbłaskowych, którzy rozstawiali barykadę na chodniku. – Co się tutaj dzieje?

– Święto Izraela! – powiedział, kiwając brodą w stronę flagi z gwiazdą Dawida wiszącą na ulicznej latarni. – Parada.

– Och! Święto Izraela! Hmm... – Policjant świdrował mnie wzrokiem jak Królowa Kier w Alicji z Krainy Czarów. – Panie władzo, bardzo mi przykro. Wiem, że nie powinno mnie tu być, ale... – Wskazałam na taksówkę zaparkowaną na końcu rzędu radiowozów. – Ale ta panna młoda, ona zmusiła mnie, żebym...

Wsparł dłonie na biodrach.

– „Zmusiła” panią?

– Musiała dostać się do Boat House. – Czułam na sobie spojrzenia pozostałych policjantów. – Była spóźniona. Na... na swój ślub.

Policjant przestąpił z nogi na nogę. Na jego pulchnej twarzy malowała się wyłącznie irytacja, gdy pokręcił głową, patrząc raz na mnie, potem na taksówkę, i znowu na mnie. Wstrzymałam oddech.

– No dobra – odezwał się w końcu. – Niech pani stąd zjeżdża.

– Naprawdę? – Spojrzałam na niego z rozdziawionymi ustami. – Jest pan pewien?

– Co ma pani na myśli, pytając, czy jestem pewien?! Zamierza pani zostawić tu tę taksówkę na cały dzień? Niech pani stąd zjeżdża!

Tamtej nocy po zakończeniu zmiany, gdy rozmawiałam z rodzicami na Skype i opowiadałam o pulchnym policjancie – oraz o tym, jak czując się jak skończona idiotka, rzuciłam się biegiem do taksówki, włączyłam silnik i wystrzeliłam z parku jak z procy, podczas gdy reszta policjantów z patrolu zaczęła wskazywać mi palcami – na ekranie komputera wyskoczył dymek konwersacji.

„Prowadzisz taksówkę?!”. To był Joaquín.

– Och! – Żołądek zjechał mi na dno.

– Stało się coś? – spytała mama.

– Nie, nic. – Zostawiłam jego wiadomość zawieszoną na ekranie. – Co mówiłaś?

– Powiedziałam, że nie to nie do wiary, że panna młoda dała ci tylko dwa dolary napiwku!

– Dziewczyna wpadła w histerię, Virginio – wtrącił tata.

„Tak jakby...”, odpisałam.

Nie mogłabym nie odpisać na wiadomość Joaquína? „Nie, nie ma mnie w Buenos Aires”, napisałam, zmuszając się, aby poczekać tydzień, zanim wysłałam wiadomość.

– Mówię serio, Leroy. Przez nią złamała prawo!

„A co z twoim pisaniem?”, chciał wiedzieć Joaquín.

„To długa historia...”.

– Co to za dźwięk? – spytała mama.

– Piszesz coś? – spytał tata.

– Nie. – Schowałam ręce na podołku, choć i tak nie mogli mnie zobaczyć – rodzice nie mieli kamerki internetowej, podobnie jak ja.

– Cóż, nie rozumiem tych współczesnych panien młodych. Wydaje im się, że mogą się zachowywać jak gwiazdy filmowe! – Mama westchnęła do mikrofonu. – Hej! Która godzina? Jedenasta trzydzieści? Cholera! Leroy. Zaraz musimy wychodzić. A ty jeszcze się nie ogoliłeś! Muszę zrobić lazanię...

– Lazanię? W porządku, ja też muszę już kończyć... – Poświęciliśmy chwilę na pożegnanie się, tak jak mieliśmy w zwyczaju.

„Jesteś tam?????”, napisał Joaquín.

„Tak...”.

Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i tupot łap Papichulo na drewnianej klepce w przedpokoju.

„¿Y vos?”, zaczęłam pisać, czując, jak odrobinę drżą mi dłonie. „¿Qué tal? Jesteś w Buenos Aires?”.

„Sí”.

Papichulo stał pod drzwiami mojego pokoju, powarkując.

„Brakuje mi naszych rozmów”, napisał Joaquín.

„Mnie również”, odpisałam, ale skasowałam wiadomość, zanim wcisnęłam enter.

Tęskniłam za rozmowami z Joaquínem jeszcze bardziej niż za tańcem. Czy mogłam mu to powiedzieć? Chciałam opowiedzieć mu o tylu rzeczach: o Nowym Jorku, taksówce, tangu w taksówce, o przeczytanych książkach, Ginsbergu i Kerouacu, i tym, jak bardzo mi go przypominali. Podczas gdy Kerouac nieustannie był w pogoni za zachwytem („Dlaczego miałbym się na cokolwiek godzić...?”), Ginsberg uczył się obserwować zjawisko nazwane przez siebie „drogocennością upływającej chwili”. Ginsberg miał rację, pomyślałam. A w pewnym sensie także Joaquín – to dzięki niemu, czy o tym wiedział, czy nie, krok po kroku uczyłam się rozpoznawać drogocenność upływającej chwili, doceniać piękno rzeczy podlegających ciągłym zmianom.

„Jesteś świetnym nauczycielem – napisałam, starając się nie zwracać uwagi na skrobanie pazurów Papichulo o moje drzwi. – Wiesz o tym?”.

– Chulo! – krzyknęła Sarah z kuchni. – Przestań! – Papichulo zaczął wyc.

Minęła minuta. Dwie.

– Chulo, skarbie, chodź tu! – Chihuahua warknęła i uciekł korytarzem.

Wstałam i położyłam się na swoim nierównym łóżku, przyciskając dłonie do brzucha. W trakcie rozmowy z rodzicami nabrałam ochoty, aby coś przekąsić. Usłyszałam odgłos spadania kropli towarzyszący pojawieniu się nowej wiadomości i rzuciłam się przed komputer.

„Y vos sabes que te quiero”. Wiesz, że cię kocham.

„Co?”. Zagapiłam się na monitor, na migający kursor. Nie, nie wiedziałam. Zawsze byłam przekonana, od początku do końca, i jeszcze długo po tym, że znaczył dla mnie więcej, niż ja dla

niego.

„Jesteś tam jeszcze?”, napisał.

„Nie wiem”.

Joaquín A. pisze... zakomunikował wiersz w okienku. Czekałam, skubiąc dolną wargę, patrząc, jak wielokropek pojawia się i znika.

„Jesteś wspaniałą osobą”, napisał.

„I przepraszam”.

Wstałam i wyciągnęłam ręce w stronę sufitu. Dlaczego teraz? Czy to miało jakieś znaczenie? Odczekałam cztery, może pięć minut, żałując, że mam za mały pokój, aby trochę po nim pochodzić. Wróciłam przed komputer. Obok imienia Joaquína pojawiła się żółta chmurka z napisem „Niedostępny”. „Po prostu powiedz prawdę”.

Usiadłam na swoim składanym krześle z palcami uniesionymi nad klawiaturą.

„*Te quiero también*”, odpisałam.

Chmurka z napisem „Niedostępny” pozostała na ekranie.

Rozległo się ciche pukanie.

– Layne? – To była Sarah.

– Wejdz.

– Masz ochotę na smażony makaron z warzywami?

Spojrzałam na swój laptop. Ekran ciemniał, przygotowując się do całkowitego wygaśnięcia. Przez otwarte drzwi pokoju wpadło pachnące czosnkiem i imbirem powietrze.

– Jasne. – Wstałam, wsuwając krzesło pod biurko.

– Wszystko w porządku? – spytała Sarah, zerkając na komputer.

– Wszystko w porządku. – Przycisnęłam kłykciami kąciki oczu, aby powstrzymać łzy.

Wiedziałam, że nasze *te quiero*s były czysto platoniczne – nawet gdy wysyłałyśmy je sobie przez cyberprzestrzeń. Zamknęłam klawiszem komputera i poszłam za Sarah do kuchni.

SŁOŃCE NAD HISZPAŃSKIM HARLEMEM ZACHODZIŁO, gdy Isabel i ja dotarliśmy na szczyt ruchomych schodów na stacji metra na skrzyżowaniu Sto Dziesiątej Ulicy i Lex.

– Gdzie to jest? – spytała.

– Tędy – powiedziałam, prowadząc ją za tricepsy.

– Skąd wiesz?

– Dzięki taksówce. – Teraz, gdy już znałam rozkład ulic, mogłam wyjść z niemal każdej stacji metra na Manhattanie i w sekundę połapać się w swoim położeniu. Nie uważałam się jeszcze za dobrego kierowcę taksówki – po pięciu miesiącach pracy nadal zdarzało mi się krążyć w kółko po Greenwich Village albo w centrum Brooklynu – ale przynajmniej rozwijałam zmysł orientacji.

– Łał – powiedziała Isabel, która nie potrafiła czytać mapy i zazwyczaj opuszczała mieszkanie w Astorii na godzinę przed spotkaniem z kimkolwiek na Manhattanie, aby mieć zapas czasu na ewentualne pogubienie się.

Przeszliśmy przez Trzecią Aleję. Żółta taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle i zahamowała daleko za wyblakłymi, białymi liniami przejścia dla pieszych.

– Pusta – powiedziałam.

– Zawsze sprawdzasz?

– Tak.

Nawet gdy nie prowadziłam, sprawdzałam, czy inni kierowcy mają pasażerów. Był to osobliwy, nowy odruch, jeden z kilku dziwnych, nowych odruchów, do których zaliczały się też ściganie pieszych chodzących w niedozwolonych miejscach i wpadanie we wściekłość za każdym razem, gdy zaparkowany równolegle pojazd blokował mi drogę – ale te impulsy były niepokojące, moje reakcje przesadne, a ja nie byłam pewna, czy powinnam powiedzieć o nich Isabel.

Poszliśmy na wschód Sto Dziesiątą Ulicą, mijając po drodze pusty dziedziniec szkolny, na którym kosze do gry w koszykówkę nie miały siatek. Ulicznych latarni zrobiło się mniej. Przyspieszyliśmy kroku. Gdy skręciliśmy w prawo w Drugą Aleję, zobaczyliśmy ją, tuż obok Devil's Ink Tattoo – witrynę bijącą tak mocnym neonowozielonym blaskiem, że mogła opromienić całą przecnicę. WALKERSWOOD, RESTAURACJA KARAIBSKO-AMERYKAŃSKA, głosił szyld. Alex i Jillian, ostatni pasażerowie, których wiozłam podczas poprzedniej zmiany, powiedzieli mi, że to ich ulubiona jamajska restauracja na Harlemie. „Tylko nie chodź tam w niedzielę – poradziła Jillian, zanim wysadziłam ich oraz Miriam, ich córkę, przy Central Park Zoo. – Nie ma wtedy Edwarda i nie podają ciasta z rumem”.

Minutę zajęło nam przyzwyczajenie oczu do jaskrawych świateł we wnętrzu lokalu. Przypominało to spacer po Times Square. Na ścianie po prawej od wejścia wisiał telewizor, trącąc trochę stylem szpitalnej poczekalni; właśnie leciało *Va banque*. Z tyłu znajdowała się lada

osłonięta szkłem kuloodpornym. Strony z menu barwy szafranu („Zapraszamy do spróbowania smaków kuchni karaibskiej”) i znak ZAKAZ PALENIA przyklejono do szkła poczerńniętymi kawałkami taśmy klejącej.

– Edwarda nie ma – powiedział mężczyzna za ladą, niski i pulchny pan w bordowej koszulce z pieprzykiem z boku nosa. Przedstawił się nam jako Fred.

Spojrzałam na Isabel, rozczarowana.

– A macie jeszcze ciasto rumowe? – spytałam.

Zostały dwa kawałki. Zawinął je w woskowany papier, a my zajęłyśmy się studiowaniem menu: kurczak po jamajsku, curry z kurczakiem, duszony stek z warzywami, ogony wołowe...

– Ogony wołowe? – odezwała się Isabel.

Fred wziął z półki pod ladą aluminiowe pudełko i podszedł do barmaru stojącego daleko pod ścianą, w którym całe jedzenie miało dość mętny kolor, podgrzewane tak długo, że wyglądało jak na skraju wygotowania. Nałożył do pełna ogonów, ryżu, groszku (czerwonej fasoli) i słodkich platanów.

– Proszę – powiedział, wręczając nam otwarty pojemnik i dwa plastikowe widelce, wskazując ręką gromadę pustych stołów z laminatu. – Niech panie siadają, gdzie chcą.

Właśnie zaczynała się ostatnia runda *Va banque*.

Isabel i ja uśmiechnęłyśmy się do siebie po ugryzieniu pierwszych kęsów. Mięciutkie mięso odchodziło od kości, przesycone smakiem własnych soków ukrytym w prostym, brązowym sosie.

Reszta była równie pyszna, tak jak obiecywali Alex i Jillian: złociste, smażone, słodkie plantany nadal były lekko jędrne, ale nie tłuste, a ryż i groszek charakteryzowało bogactwo smaku, którego nie potrafiłam dokładnie określić. Wstałam i puknęłam w szkło, aby przykuć uwagę Freda. Był przyklejony do telewizora – tak pochłonięty programem, że kilka sekund zajęło mu zauważenie, że stoję obok. Odwrócił się i spojrzał na uczestników zapisujących pytania do finałowej odpowiedzi. Kategoria – dziewiętnastowieczni pisarze. Wskazówka: „Napisała kilka mniejszych powieści pod pseudonimem A. M. Barnard. Jej najsłynniejsza powieść jest luźno oparta na doświadczeniach z jej dzieciństwa”.

– Louisa May Alcott? – spytał Fred. Melodyjne tykanie towarzyszące zastanawianiu się nad odpowiedzią dopiero co się zaczęło.

– Też bym tak odpowiedziała.. – Zaczekałam, aż Alex Trebek ogłosi przerwę na reklamy, po czym spytałam Freda: – Co dodajecie do ryżu?

Fred parsknął śmiechem, wbijając wzrok w swoje stopy.

– No śmiało, proszę powiedzieć. Przecież wie pan, że i tak nie będę umiała ugotować tego tak, jak pan.

Fred pomasaował się po karku, spoglądając w sufit, jakby prosił o pozwolenie kogoś z góry. Potem, jakby dzielił się sekretem, którego nie powinien był zdradzać, wyszeptał:

– Mleczko kokosowe.

– Mleczko kokosowe?

– Mmmm hmhhh. – Pokiwał głową, podając mi nowe plastikowe widelce do ciasta rumowego, i wycelował pilotem w szparę w szkłe, zwiększając głośność. „Zacznijmy od środka” – powiedział Alex Trebek. – „Andrew McCluskey, który miał na koncie trzy tysiące dolarów i napisał... Louisa May Alcott”.

– Nieźle – powiedziałam do Freda.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Isabel odwinęła z papieru ciasto rumowe, ciemne jak espresso i tak mocno nasączone alkoholem, że praktycznie nim ociekało. W smaku było jak karmelizowana trzcina cukrowa.

– No dobrze, kobieto... – Starła okruszki z ust. Paznokcie miała pomalowane na kolor czerwonych jabłek na patyku w cukrowej polewie, który wyglądałby tanio i tandetnie w przypadku większości kobiet, ale sprawiał, że jej dłonie wyglądały jak gotowe na królewski bal. – Powiedz mi. Jest trochę łatwiej?

– Niby co? – Odwinęłam drugi kawałek rumowego ciasta z papieru i nabrałam pełen widelec.

– Prowadzenie taksówki.

– Och. – Na sekundę przestałam ruszać szczęką. – Cóż...

W oczach postronnego obserwatora na pewno robiłam postępy. Przypomniałam sobie drobną kobietkę z ustami pomalowanymi szminką w kolorze śliwki, którą podwiozłam dwie zmiany temu, z przystanku przed St. Luke's Hospital, za dziesięć siódma rano. Gdy powiedziała, że jest spóźniona do pracy, popędziłam przez idealnie zsynchronizowane zielone światła na Amsterdam Avenue, wprowadzając w życie ducha mamy, osoby z najcięższą nogą w rodzinie, która miała w zwyczaju jeździć swoim miniwanem sto trzydzieści siedem kilometrów na godzinę. „Cholernie dobry z ciebie kierowca, *mamita*”, powiedziała pani o śliwkowych ustach, gdy za trzy siódma wysadziłam ją na Sto Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Możliwe, że stawałam się lepszą taksówkarką, ale miasto zaczynało mnie dołować, a ja sama zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zatracam swojego człowieczeństwa.

Aby od tego uciec, jeśli znajdowałam się w pobliżu Czterdziestej Drugiej Ulicy, zatrzymywałam się pod Mid-Manhattan Public Library – uboższej, ponurej krewnej wspaniałej głównej filii biblioteki z marmurowymi kolumnami po drugiej stronie Piątej Alei – włączając się wśród regałów dłużej, niż powinnam, i zastanawiając się, co zostało z Nowego Jorku O. Henry'ego, Josepha Mitchella i E. B. White'a – czyli miasta, którego szukałam, pełnego ekscentryzmu, tajemnych barów i powiewu nowej, awangardowej sztuki. Doszłam do wniosku, że niemożliwością było zrozumienie Nowego Jorku ani docenienie jego mrocznej strony bez przejechania się po mieście chociaż raz. Człowiek musiał usiąść za kółkiem, aby doświadczyć pełni jego szaleństwa, zaznać rozpaczliwych harujących jak woły mieszkańców, którzy odmierzali czas w milisekundach, a żółte światła mieli w pogardzie. Zwolnić? Nigdy w życiu. W taksówce miało się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy z wrzaskiem domagają się swojej szczęśliwej przerwy. W taksówce widziałam obnażone kły miasta i coraz bardziej zaczynałam pokazywać swoje.

Została połowa kawałka rumowego ciasta. Odłożyłam plastikowy widelec i przesunęłam je w stronę Isabel.

– Jestem coraz lepsza – powiedziałam, muskając palcami zieloną kreskę w marmurkowym wzorku laminatu – ale robię się straszna.

Przesunęła ciasto z powrotem w moją stronę.

– Co masz na myśli?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Kiwnęła twierdząco głową.

– W porządku. – Przysunęłam krzesło bliżej stolika. – W niedzielę chciałam skorzystać z łazienki w Wellington Hotel. – Zniżyłam głos, choć wyglądało na to, że Fred nie zwracał na nas najmniejszej uwagi i prawdopodobnie nie usłyszałby mnie przez zgiełk *Koła fortuny*. – Wiesz, że lubię się tam zatrzymywać. Portierzy są bardzo mili i zawsze pozwalają mi korzystać z łazienki. Gdy mam czas, kupuję sobie ciasteczko czekoladowe z Petrossian. Opowiadałam ci o nich, prawda? O tych z orzechami pekan? Próbowowałaś?

– Jeszcze nie.

– W porządku, zapomnij. To znaczy nie zapomnij, na pewno ich spróbujemy. Musisz ich spróbować. O rany... – Pogłaskałam się po brzuchu. – Tak czy inaczej – machnęłam dłonią przed twarzą – w niedzielę zatrzymałam się... Nie. Próbowалам zatrzymać się na postoju taksówek na rogu Pięćdziesiątej Szóstej i Siódmej, tuż przed Wellington Hotel. Ale nie mogłam. A wiesz dlaczego? Bo stał tam SUV. Zajmował ostatnie miejsce, tuż pod znakiem ZAKAZ PARKOWANIA. POSTÓJ DLA TAKSÓWEK.

– O rany.

– No właśnie. A zatem zaparkowałam równolegle, podeszłam do SUV-a i zapukałam w szybę. W środku siedział facet z yorkiem na kolanach. Całkiem zamyślony, nie zwracał na nic uwagi. Pies i facet podskoczyli jak oparzeni, gdy tylko walnęłam ręką w szybę. Miałam to gdzieś. Zaczęłam się na niego drzeć. „Nie możesz tu parkować!”. – Potrząsnęłam pięścią tak, jak wtedy, żeby Isabel miała przed oczami pełen obraz. – „To postój dla TAKSÓWEK!”. Na twarzy tego gościa pojawiło się prawdziwe przerażenie. Zepchnął psa z kolan i odjechał najszybciej, jak się dało. Dopiero wtedy zauważyłam, że miał tablice rejestracyjne z Georgii. Wygląda na to, że na zawsze zniechęciłam go do nowojorczyków.

Isabel chwyciła się rękami za brzuch, wybuchając śmiechem.

– O nie!

– O tak – powiedziałam. – I jeszcze ta sytuacja z zeszłej nocy! Szłam przez centrum i zobaczyłam, jak jakaś kobieta przechodzi przez ulicę na czerwonym świetle. Kompletnie nieświadoma. Nawet nie sprawdziła, czy z którejś strony nie nadjeżdża samochód! I w dodatku cała była ubrana na czarno!

– Hmm...

– No więc pobiegłam za nią, zatrzymałam i powiedziałam, że naraża swoje życie. „Nikt cię nie widzi, gdy przechodzisz w ten sposób przez ulicę!”. Spojrzała na mnie, jakby mi rozum odjęło. A potem prychnęła pod nosem i odeszła.

Isabel nie przestawała chichotać. Zakryła usta w momencie, w którym zorientowała się, że mówię na poważnie.

– Przysięgam, to prawda. Ludzie są tacy bezmyślni przy przechodzeniu przez ulicę!

Ja również taka byłam, zanim nie zaczęłam prowadzić taksówki. Na myśl przyszedł mi Orwell: „Zadziwiające – napisał – jak człowiek nie zauważa pewnych rzeczy”. W rzeczy samej: nigdy nie przyszło mi do głowy, jak bardzo było to niebezpieczne, jak bardzo wytrącało miasto z rytmu, to przechodzenie przez ulicę na czerwonym świetle – do momentu, w którym ujrzałam to z siedzenia kierowcy.

– Cóż – powiedziała Isabel. – Racja... – Robiła, co w jej mocy, żeby wykazać się zrozumieniem, ale jej oczy zaczynały nabierać wyrazu zdziwienia pomieszanego z przerażeniem, które zaczęłam rozpoznawać z czasu, jaki spędziłam na drodze. Nadeszła właściwa pora, aby

opowiedzieć jej o wycieczce do centrum w towarzystwie mężczyzny w ciemnoniebieskim garniturze.

Zauważyłam go w momencie, w którym wyjeżdżałam z postoju na Dwudziestej Ulicy: wysokiego, szczupłego mężczyznę z weekendową opalenizną, który szedł z rozmyślnie wyprostowanymi ramionami, od czasu do czasu odwracając się w stronę ulicy z badawczym, niemal bezbronnym wyrazem twarzy. Zatrzymałam się, żeby go podwieźć, jeszcze zanim uniósł rękę.

– Róg Liberty i Broadwayu – powiedział, wsiadając do taksówki. Tak jak wielu mężczyzn, których zawoziłam na Wall Street, nie miał przy sobie żadnych rzeczy.

Wrzuciłam bieg. Oparł łokieć o framugę szyby i milczał. Lubiłam myśleć, że potrafię wyczuć, czy pasażer był skory do rozmowy, czy wolał jechać w ciszy. Cisza stała się moim „ustawieniem domyślnym” w taksówce. Po jakimś czasie zaczęłam identyfikować rodzaje ciszy za ścianką działową: cisza pełna zniecierpliwienia (jak w przypadku pani w różowym jedwabiu, która okazała irytację, gdy przegapiłam dwa pierwsze znaki prowadzące do jej agencji nieruchomości), pijacka cisza (gdy zabrałam trójkę studentów w obcisłych dżinsach na rogu Varick and Spring, która zasnęła w drodze na Williamsburg), cisza podejrzliwa (gdy przez pomyłkę zawiozłam bankowca przez Most Brookliński do Dzielnicy Finansowej), ciekawska cisza (w przypadku grupy młodych Japończyków, którzy w drodze do Macy’s ukradkiem robili mi zdjęcia) oraz cisza litościwa (tak jak w trakcie kursu z Ukrainką ze złotym przednim zębem, której nie przeszkadzało, gdy zgubiłam się po drodze na jej maseczkę błotną w Oasis Health Center na Brighton Beach).

Jednak cisza melancholijna pomieszana z różnymi rodzajami egzystencjalnej tęsknoty stanowiła najpospolitszą formę ciszy, którą wyczuwałam w swoich pasażerach, którzy, jak zakładałam, mieli mało okazji beczynnienie posiedzieć w Nowym Jorku. Taka też była cisza, którą wyczułam w mężczyźnie w ciemnoniebieskim garniturze – aż do czasu, gdy utknęliśmy za furgonetką FedEx-u blokującą jadące na wschód pojazdy na Osiemnastej Ulicy.

Upłynęła minuta, dwie... Zerknęłam we wsteczne lustro: za nami utworzył się sznur samochodów. Mój pasażer zaczął wzdychać, krzyżując i rozprostowując nogi.

PIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIP! PIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIIP!

Ponownie zerknęłam w lustro. Sznur samochodów ciągnął się przez całą długość Dziewiątej Alei. Dźwięk ich klaksonów narastał, zmieniając się z poirytowanego we wściekły. Westchnięcia mojego pasażera również stały się głośniejsze. Uznałam, że to najgorsza część prowadzenia taksówki po Nowym Jorku: desperacja ludzi i moja odpowiedzialność wobec tej desperacji, nawet w korku, którego nie mogłam w żaden sposób kontrolować. Bez względu na to, jak bardzo próbowałam, nie potrafiłam odizolować się od pośpiechu zza ścianki działowej. A w przypadku mężczyzny w ciemnoniebieskim garniturze przekaz w jego oczach był jasny: „Zrób coś. To twoja praca”.

PIIP! PIIP! PIIP! PIIP! PIIP!

„Nie siedź tak!”, pomyślałam. „Zrób coś!”. Zaparkowałam na postoju, zostawiając włączony silnik, i podbiegłam do furgonetki FedEx-u.

– Hej! – krzyknęłam na kierowcę o nalanej twarzy w czapeczce baseballowej, zgarbionego nad płachtą papieru woskowanego rozłożoną na kierownicy i jedzącego kanapkę z bagietki. Uniósł wzrok, gdy zobaczył, jak macham dziko rękami, przetykając z trudem, jakby nie skończył jeszcze żuć. – Mam KLIENTA! – wrzasnęłam głośniejsz, wskazując na taksówkę. – Nie może pan

siebie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Czyżby chciała ochronić się przede mną? Czy przed chłodem nocy?

– Wiesz co? – spytałam, gdy czekałyśmy na zmianę świateł na Trzeciej Alei. – Chciałabym, żeby każdy poprowadził kiedyś taksówkę, choćby przez jeden dzień. Wydaje mi się, że miasto zmieniłoby się nie do poznania. – Ale nawet wtedy, pomyślałam, obserwując, jak mija nas kolejna pusta taksówka, nie byłam pewna, czy poczuję się mieszkanką Nowego Jorku.

JECHAŁAM NA ZACHÓD WSCHODNIĄ CZTERDZIESTĄ PIĄTĄ ULICĄ w samym środku południowego ruchu, gdy dał o sobie znać mój pęcherz. Podkręciłam radio, żeby zagłuszyć wołania swojego ciała. Celia Cruz śpiewała z zaraźliwą radością w głosie: „*A-gar-ra-te fuer-te... Y ya no te suel-tes*” (Trzymaj mocno... i nie puszczaj jeszcze). Podciągnęłam się na fotelu, próbując wyjrzeć zza furgonetki U.S. Mail przede mną. Mój pęcherz znów przeszył ostry ból, tym razem z bardziej zdecydowany sposób. „Już nigdy więcej nie zlekceważę mocy mrożonej kawy w Café Grumpy”, pomyślałam.

Pojechałam tam prosto po kolejnej utarczce z naciągaczem – facetem w beżowych szortach i czapeczce Red Sox, którego zawiozłam aż na lotnisko La Guardia, gdzie okazało się, że jego karta kredytowa została odrzucona. „Ma pan przy sobie gotówkę?”, spytałam. Wzruszył ramionami bez przekonania i pokazał pusty portfel. „Jak pan tak może?”. Odpowiedzią było kolejne wzruszenie ramion bez żadnych oznak skruchy. Wtedy uświadomiłam sobie, że był na haju. Jedyne, co mogłam zrobić, to zagotować się z wściekłości, podczas gdy on wywłókł z taksówki swoją walizkę i zniknął za rozsuwanymi drzwiami terminalu Delta. „Nie ma co płakać, złotko – przypominałam sobie słowa Mary Jo. – Ściganie tych idiotów to całkowita strata czasu, a w dodatku jest niebezpieczne”.

Mimo to nadal wrzałam ze złości, zanim dotarłam do Café Grumpy – miejsca, które kilka dni temu polecił mi student prawa, gdzie kawa była równie cudowna, co nazwa – i zamówiłam dużą, mrożoną kawę na wynos, po której w ciągu pół godziny musiałam dwukrotnie odwiedzić Port Authority, aby skorzystać z łazienki.

Teraz, na skrzyżowaniu Czterdziestej Piątej Ulicy i Park, z dłońmi nadal śwędzącymi od nadmiaru kofeiny, okazało się, że znów muszę skorzystać z toalety. „Uhm – pomyślałam – tylko nie teraz”. Pęcherz znów mnie zabolął, kompletnie obojętny na moje postanowienie. Przyjrzałam się zatorowi na drodze. Furgonetka U.S. Mail, która do tej pory posuwała się naprzód, stanęła w miejscu i włączyła światła awaryjne. Zaciśnęłam dłoń na kierownicy.

„Nie pozwól, żeby ktokolwiek widział, jak się denerwujesz”, przypominałam sobie słowa Mary Jo. Czytała mój blog, gdzie dokumentowałam swoje wpadki za kierownicą, usiłując nadać historiom lekki, humorystyczny wydźwięk i trzymać się tematu, wplatając, gdzie tylko się dało, anegdoty o polecanych przez pasażerów jedzeniu. Jednak Mary Jo wyczuwała napięcie i brak przyjemności kryjące się za moimi słowami. „Nie przejmuj się tym, że twoje marzenia rozpadają się na kawałki – powiedziała. – Ciągłe przyzwyczajasz się do uroków tej pracy”.

W tej chwili, bez względu na to, jaką pozycję przyjął na fotelu kierowcy, mój pęcherz nie przestawał boleć i pulsować. Rozejrzałam się dokoła. Jakie miałam opcje? Nie było mowy, abym objechała furgonetkę poczty, nawet gdybym wpadła w szal Panny Młodej i zmusiła kierowcę, żeby zjechał na pobocze. Wschodnia Czterdziesta Piąta Ulica była na to za wąska, tak samo jej chodniki. Mogłam włączyć światła awaryjne, zostawić taksówkę na środku ulicy i poszukać toalety – ale co by było, gdyby samochody ruszyły? Spojrzałam na pusty kubek po kawie. „Nie

ma mowy”. Musiało istnieć jakieś inne rozwiązanie.

Zerknęłam na furgonetkę – nigdzie się nie wybierała, jej światła awaryjne nadal mrugały. Wyłączyłam radio i zacisnęłam wszystkie mięśnie w miednicy. Na próżno. Bolały mnie nerki. Wiedziałam, co to znaczy. Jeśli w przeciągu następnych sześćdziesięciu sekund nie znajdę łazienki, zsikam się w spodnie.

Rozpięłam pas bezpieczeństwa. „Serio, naprawdę to robimy?”. Ciało przejęło kontrolę nad mózgiem. Zjechałam na postój. Odsunęłam siedzenie kierowcy najdalej jak się dało. Wzięłam swój atlas ulic, który rozmiarami przypominał płachtę kolorowego papieru do wycinanek z podstawówki, i rozłożyłam na kolanach. Po chwili ściągnęłam spodnie. „Okej – pomyślałam, biorąc kubek po kawie z podstawki na desce rozdzielczej – no to jedziemy”.

Umieściłam kubek pod sobą i zaczęłam siusiać, z początku ostrożnie, lecz po chwili, gdy zobaczyłam, że trafiam prosto do celu, chwyciłam pewniej kubek i rozluźniłam się, czując, jak się napełnia, a plastik staje się gorący pod palcami. Gdy skończyłam, po policzkach pociekły mi łzy upokorzenia i ulgi. Ogarnęło mnie poczucie zwycięstwa rodem z MacGyvera, gdy zabezpieczyłam kubek pokrywką.

Nadal miałam opuszczone spodnie, gdy jakaś kobieta w średnim wieku z krótkimi włosami zapukała w szybę.

– Jest pani wolna?

– Nie! – krzyknęłam, przyciskając atlas do bioder.

Zerknęła na moje gołe kolana – czy zauważyła spodnie opuszczone do kostek? – i uniosła brwi ze zdziwienia. Odeszła, poprawiając swój kaszmirowy szal i kręcąc głową, jakby próbowała zapomnieć o tym, co widziała.

Zjechałam na pobocze, gdy tylko udało mi się wyplątać z korka na Czterdziestej Piątej Ulicy, wylewając zawartość kubka do ścieku, wyrzucając go do śmieci i wcierając żel odkażający w palce tak długo, aż skóra zaczęła mnie palić. Nie obchodziło mnie, że zarobiłam dopiero dwadzieścia cztery dolary – pojechałam prosto do biblioteki na Manhattanie, ignorując uniesione dłonie potencjalnych pasażerów na Piątej Alei.

„Sięgnęłam nowego poziomu dna”, pomyślałam, zwieszając głowę i spacerując między regałami z powieściami science fiction, unikając kontaktu wzrokowego z każdą napotkaną na drodze osobą.

Wylądowałam w dziale podróżniczym, jak zawsze zresztą. Na metalowym wózku służącym do odkładania książek na półki leżała sterta książek, którą zaczęłam przeglądać. Gdzieś pośrodku natknęłam się na przewodnik po Berlinie Lonely Planet z 2006 roku. Wyciągnęłam go, przechodząc do sekcji poświęconej taksówkom.

„Nie będzie przesadą stwierdzenie, że przeciętny berliński taksówkarz jest w stanie porozmawiać na dowolnie wybrany temat, począwszy od najlepszej kiełbasy w mieście, a skończywszy na zawiłościach psychologii Nietzschego...”.

„Nietzsche i kiełbasa? – pomyślałam. – Wolne żarty”. Przeszłam do wstępu.

„Od momentu zjednoczenia, Berlin przeszedł olbrzymią ewolucję. Minęły już czasy, w których był postrzegany jako obłąkane i schizofreniczne miasto egzystujące w złowrogim

cieniu Muru...”.

Mimo że lektura wydawała się nieco naiwna, nie przejęłam się tym: chciałam w to wierzyć, tak samo jak chciałam wierzyć w marzycielskie opisy Berlina autorstwa Davida Byrne’a w jego *Dziennikach rowerowych*. Wypożyczyłam przewodnik Lonely Planet i zamyślona wróciłam do taksówki.

Gładko ogolony blondyn w granatowym, sportowym płaszczu zatrzymał mnie na Czterdziestej Drugiej Ulicy kilka minut później.

– Lotnisko JFK – powiedział, wymachując torbą na laptop i aktówką.

Było jedenaście minut po piętnastej. W wyobraźni widziałam Long Island Expressway i sznur samochodów ciągnących jeden za drugim na Van Wyck. Nie było mowy, żebym zawiozła go na lotnisko i zdążyła zwrócić taksówkę na czas, ale naprawdę potrzebowałam kasy.

Włączyłam licznik, a mój pasażer rozpoczął rozmowę przez telefon.

– ...tak, fuzja weszła w życie. Steve nie mógł uwierzyć, gdy wręczyłem mu swoją rezygnację. Szkoda, że nie widziałeś miny Terry’ego! – Rozwiązał krawat i zerwał go jednym szarpnięciem, gdy wjechaliśmy do tunelu. – Zaczekaj chwilę, nie słyszę cię – powiedział, gdy zagłębiliśmy się w ciemność. – Słyszysz mnie? Cholera. – Rozłączył się. – Wszystko w porządku? – spytał, gdy wyjechaliśmy z tunelu. Biznesowy ton zniknął z jego głosu.

– Och, tak, dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niego we wstecznym lusterku, a on posłał mi zabawne spojrzenie. Znowu uwiesił się na telefonie.

– ...tak, zostawiłem sobie zapas, godzinę i dwadzieścia minut na dotarcie do lotniska. Tak... – Wyplątał się z płaszcza, po jednej ręce naraz. – Mnóstwo czasu.

Spojrzałam na zegarek. Było trzydzieści pięć minut po trzeciej. Pojazdy na trasie poruszały się ze średnią prędkością szesnastu kilometrów na godzinę.

– ...Cóż, utknąłem w małym korku – powiedział, zerkając na żółtą taksówkę obok nas, która miała na dachu zamontowaną reklamę Guinnessa. Slogan z szarobiałych liter na czarnym, piwnym tle głosił: SZCZĘŚCIE SPRZYJA ODWAŻNYM.

„Za chwilę utkniesz w ogromnym korku”, pomyślałam.

Oparł głowę o siedzenie, wydał z siebie zmęczone, lecz jednocześnie radosne westchnięcie i wybrał kolejny numer, a ja wcisnęłam się taksówką na Van Wyck Expressway, gdzie korek przybrał na sile, a nasze tempo spadło jeszcze bardziej. Nie mogłam jechać szybciej niż osiem kilometrów na godzinę. Zatrzymywaliśmy się co jakieś trzydzieści parę sekund. Sytuacja wyglądała gorzej, niż przypuszczałam. Zacisnęłam zęby.

Przed szesnastą mój pasażer zakończył wszystkie rozmowy przez telefon. Pochylił się do przodu i wsadził głowę w okienko.

– Zaczynam się trochę niepokoić – powiedział, patrząc na mrowie świateł stopu widocznych przed nami. – Dojedziemy na lotnisko przed czwartą trzydzieści?

– Tak – odparłam, choć wcale w to nie wierzyłam. Nie przejechaliśmy jeszcze całej Jewel Avenue, pierwszego zjazdu z Van Wyck.

– Cholera! Nie mogę spóźnić się na ten pieprzony lot! Niech to szlag!

„Dlaczego musiałam zabrać akurat tego gościa?”. W ciągu sześciu miesięcy jeżdżenia taksówką i po siedmiu kursach na lotnisko (cztery na La Guardię i trzy na JFK) zgubiłam się

parę razy po drodze, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś spóźnił się przede mną na lot. Żaden taksówkarz nie spowodował, że ja sama spóźniłam się na samolot, choć prawie przytrafiło mi się to w Buenos Aires, gdy utknęliśmy na jedynej autostradzie prowadzącej na lotnisko Ezeiza. Ja też zaczęłam wtedy panikować, ale jakimś cudem wiedziałam, że kierowca zawiezie mnie tam na czas. „*No te preocupes, muñeca. Ya llegamos*”. Nie martw się, piękna. Już prawie jesteśmy na miejscu. Jednak teraz nie miałam tej pewności siebie, poruszając się z prędkością od zera do ośmiu kilometrów na godzinę po Van Wyck, która wyglądała jak ciągnący się w nieskończoność parking. Nie było możliwości, żebyśmy dotarli na JFK przed czwartą trzydzieści.

Mój pasażer zepchnął aktówkę z siedzenia.

– Nie może pani pojechać inną drogą?

– O tej porze dnia jazda zwykłymi ulicami wcale nie będzie szybsza – powiedziałam.

Prawda była taka, że nie wiedziałam, jak trafić na lotnisko inną drogą. Czy pomógłby mi GPS? Nie wiedziałam. Nie miałam żadnego w taksówce. Nasi szkoleniowcy tłumaczyli nam, że nigdy nie nauczymy się jeździć po mieście, jeśli będziemy korzystać z GPS-u, a poza tym posiadanie ich przez kierowców żółtych taksówek było rzekomo nielegalne. Otworzyłam atlas ulic, by poszukać alternatywnej trasy, ale czytając ją, prawie trafiłam w zderzak taksówki jadącej przed nami. „Trzymaj się drogi – pomyślałam. – Po prostu trzymaj się drogi”. Byłam pewna, że zgubiłabym się, gdybym zjechała teraz z Van Wyck.

– Kurwa mać! – powiedział mój pasażer, gdy ponownie wcisnęłam hamulec.

Jechałam na ogonie samochodów przed nami, wciskając się w najszybciej poruszające się pasy ruchu, co chwila dodając gazu. „Jestem wioślarką na rzece Styks...”.

– Kurwa mać! – zaklął mój pasażer, rzucając mi w lusterku mordercze spojrzenie.

Było czternaście po czwartej. Mieliśmy przed sobą trochę ponad trzy kilometry przed Linden Boulevard, gdzie według elektronicznych tablic na poboczu korek miał się zmniejszyć.

– Kurwa mać! – zaklął ponownie blondyn, gdy na Van Wyck wjechały dwie wielkie ciężarówki, jeszcze bardziej zwiększając ścisk na drodze.

Przestałam patrzeć na niego w lusterku i zamiast tego skupiłam się na drogomierzu, który z trudem przeskakiwał na coraz większą prędkość. Próbowałam zwizualizować sobie lotnisko, a konkretniej dostarczenie mojego (słusznie?) rozwścieczonego pasażera na jego płytę tak, aby zdążył na swój lot. „Proszę, dojedźmy tam na czas. Błagam”.

O czwartej dwadzieścia jeden udało nam się dotrzeć do Linden Boulevard, gdzie korek faktycznie się przerzedził. Przyśpieszyliśmy do czterdziestu kilometrów na godzinę. O czwartej dwadzieścia trzy droga wreszcie stała się całkiem przejezdna, więc uczepliłam się kierownicą obiema rękami, przyzywając całą moc silnika crown victoria V8, jadąc taksówką tak szybko, jakbym pręta na sygnale, mijając każdy samochód na naszej drodze, ładownię, płatne parkingi i postój taksówek.

– Jakimi liniami pan leci?

O czwartej dwadzieścia dziewięć, na minutę przed lotem mojego pasażera, wcisnęłam hamulec przed halą odlotów American Airlines i terminalem numer 8. Facet wcisnął przez okienko plik banknotów, chwycił aktówkę i laptop, wygramolił się z taksówki i trzasnął drzwiami, nie czekając na paragon. Policzyłam pieniądze: zapłacił za kurs i dołożył dwa dolary napiwku. Upuściłam pomięte banknoty na atlas ulic i oparłam głowę o kierownicę.

– Jasna cholera – wyszeptałam. – Nienawidzę tej pracy.

– Proszę jechać dalej, młoda damo! – Uniosłam wzrok. Krzywonogi policjant w odblaskowej kamizelce patrolował punkt wysadzania pasażerów, wymachując w moją stronę swoim walkietalkie. – Z droooooogi!

– Dobrze – powiedziałam, zjeżdżając z pobocza i przejeżdżając przed busem Super 8 Shuttle, w stronę tablic znakujących wyjazd z lotniska. – Już mnie tu nie ma!

Wracając krętą drogą z lotniska na trasę szybkiego ruchu, przypomniałam sobie tamtą pierwszą przejażdżkę taksówką z JFK z kierowcą z Nowego Orleanu oraz swój niepokój mimo jego uprzejmego zachowania. Teraz – nie czując wcale większego zauroczenia Nowym Jorkiem – odnosiłam wrażenie, że miasto już od chwili, kiedy się w nim zjawiłam, mówiło mi, że czas na mnie.

CZĘŚĆ TRZECIA

BERLIN

Niewielu wie, że Berlin leży na szczycie rozległego zwierciadła wód gruntowych. Powietrze w tej metropolii jest zaskakująco czyste i świeże jak na miasto podobnych rozmiarów. Dzieje się tak dlatego, ponieważ ziemia jest nieustannie nasycana wodą gruntową. Powietrze podlega procesowi ciągłego oczyszczania. Stąd też wzięła się stara piosenka pod tytułem *Berliner Luft* („Berlińskie powietrze”).

*Das ist die Berliner Luft Luft Luft,
so mit ihrem holden Duft Duft Duft,
wo nur selten was verpufft pufft pufft...*

*Oto berlińskie powietrze powietrze powietrze
Ze swym słodkim zapachem zapachem zapachem
Gdzie rzadko coś syczy bum bum...*

Z każdym powrotem do Berlina i wyjściem na płytę lotniska biorę głęboki wdech. Powietrze jest tu zupełnie inne i wyjątkowo świeże. *Die Berliner Luft*.

— ALEXANDER FREY
muzyk

– **MA PANI ZAMIAR NAUCZYĆ SIĘ TEGO WSZYSTKIEGO**, zanim wylądujemy? – spytał mężczyzna w długim, filcowym płaszczu stojący w przejściu Boeinga 737 z podróżną torbą na garnitur przewieszoną przez ramię, uśmiechając się na widok moich niemieckich rozmówek. Czekał, aż kobieta w czerwonym kombinezonie upora się z walizką na kółkach, która była zbyt duża, aby zmieścić ją w schowku nad głową.

– Ha! – odparłam, śledząc wzrokiem „podstawowe zwroty” po wewnętrznej stronie okładki. – *Entschuldigung, Ich verstehe nicht, bitte sehr.* – Spojrzałam na niego z bezradnym wyrazem twarzy.

– Mark Twain powiedział kiedyś: „Angielskiego można się nauczyć w trzydzieści godzin, francuskiego w trzydzieści dni, a niemieckiego w trzydzieści lat!”. – Mrugnął do mnie i precyzyjnie się obok kobiety w czerwonym.

Głos pilota zakłócił przyjemną dla ucha pokładową muzykę, który zwięzłym, lecz wesołym tonem poprosił panie i panów, aby schowali swoje bagaże i zajęli miejsca, żebyśmy mogli polecieć zgodnie z rozkładem.

– Ber-lin – szepnęłam do siebie, gdy samolot wystartował i zatoczył koło nad Zatoką Jamajską.

Spojrzałam z góry na płaskie dachy zabudowań Queens okryte mgiełką, na poszarpaną panoramę Manhattanu wyglądającą jak krzywa elektrokardiograficzna na tle nieba i wyjęłam notes z kieszonki siedzenia, kolejny raz czytając ustęp skopiowany z eseju *Moje utracone miasto*, rozpaczliwego listu pożegnalnego F. Scotta Fitzgeralda do Nowego Jorku:

Pełen chełpliwej dumy nowojorczyk wspiął się tu i pełen przerażenia, o które się nie podejrzewał, spostrzegł, że miasto nie było niekończącym się korowodem kanionów, lecz miało granice... W tamtej chwili poczułem, że miasto i ja nie mamy sobie wiele do zaoferowania... Wszędzie walały się zszargane nerwy... A zatem odchodzę ze swojego zagubionego miasta...

„Ja również”, pomyślałam, gdy po raz pierwszy przeczytałam słowa Fitzgeralda – w tamtym momencie wyzwoliły mnie z kleszczy wątpliwości dotyczących wyjazdu z Nowego Jorku. Jednak teraz nabrały innego znaczenia. Czy aby coś stracić, nie musisz najpierw tego posiadać? Nie uważałam Nowego Jorku za „swoje” miasto. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek zostanie „moim” miastem. Czy uciekałam przed poznaniem prawdy? A może od początku oczekiwałam niemożliwego?

Czy teraz robiłam to samo, spodziewając się zbyt wiele po Berlinie? Pomyślałam o entuzjazmie, jaki odczuwałam przez kilka ostatnich tygodni, o swoistym podsycaniu apetytu, gdy rozpoczęłam kampanię na Kickstarterze w celu ufundowania serii taksówkarskich przygód w Niemczech: „Jak wypadną poszukiwania kulinarnych inspiracji – napisałam w swoim

oświadczeniu – w mieście, które niekoniecznie jest znane ze swojej kuchni?”.

Byłam w szoku, gdy okazało się, że ludzie ofiarowali więcej środków, niż prosiłam. „Jest 24:54, – napisałam do swoich sponsorów nocą, gdy mój projekt osiągnął zakładany próg finansowy. – Za dziewięćdziesiąt sześć minut muszę wstać, pojechać do garażu, odebrać taksówkę i rozpocząć swą zmianę. Ale nie mogę spać. Bo właśnie odkryłam, że pomogliście mi spełnić moje berlińskie marzenie...”.

Pośpiesznie zabrałam się do przygotowań do dwumiesięcznego wyjazdu do Berlina, na lipiec i sierpień, czując, że nabieram wiatru w żagle, gdy szukałam taniego biletu lotniczego, czytałam o dzielnicach miasta i przeczesałam stronę internetową Couchsurfing w poszukiwaniu darmowego zakwaterowania, jednocześnie starając się wywiązać z jak największej ilości obowiązków w swojej zdalnej pracy przed wyjazdem, zastanawiając się co zrobić z rzeczami, które nie chciały zmieścić się do mojej walizki i czytając wszystkie poświęcone Berlinowi książki, jakie tylko znalazłam w bibliotece. (Wyjątkowo interesujący okazał się Christopher Isherwood. „To dziwne – pisał – jak ludzie zdają się przynależeć do miejsc, zwłaszcza tych, w których się nie urodzili”). Tworzyłam blog z odrodzoną pasją, tworząc listę piętnastu ulubionych, polecanych przez taksówkarzy dań w Nowym Jorku, która momentalnie zdobyła rozgłos w sieci i została podchwycona przez „The Wall Street Journal”.

Jednak teraz, na pokładzie samolotu linii Air Berlin, lot numer 6438, zaczęłam się zastanawiać, jak duża część mojej fascynacji Berlinem brała się z rozpaczy nad nieudanym związkiem z Nowym Jorkiem. Oszałamiającym, wyniosłym, bezlitosnym Nowym Jorkiem. Miastem trudno osiągalnych celów i pojawiających się siwych włosów.

- Czego właściwie szukasz, dziecko? – spytał tata, gdy opowiedziałam mu o Berlinie.
- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że potrzebuję przerwy od prowadzenia taksówki.
- Ja również – odparła mama.

Czytała historie na blogu o moich starciach z nowojorską policją i facetem z FedEx-u, o incydencie z pustym kubkiem po mrożonej kawie i kursie na lotnisko JFK z Panem 16:29 – choć opisałam je jako sytuacje komiczne, przeżyłam je jako tragedie, a mama oczywiście o tym wiedziała. Zdawała sobie również sprawę z tego, że porzuciłam wszelkie romantyczne wyobrażenia o jeździe taksówką, włącznie z porównaniem tego fachu do nauki prowadzenia w tangu. Zajmowanie siedzenia kierowcy wcale nie oznaczało, że wiedziałam, gdzie zaraz wyląduję. Nie byłam w stanie przewidzieć, do czego dojdzie w taksówce, tak samo, jak Joaquín nie mógł zaplanować wszystkich swoich tang na milondze. „Prowadzenie taksówki – napisałam mu ostatnim razem, gdy rozmawialiśmy na Skype – to tylko nowy sposób na podążanie za rytmem kroków”. „A prowadzenie – odpisał – to tylko iluzja”.

Wertowałam rozmówki, gdy samolot zataczał wielkie koła nad Zatoką Hudsona. Prawda była taka: nie mówiłam ani słowa po niemiecku, a według Marka Twaina oraz pana w długim filcowym płaszczu, nie zanosilo się, żeby ten stan rzeczy szybko uległ zmianie. Przed tą podróżą spędziłam w Niemczech całe trzy dni (dwa we Frankfurcie, gdzie przesiedziałam potwornie lodowatą noc na dworcu kolejowym w drodze do Pragi, oraz jeden w Monachium, podczas dziewięciogodzinnej przerwy, w trakcie której jedyną rzeczą do jedzenia, na jaką było mnie stać, były miękkie precle).

Ludzie byli nastawieni sceptycznie, gdy powiedziałam im, że w lecie wybieram się do Berlina. „Dlaczego akurat tam?”, spytał programista z Hoboken, który zaczął ze mną rozmawiać, gdy utknęliśmy w samym środku korka na Dwudziestej Trzeciej Ulicy podczas mojej ostatniej

zmiany. Odparłam, że podobno taksówkarze w Berlinie wiedzą tyle samo na temat Nietzschego, co o kielbasie. „Kogo obchodzi kielbasa? – spytał. – Dlaczego nie pojedzie pani do Rzymu? Albo do Paryża?”.



Wyrzałam przez okno na pajęczynę ulic miasta, gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku Tegel. Berlin. Mimo intrygującego klimatu, jaki nadawały miastu przeczytane przeze mnie książki podróżnicze, jego obraz skonstruowany w mojej głowie był co najwyżej impresjonistyczny: „kulturalna stolica Europy” lub „epicentrum luzu i odjazdowości”. Widziałam zdjęcia Bramy Brandenburskiej (gdzie ludzie tańczyli na Murze, który obalono dwadzieścia lat wcześniej), wieży telewizyjnej (retrokonstrukcji kosmicznej ery przyszłości odznaczającej się na tle panoramy Berlina tak, jak Empire State Building na tle Nowego Jorku) oraz ścieżek rowerowych Davida Byrne’a, lecz nie potrafiłam wyobrazić sobie tego miasta tak samo, jak Buenos Aires i Nowego Jorku, zanim do nich trafiłam. Łatwiej było mi wyobrazić sobie dźwięki Berlina. Przed oczami miałam ludzi poruszających się w rytm muzyki w stylu Kraftwerk („*Wir fahr’n fahr’n fahr’n auf der Auto-bahn / Wir fahr’n fahr’n fahr’n auf der Auto-bahn...*”) w sposób, w jaki ludzie tańczyli tango na rogach ulic w Buenos Aires.

Wzięcie taksówki na lotnisku Tegel było dla mnie czymś nowym i luksusowym. Kierowca przeprosił za swój angielski, gdy wjechaliśmy na otwartą drogę kremowym mercedesem.

– Pana angielski jest lepszy niż mój niemiecki – powiedziałam.

Po wylądowaniu w mojej pamięci nie zachowało się prawie nic z książeczki z rozmówkami. Podczas odbioru bagażu, czując ulgę, gdy dostrzegłam swoją walizkę (bez znaczenia, jak często latałam – uważałam to za cud, gdy mój bagaż pojawiał się w danym miejscu razem ze mną), wpadłam na jakiegoś Niemca w trakcie ściągania walizki z taśmy transportowej. Zanim udało mi się wykrztusić coś na kształt „*Entschuldigung*” („przepraszam”), facet w skarpetkach i sandałach szedł już w stronę wyjścia.

Opuściłam szybę. Nie spałam w samolocie, więc oczy miałam czerwone i spuchnięte. Liczyłam na to, że nie będę musiała składać wizyty nieznanemu imieniem Steffen, aby wziąć klucze do mieszkania, które zamierzałam wynająć. Słońce wschodziło między poruszającymi się szybko chmurami. Po pobycie w Nowym Jorku, gdzie wszystko zdawało się szczelnie upakowane, a ulice były potwornie zatłoczone, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, mając wrażenie, jakbym wypełzła z ciemnej piwnicy na świetliste, górne piętro. Wysunęłam dłoń za szybę i poczułam łagodny i ciepły powiew wiatru na skórze. Jadąc wzdłuż kanału otoczonego zdrowo wyglądającymi roślinami, odniosłam wrażenie, że wszędzie jest mnóstwo przestrzeni, w której można było nim oddychać. „Berlin jest piękny latem...”. Zaciągnęłam się tym zapachem, wysuwając rękę jeszcze dalej w stronę bladego, północnego światła. O tak, był naprawdę piękny.

– Jest pani z Kalifornii? – spytał taksówkarz, który był mniej więcej w moim wieku, choć ciemne włosy miał usiane pasemkami siwizny.

Kiwnęłam twierdząco głową.

– Nazywam się Taza – powiedział. – Jestem z Ankary. – Taza wpisał adres Steffena w GPS i pojechał na południe, a potem na wschód, do dzielnicy, w której co druga sklepowa witryna okazywała się budką z kebabem. Spojrzałam na wielkie kawały mięsa przypominające boksyerskie worki treningowe na roznach. Ślinka napłynęła mi do ust, gdy tylko poczułam zapach tłuszczu wytapiającego się z wołowiny. A może to była jagnięcina? Nie obchodziło mnie to. Chciałam coś zjeść.

– Proszę mi powiedzieć, czy ma pan w Berlinie jakąś ulubioną restaurację? – spytałam, spoglądając na Tazę we wstecznym lusterku.

Zastanawiał się przez chwilę nad moim pytaniem.

– Mmmm... – podrapał się po skroni – tak.

Juhu! Dopiero co przyleciałam, a już dostaję wskazówki! Przeszukałam torebkę i wyciągnęłam notes.

– Jak się nazywa?

– Uuaaaaa... – Odwrócił się. Spojrzenie miał zdziwione. – Turecka szwestera?

– Mmm hmmm. – Znalazłam pustą kartkę w notesie. – Lubię turecką kuchnię, ale jedzenie nie musi być koniecznie tureckie...

– Ja mieć jedna szwestera – powiedział Taza. – Ona ma trzydzieści lat.

„O nie. Co to jest szwestera?”

– ...und ja być brat... On ma czterdzieści lat...

– Och... – Zamknęłam notes. Budki z kebabami zaczęły się przeredzać, stopniowo zastępowały je wysokie bloki mieszkalne w sowieckim stylu.

„A więc tak wygląda wschodnia część miasta...”. Zawsze wyobrażałam sobie Berlin jako geograficzne centrum Niemiec, z Murem wyznaczającym granicę między Berlinem Wschodnim a Zachodnim. Potem spojrzałam na mapę. Berlin znajdował się niecałe dziewięćdziesiąt siedem kilometrów od polskiej granicy. Podczas zimnej wojny miasto było położone daleko w głąb enerdowskiego terytorium i podzielone na cztery sektory, a Berlin Wschodni podlegał Rosjanom. Anglicy, Francuzi i Amerykanie podzielili administrację zachodnich sektorów Berlina, który stał się, według opisu australijskiej pisarki Anny Funder, „dziwną wyspą demokratycznej administracji i gospodarki wolnorynkowej w komunistycznym krajobrazie”.

Milczałam, gdy mijaliśmy ludzi na rowerach, których na Karl-Marx-Allee było więcej niż samochodów. Nikt nie miał na głowie kasku. Dostrzegłam dziewczynę z ogoloną głową jadącą za pozostałymi i przyjrzałam się jej. Miała czerwone światełko odblaskowe przyłączone do szerokiego paska torby listonoszki przewieszzonego przez pierś. Gdy jechała w cieniu, światełko mrugało jak serce bijące poza jej ciałem.

– Położyłem klucze gdzieś tutaj – powiedział Steffen, podnosząc poduszki z wypalonymi dziurami po papierosach na kanapie koloru musztardy. – Gdzieś tutaj... tak mi się zdaje... gdzieś tu są...

Oparłam walizkę o framugę, a Steffen szukał kluczy do studia, które miałam podnajmować niedaleko stąd, w dzielnicy o nazwie Friedrichshain.

Rozejrzałam się za jakimś miejscem do siedzenia. Plastikowe, odwrócone do góry nogami krzesło tarasowe w dalekim rogu pomieszczenia było jedynym krzesłem w pokoju. Między jego nogami stał drewniany głośnik. Na wpół stojąc, na wpół siedząc na swojej walizce, przemęczona

umyślowo i wyczerpana fizycznie po pokonaniu sześciu stref czasowych patrzyłam, jak Steffen – który z kręconymi blond włosami i pyzatymi policzkami w okularach z prostokątnymi oprawkami wyglądał, jakby dopiero co skończył college – zrzucił kanapowe poduszki na podłogę. Przesuwając ręką po oparciu sofy w poszukiwaniu kluczy, powiedział, że zakochał się w Berlinie już pierwszego dnia po przeprowadzce z wioski w Mecklenburgu w północno-wschodnich Niemczech pięć lat temu. Nie sądził, by miał kiedyś opuścić to miasto.

– Co będziesz robić w Berlinie? – spytał. Porzucił przetrząsanie kanapy i przeszedł w stronę biurka, grzebiąc w papierach, otwierając i zamykając szuflady.

– Och – powiedziałam, wyglądając przez okno wychodzące na ulicę. Plastikowa roleta była zaciągnięta, ale promienie słońca wpadały do środka po bokach, odbijając się w pustej butelce po piwie i nadając jej bursztynowego blasku. – Pracuję nad pewnym szalonym projektem, wsiadam do taksówek i proszę kierowców, żeby zabrali mnie do swoich ulubionych restauracji...

Odwrociłam się, gdy usłyszałam, jak do środka wchodzi współlokator Steffena, przekładając dżojstik PlayStation do lewej ręki i wyciągając prawą, aby się ze mną przywitać.

– Jestem Ivo – przedstawił się z uśmiechem. Zaraz, zaraz, czy mi się wydawało, czy miał zielone zęby? Jasnobrzęde włosy zwisały na plecach w długim kucyku. – Co właściwie robisz w taksówkach?

Oczy rozbłyły mu, gdy opowiedziałam o swoich przygodach, Buenos Aires, Nowym Jorku, Nietzschem i kiełbasie. Staralam się nie patrzeć na jego zęby.

– Jeździsz taksówką? – spytał Steffen, który przestał przetrząsać biurko i zlustrował mnie od stóp do głów.

– Pisziesz? – zawtórował mu Ivo. – Ja też! – Położył dżojstik na brzuchu. – Science fiction. Niedawno skończyłem książkę dla dzieci.

– Kogo obchodzą twoje książeczki dla dzieci – odparł Steffen, spychając Iva ze swojej drogi, gdy podszedł do szafy. – Gramy w zespole punkowym. Ja gram na bębnach, a Ivo na basie. Nagraliśmy jedną płytę.

– Nie pytaj, jak zdobyliśmy na nią pieniądze – rzucił Ivo.

– Internetowy poker... – Steffen wyszczerzył zęby, otwierając szarpnięciem drzwi szafy – ... i testowanie leków.

– Serio? – Parsknęłam śmiechem.

Ivo pokiwał głową.

– Dzięki Bogu, przeżyliśmy.

– Oczywiście, że tak – odparł Steffen. Wyciągnął ze środka plecak. Usłyszeliśmy, jak coś pobrzękuje w jego wnętrzu. – Oho! – zawołał, odsuwając górną kieszeń. – A oto i twoje klucze! – Wyciągnął je, podrzucając w powietrze i łapiąc jak gracz na boisku, po czym wręczył mi je do ręki.

– Dziękuję, Steffen.

Ivo przyglądał się, jak wpycham klucze do kieszeni dzinsów.

– Co zrobisz, gdy okaże się, że kierowca nie zna angielskiego? – spytał, głaszcząc się po kocznej bródce w szpic, która kończyła się pod jego podbródkiem.

– Hmm... – Przypomniałam sobie podróż w towarzystwie Tazy, który był co prawda miły, ale ledwo udało nam się porozumieć. – Nie mam pojęcia.

– Daj mi kawałek papieru – powiedział Ivo. Wyciągnęłam notes. Otworzył go na pierwszej

pustej stronie, jaką znalazł. Stałem obok niego, gdy pisał: „*Bringen Sie mich bitte zu Ihrem Lieblings Platz für gutes Essen*”.

Przyjrzałam się napisanym przez niego słowom. Pismo Iva było barokowe, pełne zawijasów i lekko pochyłe, zupełnie jak z ubiegłego stulecia.

– Co to znaczy?

– „Proszę mnie zawieźć do pańskiego ulubionego miejsca na dobre jedzenie”. – Uśmiechnął się. – Po niemiecku, rzecz jasna.

Na ścianie mojego nowego (tymczasowego) zakwaterowania na Dirschauer Strasse oddalonego o kilka przystanków tramwajowych od mieszkania Iva i Steffena, w dzielnicy Friedrichshain należącej kiedyś do Berlina Wschodniego widniały słowa: „GIŃCIE, GŁUPIE JAPISZONY”, wymalowane turkusowym sprejem. Popchnęłam szklane drzwi frontowe, wtaczając walizkę do zalanego światłem foyer z sufitem wysokim na jakieś cztery i pół metra. Ściany i płytki podłogowe lśniły, nieskazitelnie czyste i białe, prowadząc do spiralnej klatki schodowej z barierką z jasnego drewna. To miejsce było wytworniejsze, niż się spodziewałam.

Wszystko, co wiedziałam o Friedrichshain, sprowadzało się do wiadomości wyszukanych w internecie. Przed upadkiem Muru Berlińskiego była to dzielnica robotnicza. Później stała się jedną z najbardziej ekstrawaganckich i niezależnych miejsc w całym mieście, gdzie młodzież z całych Niemiec i mieszkający nielegalnie w Berlinie Zachodnim zbudowali swój raj, tworząc sztukę i urządzając imprezy w opuszczonych budynkach. Każdy mógł tam wejść. Choć dzielnica stawała się coraz modniejsza, to według anonimowego blogera, który ochrzcił się mianem „Englishman in Berlin”, anarchiści w dalszym ciągu dawali czadu, podpalając samochody w wyrazie protestu przeciwko gwałtownemu podnoszeniu się statusu okolicy i policyjnym nalotom na ich bezprawnie zajmowane lokale. (Jak zauważył Anglik, ktoś uruchomił nawet stronę, na której można było śledzić liczbę luksusowych aut podpalanych przez anarchistów każdego dnia. Jeśli dane Google Maps na brennende-autos.de były dokładne, największe skupisko spalonych w ciągu ostatnich trzech lat aut znajdowało się na Friedrichshain).

Postawiłam walizkę na środku foyer i wyciągnęłam z tylnej kieszeni kartkę papieru. Karl Hoffman, Dirschauer Str. 8, 10245 Berlin-Friedrichshain. Karl Hoffman, dziennikarz, który spędzał lato w Weimarze, przyjaciel Steffena i Iva, którego znalazłam za pośrednictwem strony Couchsurfing, podnajmował mi swoje studio. Zdałam sobie sprawę, że Karl Hoffman podał mi swój adres, ale nie dołączył numeru mieszkania.

Wciągnęłam walizkę po schodach. Na dzwonekach przy drzwiach nie było nazwisk. Próbowałam wsadzić klucz w dziurkę drzwi na wszystkich czterech piętrach. Za jednym zaczął ujadać pies. Klucz nie pasował do żadnego zamka. Spocona i sfrustrowana zawlokłam walizkę z powrotem do foyer – zadowolenie, które spłynęło na mnie w taksówce z Tazą oraz w mieszkaniu Iva i Steffena, zaczęło ustępować. Czy ja w ogóle trafiłam do właściwego budynku? Spojrzałam na metalowe skrzynki pocztowe przytwierdzone do ściany. Listonoszka z ogorzałymi policzkami weszła do foyer w chwili, w której dostrzegłam nazwisko Karla Hoffmana na skrzynce wiszącej w dolnym rzędzie.

– *Sprechen Sie Englisch?* – spytałam.

– *Nein.*

Usunęłam walizkę z jej drogi, nie bardzo wiedząc, co robić, i przyglądałam się, jak wsuwa

listy przez szpary w skrzynkach szybkimi, zdecydowanymi ruchami rąk. Skończyła i odwróciła się w stronę wyjścia.

– Proszę poczekać – odezwałam się, doganiając ją, zanim zdążyła wyjść. Pokazałam jej skrawek papieru z nazwiskiem Karla. – Wie pani – powiedziałam powoli – gdzie to jest? – Wskazała na tylne okna foyer, w kierunku budynku, którego nie zauważyłam wcześniej, stojącego po drugiej stronie dziedzińca zastawionego rowerami.

– *Hinterhaus* – odparła. – *Da hinten*.

– Aha! *Danke schön*. – Wyjechałam z walizką tylnymi drzwiami. Na dziedzińcu dudniła muzyka elektroniczna, która prawie zagłuszała zgrzyt piły elektrycznej tnącej betonowe bloki. Budynek obok był w trakcie budowy.

Wspięłam się po schodach domu na tyłach, który nie miał w sobie ani odrobiny nowobogackiej wytworności tego frontowego: żółto-brązowy dywan na schodach był upstrzony starymi plamami i wydzielał słodkawy odór zwiertzałego piwa. Wsunęłam klucz w zamki wszystkich drzwi, aż w końcu obrócił się w jednym z nich, należącym do mieszkania na trzecim piętrze, naprzeciwko drzwi z pustą tablicą suchościeralną, podobną do tej, którą kupiłam do swojego pokoju w akademiku.

Otworzyłam drzwi i wciągnęłam walizkę do środka, wchodząc do korytarza wyłożonego dywanem w kolorze krzykliwego, typowego dla takich pomieszczeń błękitu. Po lewej stronie znajdowała się łazienka przypominająca rozmiarami mój pokój w mieszkaniu Romea i Sarah. Musiałam stanąć na czubkach palców, aby zobaczyć swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

Tradycyjny, niebieski dywan ciągnął się aż do sypialnio-kuchnio-salono-gabinetu na końcu korytarza. Jedyne ślady bytności Karla znajdowały się na półkach biegnących przez całą długość ściany mieszkania, na których znalazłam książkę *Die Liebe in den Zeiten der Cholera*, angielski przewodnik po współczesnej architekturze Berlina, tom wybranych wierszy Goethego po niemiecku i angielsku, stertę map Chorwacji oraz czerwoną lampkę do czytania. Obok półek na książki stała niepościelona kanapa. Karl zostawił liścik na kupce prześcieradeł, na której napisał: „Są CZYSTE!”. Otworzyłam drzwi prowadzące na balkon osłonięty bambusową matą, który wychodził na dziedziniec między frontowym a tylnym budynkiem. Z tego miejsca elektroniczna muzyka dobiegająca zza okna mojego sąsiada z górnego piętra zagłuszała odgłosy budowy.

Balkon był na tyle duży, aby pomieścić plastikowy stolik i jedno plastikowe krzesło obrotowe. Wniosłam je do środka – od teraz miały tworzyć moje biurko – i ustawiłam przy ścianie naprzeciwko półek, obok aneksu kuchennego ze zlewem ze stali nierdzewnej, kawałkiem metalowego blatu, kuchenką elektryczną z dwoma palnikami oraz minilodówką, która była pusta, nie licząc butelki piwa Beck.

Otworzyłam piwo, opadłam na krzesło i rozejrzałam się po pokoju, który był wystarczająco duży, aby pomieścić skromny parkiet do tanga. Minilodówka zadygotała i uruchomiła się z szumem. Przez drzwi balkonowe wpadł powiew świeżego powietrza, szarpiąc cienkimi zasłonkami. „Czego ty właściwie szukasz, dziecko?”. Zamknęłam oczy i sączyłam piwo, wciągając głębokie, chciwe hausty powietrza przy każdym łyku, dużo mniej zmęczona niż głodna.

OPARŁAM SIĘ O ŚCIANĘ ZE SZTUCZNEJ CEGŁY obok Geldautomatu na rogu Warschauer Strasse i Revaler Strasse, naprzeciwko supermarketu o nazwie Kaiser's, kilka przecznic od podnajmowanego przeze mnie mieszkania. Kartkowałam notes w poszukiwaniu strony, na której Ivo napisał „*Bringen Sie mich bitte zu Ihrem Lieblings Platz für gutes Essen*”, i zbierałam się na odwagę, aby zatrzymać taksówkę, jednocześnie usiłując ignorować cudowną, dymną woń unoszącą się z budki z döner kebabem po drugiej stronie ulicy.

Nigdy nie odważyłam się na taksówkarską przygodę w mieście, w którym nie znałam języka. Od momentu podróży taksówką z lotniska w towarzystwie Tazy nie chciałam myśleć o tym, jak wielkie będzie to stanowiło utrudnienie. Odłożyłam notes i wyjęłam rozmówki, wracając do rozdziału zatytułowanego *Trudności językowe*.

– Ich szpreche kajne dojcz, ich szpreche kajne dojcz – mruzczałam w kółko po nosem, wpatrując się w płyty chodnikowe przypominające kształtem diamenty, gdy minęła mnie grupka chłopców w pomiętych koszulkach, trzymających butelki piwa Berliner Pilsner za szyjki tak, jakby stanowiły dodatek do ubioru albo dodatkową kończynę. „Nie mówię po niemiecku, nie mówię po niemiecku...”.

Ile taksówkarskich przygód zdążyłam już zaliczyć? Sto? Dwieście? Straciłam rachubę. Tak czy siak, ilość nie miała znaczenia, tak samo jak fakt, że taksówkarze byli teraz moimi kolegami po fachu – w nowym mieście, nawet w tym, gdzie balsamiczne powietrze spływało do gardła niczym orzeźwiający tonik, wszystko było takie jak za pierwszym razem. Obok przejechała nastolatka na rowerze z jedwabnymi kwiatami wplecionymi między szprychy, z małym terrierem bez smyczy biegnącym truchtem obok. Rozejrzałam się po bokach, zanim przeszłam przez ścieżkę rowerową, i znalazłam się na Warschauer Strasse. „Ich szpreche kajne...”. Żołądek skurczył mi się jak zawsze, gdy widziałam piłkę nadlatującą w moją stronę na boisku. „Ich szpreche kajne dojcz”. Zmrużyłam oczy w światłach nadjeżdżających pojazdów i uniosłam rękę.

Przez promienie popołudniowego słońca odbijające się od przednich szyb nie mogłam zobaczyć, kto prowadzi czterodrzwiowego mercedesa, który się przede mną zatrzymał. Otworzyłam drzwi po stronie pasażera, wyjmując kciuk z zaznaczonej strony w rozmówkach. Kierowcą była kobieta. Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat. Na nosie miała okulary przeciwsłoneczne w kolorze królewskiego błękitu i pasujące do nich kolczyki w kształcie żelek-misiów. Na policzkach miała dwie plamy różu w kolorze gumy balonowej.

– *Guten Tag!* – zawołałam. – Ich szpreche kajne... Uch...

Pani taksówkarka uśmiechnęła się. Miała krótkie blond włosy upstrzone siwizną, wywijające się chaotycznie na wszystkie strony. Słońce odbiło się w jednym z jej kolczyków, sprawiając, że nabrał odcienia przejrzystego błękitu.

– Czym mogę służyć? – spytała, gdy grzebałam w rozmówkach w poszukiwaniu zagubionej strony.

– Mówi pani po angielsku?

– Jasne.

– Alleluja. – Otworzyłam drzwi taksówki nieco szerzej i wskazałam na siedzenie pasażera. – Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli usiądę tutaj?

– Bardzo proszę! – Zdjęła swoją torebkę z siedzenia i postawiła ją na podłodze z tyłu. – Dokąd chce pani jechać? – Miała bardzo wytworny akcent: lekko niemiecki i lekko brytyjski.

– Uhhh... – Przywołałam w pamięci mapę Berlina, którą studiowałam zeszłej nocy, próbując przypomnieć sobie charakterystyczne punkty orientacyjne, które nie były zbyt daleko od siebie. – Może zawiezie mnie pani na Alexanderplatz?

Podmuch ciepłego powietrza wpadł do taksówki przez uchylone szyby, mierzwiąc jej włosy.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem. Wszędzie wokół placu. Szukam adaptera.

– Adaptera?

– Takiej wtyczki, bo kontakty w ścianach są tutaj całkiem inne...

– Och! Wydaje mi się, że znajdzie pani coś takiego w Saturnie.

– Saturnie?

– Tak. – Włączyła licznik. – Mają tam wszelkie możliwe sprzęty elektryczne.

Pojechaliśmy na południe Warschauer Strasse. Przyjrzałam się licencji przyklejonej do deski rozdzielczej. Pani taksówkarka nazywała się Waltraut Quoidbach. Nazwisko było wypisane fioletowymi literami tuż obok zdjęcia, na którym miała nieco pełniejsze policzki i rudawe włosy. Nad zdjęciem napisano pogrubionym, odręcznym pismem słowo „ZILLE”.

– Naprawdę mam na imię Waltraut – powiedziała. – To bardzo niemieckie imię, bardzo wagnerowskie, ale niezbyt trafione. Wszyscy mówią do mnie Zille. – Wskazała na swoją licencję. – Mój wujek nadał mi to przezwisko. Był moim ojcem chrzestnym. – Uśmiechnęła się. – Nazywał mnie Zille, bo wyglądałam jak postaci z obrazów malarza o tym nazwisku. Zille malował biedaków, ludzi, którzy byli nieco otyli i wiecznie uśmiechnięci, i przez cały czas robili sobie wzajemnie żarty. Za młodu byłam dokładnie taka sama. Bardzo zabawne dziecko. Zupełnie jak z tych obrazów.

Podążyłam za jej spojrzeniem na zachód, gdy przejechaliśmy przez most wiszący nad torami szybkiej kolei miejskiej S-Bahn. Wieża telewizyjna połyskiwała w słońcu niczym dyskotekowa kula. Polubiłam Zille. Przypominała mi Nidię. Nie z wyglądu – Zille była niższa i drobniejsza – lecz jej otwartość sprawiała wrażenie bezwarunkowej i nieujarzmionej jak u Nidii. Wsadziłam rękę do torebki w poszukiwaniu swojej licencji. Chciałam, żeby wiedziała, że jesteśmy koleżankami po fachu, a w pewnym sensie nawet siostrami.

– Jeździsz taksówką? – Parsknęła śmiechem, zginając się wpół nad kierownicą. – Ha! O rany! Coś takiego! Nowy Jork jest... Och, ale tam musi być bardzo ciężko.

– Tak – zgodziłam się. – Jest ciężko. – Ale teraz znajdowałam się sześć i pół tysiąca kilometrów od garażu. – Czy tutaj również nie jest lekko? Ile kobiet w Berlinie prowadzi taksówki?

– Och, niewiele. Około dziesięć procent wszystkich kierowców.

– Dziesięć procent? – Jak dla mnie to było dużo. – W Nowym Jorku to zaledwie jedna setna! Wcisnęła okulary przeciwsłoneczne głębiej na nos.

– Bo to męska praca – odparła. – Zawsze taka była. I zawsze będzie.

– Dlaczego?

– Bo mężczyznom wydaje się, że są lepszymi kierowcami. Co absolutnie nie jest prawdą! My, kobiety, nie musimy wiecznie pokazywać, jakie to jesteśmy silne. Czasami – odchrząknęła – lepiej jest wezwać kobietę taksówkarza. Weźmy na przykład prostytutki. Gdy wracają do domu, nie chcą, żeby odwoził je mężczyzna. Więc dzwonią po mnie.

– Cóż, to zrozumiałe...

– Prawda?

Zerknęłam ponownie na jej licencję.

– Od jak dawna jeździ pani taksówką?

– Dwadzieścia siedem lat. Ale od trzydziestu lat pracuję też jako lekarz medycyny naturalnej.

– Poważnie?

Pokiwała głową.

– Przez większość dnia prowadzę taksówkę. A czasem spotykam się z pacjentami.

– Ma pani jakąś specjalizację?

– Och, nie... Ludzie przychodzą, a ja pytam, jaki mają problem... Wie pani... Mam dużo pacjentów cierpiących na bezsenność.

– Czy mogę zapisać się do pani na wizytę?

– Ha! – Uśmiechnęła się. – Oczywiście!

Skreśliła w prawo w Mühlenstrasse, gdzie poprzedniego dnia wybrałam się na spacer, po czym minęła East Side Gallery, stanowiącą dawniej część Muru Berlińskiego, a obecnie długą na ponad półtora kilometra ścianę murali nad rzeką Sprewą, pomnik pokoju, gdzie ludzie lubią pozować do zdjęć.

– Prowadziła pani taksówkę przed upadkiem Muru, prawda?

– *Ja*. – Pokiwała głową, zerkając na murale, które rozmazały się w poziomą tęczę, gdy przemknęłyśmy obok nich. – W Berlinie Zachodnim. Przypominało to jeżdżenie po małej wyspie. – Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i położyła je na kolanach. – Po drugiej stronie zawsze byli wrogowie. Rosjanie. Byliśmy oddzieleni. Ale wie pani co? Nawet na tej małej wyspie mieliśmy tyle zieleni i wody, że żyliśmy tu bez poczucia, że się dusimy.

– Czy mogę spytać...

– Śmiało, proszę.

– W momencie gdy runął Mur... Jak to wtedy wyglądało?

– Z perspektywy taksówki?

– Z perspektywy taksówki i w ogóle.

– Uch! – Ponownie założyła okulary. – W ciągu jednego dnia musieliśmy nauczyć się połowy miasta, do której nigdy wcześniej nie jeździliśmy. Robiliśmy mnóstwo błędów. – Zaśmiała się bez uśmiechu. – Och, *ja*!

– Wyobrażam sobie...

– Było bardzo ciężko – ciągnęła – bo po roku zmieniło się wiele nazw ulic. Człowiek się ich nauczył i wiedział, dokąd jechać, a potem na miejscu okazywało się, że to zupełnie nie tam.

Czytałam o tym zjawisku, zanim przyjechałam do Berlina. Po upadku Muru, Ho-Chi-Minh-Strasse wróciła do oryginalnej nazwy Weissenseer Weg. Leninallee przemianowano na Landsberger Allee. Wilhelm Pieck Strasse, nazwana tak po pierwszym kanclerzu Wschodnich Niemiec, nazywała się obecnie Torstrasse.

– Ruch zdecydowanie się zwiększył. Doszło mnóstwo nowych rzeczy – powiedziała Zille – ale jestem za to wdzięczna, bo wśród mieszkańców Berlina jestem kimś, kto widział wszystkie części miasta, co nie jest wcale takie powszechne. – Powiedziała mi, że na początku wielu jej kolegów nie zgadzało się na kursy do wschodniej części miasta. Dla niej Wschód również był z początku dziwny. – Ale to po prostu siedziało w mojej głowie. Mówiłam sobie: „To rodzina. To Niemcy. Oni również są berlińczykami”. Choć z drugiej strony, nie muszę lubić każdego członka swojej rodziny. A skoro nie widziałam się z nimi od czterdziestu lat, to jak mogę ich pokochać z dnia na dzień?

Dojechaliśmy do końca East Side Gallery. Pociągnęłam za pas bezpieczeństwa, żeby go trochę poluzować, i odwróciłam się, by jeszcze raz spojrzeć na wąską, zaokrągloną krawędź na szczycie Muru. „Jak ludzie byli w stanie na tym tańczyć?”, zastanawiałam się, przypominając sobie zdjęcia ludzi zeskakujących z Muru w dniu jego upadku w 1989 roku. Miałam wtedy piętnaście lat. Dorastałam w czasach zimnej wojny, przekonana, że umrę w trakcie wybuchu bomby atomowej, i sposób, w jaki to wszystko się zakończyło – tańcami, fajerwerkami i szampanem – wydał mi się zupełnie nierzeczywisty.

– Pamięta pani, gdzie stał Mur?

– Pamiętam każdy raz, gdy przez niego przejeżdżałam – odparła. – Teraz przypomina kupę kamieni, gdy spogląda się z góry na ulicę, linię biegnącą przez miasto. – Wysunęła rękę przez okno, wskazując na asfalt. – Za każdym razem, gdy mijam te kamienie, jestem szczęśliwa. Że mogę przez nie przejechać. Mam świadomość, że już nikt nigdy nie powie mi, że nie mogę tędy przejechać ani się tu zatrzymać. – Pokręciła głową. – To uczucie, które rozumieją wyłącznie ci, którzy tu mieszkali.

Nie wiedziałam, gdzie dokładnie byliśmy względem Alexanderplatz, ale teraz musiałam wykręcić szyję, aby zobaczyć prążkowaną igłę na szczycie wieży telewizyjnej, więc domyśliłam się, że całkiem blisko. Spojrzałam z ukosa na Zille. Słońce znów odbiło się w jednym z jej kolczyków, rzucając na jej szyję niebieski cień w kształcie gumisia. Trudno było mi nie okazywać zdumienia i zachować reporterski ton.

Jednak dystans zdawał się nie pasować do sytuacji. Nie licząc prób ułożenia sobie w głowie pytania o jej ulubione jedzenie, nie mogłam przestać się niepokoić, czy kiedykolwiek uda mi się oddać na papierze czy na monitorze komputera cechującą Zille nadzwyczajność – oraz nadzwyczajność tego spotkania w trakcie mojej pierwszej, prawdziwej taksówkarskiej przygody w Berlinie. I choć naprawdę wolałam uniknąć klasyfikowania doświadczeń w trakcie jego przeżywania, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że właśnie spotkałam swoją dobrą wróżkę.

– Czy chciała pani kiedyś wyjechać z Berlina?

– Studiowałam w Paryżu – powiedziała. – Ale wróciłam. Wolę Berlin od Paryża.

– Dlaczego? – Zatrzymałyśmy się na czerwonym świetle. Mężczyzna w obcisłej koszulce holował sofę na ramie roweru przez skrzyżowanie.

– Paryż jest piękny, ale nie mieszkający w nim ludzie.

– Co ma pani na myśli?

– Mówią wyłącznie o drzewach albo jedzeniu. Nuda! – Światło zmieniło się na zielone. Mężczyzna z sofą dotarł na drugą stronę skrzyżowania i machał do grupy turystów, którzy robili mu zdjęcia telefonami. – Berlin to prusackie miasto. Mamy takie powiedzenie: „Jeśli dasz mi

spokój, ja dam spokój tobie”. Francuzi nazywają to „*Laissez faire, laissez aller*”, „pozwólcie czynić, pozwólcie przechodzić”, co widać w każdej dzielnicy Berlina. Weźmy na przykład operę. Jest kobieta w wieczorowej sukni obwieszona biżuterią, a obok niej stoi punk z dziurami w spodniach i żółtymi włosami... – Przeszła dłonią krótkie włosy, strosząc je po bokach. – I patrzą na siebie, uśmiechają się i rozkoszują dźwiękami muzyki. I nikt nie zwraca na nich uwagi. Cóż, może odrobinę. Ale to nic nadzwyczajnego! W Monachium, Düsseldorfie i niektórych miastach, może nawet we Frankfurcie, nigdzie tego nie uświadczysz. Wyrzuca punka na zbity pysk albo wcale go nie wpuszczają. Tutaj jest inaczej. Właśnie to mi się tu podoba.

– Mnie również.

Znów skręciła w prawo, wskazując przez szybę duży gmach z cegły z kwadratową wieżą w średniowiecznym stylu na jednym z końców.

– To nasz ratusz – wyjaśniła. – Jesteśmy na Alexanderplatz.

– Tak? – Chwyciłam za notes. – Chciałam panią spytać o...

– *Ja?*

– Pytanie jest nieco wyrwane z kontekstu – powiedziałam, odwracając w pośpiechu kartki w poszukiwaniu pustej strony. – Gdzie znajduje się pani... Co najbardziej lubi pani jeść w Berlinie?

– Moje ulubione jedzenie w Berlinie? – Zille kiwała głową z boku na bok, jakby próbowała pobudzić swój mózg do myślenia.

– Tak.

– Och... uch... hmm... no cóż...

– Tak?

– Zdaje sobie pani sprawę, że typowe, berlińskie jedzenie wcale nie jest takie dobre?

– Naprawdę?

– Na przykład nikt tu nie je *Eisbein*. Cóż, już na pewno nie ja.

– *Eisbein?*

– To takie... Jak to wytłumaczyć? To coś jak wielki kawałek świńskiej nogi.

– Och...

– *Ja.*

– Kiedy ma pani ochotę na coś dobrego, dokąd pani jedzie?

– Cóż... – Wybuchnęła śmiechem, zerkając ponad ramieniem i zatrzymując się na poboczu obok olbrzymiego, betonowego placu otoczonego przez (jak się domyśliłam) domy towarowe zbudowane podczas ery socjalizmu. – Lubię włoską kuchnię!

– Aha! – Uśmiechnęłam się. – A ma pani swoją ulubioną restaurację?

– Uhm, *ja*. – Wyłączyła licznik. – To rodzinny interes. Gotuje matka...

– Och!

– Również dlatego, że moja siostra mieszka we Włoszech i często tam bywam, stąd moje upodobanie do włoskiej kuchni.

– Czy to daleko?

– Nie, całkiem blisko.

– Zabierze mnie tam pani?

– Teraz? – Roześmiała się. – A co z Saturnem?

– Później tam zajrzę.

TRAMWAJ M10 zatrzymał się na Eberswalder Strasse, zanim miałam szansę spytać stojącą przede mną kobietę, czy mogę zrobić zdjęcie płomieni wytatuowanych na jej łydce. Pomyślałam, żeby wysiąść na następnym przystanku, ale nie miałam na to czasu – byłam już spóźniona, a nie wiedziałam, ile czasu zajmie mi przejście z Eberswalder Strasse do ogródka piwnego, gdzie miałam spotkać się z Julią, mieszkanką Berlina, która wysłała mi nieoczekiwanego e-maila na krótko przed opuszczeniem Nowego Jorku. „Zobaczyłam twoje zdjęcie w «The Wall Street Journal». Siedziałaś na masce taksówki, trzymając baklawę. Naprawdę przylatujesz do Berlina? Napijmy się piwa, gdy już tu będziesz”.

„Tak!”, pomyślałam, po wyjściu z tramwaju, przejściu przez ulicę pod torami U-Bahn, przyglądając się po drodze ludziom ustawiającym się w kolejce po lody i idąc w pośpiechu przez Kastanienallee. „Napijmy się piwa...”.

– Julia? – odezwałam się do kobiety o platynowych blond włosach i porcelanowej cerze, która siedziała przy wejściu do piwnego ogródka. W rękę trzymała telefon i rozglądała się wokół z lekkim, wyczekującym uśmiechem na ustach.

– Layne? – powiedziała, uśmiechając się szerzej, gdy mnie rozpoznała. – Tak się cieszę, że cię widzę! – Ucisnęła moją dłoń obiema rękami.

– Wybacz, że się spóźniłam...

– Nie wygłupiaj się – odparła, wrzucając telefon do torby na ramię we wzór zebry. – Tędy. – Poszłam za nią do ogródka, mijając po drodze szyld ze srebrnym napisem PRATER. W stojakach na rowery nie było wolnych miejsc. Stały tu całe rzędy żółtych stołów piknikowych, przy każdym siedziało co najmniej dwieście osób pławiących się w popołudniowym cieple, popijając piwo z półlitrowych kufli. – To najstarszy ogródek piwny w Berlinie – powiedziała. Gdy podeszłyśmy do lady, przeszła z melodyjnego angielskiego na niemiecki i zamówiła nam dwa pilznersy. – Proszę. – Podała mi ciężki kufel z pianą spływającą po ściankach. – Poszukajmy stolika. *Ist hier noch frei?* – Czy te miejsca są wolne?, spytała dwóch mężczyzn pochylonych nad talerzami z białą kiełbasą i żółto-brązową musztardą. Pokiwali głowami. – *Weisswurst* – powiedziała, zerkając na ich talerze, gdy zajmowałyśmy miejsca. – Z Bawarii. Je się ją ze słodką musztardą. Jest przepyszna. Nawet gdy na dworze jest tak gorąco. – Dwóch Niemców uśmiechnęło się do niej – Julia była oszałamiająco piękna, lecz w naturalnie niewymuszony sposób. Należała do ludzi charakteryzujących się tak wielką urodą, że z radością dzielili się nią z innymi. Wzniosła toast swoim kuflem. – Na zdrowie! Witamy w Berlinie!

– Na zdrowie! – Uniosłam kufel obiema rękami i napiłam się. Piwo miało świeży smak, lekko gorzkawy, i nie było zupełnie zimne. Zanotowałam sobie w pamięci wzmiankę o *Weisswurst*.

– I jak ci się podoba Berlin?

– Tu jest jak we śnie – przyznałam. Czytając jej wiadomość kilka tygodni temu w ciasnym

pokoju w mieszkaniu Romea i Sarah, nawet nie pomyślałam, że będę z nią siedzieć przy zalanym słońcem stoliku pod starymi kasztanami, pośród tych wszystkich ludzi, którzy wyglądali na szczęśliwych i odprężonych. – Ale jestem tu dopiero od tygodnia.

Starłam się zachować ostrożność. Jednak im lepiej poznawałam Berlin, tym bardziej mi się podobał, i wcale nie odnosiłam wrażenia, że miasto stosowało jakieś wyjątkowe metody uwodzenia. Uwodzenie nie leżało w jego naturze – raz po raz uderzała mnie świadomość, że miasto było po prostu sobą. Kilka ulic od wynajmowanego przeze mnie studia, na Niederbarnimstrasse, znajdował się antykwariat, gdzie sprzedawano książki na wagę, po dwa i pół euro za kilogram, a ludzie pili piwo na stacji szybkiej kolei miejskiej S-Bahn, jakby codziennie był karnawał. Uwielbiałam miniaturowe figurki „ludzików z korka” w pozycjach z jogi nad znakami ulicznymi oraz fakt, że można było kupić dętkę do roweru z automatu na chodniku, a kiełbaski *bratwurst* od „Grillwalkers”, którzy krążyli po Alexanderplatz z płytami grillowymi przywiązanymi do brzuchów. Do tego wszystkiego dochodziła oczywiście przejażdżka taksówką do Saturna w towarzystwie Zille.

– Włoska knajpka, którą lubi, jest zamknięta w godzinach lunchu – powiedziała Julii – więc ostatecznie tam nie zjadłam. Ale mam adres. I koniecznie muszę się tam wybrać...

– Pójdę z tobą – zaproponowała.

– Serio?

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Lubię włoską kuchnię. – Nasunęła na nos okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie O. – Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Dopiłyśmy nasze piwa i wróciłyśmy na Kastanienallee, gdzie zauważyłam, nie musząc już śpieszyć się do piwnego ogródka, nieproporcjonalnie wielką liczbę wysokich, smukłych, pięknych ludzi spacerujących wolnym tempem jak na kacu, palących papierosy, nienoszących staników, prezentujących dumnie tatuaże (choć żaden nie mógł się równać z artystycznym kunsztem płonących łydek z tramwaju), zmierzających prawdopodobnie do którejś z kawiarni serwujących brunch do godziny osiemnastej. Starłam się nie gapić na faceta z czerwonymi ramionami połyskującymi w słońcu, ubranego w obcisłe kąpielówki i plażowy ręcznik zawinięty wokół szyi. Nie licząc plażowych barów nad Sprewą, najbliższa plaża znajdowała się dwieście kilometrów stąd.

– Czy właśnie to chciałaś mi pokazać?

Julia zachichotała.

– Mieszkańcy nazywają tę ulicę „castingową” z powodu tych wszystkich kręcących się wokół świetnie wyglądających ludzi.

Parę kroków dalej usłyszałyśmy dźwięk przypominający szum wodospadu oraz sporo pijackich wrzasków.

– Co to takiego?

– Nie mam pojęcia. Chodźmy zobaczyć.

Poszłam za nią w kierunku ulicy zwanej Oderberger Strasse.

– O mój Boże! – zawołałam, gdy skręciłyśmy za róg.

Ktoś zerwał plombę z hydrantu przed posterunkiem straży pożarnej. Woda strzelała w powietrze z siłą gejzeru, lśniąc w promieniach słońca i zalewając brukowaną ulicę. Chłopcy bez koszulek skakali wśród strumieni, żłopiąc piwo i wciągając do wody dziewczyny w letnich sukienkach. Małe dzieci skakały po kałużach, piszcząc z uciechy i ochlapując rodziców.

Bosonoga kobieta z siwoblond dreadami stała na środku ulicy z dłońmi wspartymi na biodrach, odchyłoną do tyłu głową i otwartymi ustami, łapiąc do nich krople wody. Garstka strażaków przyglądała się całemu zajściu ze schodów posterunku, uśmiechając się, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Bawcie się, ile chcecie”.

– Czy wszyscy niemieccy strażacy są tacy zabawni? – spytałam Julię.

– Mieliśmy naprawdę długą zimę – powiedziała, uśmiechając się promiennie zza okularów.

– Mieszkam w Berlinie od ośmiu lat – powiedziała Julia kilka dni później w Muntagnola, włoskiej restauracji, którą poleciła mi Zille. – I nadal to kocham.

Skubnęła kawałek chleba z koszyczka i polała go odrobiną oliwy z oliwek. Gdy tak siedziałyśmy naprzeciwko siebie przy ustawionym na chodniku stole, pod pasiastą, białoczerwoną markizą na obsadzonej drzewami ulicy w Schöneberg, będącej niegdyś częścią Zachodniego Berlina, Julia zdradziła, że nigdy nie wyobrażała sobie zamieszkać gdzieś na osiem lat. Urodziła się w Hamburgu, ale dorastała na Filipinach oraz w Afryce, a potem mieszkała w Londynie, gdzie nauczyła się programowania komputerowego, oraz w Irlandii i we Frankfurcie. Jej pasją były filmy, zwłaszcza te w reżyserii Woody’ego Allena, oraz kino francuskie. W ciągu dnia pracowała jako kierownik do spraw jakości oprogramowania, a wieczorami uczyła się, by zostać tłumaczem napisów do filmów.

– Nigdy nie chciałam opuścić Berlina.

– Dlaczego? – Ugryzłam kęs chleba, miękkiego i zwartego, zwieńczonego ciągnącą się skórką z lekkim, zwęglonym osadem po upieczeniu w piecu kaflowym. Muntagnola była bardziej ekskluzywna niż większość polecanych przez taksówkarzy restauracji, w których byłam: makarony kosztowały tu około trzynaście euro, a karta win mogła skusić klientów do wydania mnóstwa pieniędzy. Lecz jeśli tutejszy chleb świadczył o jakości pozostałych potraw, nie miałam nic przeciwko. – Co sprawiło, że zostałam? – spytałam, zamykając menu.

– Aura – odparła, promieniejąc jak ktoś mówiący o nowej miłości. – Cóż, Berlin nie jest piękny. Nie przypomina Paryża. Nie ma tu podobnej, fantastycznej architektury. Nie jest tak wielki i dynamiczny jak Nowy Jork. Nie jest też wyrafinowany jak Londyn. Ale tutaj czuję się wolna.

– Ja również – przyznałam, a Julia uśmiechnęła się, choć być może zabrzmiało to z mojej strony pochopnie i arogancko. Po dziesięciu dniach w Berlinie nie byłam jeszcze pewna, jak duża część mojego zauroczenia miastem brała się z radości spowodowanej ucieczką przed Nowym Jorkiem. Mimo to miałam wrażenie, jakby każdy dzień utwierdzał mnie w przekonaniu, że miałam rację, przyjeżdżając tu. Wszystko w moim najbliższym otoczeniu, nie licząc raportów dla argentyńskiej firmy, stabilnie szło do przodu. Przypomniałam sobie e-mail otrzymany dzień wcześniej od reporterki imieniem Heike z RTL, największej, komercyjnej stacji telewizyjnej w Niemczech: „Moi koledzy i ja jesteśmy zachwyceni twoimi taksówkarskimi przygodami. Czy jest szansa, by przeprowadzić z tobą krótki wywiad?”. Nie miałam zielonego pojęcia, jak Heike mnie znalazła. I nie zdawałam sobie sprawy, że jej wiadomość stanowiła zapowiedź przyszłych wydarzeń.

Złożyłam dla nas zamówienie: dwa rodzaje domowego makaronu oraz dwa kieliszki sycylijskiego, białego wina, które według obsługującego nas kelnera zostało wyprodukowane z winogron uprawianych na ziemi skonfiskowanej bossowi mafii po jego aresztowaniu.

– Znasz włoski? – spytała Julia, gdy kelner odszedł.

– Odrobinę.

– Ja znam tylko jedno zdanie...

– Jakie?

– *Roma non fu fatta in un giorno* – wyrecytowała z francuskim akcentem.

Roześmiałam się.

– Nie od razu Rzym zbudowano?

– Nie uwierzysz, jak bardzo jest przydatne.

Kelner przyniósł wino. Wzniosłyśmy toast za Berlin.

– Wiesz, co ostatnio przeczytałam? – Gdy piłyśmy wino, przeszło mi przez myśl, że choć ledwie się znałyśmy, Julia i ja wracałyśmy do rozmowy w momencie, w którym ją przerwałyśmy. – Przed I wojną światową Berlin był znany jako „Elektropolis”.

– „Elektropolis?”

– Wtedy miało to wiele wspólnego z industrializacją – wyjaśniłam. Wypiłyśmy kolejny łyk pachnącego morelami, smacznego, wytrawnego wina. – Ale w trakcie czytania uznałam, że obecnie Berlin to Elektropolis zupełnie innego rodzaju. Nie uważasz?

– Hmm... – Zastanawiała się nad tym przez chwilę. – Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam – odparła, uśmiechając się zza kieliszka. – Ale podoba mi się to.

Zjawił się nasz makaron: *tagliatelle* z kwiatami cukinii dla mnie i *strangolapreti* („udławieni księża”) dla Julii, czyli kluski, które wyglądały jak okrągłe, zielone klejnoty, w maśle szałwiowym, zrobione ze szpinaku i sera ricotta, posypane *pecorino* – były podobne do gnocchi, lecz miały dodatek w postaci rodzynek i orzeszków piniowych. Julia i ja zgodziłyśmy się, że były jeszcze pyszniejsze od zwykłych gnocchi.



Tamtej nocy leżałam na kanapie, nie mogąc zasnąć, odtwarzając w myślach posiłek i machając stopami w rytm elektronicznej muzyki dobiegającej z mieszkania sąsiada. Zaśnięcie w Elektropolis było niemożliwe – i nie chodziło tylko o muzykę (która nie należała do mojego ulubionego gatunku, lecz w jakiś sposób sprawiała, że czułam się naprawdę fajnie, zupełnie jakbym była statystką w filmie z ultranowoczesną ścieżką dźwiękową).

Około drugiej w nocy rozległ się trzask zamykanych drzwi frontowego budynku. Ktoś parkował rower na dziedzińcu. Włączyłam czerwoną lampkę i wyciągnęłam notes. Powoli odnosiłam wrażenie, że wszechświat zaczął spłacać długi za moje trudy życia w Nowym Jorku i najwyraźniej uznał, że w Berlinie miałam prowadzić zaczarowane, choć tymczasowe życie. „Zmienić miejsce, zmienić nastawienie?”. Stuknęłam ołówkiem w dolną wargę. Nie, tu chodziło o coś innego. Do tego czasu zdążyłam już odkryć, że zmiana miejsca była rozwiązaniem na krótką metę...

„Ooch, ooch, oooooch, OOOOOOOOOOCH...”. Jakaś kobieta jęknęła w ciemnościach gdzieś we frontowym budynku. Chwilę później dało się słyszeć ekstatyczne, męskie „Aaaach, aaaach, aaaaaach, AAAAAAAAAAAAAACH!”, zagłuszające elektroniczną muzykę.

TAKSÓWKARZ UŚMIECHNĄŁ SIĘ, gdy wsadziłam głowę przez szybę od strony pasażera. Miał twarz czarodzieja z gotyckiej baśni: krzaczaste brwi wywinięte w górę jak płomienie, haczykowaty, szpiczasty nos z bruzdą na czubku oraz długą, poprząsywaną siwizną, czarną brodę. Na głowie miał melonik, a na szyi różaniec.

– *Guten Tag! Wo möchten Sie hin?* – Dokąd chce pani jechać?

Kiwnął głową, gdy spytałam, czy mówi po angielsku.

– Moja ulubiona restauracja? Hmm. – Zmrużył oczy, przesuwał palcami po zmarszczkach pod oczami. – Niech się zastanowię...

Usiadłam na przednim siedzeniu. Po przejeździe z Zille zawsze zajmowałam przedni fotel. Miałam wrażenie, że byłam zbyt bezpośrednia, gdy jeździłam po Buenos Aires i w Nowym Jorku, jakbym otwierała lodówkę w domu nieznajomego i częstowała się jedzeniem. Jednak w Berlinie wydawało się to całkiem naturalne.

Zauważyłam zdjęcie, które taksówkarz przykleił do licznika. Przedstawiało kadr z filmu *Miasto Boga*: dwójkę głównych bohaterów, początkującego fotografa ze slumsów i opaloną piękność, siedzących obok siebie na plaży w Rio de Janeiro, darzących się zbyt wielką sympatią, aby móc się pocałować.

– Dwa tygodnie temu wróciłem z Brazylii – wyjaśnił kierowca. – Latam tam w zimie, do małego miasteczka na wybrzeżu jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ od Rio.

Wyjechał z postoju taksówek, a ja rozsiadłam się wygodnie, przypominając sobie uczucie, jakie ogarnęło mnie po pierwszym przyjeździe do Rio podczas jednego z wypadów w celu odnowienia argentyńskiej wizy turystycznej. Jak tylko koła samolotu dotknęły asfaltu, klasnęłam w dłonie, razem z siedzącą obok mnie Brazylijką, która uśmiechnęła się na widok słońca wlewającego się przez nasze okno, i powiedziała: „Każdy powinien przyjechać do Brazylii chociaż raz, zanim umrze”.

Pojechaliśmy Warschauer Strasse, a potem przez Oberbaumbrücke nad Sprewą. **WKRAZASZ DO SEKTORA TURYSTYCZNEGO**, głosiło graffiti na torach U-Bahn, nad miejscem, w którym biegł Mur Berliński, między Friedrichshain na wschodzie a Kreuzberg na zachodzie.

– Urodziłem się w Turcji – powiedział kierowca, gdy jechaliśmy wzdłuż naziemnych torów U-Bahn, które przecinały ulicę jak zamek błyskawiczny. – Przyjechałem do Berlina w 1980 roku. Do Kreuzberga. – Powiedział, że miał wtedy osiemnaście lat, a tamte czasy były szalone. – W latach osiemdziesiątych każdy mógł przyjechać do Kreuzberga. – Obrócił w palcach koraliki różańca. – Jestem również malarzem, więc...

– Co lubi pan malować?

– Maluję przy użyciu farb akrylowych, ale lubię też robić zdjęcia i szkicować w taksówce. – Zatrzymał się na czerwonym świetle na Kottbusser Tor. Panie w chustach na głowach

przebiegały w pomidorach na straganie po przeciwnej stronie stacji kolejowej.

– Czy prowadzenie taksówki jest dobrym zajęciem dla artysty?

– Nie. – Światło zmieniło się na zielone. Kierowca wtopił się w ruch, ustępując miejsca rowerzystom. – Czasami zdarzają się interesujący pasażerowie i ciekawe rozmowy. Ale w większości przypadków – powiedział, prostując ręce na kierownicy – ludzie zapominają o tym, by zachowywać się po ludzku.

– To prawda. – Kiwnęłam głową, wracając myślami do mężczyzny, który zatrzymał mnie na Ósmej Alei w drodze do pracy w hotelu Ritz-Carlton. „No dalej!”, powiedział, uderzając w ściankę działową, gdy wcisnęłam hamulce po tym, jak zobaczyłam policjanta. „Jedźmy! Proszę spojrzeć na te wszystkie zielone światła!”. Nigdy nie zapomnę też kobiety bez brwi, która wsiadła do taksówki niedaleko Union Square; jechała do salonu fryzjerskiego. „Zamiast pojechać pociągiem, wsiadłam do taksówki – ryknęła do telefonu po tym, jak przegapiłam światła na Park Avenue. – Niestety, nie trafił mi się właściwy kierowca”.

– Artysta powinien kochać ludzi – powiedział kierowca. Nadal jechaliśmy wzdłuż torów kolei, a styl budynków zmieniał się z urokliwego w odpychający. Niemiecka secesja ustąpiła miejsca betonowym blokom z lat siedemdziesiątych.

– A jak to wygląda z perspektywy taksówkarza?

Wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę w tył i trzymając kapelusz.

– Prowadzę taksówkę od dwudziestu pięciu lat – powiedział. – Bez współczucia ta praca jest niemożliwa.

Kierowca zabrał mnie do SenViet, swojej ulubionej wietnamskiej knajpki w Kreuzbergu.

– Podczas wojny wielu ludzi przyjeżdżało do Berlina z Wietnamu. Dlatego tak wiele tu wietnamskich restauracji.

Jak dowiedziałam się później, wietnamska diaspora w Berlinie stała się podwaliną zimnej wojny. Podczas gdy Niemiecka Republika Demokratyczna zaczęła w latach pięćdziesiątych zapraszać pracowników z Wietnamu Północnego, Republika Federalna Niemiec witała u siebie tysiące osób z Wietnamu Południowego ubiegających się o azyl po upadku Sajgonu. Wiele lat po obaleniu Muru Berlińskiego podziały między społecznościami Wietnamu Północnego i Południowego zamieszkującymi Berlin nadal były wyczuwalne.

Taksówkarz zaparkował równolegle do ulicy i odprowadził mnie do restauracji, co trochę mnie zaskoczyło, choć on zachowywał się, jakby to było zupełnie normalne. Kierownik powitał go niczym ulubionego kuzyna w rodzinie, klepiąc go po plecach w trakcie uścisku ręki. Mała, zatłoczona, czarno-biała sala jadalna pachniała czosnkiem i miętą.

– Powinna pani spróbować czerwonego curry z kurczakiem i orzeszkami ziemnymi – zasugerował kierowca, wskazując menu z daniami dnia wypisanymi kredą na ścianie. – Z przyjemnością zjadłbym razem z panią, ale... – Kiwnął głową w stronę taksówki z migającymi światłami awaryjnymi. – Mam nadzieję, że będzie pani smakowało. – Pomachał kierownikowi na pożegnanie, wręczył mi swoją wizytówkę, uchylił kapelusza i wyszedł.

Curry rzeczywiście okazało się smaczne. Nie było wystarczająco pikantne, ale doprawiono je dużą ilością kolendry i trawy cytrynowej, a liczne słodkie, kwaśne i słonawe nuty smakowe

wynagradzały brak papryczek chili.

Gdy kilka godzin później dotarłam do mieszkania, przejrzałam obrazy na stronie internetowej taksówkarza. One również przypadły mi do gustu. Promienie światła zdawały się przeświecać przez ciała i twarze postaci, zupełnie jakby namalował je na szkłe.

„Przekaz moich obrazów jest bardzo prosty, ale emocjonalny”, napisał w dziale *Filozofia* na swojej stronie. „Mniej technicznej sterylności, wygenerowanych komputerowo ludzi, a więcej człowieczeństwa i delikatności”.

Kliknęłam na zdjęcie jednego z jego obrazów zatytułowanego *Kuss 1 (Pocałunek 1)*, ukazującego mężczyznę i kobietę obejmujących się na środku rozmywającego się horyzontu. „Na obrazie dominują łagodne formy i ciepłe kolory – napisał o obrazie. – Niebieski to kolor nadziei. Powtarzające się odcienie różu i czerwieni to barwy miłości i niebezpieczeństwa”.

W nocy nie mogłam zasnąć, jak zwykle zresztą, słuchając rytmicznego dudnienia elektronicznej muzyki dobiegającego z mieszkania sąsiada i odgłosów techno i ska z klubów na Revaler Strasse, surfując po internecie i przeglądając książkę Karla o Berlinie. „Chciałbym podziękować temu nieznanemu strażnikowi granicznemu z NRD z wieży obserwacyjnej – napisał Duane Phillips, w przewodniku po współczesnej architekturze – który o północy stukał swym karabinem maszynowym w rytm piosenki Davida Bowiego podczas przedstawienia cyrkowego grupy transwestytów na Tempodromie na Placu Poczdamskim w 1980 roku. W tamtej surrealistycznej chwili zakochałem się w Berlinie”.

– Moja bezsenność – powiedziała Zille, gdy poszłam do niej, by udzieliła mi kilku porad z zakresu medycyny naturalnej – miała wiele wspólnego z podekscytowaniem związanym z Elektropolis oraz reakcją łańcuchową zapoczątkowaną w niemieckich mediach po wywiadzie udzielonym Heike w stacji telewizyjnej RTL. Od tamtej pory co parę dni otrzymywałam e-maile od dziennikarzy, którzy chcieli porozmawiać ze mną o *Taxi Gourmet*. Cieszyłam się z każdego z nich, odczytując je jako kolejny znak, że znajdowałam się we właściwym miejscu, choć po tygodniach niedosypiania nie zawsze pamiętałam o przyjmowaniu uspokajających ziół, które przepisała mi Zille – wpadłam w odrętwienie, jeśli chodziło o pracę, dzięki której mogłam opłacić rachunki, a skupianie się na obowiązkach stawało się coraz trudniejsze. Następnego ranka prawie rozłączyłam się w trakcie rozmowy z wiecznie niezadowolonym klientem argentyńskiej firmy z RPA, który zadzwonił do mnie trzy razy w ciągu dwóch godzin, żeby złożyć zażalenie w sprawie przerwy w dostawie prądu spowodowanej prawdopodobnie przez plamy na Słońcu.

Zrobiłam sobie trzecią filiżankę kawy, usiłując skupić się na raporcie dotyczącym obsługi klientów. „Wszystkie systemy są sprawne, nie licząc łącza w Gabonie, które w dalszym ciągu jest niestabilne – napisałam. – Klient prosi personel zajmujący się operacjami globalnymi o dokładniejsze monitorowanie łącza w celu określenia przyczyn niestabilności”. Kawa sprawiała, że drżały mi palce, gdy dokonywałam korekty raportu. Wychodząc z domu na spotkanie z Julią, nadal czułam mrowienie w dłoniach.

Nie rozumiałam, dlaczego nalegała, żebym przyjechała do dzielnicy Prenzlauer Berg popatrzeć na karaoke – „Każdy, kto przyjeżdża do Berlina, powinien zobaczyć to chociaż raz” – ale lubiałam spędzać z nią czas i ucieszyłam się, gdy zobaczyłam ją siedzącą wysoko w położonym

na zboczu amfiteatru znanym jako Bearpit w Mauerpark. Przeniosłam się przez tłum i wcisnęłam w miejsce, które dla mnie zajęła, rozglądając się dokoła i próbując wyobrazić sobie to miejsce takim, jakie było dawniej, znanym jako część Muru Berlińskiego i „pas śmierci”, z którego żołnierze straży granicznej z NRD strzelali do ludzi próbujących uciec na Zachód, ale to zadanie przerosło moją wyobraźnię.

Julia wyjaśniła, że po upadku Muru berlińczycy odzyskali tę granicę dla siebie. To było tak, jakby baza wojskowa przekształciła się w centrum ruchu hippisowskiego Haight-Ashbury w San Francisco z lat sześćdziesiątych. Obecnie Park Muru był miejscem, w którym organizowano pikniki i koncerty jazzowe oraz demonstracje w Świątyni Pracy. W każdą niedzielę odbywał się tu pchli targ oraz znane w okolicy karaoke prowadzone przez Joego, kuriera rowerowego z Irlandii. Przyjrzałam się ludziom oglądającym show – hipsterom, ulicznym artystom, muzykom o pątkowatych nogach dźwigającym instrumenty na plecach, żonglerom, koszykarzom i kobietom w górach od bikini – i zastanawiałam się, jakie inne miasto mogłoby być obiektem podobnej metamorfozy.

– Jak twoje taksówkarskie przygody? – spytała Julia, gdy obok nas przeszedł mężczyzna w złotych legginsach z falafelem w dłoni, zmierzając w kierunku jednego z ostatnich wolnych miejsc w naszym rzędzie.

Uśmiechnęłam się, gdy opisywałam jej kierowcę o twarzy czarodzieja, który spędzał zimę w Brazylii, jego obrazy oraz tajskie czerwone curry w SenViet – oraz przejażdżkę z Ivem i Steffenem, którzy postanowili dołączyć do mnie w trakcie przygody podczas jednego z dni, w których nie mieli prób zespołu. Wylądowaliśmy w Hasir na Adalbertstrasse na Kreuzbergu, restauracji, w której wymyślono döner kebab, a przynajmniej tak utrzymywał nasz kelner. Istotnie, później natknęłam się na artykuł w „Daily Telegraph”, który potwierdzał słowa kelnera. „Drugiego marca 1971 roku, Mahmut Aygün – który przyjechał do Berlina z Turcji w wieku szesnastu lat i pracował jako robotnik – obserwował pijanych ludzi mijających chwiejnym krokiem jego budkę z kebabem w środku nocy i doznał oświecenia. Co by było, gdyby mogli zabrać kebab ze sobą? Uznał, że przyszłość leżała w kebabie wkładanym do pity. Czterdzieści lat później jego kanapka rzekomo przebiła kiełbasę w starciu o miano najpopularniejszego fast foodu w Niemczech”.

– Tak niewiele wysiłku potrzeba, aby być tu szczęśliwym – powiedziałam, gdy mężczyzna w czarnej fedorze zatrzymał wózek z tęczowym parasolem po drugiej stronie amfiteatru i zaczął przygotowywać drinki („Mojito / Caipirihna / Sex on the Park – 3 euro”).

Nie spędziłam w Berlinie jeszcze dwóch miesięcy, a jak na razie jedyne zniechęcające incydenty, o ile można było je tak nazwać, miały związek z językiem (rząd taksówkarzy na Alexanderplatz odesłał mnie z kwitkiem, utrzymując, że nie mówią po angielsku) oraz niemożność nawiązania wystarczająco głębokiej rozmowy z niektórymi kierowcami. Zdarzył mi się nawet kurs, w trakcie którego gestykulacja i grymasy twarzy były jedynymi środkami komunikacji między mną a kierowcą. Na koniec wylądowałam w Gel Gör, otwartej dwadzieścia godzin na dobę knajpcie z *köfte* (kotlecikami), w której szlachtowali własną cielęcinę. Nie miałam serca ani zdolności językowych, aby poinformować kierowcę, że jeden z jego kolegów po fachu już mnie tu kiedyś przywiózł. Mimo to jeszcze nigdy się tak nie bawiłam, opisując swoje taksówkarskie przygody. A gdy wychodziłam na miasto i ludzie podchodzili do mnie na ulicy, pytając, jak dojechać do różnych miejsc – czy ja wyglądałam na taką, co wie, dokąd idzie? – kręciłam głową i mówiłam „Przepraszam, ale nie jestem stąd”. I rzeczywiście było mi przykro –

nie tylko dlatego, że nie mogłam im pomóc, ale głównie dlatego, że to nie było moje miasto.

– To pewnie przez to, że tu nie mieszkam.

– Może i tak – odparła Julia, wsuwając na nos swoje okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie O. – A może i nie.

Puszczono piosenkę *Stray Cat Strut*, a Joe, MC z Irlandii, wziął mikrofon i wyszedł na środek kamiennego okręgu, które zaraz miało przekształcić się w scenę karaoke.

– Witajcie! Czy z przodu nie jest za głośno? Nie? Co? Jak to nazywamy? Wybieg jaki? Bearpit! Dla NIEDŹWIEDZI! – W amfiteatrze nie było już miejsc. Ludzie zaczęli tłoczyć się na trawie za sceną. – Och! – zawołał Joe, sprawiając wrażenie lekko osłupiałego, jakby nie do końca wierzył, że się zjawiliśmy. – Cudownie jest widzieć was wszystkich!

Euforia w amfiteatrze była zarezerwowana wyłącznie dla śmiazków, którzy odważyli się zaśpiewać. Godzinę później Julia i ja miałyśmy zdarte gardła od wrzeszczenia na cały głos wraz z resztą tłumu na widok każdej osoby, która wchodziła na scenę (szczególnie w przypadku dwóch chłopaków z Anglii, którzy urozmaicili swoją wersję *Blue Suede Shoes* skokami przez plecy, oraz dziewczyny w falbaniastej spódnicy, która robiła skoki szpagatowe do piosenki Kate Bush, utrzymując tonację). Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byłam częścią takiej publiczności. W entuzjazmie zgromadzonych ludzi nie było ani krzty ironii.

– Takie rzeczy tylko w Berlinie – powiedziała Julia w przerwie między występami.

– Może powinnam zostać tu na dłużej.

– Chyba tak.

Mężczyzna z kamerą telewizyjną filmował publiczność, robiąc najazd obiektywem na dziewczynę w trawiastej spódnicy, która kręciła hula-hopem w przednim rzędzie.

– Spójrz! – zawołała Julia, szarpiąc mnie za rękaw i wskazując na mężczyznę za dziewczyną z hula-hopem. Tłum rozstał się, robiąc miejsce dla starszego pana z kędzierzawą, siwą brodą i wyrazem twarzy uciśnionego proroka, który wyszedł na scenę tak, jakby nie miał siły dźwigać ciężaru swoich ubrań. – To on! – krzyknęła, klaszcząc w dłonie.

– Kto?

Joe wziął od staruszka plastikową torbę KaDeWe i wręczył mu mikrofon, który starszy pan przytulił do piersi.

– Kto to jest? – spytałam ponownie, gdy w głośnikach rozległy się pierwsze nuty *My Way*.

– Słuchaj – powiedziała Julia.

– *Zum schluuuuss...* – zaśpiewał starszy pan, a my obserwowaliśmy, jak zmienia się wraz z każdym dźwiękiem z kogoś przybitego w osobę w pełnym rozkwicie, prostując plecy, wypinając pierś, spoglądając na widownię i szczerząc zęby w promiennym uśmiechu, jakby zdumiało go piękno własnego barytonu. Tłum, wliczając w to Julię i mnie, zaryczał. – *Da stehen wiiiiir...*

Starszy pan śpiewał, jakby Sinatra nigdy nie istniał, jakby to był jego hymn. To była jego jedna, jedyna szansa, aby zaprezentować swój głos. W miarę trwania piosenki, wyciągał dźwięki coraz bardziej i bardziej, unosząc ramiona ku niebu.

– *Ich habe geliiiiiebt... gelacht... geweint...*

Julia i ja stałyśmy wraz z resztą widowni, gdy starszy pan zaśpiewał ostatnią strofę – o ile wcześniej byłyśmy podekscytowane, to teraz ogarnął nas prawdziwy szal. Gdy opuścił mikrofon, owacja na stojąco była słyszalna daleko poza amfiteatrem. Z naszej grędy miałyśmy doskonały

widok na głowy zwracające się ku źródłu całej tej wrzawy. Starszy pan uklonił się we wszystkie strony z zamkniętymi oczami, rozkoszując się aplauzem jak gorącą kąpielą.

– Czyż nie jest fantastyczny? – spytała Julia.

– Kto to jest?

– Przychodzi tu co tydzień – odparła. – Śpiewa *My Way* albo jakiś utwór Céline Dion. Wydaje mi się, że jest bezdomny. Zawsze ma na sobie ten sam garnitur, bez względu na to, jak bardzo jest ciepło, i zawsze nosi przy sobie plastikową torbę z KaDeWe.

KaDeWe był najbardziej ekskluzywnym domem towarowym w Berlinie. Zille zdradziła mi, że po upadku Muru było to pierwsze miejsce, do którego wielu berlińczyków ze Wschodu chciało pojechać jej taksówką.

Starszy pan zabrał swoją torbę i zszedł ze sceny, przeciskając się przez tłum, uśmiechając i kiwając głową jak w transie, gdy ludzie poklepywali go po plecach.

– Chcę mu podziękować – powiedziałam.

Starszy pan był już w połowie drogi przez Park, zanim udało się go nam dogonić. Dotknęłam jego ramienia. Odwrócił się sztywno, jakby jego ciało zastygło, jakby złamał się jakiś czar.

– Ja tylko... Chciałam panu powiedzieć – odezwałam się, przyciskając dłonie do piersi – że był pan wspaniały.

Uśmiechnął się słabo, a jego oczy zaszyły mgiełką niezrozumienia. Julia przetłumaczyła moje słowa.

– *Danke* – powiedział, spuszczać wzrok.

Przeszperałam torebkę w poszukiwaniu pustego kawałka papieru. Zamiast tego wyjęłam niemieckie rozmówki, otwierając na stronie tytułowej.

– Podpisze się pan na tym? – spytałam. Wręczyłam mu niebieski długopis. Jediną osobą, którą kiedykolwiek poprosiłam o autograf, był David Boreanaz, gdy grał jeszcze Angela w serialu *Buffy, postrach wampirów* – ale zrobiłam to za pośrednictwem poczty. Moja prośba była podyktowana totalnym zauroczeniem. Teraz chodziło o coś więcej niż starszego pana śpiewającego *My Way*. Chodziło o kogoś, kto wychodził poza granice techniki, wirtuozerii, kogoś, kto śpiewał o tym, co przeżył – a nie o tym, co według niego mogłoby spodobać się ludziom.

– *Autogramm?* – spytał, a na jego ogorzałym czole pojawiły się zmarszczki zdumienia.

Julia kiwnęła głową.

Wręczyłam mu rozmówki otwarte na stronie tytułowej. Starszy pan zapisał swoje imię – i tylko imię – pełnym zawijasów, pochyłym pismem rodem ze szkoły podstawowej.

– Detlef – powiedziałam, odczytując imię na dole strony. – *Danke*.

Uśmiechnął się promiennie i oddał mi długopis.

Po powrocie do mieszkania wysłałam e-mail Karlowi, w którym spytałam, czy mogę podjąć jego mieszkanie na kolejny miesiąc. „Najwyraźniej musi ci się tam podobać – odpisał po minucie. – Mieszkanie jest wolne aż do października. A jak ci idą kulinarne przygody?”. Dwadzieścia minut później skończyłam negocjacje z Air Berlin: siedemdziesiąt euro zapewniło mi kolejny miesiąc życia w Elektropolis. Włączyłam Celię Cruz i zaczęłam tańczyć w pokoju. „Jeszcze jeden miesiąc w Berlinie!”. Kręciłam się i kręciłam, aż w końcu nie byłam w stanie

nadażyć za Celią i klapnęłam na biurko, otwierając rozmówki na stronie tytułowej i łapiąc oddech. „Jeszcze jeden miesiąc”, pomyślałam, wpatrując się w podpis, „w mieście, w którym mieszka Detlef”.

„ZOSTAŁAŚ W BERLINIE z powodu staruszka śpiewającego na karaoke?”. Wyobraziłam sobie, jak ktoś zadaje mi to pytanie w taksówce. Wyrwane z kontekstu brzmiało dziwnie. Wyjrzałam przez okno tramwaju linii M13, spoglądając na wszystko niewidzącym wzrokiem, gdy tramwaj zatrzymał się i przejechał z Friedrichshain do Weissensee, rozmyślając o słowach wyjaśniających moją decyzję przyszłemu pasażerowi w Nowym Jorku. „Detlef uosabia ducha Berlina”. Zbyt wydumane? „Detlef jest wcieleniem miasta”. Zbyt ogólnie? „Detlef śpiewa dla artystycznej części miasta”. Zbyt górnolotne? Oczywiście, dodałabym, Detlef nie był jedynym powodem, dla którego chciałam zostać tu na dłużej. „Ale jest perłą w koronie”, pomyślałam, gdy tramwaj skręcił na północ, jadąc tą samą drogą, którą przebyłam wczoraj taksówką z Veroną, śliczną, zielonooką reporterką z „Tagesspiegel”.

Kropiło, gdy wysiadłam z tramwaju na Antonplatz. Zajrzałam do wnętrza taksówek na postoju, ale nie rozpoznałam żadnego z kierowców. Poszłam dalej, skręcając w Langhanstrasse, gdy w oknach budynków mieszkalnych zaczęły się zapalać światła, nadając nieco łagodności surowym fasadom. Wybierałam się na kolejne spotkanie z Veroną w ramach drugiej części naszej taksówkarskiej przygody, w restauracji La Bandita o „szalonej godzinie” (ALLE LONGDRINKS & COCTAILS 3,90 EURO!, głosił napis między neonami Pepsi w oknie, VON 18:00–???!).

Oprócz Vereny, naliczyłam jeszcze sześć osób w sali jadalnej, która wyglądała jak zapożyczona przez Quentina Tarantino z meksykańskiego saloonu: nad barem wisały *sombreros* ozdobione srebrnymi cekinami, a na ścianie ktoś namalował sztuczne, różowawe cegły wraz z murałem w postaci etykiety z butelki piwa Jose Cuervo stojącej na kaktusie z trzema ramionami. Wybrałyśmy stolik niedaleko wejścia, pod szyldem reklamującym piwo Desperados.

Kelner w falbaniastej koszuli wręczył nam karty z wytłaczanym, złotym obrazkiem długowłosej kobiety w meksykańskim kostiumie wykonującej figurę flamenco. Verena przyglądała się, jak przesuwam palcem w górę i w dół po laminowanych kartkach.

– *Fajita, nachos, spaghetti...* Dobry Boże.

– Czy siedziałybyśmy tu, gdyby taksówkarz nie pokazał nam tego miejsca?

– Cóż...

Pomyślałam o Thomasie, kierowcy, który przywiózł nas tu wczoraj w porze lunchu, gdy La Bandita była zamknięta. Z początku twierdził, że nigdy nie jadał na mieście, lecz po odrobinie niemieckiej perswazji ze strony Vereny zamknął czytając przez siebie książkę – powieść Kena Folletta z wizerunkiem eksplodującej łodzi podwodnej na okładce – i rzekł: „Cóż, jest jedna knajpka, w której podają steki z argentyńskiej wołowiny...”. Zaczął prowadzić taksówkę w 1987 roku. Urodził się w Berlinie w dzielnicy Friedrichshain, wtedy w Berlinie Wschodnim, i pracował w dniu, w którym doszło do obalenia Muru Berlińskiego. Jak powiedział, w ciągu jednego dnia musiał nauczyć się drugiej, zachodniej połowy miasta.

– *Sprechen Sie Spanisch?* – spytałam kelnera w falbaniastej koszuli, gdy podszedł odebrać

nasze zamówienie.

– *Nein*. – Roześmiał się. – *Deutsch, oder Türkisch!*

Przyglądałam się, jak barman serwuje dwa tęczowe koktajle parze w średnim wieku o identycznych fryzurach, która siedziała w rogu sali, trzymając się za ręce.

Verena zamówiła to, co w La Bandita lubił jadać Thomas: sto osiemdziesiąt gramów antrykotu, pieczonego ziemniaka oraz czerwoną fasolę z boczkiem.

– To – powiedział Thomas, wskazując na szyld Crazy Hour, gdy przywiózł nas tutaj poprzedniego dnia – jest nasza restauracja. – Zaparkował taksówkę, odpiął pas i zapalił papierosa. – Moja żona jest z zawodu kucharką – dodał, prowadząc nas do wejścia. – Cały dzień spędza przy kuchni, więc w domu to ja zajmuję się gotowaniem. W weekendy lubię urządzać grilla. A kiedy nie chce mi się gotować, przychodzimy tutaj. – Chwycił za klamkę. – *O, nein!* – Drzwi były zamknięte. – Tak mi przykro! – Rzucił papierosa na chodnik. Verena i ja powiedziałyśmy, żeby się nie przejmował, i że na pewno tu wrócimy.

– Czy to ten sam smak, który zapamiętałaś z Argentyny? – spytała Verena, gdy wzięłam kęs antrykotu.

– Niezupełnie. – Stek był dobry – zamarynowany w pieprzonym, octowym sosie, kruchy i poprzerastany tłuszczem świadczącym o tym, że krowę karmiono paszą – lecz w niczym nie przypominał *bifes*, które zapamiętałam z Buenos Aires, smakujących trawą i ziemią. – W Argentynie dodawanie sosu do steku to prawie jak świętokradztwo. Używają wyłącznie soli. I nie wydaje mi się, żebym... – okrążyłam widelcem kopczyk czerwonej fasoli z karmelizowanymi cebulkami i *jalapeño* – kiedykolwiek widziała fasolę w menu restauracji ze stekami. Ale to – odczekałam, aż Verena zje kawałek – jest naprawdę fantastyczne.

– Uhm! – Pokiwała głową, spoglądając na zegarek. Była ósma wieczorem.

Barman wyłączył Buena Vista Social Club i puścił Whitney Houston. Przypomniało mi to o Buenos Aires, gdzie zjadłam prawdopodobnie najlepsze *bifes* w swoim życiu, słuchając Roda Stewarta i Britney Spears. Jedynymi *parrillas*, które puszczały muzykę tango, były tam restauracje obsługujące turystów.

– Od 2003 do 2004 roku – powiedział Thomas na kilka ulic przed wysadzeniem nas przed La Bandita – byłem szoferem dla ludzi z parlamentu. To nie była praca dla mnie. Mój szef był bardzo surowy. A pasażerowie niełatwi. Wiecznie gadali o tym, jak to jest pięknie w Niemczech. – Zmarszczył nos pod okularami. – A ja byłem w trudnej sytuacji finansowej, ledwie starczało mi na życie. Prowadzenie taksówki nie było opłacalne. Zająłem się naprawą telewizorów, ale po upadku Muru ten biznes całkiem się załamał. Musiałem poszukać kolejnej pracy.

– I co zrobiłeś? – spytałam.

– Zacząłem jeździć tirami. Jeździłem do Włoch, Portugalii, Hiszpanii. Nadal prowadzę taksówkę. Ale po jakimś czasie kupiłem własną – powiedział. Jego niebieskie oczy odcinały się na tle ogorzałej twarzy. – Sam jestem dla siebie szefem.

– Jeśli chodzi o naszego taksówkarza, Thomasa – powiedziała Verena, odkładając widelec – to mamy w swoim języku słowo, które idealnie opisuje osobę taką jak on.

– To znaczy? – spytałam, nabierając na widelec ostatni kęs steku, fasoli i boczku.

– Nie sądzę, żeby miało ono angielski odpowiednik.

Kelner w falbaniastej koszuli podszedł, aby uprzątnąć nasze talerze.

– To słowo – odparła Verena, przyglądając się, jak kelner znika za barem – to

Lebenskünstler.

– Co ono oznacza?

– W dosłownym tłumaczeniu „mistrz życia”. Ale to pojęcie ma szersze znaczenie. To jak... – Utkwiła wzrok w suficie, gładząc frędzle różowego szala. – To słowo opisujące ludzi, którzy uczynili z życia sztukę dzięki swojej pomysłowości i znajdowaniu nowych sposobów na przetrwanie.

– *Lebenskünstler* – powtórzyłam, gdy Whitney Houston śpiewała refren *I'm Every Woman*, a kelner przyniósł nam rachunek. Wyciągnęłam notes i zapisałam słowo. – Tak jest dobrze? – Pokazałam je Verenie. Uśmiechnęła się, wzięła mój długopis i dodała umlaut nad „u”.

Wróciłam w pośpiechu do mieszkania, cisnęłam torebkę na łóżko, zrzuciłam sandały i otworzyłam laptop, siłą woli zmuszając go do szybszego uruchomienia się, żeby móc zacząć wyszukiwać znaczenie zapisanego słówka. Verena miała rację: w angielskim nie istniał odpowiednik dla *Lebenskünstler*.

Kluby na Revaler Strasse przygotowywały się do wieczornego otwarcia, a ja ślęczałam przy komputerze, niepomna na późną porę, przeszukując wszystkie możliwe definicje *Lebenskünstler*, jakie udało mi się znaleźć, zupełnie jakbym szukała rozwiązania dla zagadki, z której istnienia do tej pory nie zdawałam sobie sprawy.

Większość definicji nie oddawała znaczenia w sposób, jaki opisała je Verena. Jak podawał jeden ze słowników niemiecko-angielskich, *Lebenskünstler* był „wyluzowanym facetem”. Badaczka literatury brytyjskiej i kultury, Kelly Sear Smith, zaliczyła słowo do listy niemieckich „wyrazów złożonych i ciekawostek językowych”. Jak zauważyła, „*Lebenskünstler* to ktoś, kto wiecie ekscentryczny styl życia. Osoba pokroju Kramera z serialu *Seinfeld*”.

Po północy – zerknęłam na zegarek, gdy usłyszałam głośną muzykę house dobiegającą gdzieś z dołu – gdy ściany mieszkania zaczęły drzeć, natknęłam się na definicję słowa *Lebenskünstler*, która pasowała do Thomasa. „Jak rzekomo powiedział kiedyś Oscar Wilde, «Wkładam w pracę cały swój talent, lecz w życiu wkładam geniusz»”, napisał Andrew Hammel na swojej stronie *Niemieckie Słowo Dnia*. „Odpowiedni wstęp do słowa na ten tydzień. *Lebenskünstler*. Tłumaczenie dosłowne – mistrz życia. On jest *Lebenskünstler*. Jest kimś, kto utrzymuje się przy życiu dzięki imaniu się różnych zajęć, które razem wzięte zapewniają wystarczającą ilość pieniędzy potrzebnych na przetrwanie. Żadnej korporacji, garnituru, szefa, zasad...”.

Przeczytałam ponownie ostatnie zdanie. „Żadnej korporacji, garnituru, szefa, zasad”. Oto miałam przed sobą pojedyncze niemieckie słowo podsumowujące podyktowane wolnością podejście do życia Thomasa. „Słowo – pomyślałam, przepisując definicję do notesu – sugerujące, że nie było nic złego w wymianie poczucia bezpieczeństwa na wolność, w rezygnacji z kieratu od dziewiątej do piątej, w prowadzeniu taksówki, pracy dla szalonej, argentyńskiej firmy i kontynuowaniu taksówkarskich przygód, nawet jeśli oznaczało to żywienie się fasolką z puszek”. Czułam się, jakbym przez pięć ostatnich lat chodziła z jakąś niezdiagnozowaną przypadłością, a teraz ktoś mówił mi: „Wiesz co, tak naprawdę wcale nie jesteś chora. Tutaj w Berlinie mamy określenie na twoją chorobę – która, tak na marginesie, jest zupełnie normalna. A jest nim *Lebenskünstler*”.

UPŁYNAŁ JEDEN DZIEŃ, potem drugi, a potem trzeci od mojej przejażdżki z Thomasem. Nadszedł wrzesień, a wraz z nim data mojego odlotu, majacząca niczym ciemna chmura na tle niezbyt odległego horyzontu. W dalszym ciągu nie udało mi się znaleźć sposobu na napisanie jego historii. „Słowem, którego potrzebujesz, jest *Lebenskünstler*”, pomyślałam, lecz wciśnięcie tego pomysłu do artykułu na blogu, składającego się z sześciuset słów, nie wydało mi się właściwe. Wróciłam do notatek, przypominając sobie fragmenty naszej rozmowy. „Skąd wiedziałeś, dokąd jechać?”, spytałam, gdy opowiedział Verenie i mi o pierwszym kursie do Zachodniego Berlina. Czy nie był on przypadkiem białą plamą na mapach Niemieckiej Republiki Demokratycznej? Odparł, że po nauczaniu się trasy dojazdowej do KaDeWe nie było już tak źle. Pomyślałam o Zille. Wyobraziłam sobie ją i Thomasa, jak jadą w przeciwnych kierunkach w dniach po zdemontowaniu Muru Berlińskiego – ona z Zachodu na Wschód, a on ze Wschodu na Zachód – do połówek własnego miasta, które były im kompletnie obce. Za każdym razem, gdy próbowałam wyobrazić sobie moment przekraczania granicy, historia wyczerpywała się i traciła na wyrazistości.

Wybrałam się na spacer po okolicy z notesem w kieszeni i nadzieją na to, że nawiedzi mnie inspiracja do napisania pierwszego zdania. **NIE ZAPOMNIJ WRÓCIĆ DO DOMU!**, głosił jeden z plakatów wywieszonych przed klubami na Revaler Strasse. „Ale ja jestem w domu”, pomyślałam. Cóż za dziwna myśl. Dwa miesiące spędzone w Berlinie to za mało. Podobnie jak trzy.

Każde miasto miało swoje niedostatki. Koniecznie chciałam poznać wady Berlina. Istniała teoria, że było to miasto „skazane na proces wiecznego stawania się, a nie bycia”. Może Karl Schleffer miał rację: w ciągu ostatnich stu lat Berlin przeistoczył się z dekadentkiej metropolii w kwaterę główną Trzeciej Rzeszy, a potem w miasto po upadku Muru – a teraz był zjednoczoną stolicą, gdzie wszystko wydawało się możliwe. A więc wiecznie zmieniający się, bez dwóch zdań. Jednak w mojej opinii nie była to wada – jak inaczej miasto miałoby zachować swoją historię? Ominęłam szczątki telewizora, który ktoś wyrzucił przez okno z wysoka. Dla mnie wspaniałość Berlina kryła się w jego ciągłym ruchu.

– Więc jesteś szychą w Berlinie, tak? – spytał tata podczas niedzielnej rozmowy telefonicznej, gdy opowiedziałam mu i mamie o jeździe taksówką z Vereną oraz e-mailu od dziennikarza „Der Spiegel” o imieniu David. – Jak oni cię znaleźli?

– Nie mam pojęcia. – Zakładałam jednak, że pozostali reporterzy dowiedzieli się o moim projekcie dzięki temu pierwszemu wywiadowi udzielonemu Heike z RTL.

– Cała ta dziennikarska otoczka to jak drugi etat! – uznała mama.

– Nie martw się! Znudzą się tym prędzej czy później. Tak czy inaczej... – stłumiłam westchnięcie – i tak wkrótce wyjeżdżam.

Kilka dni później David wystąpił w charakterze tłumacza, gdy wsiedliśmy do taksówki stojącej na postoju naprzeciwko Brandenburger Tor, w której siedział nieśmiały, lecz uprzejmy kierowca imieniem Eren. Pościł z racji trwającego właśnie ramadanu, ale z radością pokazał nam turecką restaurację niedaleko Kottbusser Tor o nazwie Konyalı, gdzie piekli *konya etli ekme*k (pitę z wołowiną, sumakiem i pietruszką naciową) w ceglany piecu. David był wyrozumiały i spostrzegawczy. Był również wegetarianinem, więc zamówił serową wersję pity z Konyalı. Wykazał autentyczne zainteresowanie, gdy opowiadałam mu o Zille, Thomasie i pozostałych napotkanych przeze mnie w Berlinie kierowcach, chciał zrozumieć ideę kryjącą się za moim projektem. Jesteśmy tak bardzo skupieni na tym, skąd się wzięliśmy i dokąd zmierzamy, na dotarciu z punktu A do punktu B – powiedziałam. – Przez większość czasu nie zwracamy żadnej uwagi na to, co dzieje się pomiędzy punktem A i punktem B. W trakcie taksówkarskiej przygody musisz zwracać uwagę na wszystko. Najważniejsze jest to, co dzieje się w tak zwanym międzyczasie.

Gdy reportaż Davida ujrzał światło dzienne, zaliczyłam więcej odwiedzin na blogu w ciągu sześciu godzin niż przez ostatnich sześć miesięcy. Jednak rozgłos okazał się równie cudowny, co krótkotrwały – dwa dni później statystyki odwiedzin wróciły do normy, a wszystko było takie jak dawniej, co rozczarowało mnie bardziej, niż chciałam się przyznać. Otrzymałam również dziwnego e-maila:

Witaj, Layne!

Nazywam się Rumen Vassillevski. To bułgarskie nazwisko, mój ojciec jest Bułgarem. Czytałem o Twoim blogu w „Spiegel” i bardzo mi się spodobał.

Od piętnastu lat pracuję w Berlinie jako kierowca taksówki i jestem też małym smakoszem. Mógłbym Ci pomóc, udzielając trochę informacji na Twój blog.

Tak na marginesie, prowadzę taksówkarski blog autofiktion.com. W chwili obecnej przebywam na urlopie w Bułgarii. Ale wracam do Berlina jeszcze dziś. Jutro będę gotowy do „drogi”!

Pozdrawiam
Rumen Vassillevski

– „Małym smakoszem?” – roześmiała się Julia, zamykając laptop. – Masz zamiar mu odpisać?

Siedzieliśmy w jej mieszkaniu na północnym skraju Mitte na puszystej, białej sofie, kończąc *fettuccini primavera* ze śmietanką i świeżym koperkiem.

– Już to robiłam – odparłam. – Sprawia wrażenie dziwaka. – Oparłam ząbki widelca o usta. – Ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

– Zgadza się – powiedziała Julia. Położyła swoją pustą miseczkę na szklanym stoliku do kawy i odpakowała batonik z gorzkiej czekolady, który przyniosłam, łamiąc go na kawałki, zanim mnie poczęstowała. Jej bladoniebieskie oczy, zazwyczaj wyraziste i błyszczące, były pełne zadumy. – Ile czasu ci zostało?

– Trzy tygodnie – powiedziałam, gryząc kawałek czekolady i nie odnotowując jej smaku. Im bardziej zbliżałam się do daty odlotu, tym bardziej zmagalam się z koniecznością opuszczenia Berlina, ale nie miałam wyboru. Moja wiza turystyczna wkrótce wygasła i zdążyłam już

wymienić bilet lotniczy. Jeśli nie chciałam zapomnieć do reszty topografii Nowego Jorku, czas było wracać na siedzenie kierowcy taksówki. A w rzeczywistości? Nienawidziłam pomysłu powrotu do prowadzenia taksówki. Każdego dnia w Berlinie cieszyłam się, że nie muszę prowadzić taksówki w Nowym Jorku. Mimo całej determinacji, jaką włożyłam w pokochanie tej pracy i Nowego Jorku, nie czułam się oddana żadnemu z nich.

– Wiem, że kiedyś tu wrócisz – powiedziała Julia.

Bardzo chciałam wierzyć w jej słowa.

Gdy następnego dnia zadzwoniłam do Rumena, aby obgadać szczegóły kulinarnego wypadu jego taksówką, wydał mi się złośliwy. Nie byłam pewna, czy to zasługa jego głosu – przypominał Jamesa Earla Jonesa z niemieckim akcentem – czy metoda negocjacji.

– Każdy chce czegoś za darmo – powiedział. – Jestem licencjonowanym przewodnikiem miejskim. Organizuję trasę, koszt to czterdzieści euro za godzinę.

Czy to był ten sam Rumen, który pisał te wszystkie zabawne wiadomości? („Jestem naprawdę zaskoczony, że się odezwałaś! – odpisał na moją odpowiedź. – Najbardziej lubię kuchnię azjatycką, a szczególnie tajską i wietnamską. Jednak będąc w połowie Niemcem, znam też kilka niemieckich lokali. Daj znać, co o tym myślisz”). Czy to ten sam Rumen, który jako pierwszy wpadł na pomysł naszej kulinarnej wyprawy? Wyglądało na to, że zmieniał warunki.

– Nie oczekuję niczego za darmo – odparłam. – Sama jestem kierowcą taksówki. Ale jeśli to ma kosztować czterdzieści euro, nie stać mnie na więcej, niż godzinę...

– Jedną godzinę?

Teraz to ja byłam poirytowana.

– Pewnie to dla ciebie za mało. Nie musimy...

– Okej! Spotkam się z tobą. Godzina wystarczy.

– W porządku. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym zaprosić kilku znajomych...

– Znajomych?

– Prowadzą blog podróżniczy. Opowiedziałam im o tobie i są bardzo ciekawi.

– W porządku – odparł, odkładając słuchawkę, zanim zdążyłam się pożegnać.

Trzy dni później szłam na Jessnerstrasse na spotkanie z Rumenem, mając nadzieję, że się na nim nie zjawi. Zapięłam kurtkę i objęłam się ramionami, chowając się przed mżawką. Lato dobiegło końca. Liście opadały z drzew, a w mieście robiło się coraz chłodniej i ciemniej. Mimo to nadal je uwielbiałam. Tamtego ranka, w sklepie z używanymi książkami na Niederbarnimstrasse, pani, która ważyła przy kasie moje książki, spojrzała przez okno na pochmurne niebo i powiedziała: „Do Berlina nie przyjeżdża się ze względu na pogodę, tylko na ludzi”.

Na Jessnerstrasse dostrzegłam tylko jedną zaparkowaną taksówkę. Wysoki mężczyzna w granatowej kurtce przeciwdeszczowej wycierał ją, odwrócony plecami do mnie. Pociągnęłam za rękaw, nakrywając nimi dłonie.

Mężczyzna odwrócił się, gdy usłyszał odgłosy moich kroków. „O nie”, pomyślałam, gdy tylko go zobaczyłam.

– Witaj! – Na żywo głos miał jeszcze głębszy niż przez telefon. Była w nim pewna powaga rodem z symfonii Beethovena. – Ty jesteś Layne? – spytał, taksując mnie od stóp do głów i wyciągając w moją stronę gigantyczną dłoń. Miał piękne oczy, szarobłękitne i głęboko

osadzone. Włosy w odcieniu piaskowego blondu miał krótko ostrzyżone, a na rękę nosił zegarek lotniczy. Domyśliłam się, że był lekko po czterdziestce.

Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to uścisnąć jego dłoń, która okazała się ciepła i szorstka. „O nie”, pomyślałam znowu, czując, jak ogarnia mnie monosylabiczny kretynizm, który przejmował nade mną kontrolę za każdym razem, gdy spotykałam kogoś naprawdę atrakcyjnego.

– Rumen Vassillevski?

– Miło mi cię poznać.

– Mnie również. – Twarz płonęła mi żywym ogniem.

Rozejrzałam się po ulicy i zauważyłam mężczyznę i kobietę w nylonowych kurtkach wiatrówkach idących w naszą stronę. Dan i Audrey, w samą porę. Byli parą, pochodzili ze Stanów. Rzucili pracę w Pradze, sprzedali swój dobytek i w 2006 roku zaczęli podróżować po świecie. Cztery lata później nadal byli w drodze, dokumentując swoje przygody na stronie *Uncornered Market*. Natknęliśmy się na siebie na stronach internetowych poświęconych jedzeniu i podróżom i zaaranżowaliśmy spotkanie na żywo, gdy okazało się, że będziemy w Berlinie w tym samym czasie. Od razu się zgodzili, gdy zaprosiłam ich do wspólnej wyprawy kulinarnej z Rumieniem.

Cała nasza czwórka uścisnęła sobie dłonie, uprzejmie i z lekkim zakłopotaniem.

– Idziemy? – spytałam, nieco zbyt entuzjastycznie.

– Dzisiejszą główną atrakcją będzie kuchnia niemiecka – zakomunikował Rumen, prowadząc taksówkę przez ruch na Frankfurter Allee, jakby jechał slalomem przez pacholki w reklamie sportowych samochodów.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że twoją ulubioną kuchnią jest azjatycka...

– Jesteśmy w Niemczech, więc musicie poznać niemieckie jedzenie. I to koniecznie! – Gdy mówił, poruszał całym ciałem, jakby siedzenie nie było wystarczająco duże, aby go pomieścić.

– Okej, w porządku. – Zaśmiałam się, ogarniając z oczu kosmyk włosów i żałując, że tego ranka nie poświęciłam więcej czasu na ogarnięcie fryzury. – To świetnie się składa, bo zdążyłam już zaliczyć mnóstwo... No cóż, może i nie mnóstwo, ale sporo przejażdżek po Berlinie, i żaden z taksówkarzy nie pokazał mi jeszcze prawdziwego, niemieckiego jedzenia... – Twarz nadal miałam gorącą. Dan i Audrey chichotali na tylnym siedzeniu.

– Pokażę ci coś unikalnego w niemieckiej kuchni. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Nigdy nie znalazłabyś czegoś takiego i już nigdy nie znajdziesz, ponieważ to jedzenie, a konkretnie ta restauracja, już niedługo przestanie istnieć.

– Jest nowa?

– Nie. Chodzi o łut szczęścia. Ten lokal istnieje od czasów socjalizmu. Stołuje się tam głównie biedota, ale jedzenie, czy też raczej posiłki, są w porządku. Znajduje się w samym centrum, blisko Alexanderplatz. Nie mam pojęcia, jak oni się utrzymują z takimi cenami i taką klientelą.

– Czy jedzenie jest dobre? – spytałam.

– Oczywiście – kiwnął głową. – Jest stuprocentowo niemieckie! – Zachichotał psotnym, wysokim głosem, który kompletnie nie pasował do jego postury i głosu. – Koniecznie musisz spróbować „martwej babci”.

– Co to jest?

Tym razem Dan i Audrey wybuchnęli autentycznym śmiechem.

– Sama zobaczysz! – zawołał Rumen. Zaparkował taksówkę równolegle do Karl-Liebknecht-Strasse trzema obrotami kierownicy – Zwykle jem typowe niemieckie potrawy wyłącznie u swojej mamy. – Wyłączył silnik. – Urodziła się w Berlinie, na Neukölln. Później przeprowadziliśmy się do wioski w Niemczech Wschodnich.

– A twój ojciec jest Bułgarem?

– Tak. – Odpiął swój pas bezpieczeństwa. – Co roku jeżdżę na wakacje do Bułgarii. Zawsze wybieram się w góry. Nie lubię morza.

– Dlaczego? – spytała Audrey.

Rumen uśmiechnął się.

– W Bułgarii mówimy, że mafia nie jest częścią rządu, bo to rząd jest częścią mafii...

– O rany – parsknął śmiechem Dan.

– To powód, dla którego ceny nad wybrzeżem Morza Czarnego są takie wysokie.

Wysiedliśmy z taksówki. Spoglądając na wieżę telewizyjną, szliśmy za Rumenem do restauracji. Nad wejściem wisiał brązowo-żółty szyld ze staroniemieckim pismem. Lokal nazywał się Käse König.

– Serowy Król? – spytałam, spoglądając na szyld. – Czy może Królewski Ser?

– Nie wiem – odparł. – To akurat mało ważne.

Weszliśmy do środka, wdychając zapach kminku i patrząc w stronę podgrzewaczy za ladą, zawierających niezidentyfikowane rodzaje purée w przegotowanych barwach zieleni i brązu. Rumen zatarł ręce i przywitał się z kobietą przy kasie, która uśmiechnęła się do niego jak niecna współpracowniczka, gdy zamówił jeden talerz *tote oma* („martwej babci”) do podziału dla naszej czwórki.

– Interesujące! – powiedział, wręczając mi porcelanowy talerz z gotowanymi ziemniakami, kiszoną kapustą z kminkiem oraz najcenniejszym okazem ze wszystkich zbiorów: kałużą grudkowatej, brązowo-różowej papki otoczonej pierścieniem czerwono-pomarańczowego oleju. – Właśnie się dowiedziałem, że „martwa babcia” ma jeszcze jedną nazwę. – Wskazał na papkę. – Możesz ją również nazywać *Katastrophe*! – Oparł dłonie na biodrach, odchylił głowę w tył i wybuchnął grzmiącym śmiechem. W restauracji siedziało kilku starszych klientów, którzy podnieśli wzrok znad swoich talerzy, zaskoczeni donośnością jego śmiechu.

– Katastrofa? – Ja również się śmiałam. Dan i Audrey przyglądali się badawczo zawartości talerza z uprzejmymi uśmiechami. – Z czego to się składa? – spytałam. – Poczekaj. – Machnęłam rękami. – Nieważne. Nie chcę tego wiedzieć.

– To *Blutwurst* – wyjaśnił Rumen. – I *Leberwurst*. Taka mieszanka!

– Kaszanka i kiełbasa z wątróbki? – spytała Audrey.

– *Genau*. – Kiwnął głową, rozdał nam widelce i odszedł od stołu.

– Hej – zawołałam. – Dokąd idziesz?

– Muszę sprawdzić, co z taksówką – odparł. – Na wypadek gdybym dostał mandat za nieprzepisowe parkowanie! Nie martw się! Zaczekam na was na zewnątrz. *Guten Appetit!*

Wyszedł z lokalu. Każde z nas ugryzło kęs.

„Martwa babcia”, czy też *Katastrophe*, nie była aż taka straszna.

– Chyba czuję paprykę – powiedziałam. – I gałkę muszkatołową.

– W smaku przypomina mi nadzienie do *bánh mì* – stwierdził Dan.

– Wydaje mi się, że smakuje lepiej z kapustą – dodała Audrey. – Ma neutralizujący efekt.

– No i jak? – spytał Rumen, gdy wróciliśmy do taksówki.

– Nie było tak źle – przyznałam.

– Nie wiem, czy zjadłbym to ponownie – wyznał Dan – ale smakowało lepiej, niż sądziliśmy.

– Naprawdę?

– Jadłam gorsze rzeczy – powiedziałam, co akurat było prawdą. „Martwa babcia” nie mogła się równać z *chinchulines* (flaczkami) z *parilla* naprzeciwko kasyna w Buenos Aires, które smakowały jak zjełczały tłuszcz roślinny.

– Problem z niemiecką kuchnią polega na tym – wyjaśnił Rumen, oglądając się przez ramię, gdy wyjeżdżał na Karl-Liebknecht-Strasse – że nie używa się w niej ziół. A cukier jest dodawany dosłownie do wszystkiego! Dlatego gdy jestem w Berlinie, choć moja matka akurat tu nie mieszka, wolę kuchnię tajską i wietnamską. A teraz – uniósł dłoń w stronę dachu – pokażę wam prawdopodobnie jedną z najlepszych restauracji wietnamskich w mieście.

Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej. Byliśmy w drodze już niemal od godziny.

– Skąd wzięło się twoje upodobanie do tajskiego i wietnamskiego jedzenia? – spytałam.

– Wszystko zaczęło się piętnaście albo dwadzieścia lat temu. Mieszkałam we Frankfurcie nad Menem i tam odkryłam kuchnię indyjską. W tamtych czasach była ona „nowością” – pokazał cudzysłów palcami, nie zdejmując rąk z kierownicy – a gdy przyjechałam później do Berlina, trudno było znaleźć jakąkolwiek inną kuchnię, na przykład włoską, ponieważ wtedy nikt jeszcze nie wiedział, jak to się robi. Od kuchni indyjskiej przeszedłem do tajskiej! Uwielbiam mleczko kokosowe i czerwone curry z kurczakiem. – Przełknął głośno, jakby ślinka napłynęła mu do ust. – A potem, jakieś dwa albo trzy lata temu, przeszedłem do wietnamskiej, bo zyskała wówczas na popularności, szczególnie w Berlinie.

– Dopiero dwa lata temu?

– W mojej opinii. Ale nie jestem specjalistą – odparł, zmieniając pas ruchu na Karl-Marx-Allee. – Zapnijcie pasy, może być trochę niebezpiecznie...

– Co? Och, tak, wybaczone. – Nie miałam pojęcia, jak mógł jednocześnie podtrzymywać rozmowę i radzić sobie z ruchem na ulicy. Gdy zagłębiałam się w rozmowy ze swoimi pasażerami, albo się gubiłam, albo popełniałam karygodne błędy, jak rozbijanie bocznych lusterek czy zbyt mocne hamowanie.

Przejechaliśmy przez Sprewę i wjechaliśmy do Kreuzberga znanego wcześniej jako część Berlina Zachodniego, gdzie znajdowała się ulubiona wietnamska knajpka Rumena.

– Przed upadkiem Muru najważniejszą rzeczą było dla mnie odwiedzenie Zachodniego Berlina. To było moje marzenie. Mieszkanie w Berlinie nie było takie istotne. Pragnąłem dostać się na drugą stronę Muru.

– Gdzie byłeś w momencie obalenia Muru?

– Tutaj. Tańczyłem na nim, przy Bramie Brandenburskiej. Na marginesie: to było jedyne miejsce, które się do tego nadawało. Pozostałe części Muru były zbyt wąskie. Ale fragment Muru przy Bramie był bardzo szeroki i gruby, żeby móc zatrzymać czołgi.

– Byłeś tam? – spytałam. „Jakie to było uczucie tańczyć na Murze?”. To pytanie wydało mi się jednak głupie, rodem z programu informacyjnego.

– Oczywiście! Zabawa trwała cały dzień i noc. Ludzie z Zachodu częstowali nas bananami i szampanem. Każdy Niemiec z NRD dostał również bonus powitalny w postaci pieniędzy.

Chcecie wiedzieć, co za nie kupiłem?

– Co takiego?

– Album Tracy Chapman. I trochę zachodnich kiełbasek, bo trudno je było dostać we Niemczech Wschodnich. Na Ku'damm był taki bar Imbiss. Tamtejsze *Wiener Würstchen* miały wyjątkowy smak.

– Jak je znalazłeś?

– Zobaczyłem – odparł, uśmiechając się – i wyczułem.

– Aha. – Wyprostowałam się, układając nogi tak, żeby uda nie rozjeżdżały mi się na siedzeniu.

– Tak czy inaczej, po upadku Muru zapanowała swoista anarchia, szczególnie w Berlinie Wschodnim, bo na ulicach nie było zbyt wielu policjantów.

– To dlatego przyjechałeś do Berlina?

– Przyjechałem, bo tutaj wszystko było możliwe. – Urwał, spoglądając na mnie, a potem na Dana i Audrey, jakby chciał się upewnić, że wszyscy uważnie go słuchamy. – To główny powód. I dlatego, że mogłem urządzić dwie głośne imprezy w ciągu roku, a sąsiedzi nie wezwaliby policji...

Roześmiałam się.

– Co więcej, w Berlinie mogłem jeździć rowerem po chodniku i chodzić po ulicy z piwem w ręku!

– Ale to nadal prawda, tak? – spytałam. – Nadal mam to poczucie, że wszystko jest możliwe...

– Nie. – Rumen pokręcił przecząco głową. – Najlepsze czasy Berlin ma już za sobą.

Utkwiłam w nim wzrok.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że z początku wszystko było możliwe...

– Tak?

– A potem zrobiło się to nudne. Do Berlina zaczęło się zjeżdżać coraz więcej normalnych ludzi, których nie było tu w latach dziewięćdziesiątych, więc nie mieli pojęcia, o czym mówiłem – wyjaśnił, a radosna nuta w jego głosie wyparowała. – Nie potrafią wyobrazić sobie tej wolności, którą mieliśmy.

Wyjrzałam przez szybę. Minęliśmy mężczyznę na rowerze z bębniem do bongo na plecach. „Te czasy już minęły? – pomyślałam. – Nie, nie, nie...”

– A na czym właściwie polegała różnica? – spytał Dan.

– Każdy większy pokój w mieście był pubem – powiedział Rumen. – Urządzano imprezy, podczas których profesorowie siedzieli obok sprzątarek i to było zupełnie normalne. To się bardzo zmieniło. W latach dziewięćdziesiątych, gdy zacząłem jeździć taksówką, było więcej klientów z Berlina. Teraz większość z nich przeniosła się tu z powodu pracy albo partnera. Albo są turystami. Przyjeżdżają, bo Berlin jest tani. A to, co jest tanie, nie jest szanowane.

– To, co jest tanie, nie jest szanowane...

– Dokładnie! Nie szanują Berlina ani tego, jaki był. Jak wam to uzmysłowić? – Znowu spojrzał na mnie z ukosa. – W ostatnich latach – ciągnął, a część zapału powróciła do jego głosu – zacząłem coraz lepiej rozumieć powody, dla których przyjechałem do Berlina. Zawsze mówiłem, że trafiłem tu z powodu samego miasta, a nie dziewczyny czy pracy. Ale teraz wiem,

że Berlin był i jest dla mnie jak osoba...

– Dla mnie również. – Mimo jego wieku, siedmuset siedemdziesięciu trzech lat, których ciągle przybywało, zaczęłam postrzegać Berlin jako nastolatka za wszelką cenę usiłującego być dorosłym, a Nowy Jork jako mężczyznę z kryzysem wieku średniego.

– Co do Nowego Jorku, to nie jestem pewien – zaśmiał się. – Dla mnie Berlin to głównie moja matka, ale może być także ojcem... Ach! – Wskazał palcem za szybę na szyld na chodniku reklamujący sojowe latte. – *Sojamilk!* – Skrzywił się, jakby miał w ustach cytrynę. – Mleko jest od krowy! Nie z soi!

Przygryzłam dolną wargę. Lubiłam mleko sojowe, ale nie zamierzałam o tym mówić.

Zaparkował taksówkę obok ścieżki rowerowej na Hasenheide, przed wietnamską restauracją o nazwie Hamy. Na prawo od wejścia znajdowała się otwarta kuchnia, w której dwie starsze Azjatki w siatkach na włosach smażyły z zacieklą koncentracją, a płomienie lizały boki ich woków. Po przystawce w postaci „martwej babci” nikt z nas nie wiedział, czego się spodziewać, ale nadal byłam głodna i nie mogłam powstrzymać optymizmu, gdy poczułam zapach liści limonki *kaffir*. Zamówiliśmy zupę *pho*, czerwone curry oraz herbatę imbirową, po czym usiedliśmy na zewnątrz przy ostatnim wolnym stole piknikowym.

– Widziałaś mój blog? – spytał Rumen.

Jego blog – *Autofiktion. Nieprawdziwe historie z prawdziwego życia berlińskiego kierowcy taksówki* – był, rzecz jasna, po niemiecku. Gdy skopiowałam wpisy do tłumacza Google, przypominały jeden wielki bełkot.

– Chciałabym móc zrozumieć twoje teksty, ale nie jestem w stanie.

– Może to i lepiej.

– Dlaczego? – parsknęłam śmiechem.

– To, co piszę, jest nieco szorstkie i grubiańskie, może nawet odrobinę prowokacyjne. Piszę głównie o Berlinie i o tym, jak się zmieniał.

– Zajrzę na niego jeszcze raz – obiecałam. – Tak na marginesie, robisz świetne zdjęcia.

Jego zdjęcia – graffiti, znaków drogowych, znalezionych przedmiotów, placów budowy – przedstawiały sceny niekiedy tak absurdalne, że wiele z nich sprawiało wrażenie surrealistycznych.

– Podobały ci się? – spytał, a jego oczy pojaśniały. Poczułam, że znowu się rumienię.

Zjawilo się nasze zamówienie w postaci curry, ukryte pod przybraniem z siekanej kapusty i fenkułu.

– Właśnie to lubię najbardziej w kuchni wietnamskiej – powiedział Rumen, wymachując widelcem nad swoją porcją. – Kontrast. Zawsze podają do tego niewielką sałatkę. W kuchni tajskiej serwują wyłącznie pikantne curry.

– Rzeczywiście jesteś małym smakoszem – stwierdziłam. Zjadłam kawałek i zaniósłam się kaszlem, jak tylko go połknęłam. Pod fioletowymi liśćmi bazylii i limonką *kaffir* znajdowały się ostre, czerwone papryczki chili. – Pyszne – powiedziałam, uderzając się w pierś i nabierając na widelec pełno ryżu, aby zniwelować pieczenie.

– Za ostre? – Wyglądał na zmartwionego.

– Nie. – Odkaszlnęłam. – Tylko odrobinę pikantniejsze, niż się spodziewałam.

Zabraliśmy się do jedzenia, raz po raz wracając do przerwanej rozmowy, gdy Rumen dyskutował z Danem i Audrey o książkach. Czy czytaliśmy Michela Houellebecqa? Nie? Iliję

Trojanowa? A może *Greka Zorbę*? Też nie? Przecież to klasyk!

– Tego lata czytałem ją chyba po raz dziesiąty – powiedział. – Zorba jest dla mnie bohaterem. Gdy wszystko wokół się wali, on tańczy.

Staralam się jeść małe, eleganckie kęsy, czując, jak ogarnia mnie niepokój, który był najmniej związany z dziwnym przejściem od „martwej babci” do tajskiego, czerwonego curry. „Czy to prawda? Czy Berlin najlepsze lata miał już za sobą?”. Miałam nadzieję, że nikt przy stoliku nie zorientował się, jak bardzo zaintrygował mnie Rumen, który kochał to miasto dłużej ode mnie i nadal darzył je uczuciem, nawet jeśli miał poczucie, że wymykało mu się z rąk.

– **NIGDY NIE SĄDZIŁAM, ŻE BĘDZIE TAKI PRZYSTOJNY** – powiedziałam Julii, gdy czekałyśmy w kolejce w Schlemmerbuffet, budce z kebabem na Rosenthaler Platz, dzień po przejażdżce z Rumenem. Spojrzałam na kawał mięsa obracający się leniwie w oknie i zerknęłam z ukosa na Julię, gdy podeszłyśmy bliżej do lady. Miała minę małej dziewczynki z kieszenią pełną cukierków. – Dlaczego się uśmiechasz?

– Och... – Spojrzała w sufit, udając niewiniątko. – Bez powodu.

– Bez powodu?

– *Bitteschön!* – zawołał pan przy kasie. – W czym mogę pomóc?

Julia zamówiła dla nas döner kebab z *scharfer Sosse*, a mężczyzna z wielkim, ząbkowanym nożem zaczął odkrawać cienkie paski z obracającego się bloku mięsa, pozwalając, aby wpadły do wytopionego tłuszczu, zanim wsadził je w trójkątne pity.

– Julio – powiedziałam, gdy usiadłyśmy w jednym z boksów stojących wzdłuż ściany. – Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

Coś zamigotało za zasłoną charakterystycznego spokoju w jej oczach, gdy wręczyła mi mój kebab w trójkątnej serwetce.

– Powiedziałam Dilek o twoim taksówkarskim projekcie.

– Tak...? – Kilka tygodni temu Julia przedstawiła mnie Dilek, jednej ze swoich znajomych z Berlina. Oprócz redagowania kolumny w „Berliner Zeitung”, napisała też cztery książki oraz sztukę pod tytułem *Turkish for Lovers*, i jak wyjaśniła Julia, przyjaźniła się z Davidem z „Der Spiegel”. – Ha! – pogroziłam jej palcem, udając oburzenie. – A więc powiedziałaś Dilek, a ona powiedziała Davidowi...

– A Ru... jak on się nazywa?

– Rumen Vassillevski.

– A Rumen Vassillevski znalazł cię w „Spiegel”! – Julia skubnęła kawałek mięsa ze swojej kanapki. – Uroczy z niego facet, co?

– Tak – przyznałam, spoglądając na swój kebab, mięso, pomidory i krążki cebuli wysypujące się z pity niczym owoce z rogu obfitości, i zastanawiając się, jak go zjeść bez umazania sobie całej twarzy. – Ale nie chcę teraz spotykać się z żadnymi przystojniakami! – Zostały mi niecałe dwa tygodnie pobytu w Berlinie. Wszystko, co w tej chwili czyniło miasto bardziej ujmującym, tylko pogłębiało moją rozpacz. – Ale wiesz co? – dodałam, gdy zjadłyśmy po pierwszym kęsie. Mięso było mocno doprawione, niemal zbyt słone, lecz nie do końca, a *scharfer Sosse* miał lekko pikantny i słodkawy smak. – Nie chodzi tylko o to, że jest przystojny. Jest naprawdę... – podniosłam kawałek cebuli, który mi wypadł. – On wie mnóstwo rzeczy o Berlinie. I kocha to miasto. Poniekąd czuję się tak, jakby zdzielił mnie w twarz.

Julia poprawiła zsuwający się plaster pomidora.

– Co masz na myśli?

– Odkąd tu przyjechałam, bujałam w obłokach, idealizując miasto jak jakaś idiotka. Nie miałam pojęcia, jak bardzo zmieniło się od czasu lat dziewięćdziesiątych.

„Byłam strasznie nieświadoma”, pomyślałam po rozmowie z Rumenem. Nie miałam pojęcia, co działo się wcześniej i jak miasto zmieniało się współcześnie. Dlaczego nie zauważyłam tych wszystkich dźwigów wystających ponad horyzont? Albo butików z antykami, kawiarni serwujących kawę z jednego regionu, placów budowy, na których powstawały nowe dzielnice mieszkalne – oraz wyburzonych apartamentowców w stylu secesyjnym – w przeciągu paru miesięcy mojego pobytu na Friedrichshain?

– Miasto nie mogło wiecznie wyglądać jak za lat dziewięćdziesiątych – stwierdziła Julia. – Miasta się zmieniają! Zwłaszcza Berlin. Może twój taksówkarz – wepchnęła zabłąkany kawałek sałaty z powrotem do kebaba – ma nieco nierealistyczne podejście do życia?

– Może...

– Myślisz, że jeszcze się spotkacie?

– Tego nie wiem. – Pod koniec naszej wycieczki uścisnęliśmy sobie dłonie, a on pozwolił mi zapłacić wyłącznie za jedną godzinę, choć trwała ponad trzy.

„Nie ma sposobu – napisałam tego wieczora na swoim blogu – żadnego cytatu ani słów, by opisać dzisiejszą przygodę, oddając sprawiedliwość naszemu przewodnikowi”.



– Witamy w Alcatraz! – zawołał Rumen, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem, gdy poprowadził mnie przez solidne, drewniane drzwi, wystarczająco wysokie i szerokie, aby pomieścić karetę, potem przez drugie identyczne wrota na brukowany dziedziniec porośnięty chwastami, a potem na tyły jego budynku mieszkalnego, gdzie otworzył zamek metalowych drzwi z okienkiem na wysokości głowy przypominającym brudną płachtę papieru milimetrowego.

Wyglądały jak drzwi do aresztu. Wspięłam się za nim po zakurzonych schodach z surowych, sosnowych desek, z rękami w kieszeniach i zaczerwienioną twarzą. „Chciałbym cię zaprosić na MILCHKAFFEE – napisał, dokładnie czterdzieści osiem godzin po zakończeniu naszej kulinarnej wyprawy. – Robię najlepszą MILCHKAFFEE na południe od Frankfurter Allee...”. Nie miałam ochoty spotykać się teraz z żadnym przystojnym facetem, ale nadal liczyłam na to, że się do mnie odezwie. Chciał mi pokazać swoje książki i więcej zdjęć. Mimo to nie byłam do końca pewna, dlaczego zaprosił mnie do siebie. Interesował się mną? A może interesowało go, żebym napisała o nim więcej na blogu? W odróżnieniu od dnia, w którym się poznaliśmy, dzisiaj był gładko ogolony, miał na sobie czarne dżinsy i pasującą kolorem marynarkę. Zmuszałam się, żeby patrzeć mu prosto w oczy.

– Wejdz, proszę. – Otworzył drzwi prowadzące do kuchni ze ścianami wyłożonymi pomarańczową tapetą. Pachniało smażonymi jajkami, a niebieskoszara farba odłaziła od szerokich, drewnianych paneli podłogowych. Nad stołem kuchennym naprzeciwko drzwi wisiał rysunek mężczyzny w błękitnych szortach trzymającego nagą kobietę za łydki tak, jakby była taczka. – Zapraszam – powiedział, zauważając, że gapię się na obrazek. Poszłam za nim do salonu, czując, że moja twarz nadal jest zaczerwieniona.

– O rany – wymamrotałam, opierając się o futrynę drzwi, gdy moje oczy dostosowały się do pomarańczowo-różowego światła przesączającego się przez pasiaste zasłony.

Wyglądało to tak, jakby książki rozmnażały się w tym pokoju: ustawione w dwóch lub trzech warstwach na lakierowanych półkach ciągnących się przez całą długość ściany, ułożone w stertach na sekretarzyku z żaluzjową pokrywą, stojącym między dwoma wychodzącymi na południe oknami, stłoczone na płóciennym fotelu obok sekretarzyka i ułożone na drewnianej półeczce pod stolikiem do kawy ze szklanym blatem, wraz ze starymi wydaniem „Der Spiegel”.

Na ścianie wisiały zdjęcia wielkości plakatu przedstawiające metalową popielniczkę. „Zabrałem ją z dworca kolejowego w Bułgarii”, zdradził. Obok znajdowała się mapa Europy po zimnej wojnie i zdjęcia Boba Dylana z różnych okresów w karierze. Dwie sofy i podwójne łóżko przykryte krowią i owczą skórą ustawiono w kształt litery U. Niski sufit był oklejony szkarłatną krepiną.

– Trudno jest dzisiaj znaleźć w Berlinie takie miejsca – powiedział, rozglądając się po pokoju, jak gdyby zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie do niego należał.

– Wierzę ci. – Był to rodzaj pokoju, który można było znaleźć na końcu sekretnego tunelu.

– Proszę... – Wyciągnął dłoń w kierunku przykrytej owczą skórą kanapy obok stolika do kawy, gdzie stały dwa wykwintne kawałki kremowego ciasta, ułożone idealnie na środku dwóch kwadratowych, białych talerzyków. – Rozgość się.

Podeszłam do sofy i usiadłam na brzeżku, przypatrując się ciastu. „Rozgość się, no jasne”. Ściągnęłam razem poły kurtki i złożyłam dłonie na podołku.

Rumen wszedł do kuchni.

– Teraz zrobię nam kawy! – Wrócił do salonu z antycznym, drewnianym młynkiem. – Kosztował mnie dwadzieścia euro – powiedział, uśmiechając się i siadając na krześle przy sekretarzyku, kładąc młynek między kolanami. – Kupiłem na eBayu!

Roześmiałam się.

– Używasz go codziennie?

– Oczywiście! Mówiłem ci, że robię najlepszą *Milchkaffee* na południe od Frankfurter Allee! – Kręcił rączką do momentu, w którym młynek przestał stawiać opór, po czym wrócił do kuchni.

Odwrociłam się i uklęknęłam na sofie, przyglądając się książkom na jego półkach. Stały tam dzieła jego ukochanego Michela Houellebecqa, a oprócz tego utwory Bertolta Brechta i Aleksandra Sołżenicyna. Hermann Hesse miał swoją własną półkę. Nietzsche i Schopenhauer zajmowali wspólną. Miał również autorów amerykańskich: Jacka Londona, Jacka Kerouaca, Charlesa Bukowskiego, Henry’ego Millera i Marka Twaina. Stała tu również autobiografia Milesa Davisa i jedenaście tomów autorstwa Freuda. Niemiecko-bułgarskie słowniki stały obok tytułów zapisanych cyrylicą. Miał również książkę z obrazkami Heinricha Zille...

– Zille! – zawołałam, zdejmując książkę z półki. – Ty też go lubisz?

Po pierwszej przejażdżce z Zille znalazłam zbiór obrazów jej imiennika w antykwariacie na Niederbarnimstrasse. „Wujek Zille miał rację”, pomyślałam, studiując obrazy. Podobieństwo rzucało się w oczy. Zille miała takie same wypukłe policzki i zadarty nos jak ludzie na obrazach. Byłam w stanie wyobrazić sobie ją w każdej ze scen, śmiejącą się, tańczącą, krzyczącą przez dziedziniec zatłoczonego *Hinterhaus*.

– Słucham? – spytał. Zaniósł książkę do kuchni. Stał przy piecyku, parząc kawę w kawiarence i podgrzewając mleko w metalowym dzbanku. Pokazałam mu okładkę, na której

postaci Zillego trzymały się za ręce i kołysały w kręgu na obwołanie. – Zille to autentyczny berlińczyk, który malował innych autentycznych berlińczyków – powiedział, wyłączając gaz pod mlekiem i ubijając je przez kilka sekund trzepaczką. – To czyni go wyjątkowym.

Otworzyłam książkę i przerzuciłam parę stron, ale nie mogłam skoncentrować się na obrazach. Kawa zaczęła bulgotać. Rumen pozwolił jej wrzeć przez chwilę, czekając, aż odgłos bulgotania ucichnie, po czym wyłączył kuchenkę i postawił kawiarkę na krawędzi zlewu ze stali nierdzewnej.

– Wiesz co? – spytałam, zamykając książkę. – Myślałam o tym, co powiedziałaś wcześniej, że w Berlinie wszystko jest możliwe...

– Ja... – Wyjął z szafki dwie szklanki, wziął rękawicę kuchenną i zdjął mleko z palnika, napełniając szklanki na dwie trzecie wysokości.

– Zdaję sobie sprawę, że nie było mnie tu w latach dziewięćdziesiątych, ale nadal mam takie wrażenie...

Pokręcił głową.

– Dla mnie te złote czasy minęły bezpowrotnie – powiedział, nalewając kawy, która zawirowała w gorącym mleku i opadła na dno szklanek niczym rozpuszczona mgławica. – Wiesz, co się stało po upadku Muru Berlińskiego? Wielu ludzi zamieszkujących Berlin Wschodni opuściło go. Na Wschodzie prawie wszystko opustoszało. Wtedy zjawili się tu młodzi, zwariowani ludzie tacy jak ja oraz inni ludzie z Berlina Zachodniego. Chcieliśmy robić nowe rzeczy, nie tylko urządzać imprezy! Pieniądze się nie liczyły... – Kiwnęłam głową, przyciskając książkę do piersi. – Lecz w późnych latach dziewięćdziesiątych do Berlina przenosiło się coraz więcej „normalnych” ludzi. – Westchnął, mieszając kawę razem z mlekiem za pomocą długiej łyżki. – Robili tak, bo to była stolica i było tanio. Teraz prawie nie ma tu gdzie mieszkać. – Wziął coś, co wyglądało jak elektryczna szczoteczka do zębów, i zaczął pieniść tym mleko.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. – Rumen wziął szklanki z *Milchkaffee*, trzymając je za brzegi, zaniósł do salonu i postawił na stoliku. Poszłam za nim, wracając na poprzednie miejsce na przykrytej owczą skórą kanapie. – Lubisz Mercedes Sosę?

Ubóstwiałam Mercedes Sosę.

– Widziałem ją kiedyś na żywo. – Wyciągnął płytę ze sterty leżącej na podłodze. – Nigdy tego nie zapomnę. – Zdjął pokrywę ochronną z gramofonu i położył winyl na płycie.

Zamknęłam oczy i usiłowałam słuchać. Nie chciałam uwierzyć, że złote czasy Berlina już dawno przeminęły. A raczej, że to ja trafiłam tutaj, gdy było już za późno. Rumen usiadł obok mnie na kanapie. Choć jego kolano znajdowało się w przyzwoitej odległości od mojego, to nawet dźwięk głosu Mercedes Sosy – piękny i niewzruszony, jakby czerpiący swą siłę z głębi ziemi – nie mógł mnie uspokoić.

– A więc... – Uniósł szklankę swojej *Milchkaffee*. – *Prost*.

– *Prost!* – zawtórowałam, uderzając swoją szklanką w jego szklankę z odrobinę przesadzonym entuzjazmem. Upiłam łyk, szybko ścierając mleczne wąsy. – Och! Nie żartowałaś.

– Co masz na myśli?

– Ta kawa jest naprawdę pyszna! – Mleko złagodziło intensywny smak kawy, lecz nie

zdominowało jej mocy.

– *Danke schön*. – Rumen uśmiechnął się szeroko i wskazał na ciasto. Zamiast lukru wierzch pokrywała warstwa okrągłych, cukrowych grudek. – *Streuselkuchen* – wyjaśnił. – Moje ulubione. Spróbuj!

Ugryzłam kawałek. Ciasto było bardzo suche i bardzo słodkie.

– Może to nie jest najlepszy *Streuselkuchen*...

– Nie wiem. – Zjadłam kolejny kęs, ale nie byłam w stanie przetrwać takiej ilości cukru. – Nie znam niczego, co mogłabym z tym porównać. – Ośmielona kofeiną, odwróciłam się w stronę półek z książkami i wskazałam na tytuły zapisane cyrylicą. – To po bułgarsku, prawda? Mówisz po bułgarsku?

Upił długi łyk swojej *Milchkaffee*.

– Mój bułgarski jest bardzo ubogi – wyznał. – Ale wiesz co? Gdyby Nietzsche pisał po bułgarsku, z pewnością bym się go nauczył!

Parsknęłam śmiechem. „Nie ma lepszego sposobu na naukę języka”, pomyślałam.

– Bułgarski wcale nie jest śmieszny!

Zacisnęłam usta, usiłując powstrzymać chichot.

– Cóż, czasami jest – zgodził się. – *Egal*, Nietzsche! Wróćmy do Nietzschego! – Przesunął dłonią po książkach na swojej półce z dziełami Nietzschego i Schopenhauera, wyciągnął *Also sprach Zarathustra* i otworzył na stronie zaznaczonej zieloną, satynową wstążką. – Jak mam ci to wytłumaczyć? Nietzsche... Zawsze stara się mówić prawdę. Spójrz. – Podał mi książkę, wskazując na zdanie podkreślone ołówkiem.

– Nie znam niemieckiego na tyle, żeby czytać... – odparłam, zwracając mu książkę.

– Ach! W takim razie musisz się nauczyć!

– Zrobię to.

– Serio?

– Tak. – Teraz byłam pełna determinacji, aby nauczyć się języka. – Wiesz, co lubię w niemieckim? Że są w nim całe idee, całe sposoby myślenia o różnych rzeczach skondensowane do pojedynczych słów! – Machnęłam dłonią nad stolikiem, o mały włos nie przewracając swojej *Milchkaffee*. Skoro już zaczęłam przewracać rzeczy, był to niezbity dowód mojej ekscytacji. Rumen chwycił szklankę, zanim przewróciła się na stół. – Ups! – zawołałam, czując, jak moja twarz powleka się rumieńcem. – Wybacz. – Usiadłam na rękach. – Chcę powiedzieć, że w niemieckim istnieją pojedyncze słowa, których przetłumaczenie na angielski zajmuje całe paragrafy.

– Na przykład? – spytał, uśmiechając się.

– Na przykład „*Lebenskünstler*”.

– Co?

– „*Lebenskuuuunstler*” – powiedziałam, starając się wymówić „u” z umlautem. – Ktoś taki jak ty.

Rumen przestał się uśmiechać.

– Nie jestem *Lebenskünstler* – odparł. – *Dafür kommt die Kunst noch zu kurz*.

– Nie rozumiem.

– W moim życiu nie ma zbyt wiele sztuki.

– Jak możesz tak mówić? A co z twoim blogiem? Twoimi zdjęciami? Książkami?

Taksówką?

Wzruszył ramionami.

– To nie jest sztuka.

– Owszem, jest! – Podniosłam głos. – Nie pracujesz w biurze, nie masz nad sobą szefa. I sam ustalasz zasady. Czy nie tym jest właśnie *Lebenskünstler*?

Stuknął palcem w otwartą książkę.

– Lepiej wróćmy do Nietzschego.

– Ale...

Zaczął czytać na głos.

– „*Von allem Geschriebenen liebe ich nur das, was einer mit seinem Blut schreibt. Schreibe mit Blut und du wirst erfahren, dass Blut Geist ist*”. – Spojrzał na mnie. – *Das ist genial!* – Rozpromienił się. – *Oder?*

– Ale co to znaczy?

– „Jeśli piszesz, powinieneś pisać własną krwią”. Nietzsche szanuje wyłącznie tych, którzy piszą krwią. Próbuję robić to samo. I muszę dalej próbować. To nie jest łatwe.

– Nie, nie jest. – Oparłam się o zagłówek kanapy i spojrzałam w sufit. Czy kiedykolwiek zdarzyło mi się pisać własną krwią? A jemu? – Studiowałeś filozofię?

– Nie. Nie wolno mi było studiować...

– Nie wolno ci było?

– Wiesz, że pochodzę z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nie każdy mógł tam studiować, co chciał. Moi nauczyciele oraz ludzie na uniwersytecie mówili, że byłem zbyt *individualistisch*. – Włożył satynową wstążkę z powrotem na miejsce i zamknął książkę. – Nie pasowałem do systemu.

Odłożyłam szklankę na stolik. Nie potrafiłam wczuć się w jego sytuację, ale wyglądało na to, że nie szukał współczucia ani zrozumienia dla swojego gniewu.

– Tak czy inaczej – kontynuował, odkładając *Zaraturę* na półkę Nietzschego–Schopenhauera – teraz chcę ci pokazać coś zupełnie innego. – Sięgnął po składaną mapę grubości książki z żółto-czerwono-niebieską okładką. – Znasz tę mapę? – Usiadł obok mnie. Zbyt szybko dokończyłam swoją kawę. Serce waliło mi tak głośno... Byłam pewna, że je usłyszy.

– Nie – odparłam, otwierając ją ostrożnie. Była to mapa Berlina firmy Falkplan, która rozkładała się na poszczególne sektory, po jednej dzielnicy naraz.

– To nie jest zwykła mapa. Mój wujek, który pochodził z Zachodu, podobnie jak ja był miłośnikiem map. Gdy nas odwiedzał, przywoził ze sobą tę mapę, a my siedzieliśmy z nim całymi godzinami i studiowaliśmy ją uważnie. Nie mieliśmy żadnych map Zachodniego Berlina. Na naszych był tylko biała plama. Interesowały mnie obie te rzeczy: patrzeć na mapę i widok Zachodniego Berlina na mapie. – Wziął szklankę z kawą, odchylając głowę w tył, aby wypić resztki piany. – Mój wujek pokazał mi, w którym miejscu na mapie Zachodniego Berlina mieszkała moja babcia. A kiedy kilka lat później doszło do upadku Muru, udało mi się odnaleźć jej dom.

– Nigdy nie byłeś w domu swojej babci przed upadkiem Muru?

– Jak miałem się tam dostać? Nie miałem pozwolenia.

– Chwileczkę. – Pokręciłam głową. – Odnalazłeś jej dom, bo zapamiętałeś miejsce na mapie

swojego wujka, w którym się znajdował?

– Zgadza się.

Próbowałam wyobrazić sobie dotarcie pod jakiś adres na Staten Island, pod którym nigdy nie byłam, wyłącznie na podstawie map, których uczyłam się w zeszłym roku.

– To szaleństwo!

– Wcale nie. Mapy to moja religia.

Uśmiechnęłam się.

– Ja też wierzę w mapy. – Oddałam mu Falkplan, przyglądając się, jak składa ją z nabożnym wyrazem twarzy. „Zostało mi tylko osiem dni”, pomyślałam. – Która jest godzina? – Wstałam i zajrzałam do kuchni, zerkając na zegar na pomarańczowej ścianie. Dochodziła piąta po południu. Siedziałam u niego od trzech godzin. – O rany! Muszę już iść.

– Iść? – spytał, marszcząc brwi. – Dokąd?

– Muszę zadzwonić. – Oparłam się o futrynę, splatając dłonie za plecami. – Do Stanów. – To było kłamstwo. Musiałam stąd wyjść. Zadurzenie, zakochanie, wzajemne przyciąganie, pożądanie, nazwijcie to, jak chcecie. Czymkolwiek to było, w tej chwili zupełnie mnie przytłoczyło.

– Ale nie zdążyłem pokazać ci zdjęć!

– Wiem. Przepraszam. Może następnym razem.

– *Schade* – odparł. Wielka szkoda. Wstał z kanapy, przesuając rękami po kieszeniach. Wzięłam torebkę i puste talerzyki po cieście.

– Nie. – Wyjął mi talerze z rąk i postawił z powrotem na stoliku. – Ja to zrobię.

Zszedł ze mną po schodach, otworzył metalowe drzwi, przeszedł ze mną po porośniętym chwastami podwórku i przytrzymał solidne, drewniane drzwi prowadzące na ulicę.

– Dzięki za *Milchkaffee* – powiedziałam. – Była naprawdę pyszna.

– Nie ma za co. – Schował klucze do kieszeni, kładąc dłoń na moim ramieniu. Czułam ciepło jego dłoni przez materiał kurtki.

SŁOŃCE SKRYŁO SIĘ ZA PIERZASTYMI CHMURAMI, gdy szłam na południe ulicą Jessnerstrasse z powrotem do mieszkania. Serce waliło mi w piersi jak młotem, zupełnie jakby udało mi się uciec z płonącego budynku na sekundę przed jego zawaleniem. A może to ja płonęłam? Skręciłam w prawo w Weserstrasse, idąc szybko ku niczemu istotnemu – a na pewno nie po to, by zadzwonić do Stanów.

Gdy dotarłam na Wismarplatz, przystanęłam na chwilę, podziwiając widok mężczyzny z dwukolorowym irokezem i kobiety w cętkowanych szortach grających w ping-ponga na jednym z publicznych stołów na chodniku. „*Du bist so wunderbar, Berlin...*”. Poszłam dalej, zatrzymując się ponownie po dotarciu do Boxhagener Platz, gdzie słońce wyszło późnym popołudniem, a ludzie wylegający się na gdzieśgdzie wyschniętej trawie zaczęli zdejmować ubrania, wystawiając ciała w kierunku zachodu i wchłaniając możliwie jak najwięcej ciepła ze słabych, jesiennych promieni, przysłuchując się piosence reggae lecącej z magnetofonu, który ktoś przypiął do skradzionego sklepowego wózka. Jakiś mężczyzna w koszulce Adidasa ćwiczył stanie na rękach, odsłaniając umięśniony, jasny brzuch za każdym razem, gdy stanął do góry nogami. Przywołałam w pamięci ciepło dłoni Rumena na moim ramieniu, którego skóra nadal mrowiła pod wpływem wspomnienia sprzed pięciu minut.

Zauważyłam pustą ławkę w kształcie litery L w rogu placu, tuż obok kępy żółknących topoli, których liście szeleściły, jakby negocjowały z wiatrem, i usiadłam. Cóż za niezdarna ucieczka! Ale musiałam się stamtąd wydostać. „*Schade*”, powiedział. Wielka szkoda. Przypomniałam sobie samotny wyraz w jego oczach i zacisnęłam powieki. A więc udało mi się go znaleźć na sam koniec: taksówkarza, który o Nietzschem wiedział tyle samo, co o kiełbasie. Nie był wymysłem Lonely Planet. „Gdyby Nietzsche pisał po bułgarsku, nauczyłbym się bułgarskiego!”. Wierzyłam mu.

Poczułam, że ławka się rusza, i otworzyłam oczy. Śliczna, rudowłosa dziewczyna położyła wypchany plecak na drugim końcu i usiłowała nie dopuścić, żeby się przewrócił.

– Hej, Miranda! – zawołał ciemnowłosy chłopak z futerałem od gitary, uśmiechając się na widok rudzielca, gdy podszedł do ławki. Ucałował dziewczynę w policzek, poprawiając plecak i siadając obok niej. Oboje wyglądali na dwadzieścia parę lat.

– Wylatuję za trzy godziny – powiedziała rudowłosa dziewczyna, wbijając wzrok w ziemię, podczas gdy chłopak ułożył futerał między nogami. – Nie chcę opuszczać tego miejsca! – jęknęła. – To był najlepszy rok mojego życia.

– Lepszy od czasu spędzonego w Buenos Aires? – spytał chłopak, opierając opalone ramię o ławkę.

Spojrzałam na nich ze zdumieniem, nie do końca wierząc w to, co słyszę. Nie umiałam określić, skąd pochodzili. Oboje mówili po angielsku z odrobiną różniącymi się od siebie hiszpańskimi akcentami. Zaczęłam grzebać w torebce, udając, że nie słucham, i tłumiąc obezwładniającą chęć wtrącenia się do ich rozmowy.

– Lepszym? – powtórzył rudzielec. – Cenię kulturę i mieszkańców Buenos Aires. Ale nie uważam, żeby miasto było piękne.

– A według ciebie Berlin jest piękny?

– Cóż – odparła. – Myślę, że z odrobiną więcej słońca i nieco lepszą architekturą, Berlin byłby najlepszy na świecie.

„Już jest”, chciałam jej powiedzieć. Zajęło mi to trochę czasu, ale nareszcie zaczynało do mnie docierać, że ta obsesja na punkcie miasta nie była związana z estetyką (ani dynamiką, kosmopolitycznością czy też ich brakiem). Chodziło o nastrój, w jaki wprawiało dane miejsce, a konkretniej mówiąc, to, co wydobywało z człowieka. „Zupełnie jak druga osoba – pomyślałam. – Każdy człowiek wydobywa z nas coś innego”. Lecz jak często osoba albo miejsce zachęcają cię – albo jeszcze lepiej, błagają – abyś pozostał takim, jakim jesteś?

Chłopak objął dziewczynę ramieniem. Westchnęła, opierając głowę na jego barku.

– Nie wiesz przypadkiem, czy w pobliżu nie ma jakiejś kafejki internetowej? Muszę wydrukować bilet.

Patrzyłam, jak pomaga jej założyć plecak. Za osiem dni będę w tej samej sytuacji, co ona. Zwiesiłam głowę, zbyt przygnębiona, aby docenić synchronię tej chwili. Czy rudowłosej dziewczynie uda się kiedykolwiek wrócić do Berlina? Czy mnie się to uda?



Gdy dotarłam do mieszkania, znalazłam w skrzynce e-mail od linii lotniczych Air Berlin. Tytuł wiadomości: „1 października TXL JFK”. Wstałam i zaczęłam chodzić w tę i z powrotem po dywanie. „Mapy to moja religia... Nie pasowałem do systemu... Lubisz Mercedes Sosę...?”. Dość tego! Musiałam zacząć myśleć o Nowym Jorku. To w Nowym Jorku prowadziłam taksówkę. Tam mieszkałam. Tylko gdzie dokładnie?... Dziewięćdziesiąt minut drogi do garażu z mieszkania Romea i Sarah to zdecydowanie za długo. Musiałam rozejrzeć się za nowym mieszkaniem. W końcu umieściłam ogłoszenie na Craigslist („Autorka tekstów kulinarnych szuka mieszkania w Queens”), na które odpowiedziało kilku naciągaczy („Ze względu na zmianę miejsca pracy i przeprowadzkę do Nigerii chciałbym wynająć dom za kwotę 900 dolarów miesięcznie”), ale znalazły się też dwie dobrze zapowiadające się oferty. Jedna w Astorii, gdzie moim współlokatorem miałby być masażysta z Puerto Rico, który raz w tygodniu przewodził śpiewającemu kółku modlitewnemu w Bushwick, a druga – „stała opłata w postaci 672 dolarów niedaleko stacji metra na śródmieściu (Queens Plaza)” – na Long Island, gdzie mieszkała pisarka, która określiła się jako bałaganiarę. Miała również kota, a jeśli dane z Google Maps były poprawne, mieszkanie znajdowało się zaledwie pięć minut (na piechotę!) od garażu firmy Team.

Odpowiedziałam na ofertę właścicielki kota, zamknęłam laptop i otworzyłam książkę. Co porabiał teraz Rumen? Odtworzyłam w pamięci całe popołudnie, przypominając sobie, jak nakrył stół lśniącymi srebrami i podał *Streuselkuchen*, oraz jak oczy błyszczały mu, gdy czytał fragment *Also sprach Zarathustra*. Dlaczego mnie do siebie zaprosił? Nadal nie potrafiłam tego rozgryźć. Czy to miało jakieś znaczenie? I tak wyjeżdżałam. „Odpuść sobie”, pomyślałam. Ale nie umiałam.

Napisałam do niego następnego dnia. Temat wiadomości: „Szalony pomysł. Co myślisz

o tym, żebym towarzyszyła ci podczas jednej z twoich nocnych zmian?!”.

„Lubię szalone pomysły! – odpisał kilka godzin później. – Sam wymyśliłbym coś podobnego!”.

Zabrał mnie dwa dni później około dziewiątej wieczorem, po kilku godzinach od rozpoczęcia zmiany. Noc była chłodna i tak mglista, że asfalt na Dirschauer Strasse lśnił. Rumen miał na sobie koszulkę Pink Floyd. W tle leciał Bob Dylan. Radio, które wyłączył w trakcie kulinarnej wyprawy, było teraz włączone. Damski głos wykrzykujący po niemiecku nazwy krzyżujących się ulic brzmiał, jakby wydobywał się spod wody.

Wyjął puszkę red bulla ze schowka w drzwiach po stronie kierowcy i upił łyk, podczas gdy ja mościłam się wygodnie na siedzeniu pasażera.

– Powiedziałam paru osobom, że będę dziś z tobą jeździć...

– Serio? – Spojrzał z ukosa na moją twarz, a potem na ramiona.

– Tak. – Miałam na sobie biały top bez rękawów z szerokim, luźnym dekoltem. Piętnaście minut temu wydawał się jedynym elementem garderoby, który mógł zrobić wrażenie na moim towarzyszu, jednocześnie nie komunikując wprost, że starałam się je na nim wyrzucić. Teraz czułam się jednocześnie naga i wystrojona. – Tak naprawdę – powiedziałam, szperając w torebce w poszukiwaniu długopisu – prowadzę badania. – Wyznałam, że zamieściłam na blogu zaproszenie do wysyłania „pytań do kierowcy”.

– Jakiego rodzaju? – Pojechał na zachód Revaler Strasse, mijając kluby na starym placu kolejowym – Cassiopeia, RAW Tempel, Suicide Circus – które otwierały swoje podwoje dopiero za trzy godziny.

– O jazdę taksówką – odparłam, wyciągając notes i kładąc torebkę przy nogach. Rumen zatrzymał się na rogu Warschauer Strasse. Przy budce z kebabem stała długa kolejka. – Mmmm. – Zamknęłam oczy, wdychając zapach tłuszczu ściekającego z mięsa na rożnie. – Dla mnie tak pachnie Berlin.

– Nie – odparł. – Zapach Berlina najlepiej oddaje U-Bahn.

– U-Bahn?

Skręcił w prawo w Warschauer Strasse.

– Musisz wejść do podziemi metra i wtedy będziesz wiedziała, o czym mówię... Jaki on jest? Skąd pochodzi? Bierze się z klocków hamulcowych metra. Każde miasto ma inne klocki. Dlatego zapach w Berlinie różni się od zapachu we Frankfurcie. Z powodu metra.

Uśmiechał się. W jego bokobrodach rysowały się cienie zmarszczek mimicznych. Odwróciłam wzrok, spoglądając przez szybę na pokryte zielenią patyny kopuły – znak, że byliśmy teraz na Frankfurter Tor – nie przestając żałować, że miałam odsłonięte ramiona. Przycisnęłam je do oparcia fotela.

– Co z tymi pytaniami? – odezwał się Rumen, przejeżdżając szybko przed tramwajem M10, gdy tylko światło zmieniło się na zielone.

– Och, racja! – Znów sięgnęłam po torebkę i pomacałam wewnętrzne kieszonki w poszukiwaniu fiszek, na których zapisałam pytania od czytelników. Było ich więcej, niż się spodziewałam. – Niektóre zadali inni taksówkarze.

– Świetnie! – powiedział, skanując wzrokiem puste chodniki po obydwu stronach Petersburger Strasse. – W tej chwili nie ma zbyt wielu pasażerów. Zadaj mi jakieś pytanie.

– Okej. – Rozluźniłam się odrobinę, szczęśliwa, że mogę zadać nieswoje pytanie. – Pierwsze pytanie jest od Floriana z Monachium. Gotowy? – Kiwnął głową, upijając kolejny łyk red bulla. – „Czy w Niemczech istnieje jakieś prawo, które nakazuje, aby wszystkie taksówki były pomalowane na ten sam okropny beżowokremowy kolor?”.

Rumen nie wahał się ani chwili.

– W Niemczech prawo reguluje wszystko. Po wojnie taksówki były czarne. Wyglądały jak karawany do przewożenia zmarłych. Berliński rząd zmienił kolor na beżowy w latach sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych. Oficjalna nazwa koloru to R-A-L 1015. Wszystkie taksówki muszą tak wyglądać. Przepraszam... – Sięgnął do schowka na rękawiczki i podkręcił radio taxi. – Jedną chwilę... – Zmrużył oczy, wsłuchując się w damski głos przekazujący adres przez trzeszczący głośnik. – Nie – odparł – to klient z *Eckkneipe*. – *Eckkneipe*, jak dowiedziałam się od Julii, był barem na rogu. – Nie dla nas.

– Czemu nie?

– Trzeba być wyjątkowo ostrożnym, gdy zabiera się klienta z *Eckkneipe* – wyjaśnił, zwalniając, gdy skręciliśmy w Torstrasse. – W większości przypadków jedna lub dwie osoby muszą przyprowadzić takiego klienta do taksówki, a wtedy lepiej wezwać karetkę. Bo gdy klient już znajdzie się w taksówce, jego problem staje się twoim problemem. Problemy. Też coś!

Roześmiałam się. Skończył swojego red bulla i wsadził pustą puszkę do schowka na drzwiach kierowcy. Wyrzałam przez okno. Dwie pary w średnim wieku w dresach starały się nas zatrzymać.

– Hej! Masz...

Ale Rumen już się zatrzymywał. Zauważył ich szybciej niż ja. „O nie. Czworo ludzi”. Musiałam wysiąść z taksówki. To był warunek, który uzgodniliśmy przed jego nocną zmianą: jeśli czwórka ludzi będzie potrzebowała taksówki, musiałam oddać swoje przednie siedzenie, ponieważ nie było wystarczającej ilości pasów bezpieczeństwa.

– Mam nadzieję, że się nie zgubisz – powiedział Rumen.

Odpiełam pas.

– Jestem taksówkarką i mam mapę. Dam radę.

Wyciągnął dłoń.

– Zaczekaj.

– Na co?

– Pozwól mi najpierw z nimi porozmawiać. – Opuścił szybę od strony pasażera. – *Hallo, guten Abend!* – powiedział, opierając się o mnie i uśmiechając do dwóch par na chodniku.

– Klub Kit Kat – powiedział niższy z dwójki mężczyzn. – Gdyby był pan tak dobry. – Miał sztucznie brzmiący, brytyjski akcent i coś, co wyglądało na sztuczne wąsy.

– Mogę zabrać tylko troje z was – powiedział Rumen, przechodząc na angielski. – Ale nie czwórkę. – Wskazał na mnie. – To koleżanka z Nowego Jorku. Prowadzi badania związane z berlińskimi kierowcami taksówek. Dziś w nocy jeździ ze mną.

Usiłowałam powstrzymać cisnący się na usta uśmiech.

– W takim razie – odezwał się mężczyzna, spoglądając na Rumena – może pozwoli nam pan pojechać we czwórkę na tylnym siedzeniu?

Rumen pokręcił przecząco głową.

– Do środka może wejść tylko trójka. Wszyscy musicie mieć zapięte pasy. Mógłbym stracić

przez to licencję...

– Poczekaj – wtrąciłam. – Ja wyjdę.

– Nie.

– Dobrze, trudno... – Mężczyzna westchnął, ledwie powstrzymując się, aby nie przewrócić oczami.

– Trudno! – zawołał Rumen, wtapiając się z powrotem w ruch.

– Przeze mnie straciłeś pieniądze – powiedziałam, patrząc, jak zamyka się szyba. – To nie w porządku.

– To nie byli nasi pasażerowie. – Włączył radio taxi. – Lepiej poszukajmy swoich.

To była kiepska noc na jeżdżenie taksówką. Jedynymi klientami, jakich udało nam się znaleźć w przeciągu następnej półtorej godziny, były dziewczyny w butach na platformach i martensach, które pachniały mocnym alkoholem i jaśminem. Wcisnęły się na tył taksówki, zanim Rumen zdążył powiedzieć cokolwiek o pasach bezpieczeństwa. Powiedziały nam, że są z Francji i chcą jechać do Berghain.

– Za wcześnie na Berghain – powiedział Rumen, znów przechodząc na angielski, parkując taksówkę na postoju. Było chwilę po jedenastej.

– Więc co pan poleca? – spytała najmniejsza z dziewczyn, wydymając błyszczące usta. Skórę miała niemal w tym samym odcieniu co krótko obcięte białoblond włosy. Siedziała na środku, na kolanach najwyższej z dziewczyn.

– Mogę was zawieźć do nowego Tresor. Po północy możecie pojechać do Berghain. W tej chwili nie dzieje się tam nic ciekawego.

– Wszystko jedno – odparła dziewczyna. – Proszę nas tam zawieźć.

Choć klub znajdował się zaledwie piętnaście minut drogi od mojego wynajmowanego mieszkania na Dirschauer Strasse i choć Ivo i Steffen powiedzieli mi, że był to „najlepszy klub techno na świecie”, nigdy wcześniej nie byłam w Berghain. Nie wiedziałam, czy Ivo i Steffen kiedykolwiek tam zawitali, ale wiedzieli wszystko o selekcji. „Gdy bramkarze spojrzą ci w twarz, mogą się wydarzyć dwie rzeczy. Albo pozwolą ci wejść, albo każą ci zawrócić i nigdy nie wracać”. Wolałam nie dowiadywać się na własnej skórze, czy przesłabym ten odsiew.

– Wiecie, że mogę stracić licencję – powiedział Rumen, uśmiechając się do dziewcząt we wstecznym lusterku – jeśli zabiorę całą waszą czwórkę?

– Przecież nie jedziemy daleko! – odezwała się najwyższa z dziewczyn z ogromnymi, podkreślonymi czarnymi kreskami oczami.

– Będziemy bardzo grzeczne! – dodała brunetka siedząca za mną, od której zionęło wódką.

– I damy dobry napiwek! – dorzuciła ta z białoblond włosami.

Ich czwarta towarzyszka, która miała usta z wyraźnie zaznaczonym łukiem Kupidyna i diastemę między przednimi zębami w stylu Brigitte Bardot, uśmiechnęła się, nie mówiąc ani słowa.

– Mam wysiąść? – spytałam.

– Nie. To niedaleko.

Wyłączył Boba Dylana i włączył radio, wciskając guzik „Szukaj” do momentu, w którym nie znalazł stacji grającej techno.

– *C'est formidable!* – zawołały Francuzki, podskakując na siedzeniach. – Niech pan zrobi głośniej!

– Dziewczyny... – powiedział Rumen, o krok od wybuchnięcia śmiechem. – Przecież obiecałyście, że będziecie grzeczne!

– I jesteśmy grzeczne!

Było dwadzieścia po jedenastej, gdy dotarliśmy do Berghain, który przypominał industrialną świątynię z czasów Stalina. Światła w środku i na zewnątrz były wyłączone, a za ogrodzeniem z siatki nie widać było żadnej kolejki.

– Jest otwarty? – spytała dziewczyna o białoblonde włosy.

– Mówiłem przecież. Dopiero po północy.

– Mam to gdzieś!

– Ja też!

– Idziemy!

Dziewczyna z łukiem Kupidyna westchnęła i zapłacała, a cała czwórka wygramoliła się z taksówki. Patrzyliśmy, jak idą w pośpiechu po brudnej ścieżce za ogrodzeniem, gdzie, jak się domyśliłam, będą zmuszone czekać aż do chwili otwarcia klubu.

– Czy to prawda? – spytałam. – To rzeczywiście najlepszy klub na świecie?

– Nie wiem – odparł Rumen. – Nigdy tam nie byłem. Dla mnie techno to nie muzyka. Choć z drugiej strony to jedyny gatunek, który Niemcy wynaleźli w czasach współczesnych, zaraz po pruskich marszach. – Przesunął kciukiem po zakładkach swojego wielkiego, czarnego portfela. – Po muzyce marszowej to całkiem zrozumiałe. To kolejny etap. Tyle że nie dla ludzi. – Zamknął z trzaskiem portfel.

– Ile dały ci napiwku?

– Trzydzieści eurocentów.

– Chyba żartujesz?

– Odkąd jeżdżę taksówką, nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć. – Wyłączył techno.

Po odstawieniu Francuzek pod klub próbowałam odprężyć się i wejść swobodnie w rolę pilota, lecz mój wysiłek okazał się daremny. Czas płynął, a ja przestałam zwracać uwagę na nazwy ulic, którymi jechaliśmy. Byłam pewna, że Rumen wyczuwał moje zdenerwowanie. Więcej niż raz, gdy zerknęłam na niego z ukosa, przyłapałam go na uśmiechaniu się tak, jak robił to w Käse König, na poły świadomie, na poły szelmowsko, jak gdyby rozkoszował się zażenowaniem kryjącym się za moimi pytaniami. Wyglądał również na zadowolonego z ciekawości, jaką wzbudzałam u kilku kolejnych pasażerów: grupy irlandzkich turystów w drodze do Mariannenplatz na smażonego kurczaka; Turczynki, która chciała *Kurzstrecke* (krótką jazdę) do *Baumarkt* (sklepu budowlanego) obok Hasenheide Park, choć było zamknięte; pary z Bawarii, która dopiero co wyszła z klubokawiarni na Neukölln, która zastanawiała się na głos, co robię na przednim siedzeniu Rumena – i śmiała się jeszcze długo po tym, jak opowiedzieliśmy im o „martwej babci”.

– Widzisz? – powiedział, gdy podrzuciliśmy parę z Bawarii do willi w dzielnicy Zehlendorf.

– Czasami *Kurzstrecke* prowadzi mnie do kogoś, kto chce daleko zajechać.

– Lub kogoś, kogo normalnie byś nie spotkał. – Próbowałam zajrzeć w okna rezydencji

ukrytych za bramą. – To coś, czego ciągle muszę się uczyć. Droga do celu nie zawsze jest prosta.

– To prawda. – Poluzował pas na ramieniu. – Nie lubię niepewności, która temu towarzyszy. Ale niepewność to cena za wolność.

„A wolność – pomyślałam, gdy przyśpieszył na śliskim bruku – była zarówno drogą, jak i końcem podróży, jedyną rzeczą, którą cenili sobie wszyscy taksówkarze, rzeczą, której wszyscy poszukiwaliśmy”. Jednak każdy kierowca wiedział, że ta wolność była pojęciem względnym. Prawda – z którą należało się pogodzić i lepiej o niej nie wspominać – była taka, że mieliśmy więcej wolności niż inni.

Wpół do pierwszej w nocy, po ponad godzinie krążenia po mieście bez pasażerów, Rumen wrócił na Friedrichshain i zaparkował taksówkę na postoju na Weserstrasse przed barem Baritone.

– Polowanie na klienta się nie sprawdza. Poczekamy. – Byliśmy czwartą taksówką w kolejce.

– W porządku. – Rozparłam się na fotelu, rozluźniając ramiona. Rumen wyłączył silnik i radio. Cisza, jaka zapadła w taksówce, była gęsta i intymna. – Co powiesz na pytanie Claudii z Nowego Jorku? Gotowy?

Odsunął fotel nieco dalej od kierownicy i rozprostował nogi.

– Jasne.

– Jaki był twój najdłuższy kurs w życiu?

– Zdarzyło się to sześć lat temu. – Uśmiechnął się, zamykając oczy, jakby chciał zbliżyć się do tego wspomnienia. – Dwieście siedemdziesiąt kilometrów do Hamburga. Klienci musieli zdążyć na samolot afrykańskich linii lotniczych. Wysadziłem ich, wybrałem się na zwiedzanie i wsiadłem na łódkę. Dla mnie był to idealny dzień.

Ktoś wsiadł do pierwszej taksówki w rzędzie. Rumen włączył silnik i podjechał bliżej.

– Masz więcej pytań?

– Cóż... – Wyjrzałam przez szybę. Stoły piknikowe przed barem były puste. Temperatura spadła. Było zbyt zimno, aby siedzieć na zewnątrz, nawet dla Niemców. – Jest jeszcze jedno. Od Franca z Los Angeles. – Nie było to pytanie *stricte* osobiste, ale specjalnie zostawiłam je na koniec. – Nie musisz na nie odpowiadać, jeśli nie chcesz.

– Okej...

– Gotowy?

– Najpierw wyjaw mi pytanie.

Odczytałam je z fiszki, choć zdążyłam je już wykuć na pamięć: „Jaka rzecz, którą zrobił lub powiedział pasażer, najbardziej zapadła ci w pamięć?”

– Hmmmm... – Uśmiechnął się, składając dłonie za głowę. – To w stu procentach tajemnica i w stu procentach namiętność.

– Och... – Zrobiłam się czerwona na twarzy. Byłam wdzięczna za ciemność panującą w taksówce. Złożyłam karteczkę na pół, wpatrując się w kwiat doniczkowy na parapecie baru Baritone. – Nie ma problemu. Nie musisz nic mówić...

Rząd taksówek posuwał się naprzód.

– Szukała czegoś wyjątkowego, tak jak ja – ciągnął Rumen, włączając zapłon i ponownie podjeżdżając kawałek do przodu. – Była ładna i trzeźwa. No cóż, może odrobinę pijana.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Usiadła z tyłu i poprosiła, żebym na nią spojrział. „Jesteś naprawdę miły”, powiedziała. „Co robisz po pracy? Możemy skoczyć gdzieś na drinka?”. Poszliśmy do baru, gdzie opowiedziała mi o sobie. Studiowała architekturę. Była bardzo inteligentna i piękna. Wtedy spytałem, czy mogę ją zabrać do siebie. – Urwał, przesuwając palcem po dolnej wardze. – Mieszkała niedaleko, ale i niezbyt blisko, zwłaszcza jak na kobietę w szpilkach.

– Jak miała na imię?

– Nie chciała zdradzić! Potem powiedziała mi, że ma na imię Tamara. Ale rankiem zobaczyłem wewnątrz jej buta. Wiesz, co tam było napisane?

– Co?

– Tamara! – Przyłożył dłoń do czoła. – Wyobrażasz to sobie?

– Nie. – Parsknęłam śmiechem. – I tak.

Opowiedziałam mu o Angliku, który zaprosił mnie na śniadanie podczas pierwszej zmiany.

– Dlaczego nie zjadłaś z nim śniadania?

– Sama nie wiem. To była moja pierwsza zmiana w życiu! A co ty byś zrobił?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Poszedłbym na śniadanie.

– Śniadanie to najważniejszy posiłek dnia.

W tym momencie powinnam wyjść z taksówki i znaleźć drogę do mieszkania – nie byliśmy wcale daleko – i pozwolić Rumenowi kontynuować pracę. „Kuj żelazo, póki gorące!”. Odpowiedział na wszystkie moje pytania. Mój dziennikarski obowiązek został spełniony. Czulałam się jednak tak, jakby moje ciało było przyspawane do fotela pasażera. Nie potrafiłam zmusić się do odejścia.

– A teraz – wyłuskał płytę CD ze schowka na drzwiach – coś z zupełnie innej beczki. Gotowa? – Kiwnęłam głową. Wsunął płytę do odtwarzacza, podkręcając głośność do maksimum i wciskając pauzę. – Albumu Dylana *Time Out of Mind* z 1997 roku mogę słuchać co najmniej dziesięć razy w ciągu nocy – powiedział. – Gdybym miał kiedykolwiek napisać książkę, zacząłbym ją słowami z pierwszej piosenki.

Wcisnął *play* i wsłuchaliśmy się w zboląły, ochrypły głos Dylana, który śpiewał o opustoszałych ulicach, płaczących deszczem chmurach i kobiecie, o której nie mógł zapomnieć, a w tle słychać było mroczne dźwięki syntezatorów. Włoski na rękach stanęły mi dęba. Spojrzałam na złocistą mgiełkę sączącą się przez powietrze pod ulicznymi latarniami, cienie lip kładące się na chodnikach, kwiat doniczkowy, puste stoliki przed barem i parę w dredach, która przejechała ze świstem na rowerach z wąskimi oponami. Wszystko to w jakiś sposób wydawało się być częścią piosenki. Nawet w tej chwili wiedziałam, że to był idealny moment.

Kobieta w średnim wieku z najeżonymi blond włosami walnęła ręką w szybę od mojej strony. Wzdrygnęłam się.

– *Sind Sie frei oder was?* – spytała. Jest pan wolny? Zdumienie, a potem dezaprobatą zagościła na jej twarzy, gdy zobaczyła, jak opieramy się wygodnie w fotelach ramię w ramię, słuchając *Love Sick*, z dłońmi przy dźwigni zmiany biegów, które prawie się dotykały. Odmaszerowała, zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć.

Rumen podniósł się, zerkając we wsteczne lusterko, a kobieta wsiadła do taksówki za nami.

– Masz ochotę na piwo?

Zamrugałam ze zdziwienia, jakby ktoś wypchnął mnie z mrocznego kina na światło dzienne.

– A co z twoją zmianą?

Piosenka nabrała tempa. Rumen zmniejszył nieco głośność.

– Teraz to *tote Hose*, śmiertelna nuda. Napijmy się piwa!

– *Tote Hose*?

– „Martwe spodnie”.

– „Martwe spodnie”? – Zaśmiałam się. – Muszę to zapamiętać...

– To co z tym piwem?

Udawałam, że się zastanawiam.

– W porządku – odparłam w końcu. – Napijmy się piwa.

Rumen wyjechał z postoju. Dwie ulice dalej grupka chudych mężczyzn ubranych na czarno pomachała w kierunku naszej taksówki niczym zdesperowani autostopowicze na pustej drodze. „O nie”, pomyślałam, gdy Rumen zaciągnął hamulec. Było ich czterech.

– Zawiezie nas pan do Neukölln? – spytał wyglądający na najbardziej niedożywionego z całej grupy, wskazując na stertę wzmacniaczy, głośników i futerałów na gitary. – Jesteśmy spóźnieni na koncert. – Miał na szyi czerwoną muszkę, podobnie jak reszta kolegów z zespołu.

Rumen i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Musisz ich zabrać – powiedziałam.

– Wiem. – Spojrzał na dźwignię zmiany biegów.

Wysiadłam z taksówki. Pozostali muzycy z opóźnieniem zareagowali na mój widok, na ich twarzach odmalowała się skrucha, jakby mieli świadomość, że w czymś nam przerwali.

– Na pewno może nas pan zabrać? – spytał frontman zespołu.

– Tak. – Uśmiechnęłam się do niego. – Zabierze was.

Rumen otworzył bagażnik, a muzycy zaczęli ładować do środka swój sprzęt. Poszłam za nimi na tył taksówki. Rumen wytarł dłonie w dżinsy.

– Zobaczymy się później – powiedział, ściskając moją dłoń.

– Nie ma sprawy.

Czułam na sobie wzrok jego i członków zespołu, gdy szłam po mokrym asfalcie w bliżej nieokreślonym kierunku, jak miałam nadzieję – ku mojemu mieszkaniu na Dirschauer Strasse. „Jestem taksówkarką i mam przy sobie mapę. Na pewno się nie zgubię”.

NOC PO ZMIANIE Z RUMENEM spędziłam jak w niespokojnym transie, drżąc za każdym razem, gdy nawiedzało mnie wspomnienie atmosfery panującej w taksówce, gdy słuchaliśmy Boba Dylana. Próbowałam skleić swobodną, neutralną, profesjonalną wersję wywiadu na bloga – kazał mi obiecać, że pominę historię o Tamarze i jej butach – i zastanawiałam się, do czego mogłoby dojść, gdyby nie zatrzymała nas grupa muzyków.

„Mam do ciebie kolejne pytanie – napisałam mu następnego ranka. Pytanie pochodziło od Rodrigo, mojego najwierniejszego czytelnika z Buenos Aires, który nadesłał swoje pytanie nocą, gdy Rumen i ja byliśmy w drodze. – Czy widziałeś film *Noc na ziemi* Jima Jarmuscha, albo *Taksówkarza* Martina Scorsese? – chciał wiedzieć Rodrigo. – Czy czujesz się związany z którymś z bohaterów?”

„Zastanowię się nad tym – odpisał kilka godzin później Rumen. – Może będę w stanie udzielić ci odpowiedzi podczas następnego spotkania. Spotkamy się?!”

Umówiliśmy się ostatniego dnia mojego pobytu w Berlinie. Rumen miał wolne i chciał zafundować mi ostatnią przejażdżkę po mieście swoją taksówką. Gdy wsiadłam do środka, niebo było ołowianoszare. Zaczęło padać, gdy tylko ruszyliśmy na zachód.

– Mówiłem ci, jak pod koniec lat dziewięćdziesiątych do Berlina zjeżdżało się coraz więcej ludzi. Ale czy wiedziałeś, że w przeciągu kilku ostatnich lat wielu z nich zjawiało się tu z powodu Knuta? – Wskazał na chińskie pagody przy wejściu do berlińskiego zoo.

– Kim jest Knut? – Spojrzałam na pagody przez pokrytą kroplami deszczu szybę. Wejścia do zoo strzegły posągi dwóch kłęczących słoń. Nie było żadnej kolejki po bilety. Kto chciałby spacerować po zoo w takim deszczu?

– Nie słyszałaś o Knucie? – Wyprzedził piętrowy autokar wycieczkowy. Atlas ulic Berlina w spiralnej oprawie ześlizgnął się po desce rozdzielczej. Wyciągnął rękę i wcisnął go z powrotem w róg przy bocznych drzwiach od strony kierowcy. – Knut jest jedynym niedźwiedziem polarnym urodzonym w berlińskim zoo – wyjaśnił. – Gdy był mały, jego matka nie chciała się nim zajmować. Więc jeden z opiekunów musiał przejąć jej obowiązki i zatroszczyć się o niego. Karmił Knuta butelką i grał mu na gitarze piosenki Elvisa do snu. Ten człowiek był w Berlinie prawdziwym bohaterem.

– Świetna historia...

– Ale kiedy Knut miał dwa albo trzy lata, jego opiekun zmarł. Miał jakieś czterdzieści pięć lat.

– Co się stało z Knutem?

– Wydaje mi się, że znalazł kolejnego opiekuna.

– Och. – Westchnęłam.

– Coś się stało?

– Przykro mi.

– Z powodu Knuta?

– Tak. – Całe ekscytujące napięcie, jakie czułam w taksówce Rumena podczas jego nocnej zmiany, ulotniło się. Przycisnęłam dłonie do brzucha, gdy przejechaliśmy obok zoo, a potem obok Bahnhof Zoo, żałując, że nie mogę przestać myśleć o locie samolotem Air Berlin numer 6441, który wylatywał z Tegel o 10:25 następnego ranka. Nie zaczęłam się jeszcze pakować. „Wróć tu – powtarzałam w myślach. – Wróć tu!”. W tej chwili – gdy wiatr zrywał liście z drzew i ciskał do kałuż na Ku’damm – miałam wrażenie, że to obietnica bez pokrycia, mająca swą podstawę wyłącznie w przypadkowych odkryciach dokonanych tego lata, które właśnie minęło.

Rumen wyciągnął z kieszonki na kolanach płytę CD w kolorze limonkowej zieleni i wsadził do odtwarzacza.

– A teraz... – Dźwięki bębnów, hinduskich instrumentów oraz ekstatyczny głos mężczyzny śpiewającego do mikrofonu z pogłosem wypełniły taksówkę, gdy pojechaliśmy na zachód ulicą Kantstrasse.

– Bhangra? – Parsknęłam śmiechem.

– Znasz bhangrę? – spytał.

– A ty?

– Skąd znasz bhangrę?

– Byłam kiedyś na hinduskim weselu. Tańczyły to wszystkie starsze panie.

Wygięłam łokcie i wykręciłam nadgarstki, próbując naśladować ruchy babć, które wytrzymały na parkiecie dłużej niż reszta gości na przyjęciu weselnym mojej przyjaciółki Sangeethy. Perkusja przyśpieszyła. Zaczęłam tańczyć szybciej na swoim fotelu, jak gdybym chciała zapomnieć o czekającym mnie locie.

– Jesteś szalona! – Rumen uśmiechnął się szeroko, opuszczając szyby w oknach i podkręcając głośniki. Bas wprowadził fotele w wibracje, gdy ruszyliśmy wzdłuż Kantstrasse. Ludzie na chodniku gapili się na nas.

– Ty też! – zawołałam, przekrzykując muzykę.

– *Richtig!*

Zawiózł mnie do wszystkich swoich ulubionych miejsc w dawnej części Zachodniego Berlina: Zweitausendeins, jego ulubionej księgarni na Kantstrasse, gdzie znalazłam książkę o niemieckim chlebie, a on kupił sobie płytę Muddy Waters za pięć euro; Rossii, otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę baru szybkiej obsługi i sklepu spożywczego na Stuttgarter Platz, gdzie zwykł jadać gołąbki i kupować wodę mineralną z Gruzji. Na Kaiser-Friedrich-Strasse oddaliśmy hołd tablicy pamiątkowej Herty Heuwer, domniemanej wynalazczynie kiełbaski z sosem curry, berlińskiego odpowiednika nowojorskiego hot doga. Była to smażona, pokrojona w plastry kiełbaska wieprzowa doprawiona ketchupem i mieszanką curry, którą początkowo przywieźli ze sobą brytyjscy żołnierze do powojennego Berlina.

– Niektórzy twierdzą, że te kiełbaski powstały w Hamburgu, ale to wierutna bzdura! – powiedział Rumen.

Znów splotłam dłonie nad dołkiem w brzuchu.

– Jesteś głodna?

Bar szybkiej obsługi na Ku’damm, gdzie kupił swoją pierwszą zachodniobrzeńską

Wienerwürst dzień po upadku Muru, nie istniał, więc poszliśmy do Good Friends, chińskiej restauracji na Kantstrasse.

– To tutaj zabieram taksówką wielu dyplomatów z Chin – powiedział. Usiedliśmy naprzeciwko siebie na krzesłach z prostymi oparciami i zamówiliśmy talerz drobiowej wątróbki w sosie z czarnej fasoli do podziału. – Jeśli chcesz – przejechał zębami swojego widelca po talerzu, kreśląc zawijasy w sosie – mogę podrzucić cię na lotnisko.

– W porządku. – Kiwnęłam głową, próbując odczytać wyraz w jego oczach. Dziś były bardziej szare niż niebieskie.

Zgodziłam się również, gdy po lunchu spytał, czy mam ochotę napić się piwa w jego mieszkaniu. Pojechaliśmy na wschód w strugach deszczu, słuchając jego nowej płyty Muddy Waters, prawie nie odzywając się do siebie w trakcie jazdy przez tunele na Autobahn.

– Gdzie teraz jesteśmy? – spytałam, gdy wynurzyliśmy się na powierzchnię.

– Na Neukölln – odparł, manewrując między samochodami przed hotelem Estrel.

– A teraz? – spytałam kilka minut później, zerkając przez szybę na oliwkowozieloną, dwuosobową kanapę, którą ktoś zostawił na chodniku.

– W Treptow.

Przejechaliśmy most na Sprewie i wjechaliśmy do Friedrichshain. Zbliżaliśmy się do jego mieszkania. Zaczęłam się wiercić, nie bardzo wiedząc, gdzie położyć ręce ani jak ustawić nogi.

– Gubisz się czasami? – spytałam, gdy minęliśmy wieżę ciśnień obok dworca kolejowego Ostkreuz S-Bahn, której fioletowo-czarne gonty przypominały mi wieżyczkę w nawiedzonym domu.

– W jakim sensie? W taksówce?

Kiwnęłam głową.

– Oczywiście! To całkiem normalne.

– Naprawdę? – Znajdowaliśmy się teraz na Jessnerstrasse – jego *Strasse*.

– Nie istnieje taksówkarz, który wie wszystko – stwierdził, wrzucając wsteczny. – A poza tym celem wcale nie jest absolutna wiedza. – Zaparkował taksówkę na wolnym miejscu parkingowym naprzeciwko swojego budynku. – Chodzi o to, żeby znaleźć wszystko z pomocą mapy.

Ścisnęłam torebkę, a Rumen nie zdjął kurtki, gdy dotarliśmy do jego mieszkania. Stojąc w kuchni, prawie na siebie nie patrzyliśmy, gdy otworzył dwa piwa i podał mi jedno.

Próbowałam odczytać czarno-złotą etykietę na pękatej, bursztynowej butelce.

– Z Bawarii?

– Piwa z Bawarii stają się coraz popularniejsze w Berlinie – powiedział. – Wiesz, że woda w tym regionie jest bardzo, bardzo dobra, więc piwa nie są gorzkie, jak te z północy Niemiec. Nieważne! – Uniósł butelkę. – *Prost!*

– *Prost!* – Wznieśliśmy toast, a ja upiłam łyk piwa. Było słodowe i słodko-gorzkie, z lekkim posmakiem chmielu. Rumen pociągnął długi łyk.

– Smakuje ci?

– Jest pyszne – odparłam, odwracając butelkę i ponownie przyglądając się etykietce.

– W tej chwili to moje ulubione piwo.

Piliśmy, on ciągle w kurtce, a ja z torebką pod pachą, szukając tematu do rozmowy.

– Hej! – Postawiłam butelkę na kuchennym stole nieco gwałtowniej, niż bym chciała. – Co z pytaniem od Rodrigo? – Zmarszczył brwi. – No wiesz, czy widziałeś *Noc na ziemi* albo *Taksówkarza*...

– Tak! Pamiętam. Oczywiście, że widziałem...

– Okej, tak też myślałam. Ale nie o to chodzi. Pytanie brzmi... – Piwo zaczynało uderzać mi do głowy. – Czy identyfikujesz się z którymś z bohaterów?

– Tak! Myślałem o tym! Chciałbym być połączeniem Roberta De Niro, Roberto Benigniego i Armina Muellera-Stahla.

– No dobrze – zaśmiałam się. – Wyjaśnij.

– Benigni jest wyjątkowo zabawny i szalony. Podoba mi się, że chwyta się, lub próbuje się chwytać, każdej możliwości, aby opowiedzieć ludziom o swoim życiu i problemach. To naprawdę świetne. – Upił kolejny łyk piwa. – Robert De Niro również jest stuknięty, ale odrobinę za bardzo. Tym, co rozumiem, co w nim lubię, jest jego wściekłość, miasto i wszyscy szaleni ludzie doprowadzają go do szału. Absolutnie to rozumiem. Ale pomylił się w swoich osądach, gdy zaczęło mu za bardzo zależeć na Jodie Foster. To wielki błąd. Nigdy nie należy przejmować się ćpunami i prostytutkami. To zbyt niebezpieczne, człowiek nigdy z tym nie wygra. A potem, gdy kupił tę całą broń... To już zbyt wiele.

– Zdecydowanie.

– Oczywiście Armina lubię, bo jest Niemcem z Niemiec Wschodnich i podoba mi się, że umieścił w tym filmie swoją własną historię. Lubię fakt, że przybył do Nowego Jorku jako imigrant i musiał nauczyć się języka. Armin Mueller-Stahl nie traktuje swych pasażerów zbyt osobiście. Chyba na tym polega różnica między nim a Robertem De Niro.

– Świetnie.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

– To było ostatnie.

– Wspaniale! Chodź! Od teraz zaczyna się twoja berlińska edukacja. – Zabraliśmy swoje piwa do salonu. – Siadaj, proszę. – Wskazał na przykrytą owczą skórą kanapę. Zdjął czerwone pudełko po butach z dolnej półki biblioteczki, usiadł przy mnie i przekartkował zdjęcia w środku jak katalog reklamowy. – Musisz to zobaczyć – dodał, wręczając mi zdjęcie człowieka w obcisłym, marmurkowym kostiumie tańczącego samotnie na Murze Berlińskim przez Bramą Brandenburską.

– Kiedy je zrobiłeś? – Pochyliłam się, aby przyjrzeć się lepiej zdjęciu. Nasze głowy prawie się zetknęły.

– Jakies dwa tygodnie po upadku Muru – powiedział, zdając się nie zauważać mojej bliskości lub po prostu nie okazując speszzenia, nie przerywając grzebania w czerwonym pudełku. – Spójrz na to. – Podawał mi fotografie szybciej, niż byłam w stanie je oglądać. – Te zrobiłem później. W dziewięćdziesiątym drugim albo trzecim.

Przyjrzałam się dokładnie zdjęciom przedstawiającym puste wieże strażnicze, ulicznego sklepikarza sprzedającego kawałki muru z wykładanej aksamitem walizki, nielegalnie zajęte mieszkanie o nazwie Villa Felix w secesyjnym budynku, który wyglądał, jakby ledwie udało mu się przetrwać II wojnę światową – i zaczęłam rozumieć, co zmieniło się po przeminięciu złotych

lat dziewięćdziesiątych. Berlin, z którym zetknęłam się w 2010 roku, był ujarzmiony, dorosły i nieco konserwatywny.

– O rany! Co to takiego? – spytałam, pokazując mu zdjęcie trzech czołgów pomalowanych na tęczowe kolory rodem z narkotykowego haju, ułożone niczym replika Stonehenge obok gmachu Reichstagu.

– To wystawa pod gołym niebem autorstwa jakichś artystów z Anglii.

– Nie mogę uwierzyć, że to Reichstag! – Rządowemu budynkowi brakowało kopuły. Gmach otaczały zwały ziemi i nieużytki porośnięte chwastami.

– Mur znajdował się zaraz obok Reichstagu. Ziemia niczyja, martwa strefa. To była tylko pusta przestrzeń. – Wypił resztki swojego piwa. – Wyobraź sobie miejsce wielkości dwóch lub trzech stadionów piłkarskich. Jednego razu rozbiłem tam namiot.

– Przed Reichstagiem? – Oparłam głowę o zagłówek kanapy. Miałam ochotę zdjąć buty.

Rumen kiwnął twierdząco głową.

– Wtedy to było spokojne miejsce. Opuszczone przez wszystkich. Jak w lesie albo w parku. – Postawił pustą butelkę na stoliku do kawy.

– A teraz? – Nie pozbyłam się butów. W zamian za to napiłam się piwa. – To znaczy, gdy patrzysz teraz na te zdjęcia...

– Teraz? – Wstał i poszedł do kuchni. Usłyszałam brzęk uderzających o siebie butelek, gdy otworzył drzwiczki lodówki. – Teraz... – „Pstryk! Pstryk!”. Zdjął kapsle z następnych dwóch piw, wracając do salonu z butelkami w rękach. – Teraz to jest nudne. – Podał mi piwo, stukając lekko w moją butelkę, zanim się napił. – Teraz ludzie wsiadają do mojej taksówki i mówią: „Och, Berlin stał się taki przyjemny, taki piękny, taki czysty, bla, bla, bla!”. Nie mają o niczym pojęcia. Cholerni turyści.

– Sama jestem cholerną turystką.

– Owszem. – Spojrzał na mnie. Jego szarobłękitne tęczówki okalały wąziutką obwódka czarne źrenice. – Ale ty interesujesz się Berlinem.

Spuściłam wzrok. Zgadza się, byłam nim zainteresowana. Teraz – widząc miasto w jego młodszej, bardziej nieokiełznanej i lekkomyślnej reinkarnacji, dostrzegając przebłyski tych części, które zniknęły – czułam, jak ogarnia mnie nostalgia z powodu przeszłości, która nie była moim udziałem.

– Pewnie myślisz, że jestem stuknięty – powiedział.

– Nie...

– Może wydaje ci się, że jestem głupi, bo rozmyślam tak wiele o przeszłości. – Zgarnął zdjęcia i wsadził z powrotem do czerwonego pudełka po butach. – Ale wiesz co? – Przykrył pudełko pokrywką. – Tęsknię za swoim Berlinem.

„Ja też – pomyślałam. – A przecież nawet mnie tu nie było”.

Przez kilka następnych godzin Rumen kontynuował moją berlińską edukację za pomocą YouTube, zaczynając od materiału filmowego pokazującego tłumy Niemców ze Wschodu przelewające się przez punkt graniczny na Bornholmer Strasse w noc obalenia Muru.

– To był pierwszy punkt, w którym doszło do otwarcia Muru – powiedział. – Po tym, jak ludzie usłyszeli komunikat od rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, że wolno im

podróżować, zupełnie oszaleli i zaczęli przybywać masowo do punktów granicznych. Straże były zupełnie zdezorientowane i pozwalały ludziom na swobodne przekraczanie granicy. Wyobrażasz to sobie?

– Obejrzyjmy to jeszcze raz – zaproponowałam.

Znaleźliśmy filmik z przemową prezydenta JFK „*Ich bin ein Berliner*”.

– Czy to rzeczywiście brzmi, jakby mówił, że jest pączkiem? – spytałam.

Rumen uniósł w górę swoją butelkę piwa.

– JFK nie jest pączkiem! Pączek to pączek! W Berlinie nazywa się to *Pfannkuchen*. Nie żaden naleśnik! Tylko poza granicami Berlina na *Pfannkuchen* mówią *Berliner*.

Chciałam przeciągać te chwile w nieskończoność, gdy tak siedzieliśmy ramię w ramię przy jego biurku, przysuwając się coraz bliżej do laptopa i pijąc piwo za piwem. Za każdym razem, gdy czułam na sobie jego wzrok, zmieniałam ułożenie nóg, żałując, tak jak często mi się to zdarzało, że nie są dłuższe.

Rumen pokazał mi filmiki z każdym z jego ulubionych hymnów Berlina: *Berlin ist ja so groß, Das ist Berlin, Ich stehe auf Berlin, Berlin, Du bist so wunderbar, Berliner Frühling, Born to Die in Berlin*. Każda piosenka i każde kolejne piwo popychało mnie w stronę delirium, aż w końcu, około północy, tępy ból żołądka – który utrzymał się pomimo wszystkich zjedzonych przeze mnie kurzych wątróbek – ustąpił miejsca zawrotom głowy. Powoli wychodziłam na prostą, uwieczona gdzieś pomiędzy radością a rozpaczą: w końcu udało mi się znaleźć nić w labiryncie. A teraz musiałam ją porzucić i odejść.

Kto z nas wstał jako pierwszy i zaczął tańczyć? Nie byłam pewna. Rumen poruszał się jak pijany klaun bez żadnych zahamowań ani rytmu, unosząc ręce w geście zwycięstwa bez żadnego wyraźnego powodu. Zrobiłam kilka udawanych kroków z salsy, zarzuciłam włosami i przyglądałam mu się, płasząc po salonie. Uwielbiałam patrzeć, jak tańczy.

– Ta piosenka to *Schwarz zu Blau!* – Podkreślił muzykę tak, że głośniki zatrzęszczały. – To Peter Fox. Prawdziwy chłopak z Berlina! Koniecznie musisz poznać jego utwory!

– Spoko! – Byłam pijana. Peter Fox pochodził z Berlina. Cokolwiek to było, hip-hop? reggae? dancehall?, brzmiało naprawdę fajnie.

– Hooooooooo! – zawołał Rumen, wskazując na moje stopy. – Szalona z ciebie tancerka.

– Z ciebie też!

Tańczyliśmy i tańczyliśmy, krążąc po salonie, okrążając siebie nawzajem, pocąc się, uśmiechając i nadal nie dotykając. Osunęłam się na przykrytą owczą skórą kanapę po tym, jak zatańczyliśmy do wszystkich piosenek z pierwszego albumu Petera Foxa.

– Która jest godzina? – spytałam, zrzucając buty.

– Nie mam pojęcia.

Rumen klapnął obok mnie, opierając swoją głowę o moją. Jego skóra była gorąca. Siedzieliśmy tak przez kilka sekund, próbując złapać oddech i wpatrując się w niski, szkarłatny sufit. Wyciągnął rękę z zamiarem rozplątania mi włosów.

– Zaczekaj – powiedziałam, wsuwając za ucho kilka zabłąkanych kosmyków.

Jego usta miały słony posmak, gdy mnie pocałował.

Leżeliśmy na plecach, trzymając się za ręce pod cienkim, wełnianym kocem na rozłożonej

kanapie, gdy zaczął chrapać. Zamknęłam oczy, wsłuchując się w śpiew wróbli, w szum metra w oddali – prawdopodobnie ostatniego pociągu tej nocy – oraz w wiatr poruszający drzewami tak, jak gdyby chciał nakłonić liście do cichych braw. Próbowałam nie myśleć, która może być godzina. Do głowy przyszły mi słowa z ulubionego tanga Liliany: „*Que me quiten lo bailado*”, czyli mniej więcej „Nikt nie odbierze mi tego, co przetańczyłam”.

Było jeszcze ciemno, gdy się obudziłam, ospała i zdezorientowana, po upływie, jak mi się zdawało, wielu godzin, z dłonią w jego dłoni. Przeszedł chrapać. Łaskotały mnie włoski na jego ramionach. Puściłam jego dłoń. Ujął ją z powrotem, przysuwając w stronę swojej piersi. Już prawie spałam, gdy usłyszałam wycie niemieckiej karetki na sygnale – a może to była syrena policyjna? Nie potrafiłam określić kierunku, z którego dobiegał ów dźwięk, ale nie było to daleko. Przypomniałam sobie, że miał mnie zawieźć na lotnisko. Która jest godzina? Zamknęłam oczy. Nie chciałam wyobrażać sobie naszego pożegnania.

– Wróć do Berlina – powiedziałam.

Wycie syreny ucichło. Rumen nie odpowiedział.

– Śpisz?

– Nie. – Rozluźnił uścisk.

Otworzyłam oczy. Światło zaczęło przenikać wokół brzegów zasłon. Przetoczył się na bok i usiadł na kanapie, plecami do mnie. Sięgnął po koszulkę z farbowanego, tęczowego batiku z białym, popękany napisem NOWY JORK umieszczonym z przodu. Była koszmar.

– Wróć do Berlina – powtórzyłam.

Kiwnął głową, nadal zwrócony do mnie plecami.

– Nie wierzysz mi?

– Co?

– Że wróć. – Usiadłam i złapałam poduszkę, tuląc ją do piersi.

– Wierzę ci.

Westchnął, opierając łokcie o uda.

– Co znowu?

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że jestem dla ciebie jak punkt na mapie Berlina.

– Że co? – Zmrużyłam oczy, świdrując wzrokiem jego plecy.

– Stały punkt. Masz mnie za punkt na mapie.

– O czym ty mówisz?

Coś uciskało dołek w moim brzuchu.

– Myślę, że nie jesteś szczera.

– Wobec kogo? – Rzuciłam poduszkę na podłogę. – Zdecydowałam się na powrót do Berlina, na długo zanim cię poznałam!

Westchnął ponownie, gapiąc się w podłogę.

– To prawda!

Mięśnie jego szczęki naprężyły się, zupełnie jakby zaciskał zęby.

– Rumen?

Milczał.

– W porządku – powiedziałam. – Myśl sobie, co chcesz.

Wygramoliłam się z łóżka i odszukałam ubrania, drżącymi rękami zapinając dzinsy.

Wzięłam torebkę, przerzucając przez głowę skórzany pasek. Im szybciej się poruszałam, tym bardziej nieruchomy się stawał. Stałam przed nim, chcąc go zmusić, aby na mnie spojrzał, i czekając, aż coś powie, mruganiem odpędzałam łzy. Sięgnął pod stół do kawy i wyciągnął spod niego paczkę owiniętą w plastikową torbę na zakupy.

– Masz – powiedział, wyciągając pakunek w moją stronę.

– Co to takiego?

– Zrobiłem to specjalnie dla ciebie. – Spoglądał ponad moim ramieniem na jakiś punkt na ścianie.

– Zatrzymaj to – odparłam.

Urażony wyraz na jego twarzy był ostatnią rzeczą, jaką widziałam, zanim wyszłam stamtąd, trzaskając drzwiami.

CZĘŚĆ
CZWARTA

NOWY JORK

Nawróci się ona tylko, ku swej siedzibie cofnie się wreszcie – ma samość oraz to wszystko, co z niej na obczyźnie przebywało, rozproszone pośród wszelkich rzeczy i przypadków.

— FRYDERYK NIETZSCHE
*Tako rzecze Zaratustra**

* Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. Waław Berent, Kraków 2010.

BYŁA 7:30 RANO, gdy wróciłam do mieszkania na Dirschauer Strasse. Mój samolot odlatywał za trzy godziny. Ściagałam się z czasem w szarym świetle poranka – zrywając ubrania z wieszaków, zdejmując pościel z kanapy, upychając wszystkie książki Karla z powrotem na półki. Miałam godzinę na to, aby się spakować, przywrócić mieszkanie do poprzedniego stanu i przygotować się do wylotu. Było już za późno na łapanie pociągu. Jeśli chciałam zdążyć na lotnisko, musiałam wziąć taksówkę.

Przełknęłam gulę w gardle i poszukałam w internecie numeru telefonu berlińskiej firmy taksówkarskiej. Cóż za żalony scenariusz. „To on miał mnie zawieźć na lotnisko”. A tak bardzo obawiałam się naszego pożegnania na Tegel. Jednak smutne pożegnanie byłoby lepsze od tego: za każdym razem, gdy przypominałam sobie wyraz twarzy Rumena, gdy odrzuciłam jego prezent, czułam się, jakby ktoś ugodził mnie w brzuch.

„Och! – pomyślałam pół godziny później, gdy zobaczyłam, jak podjeżdża taksówka, mercedes klasy B, taki sam jak Rumena. – Czy to ty?”

Żołądek opadł mi na dno brzucha, gdy kierowca wysiadł z auta. Przypominał Rumena tylko wzrostem. Był postawnym mężczyzną w okularach w drucianych oprawkach i z sięgającymi pasa włosami w kolorze słomy.

– Pomóc pani? – spytał, wskazując na moją wypchaną walizkę. Załadował ją do bagażnika, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. – Na Tegel, tak?

Usiłowałam zachować spokój i opanowanie, gdy wyjechał na Warschauer Strasse i skręcił w lewo we Frankfurter Tor na Karl-Marx-Allee. Wyjrzałam przez szybę na bloki mieszkalne wyrastające po obydwu stronach drogi, przypominając sobie, jak tę samą trasę pokonywałam z Rumenem: „Koniecznymuś spróbować »martwej babci«”.

– To pani pierwsza wizyta w Berlinie? – spytał taksówkarz.

Kiwnęłam głową, przygryzając dolną wargę.

Uchylił okno, a lekki wiatr zmierzwił mu włosy, zdmuchując długie kosmyki za szkła jego okularów. Wsunęłam dłoń do torebki, macając w poszukiwaniu telefonu. Wyciągnęłam go – brak nowych wiadomości. Westchnęłam. Przecież sama się o to prosiłam. Co by było, gdybym nie zgodziła się na piwo z Rumenem i zamiast tego kazała się zawieźć z powrotem na Dirschauer Strasse zaraz po kurzych wątróbkach? Dlaczego nie rozegrałam tego na spokojnie? Kogo ja próbowałam oszukać... Niczego nie potrafiłam rozgrywać na spokojnie.

Słońce przeświecało przez masy kłębiastych chmur, rzucając cienie na beżowobrzoszkwiniowe płytki na ścianach budynków. Ile razy przechodziłam obok nich latem, zafascynowana ich proporcjami, nie wiedząc, co sądzić o ich przepychu rodem z moskiewskiego wesela? Gdy mijałam je teraz, wiadomość była jasna: byłam tylko drobinką kurzu, która miała zostać zdmuchnięta z jednego krajobrazu w drugi.

– Dokąd pani leci? – spytał taksówkarz. – Do Nowego Jorku? Byłam tam cztery lata temu!

Pani też jest taksówkarką? – Wydał z siebie przeciągłe gwizdnięcie. – Jak to jest?

– Cóż... – Przejeżdżaliśmy przez Alexanderplatz, pusty, nie licząc grupy turystów z plecakami rozbijających namioty obok jednego z wejść do metra. – Przypomina to trochę grę wideo.

Wybuchnął tak głośnym śmiechem, że aż zaniósł się kaszlem.

– Wróci pani jeszcze do Berlina? – spytał kilka minut później.

– Tak – odparłam z pewnością w głosie, której wcale nie czułam. Co z Rumieniem? I co z Elektropolis? Czyżby okazało się to tylko wytworem mojej tęsknoty?

– Wie pani – ciągnął kierowca – Berlin bardzo się zmienił. To znaczy nadal bardzo się zmienia. – Wskazał przez szybę na otoczony rusztowaniem apartament. – Według mnie zostało mu jeszcze jakichś dziesięć lat, a potem przeistoczy się w jedno wielkie *gentrifizierte* SoHo.

W trakcie lotu z Tegel na JFK nie spałam ani chwili. Za każdym razem gdy zamykałam oczy, w mojej pamięci odtwarzały się ostatnie chwile spędzone w salonie Rumena, a ja poddawałam je drobiazgowej analizie z wręcz masochistyczną precyzją. „Stały punkt. Masz mnie za punkt na mapie”. Zaciśnęłam dłonie w pięści pod rozkładanym stolikiem. „Nie! – chciałam mu powiedzieć. – Mylisz się!”. Potem przewijałam film do tyłu, przypominając sobie swoją początkową niepewność, gdy mnie pocałował, to, jak głaskał mnie po czole, jak ciepłe były jego palce, sposób, w jaki skóra na środku jego piersi pachniała jałowcem i miodem... Nie. Jałowcem i palonym karmelem.

Gdzieś nad Grenlandią zaczęłam pisać w notesie przy świetle mapy wyświetlanej na ekranie w oparciu fotela. Dziewczyna siedząca obok mnie spała z ramionami skrzyżowanymi na bluzie z napisem NYU. Czyżbym kręciła się w kółko? Czy nie popełniłam przypadkiem tego samego błędu z innym mężczyzną w innym kraju? Czy to możliwe, że ulice uwarunkowały Rumena do życia w krótkich – choć pełnych namiętności – interwałach, tak samo jak *milongas* uwarunkowały Joaquína? Czy po tych wszystkich przejazdach taksówką naprawdę nie nauczyłam się niczego o ulotnej naturze rzeczy? Czy nadal tkwiłam w tym samym punkcie, co trzy lata temu (trzy lata temu!), gdy zaczynałam ten szalony eksperyment?

Stewardesa stuknęła mnie delikatnie w ramię, obdarzając uśmiechem profesjonalistki spod ronda marynarskiej czapki linii Air Berlin.

– Kurczak czy makaron?

I znowu to samo, pomyślałam, trzymając się obydwu podłokietników, gdy samolot podchodził do lądowania. Masażysta z Puerto Rico z dwupokojowym mieszkaniem w Astorii zdecydował się wrócić do swojego kraju, więc moją nową współlokatorką miała zostać Rebekka, niechlujna pisarka z kotem, która mieszkała parę kroków od taksówkarskiego garażu – na sześciomiesięczny okres próbny bez podpisywania umowy, na co zgodziłyśmy się w trakcie rozmowy na Skype.

Rebekka sprawiała wrażenie całkiem miłej: podobnie jak ja była wolnym strzelcem i również pochodziła z Kalifornii. Gdy nie zajmowała się dziennikarstwem, pracowała nad feministyczną powieścią science fiction. „I w dodatku mieszka pięć minut drogi od garażu”, powtarzałam w myślach, gdy samolot kołował po płycie lotniska, lecz w tamtej chwili żaden z tych szczegółów nie był w stanie podnieść mnie na duchu. Do licha, co ja znowu robiłam w tym burym, bezlitosnym mieście?



Rebekka uśmiechnęła się uprzejmie – była jeszcze bardziej nieśmiałą wersją wirtualnej siebie – gdy otworzyła drzwi do mieszkania na Long Island City. Była mniej więcej w moim wieku, wysoka i wiotka, z krótkimi, ciemnymi włosami obciętymi w eleganckiego boba oraz wielkimi, orzechowymi oczami opadającymi leciutko w kącikach. Zgarbiona, z ramionami zaokrąglonymi od przesiadywania przed komputerem, wpuściła mnie do środka.

Zmusiłam się do odwzajemnienia uśmiechu, choć po bezsennej podróży czułam się jak wrak człowieka. W mieszkaniu czuć było kocimi sikami i zepsutą rybą. Przetoczyłam walizkę po nierównej, drewnianej podłodze, oddychając płytko i idąc za nią przez hall.

– Tutaj jest schowek – powiedziała Rebekka, szarpnięciem otwierając pierwsze drzwi na prawo, usuwając z drogi kawałek łóżkowej ramy. Na parapecie oparta o kraty stała kuweta. – Staram się mieć te drzwi otwarte na wypadek, gdyby chciała tu wejść.

Pokazała mi resztę mieszkania: w kuchni na magnesach przyczepionych do okapu nad piecykiem wisiała para rękawic w kształcie kotków, a w metalowej miseczce obok lodówki wysychały na kamień grudki kociego żarcia. Kuweta numer dwa znajdowała się pod umywalką w łazience. W salonie, naprzeciwko skórzanej sofy, której podłokietniki były podarte od pazurów tak, że wystawało z nich wypełnienie, stała kuweta numer trzy.

– Ma jakieś problemy z trawieniem – wytłumaczyła Rebekka – więc staram się jej wszystko ułatwić. – Kiwnęłam głową, wstrzymując oddech.

Kotka nie miała imienia. Wypełzła zza sofy z wysoko uniesionym ogonem, pokryta matowym, ciemnoszarym futrem sterczącym na wszystkie strony w wyrazie obrony, gdy Rebekka otworzyła drzwi do mojego pokoju.

– Hej, malutka! – Głos Rebekki podniósł się o kilka oktaw. Zaczekała parę razy, uśmiechając się na widok kotki. – Kici kici... – Kotka okrążyła pokój z ostrożnością typową dla łowcy, ignorując Rebekkę i wpatrując się we mnie morderczym wzrokiem. „Dobry Boże”.

Mój długi, wąski pokój był nieco mniejszy od głównego pokoju mieszkania w Berlinie, które według nowojorskich standardów miało wręcz pałacowe gabaryty. W jednym rogu leżał pościółka, podwójny materac, a w drugim, przed pozbawionym zasłon oknem wychodzącym na wschód, stał składany stolik. Zostawiłam walizkę przy drzwiach i podeszłam do okna. Rozciągał się z niego widok na kawiarnię Dena na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, ruch uliczny u stóp Queensboro Bridge oraz tory kolejki zakręcające na Queensboro Plaza. Nawet przy zamkniętym oknie, hałas – na który składały się zgrzyt pociągów linii N i 7, wściekle trąbienie klaksonów, a także wiercenie młota pneumatycznego i piły elektrycznej dochodzące z placu budowy na Queensboro Plaza – był nie do zniesienia, około sześć tysięcy czterysta czterdzieści kilometrów i zupełnie inny świat, daleko od oddychania pełną piersią w metrze, rowerów jeżdżących po bruku i elektronicznej muzyki mojego sąsiada z góry. „Pięć minut drogi od garażu”. Kotka otarła się o moją walizkę, wyginając grzbiet, z ogonem nadal uniesionym wysoko w górę.

Uśmiechnęłam się do Rebekki. „Sześć miesięcy – pomyślałam. – Przez sześć miesięcy jestem w stanie mieszkać absolutnie wszędzie”. Miałam dziką ochotę zagłuszyć wszystkie swoje zmysły.

Tamtej nocy śniłam o prowadzeniu taksówki. Moim pasażerem był mężczyzna bez twarzy

w słomkowym kapeluszu, który podawał mi nowy adres za każdym razem, gdy udało nam się dotrzeć pod ostatni.

Następnego ranka obudziłam się wraz z pierwszymi promieniami słońca wlewającymi się przez okno bez zasłon wychodzące na Dwudziestą Dziewiątą Ulicę. Wyjęłam stopery z uszu – prace na placu budowy jeszcze się nie zaczęły, ale trąbienie jak najbardziej. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Żółte taksówki ustawiały się w rzędzie przy wjeździe na Queensboro Bridge, czekając na zmianę świateł. Gdy zaświeciło się zielone, ruszyły niczym konie czystej krwi na wyścigach. Patrzyłam, jak walczą o utrzymanie prowadzenia, pędząc przez most i jadąc na zachód, na Manhattan. „Muszę się tam dostać”.

Ale nie dzisiaj. Włączyłam laptop i sprawdziłam pocztę. Dostałam dziewięć e-maili od argentyńskiej firmy, jeden od mamy i taty, jeden od Isabel. Oraz jeden od Rumena.

Kolana ugięły się pod mną na widok jego imienia. Co takiego? Przez większą część lotu przez sześć stref czasowych miałam cichą nadzieję, że się odezwie. Po tym, jak się rozstaliśmy, nie mogłam uwierzyć, że faktycznie to zrobił.

Skrzywiłam się pod wpływem zgrzytu pociągu metra okrążającego zakręt prowadzący na Queensboro Plaza. Zawsze się zastanawiałam, kto zajmował mieszkania, w których okna można było zajrzeć prosto z wagonów metra.

Odpięłam laptop od zasilacza, ściągając go ze stolika i kładąc w plamie światła na drewnianej podłodze. Przyklękłam, aby odczytać wiadomość:

Witaj, Layne!

Mam nadzieję, że miałaś spokojny lot. Chcę cię przeprosić za to, co powiedziałem. Dużo myślałem od czasu twojego wyjazdu. Ale wiesz dobrze, że jestem ze Wschodnich Niemiec, a tutaj wszyscy jesteśmy *sehr* bezpośredni!

Wybacz – żartuję, ale jednocześnie jestem śmiertelnie poważny. Tak czy inaczej, to była dla mnie prawdziwa przyjemność móc ci opowiedzieć wszystkie historie związane z Berlinem. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę zainteresowało cię to miasto.

Mam zatem nadzieję, że kiedyś tu wrócisz i że znów będziemy mogli się spotkać.

Pozdrowienia z Berlina/Friedrichshain!

Powodzenia w taksówce! Powodzenia w NYC!

Rum

„Wszystko jest zawieszona w niepewności – pomyślałam, pochylając się bliżej w stronę ekranu i ponownie odczytując jego wiadomość. – Ale nie wszystko stracone”.

KILKA DNI ZAJĘŁO MI ZEBRANIE SIĘ NA ODWAGĘ, aby przejść się na próbę z mieszkania na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy do garażu. Stałam przed ogrodzeniem z metalowej siatki, obserwując, jak kierowcy przybywają pojedynczo po skończonej zmianie, usiłując cieszyć się swą nową, krótszą drogą do pracy.

– Ho-ZAAAAAY! – ryknął do głośnika dyspozytor. Jego głos nie brzmiał znajomo. – A-BOOOOO!

„Masz już za sobą pierwszą zmianę?“, spytał Rumen. Pisaliśmy do siebie co kilka dni jako przyjaciele i koledzy po fachu, przeprosiwszy się wzajemnie za sposób, w jaki rozstaliśmy się w Berlinie. „Jeszcze nie“, odpisałam. Za każdym razem, gdy wyciągałam swój atlas nowojorskich ulic – przepytując samą siebie z przecznic i alternatywnych tras na lotniska JFK i La Guardia w godzinach szczytu – miałam wrażenie, że zapomniałam tę odrobinę geografii miasta, której zdążyłam się nauczyć.

– HOW-ard! – Głos dyspozytora odbił się echem jak uderzenie pioruna po parkingu. – A-ZEEEEEEZ! – Żołądek skurczył mi się na dźwięk imienia kierowcy.

Wsunęłam palce w otwory ogrodzenia z siatki, spoglądając na rzędy taksówek na firmowym parkingu. Wyglądały jak żółte łodzie zacumowane w brudnym porcie. Przypomniałam sobie łódź, którą widziałam w domu Pabla Nerudy na Isla Negra w środkowej części wybrzeża Chile podczas jednego z krótkich wypadów w celu odnowienia argentyńskiej wizy turystycznej. Między domem Nerudy, który zbudował go na kształt statku – z bulajami w miejsce okien – i chatką, w której pisał swoje wiersze, znajdowała się jednoosobowa łódka przycupnięta na kupce kamieni, przechylona, jakby dopiero co uderzył w nią silny podmuch wiatru. „Neruda lubił siadać w tej łódce – usłyszałam, jak młody nauczyciel mówi do swoich uczniów – i wyobrażać sobie, że jest odważnym kapitanem. Jednak ocean napawał go przerażeniem. Pomimo wszystkich utworów poświęconych morzu, Neruda nie był w stanie zamoczyć nawet jednego palca w wodzie!”.

Dłonie pociły mi się na kierownicy, gdy wyjechałam z parkingu następnego ranka. „Celem wcale nie jest absolutna wiedza – przypomniałam sobie słowa Rumena, skręcając w Northern Boulevard i uważając na nowe dziury w jezdni. – Chodzi o to, żeby znaleźć wszystko z pomocą mapy”. Może i tak. Zajęłam miejsce w sznurze innych taksówek przekraczających Queensboro Bridge, tłumiąc chęć natychmiastowego powrotu do garażu pomimo piosenki z *Supermana*.

Moim pierwszym pasażerem był ksiądz, który zatrzymał mnie na Trzydziestej Czwartej Ulicy. Zaśmiał się, gdy tylko usłyszał piosenkę z *Supermana*.

– Wie pani, jak dojechać na Williamsburg? – spytał. Był dobrze zbudowany. Miał słaby brookliński akcent i wyblakły tatuaż przedstawiający łuk i strzałę pod koloratką.

– Mniej więcej. – Ściszyłam muzykę.

Dojechałam do Williamsburg Bridge, a ksiądz, który powiedział, że nazywa się ojciec Ron, przejął stery.

– Prowadzenie taksówki – powiedział, kierując mnie przez chasydzką dzielnicę, gdzie mężczyźni w futrzanych kapeluszach i długich płaszczach spacerowali z rękami założonymi na plecach i wysoko zadartymi głowami – to akt wiary.

– To prawda. – Uśmiechnęłam się.

– Jak długo pani się tym zajmuje?

– Od niedawna. – Pytanie sprawiło, że wróciłam myślami do *milongas*, gdzie panowie, po jednej lub dwóch piosenkach, lubili pytać, od jak dawna tańczę tango. – Tego lata byłam w Berlinie, więc zdążyłam już trochę zapomnieć.

– W Berlinie, w Niemczech? Nigdy nie byłem w Berlinie. – Podrapał się w jeden ze szpakowatych bokobrodów. – Ale przyznam się pani, że jestem już starszym gościem, a moje wyobrażenie o nim wcale nie należy do najprzyjemniejszych.

– Nie jest ksiądz pierwszą osobą, która mi to mówi...

– Musi pani skrócić w prawo, w Union – poinstruował.

Kiwnęłam głową, spoglądając na niego we wstecznym lusterku.

– Moi rodzice od razu pomyśleli o Murze Berlińskim.

– I o Hitlerze – dodał.

– I o Hitlerze.

– Ale Berlin to znacznie więcej, prawda?

– O tak – odparłam, zwalniając przed zakrętem.

Wysadziłam ojca Rona i wróciłam na Manhattan, rozmyślając o boskiej interwencji i tym, że nie uda mi się wstąpić na gotowane pierożki na parze *dim sum* w Ping. W ciągu pół godziny utknęłam za śmieciarką na Zachodniej Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy, starając się nie patrzeć w lusterku na pasażera na moim tylnym siedzeniu, piegowatego faceta w sportowym kostiumie z lycry, którego zabrałam dwie przecznicę wcześniej. Wiercił się i pojękiwał w dość teatralny sposób, gdy czekaliśmy, aż śmieciarze skończą wrzucać worki do tylnej części śmieciarki.

– Nie może ich pani ominąć? – spytał, wciskając głowę w otwór w ścianie działowej.

Sama się nad tym zastanawiałam. Jednak między śmieciarką a samochodami zaparkowanymi po naszej prawej był niecały metr osiemdziesiąt wolnej przestrzeni – potrzebowałam co najmniej dwa i pół metra na swobodne manewrowanie, aby nie rozbić bocznego lusterka taksówki. Przejechanie po chodniku również nie wchodziło w grę – co dziesięć metrów rosło drzewo osłonięte koszem w kutego żelaza. W dodatku było już za późno, by się wycofać: za nami ustawiła się kolejka samochodów, choć żaden nie zaczął jeszcze trąbić.

– Nie mogę.

– Cholera!

„Nie wszyscy kochają swoich kierowców”, pomyślałam, gdy facet w kostiumie walnął pięścią w siedzenie. Scena wyglądała znajomo, aż nazbyt znajomo, ale nie moja reakcja: nie czułam się odpowiedzialna za nasze kłopotliwe położenie. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to poczekać, aż śmieciarze w przylegających do głów okularach przeciwsłonecznych skończą ładować worki ze śmieciami w tempie, który sugerował, że zbyt prędko to nie nastąpi.

Wydawało mi się, że śmieją się pod nosem na widok powiększającego się sznura samochodów, zupełnie jakby upajali się swoją władzą, by wstrzymać uliczny ruch.

Cała sytuacja rozwścieczyła mojego pasażera w kostiumie z lycry. Wcisnął dłoń w okienko i pomachał mi przed nosem pięciodolarówką.

– Proszę wyłączyć licznik! Wsiadam!

Spojrzałam na niego, na jego zmrużone oczy i falujące nozdrza. Zmarszczki na jego czole i wokół ust zrobiły się białe, gdy skóra wokół nich zmieniła kolor z różowego na purpurowy.

– Nie wezmę od pana pieniędzy – odparłam, nie przyjmując banknotu.

Po każdej zmianie i za każdym razem, gdy otwierałam drzwi do mieszkania na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, w twarz uderzała mnie fala smrodu z trzech kocich kuwet. Pędziłam wtedy przez korytarz, oddychając przez usta, machałam na powitanie Rebecce, o ile była w mieszkaniu (przez większość czasu jej nie było), rzucałam torebkę i sprawdzałam skrzynkę e-mailową. Zwykle znajdowałam w niej wiadomość od Rumena, często dotyczącą jedzenia. „Właśnie spróbowałem twojego *köfte* na Kottbusser Damm. Masz rację! Są naprawdę świetne! W ciągu kilku ostatnich dni zrobiłem zdjęcia z trzech wietnamskich restauracji. Szkoda, że nie miałem czasu spróbować jedzenia w żadnej z nich. Ciągle mam klientów, nie jest najgorzej...”.

Od razu odpowiadałam na jego wiadomości. Nie zabiegaliśmy o swoje względy, więc nie było między nami żadnych gier, zasad, żadnych długich, wstydlivych pauz między wiadomościami. Lubiłam poczucie, że mogę odpisać mu wtedy, kiedy chcę, kusząc go smakowitymi opisami jedzonych przeze mnie potraw, wysyłając zdjęcia z taksówki, mówiąc sobie, że mam w Berlinie przyjaciela i że na pewno tam wrócę. Nasza wirtualna korespondencja stanowiła dla mnie ucieczkę od smrodu unoszącego się w mieszkaniu i ogłuszającego hałasu z za okna, który narastał i cichł, lecz nigdy nie milknął.

W miarę upływających tygodni, po wielu wysłanych i otrzymanych e-mailach, przyzwyczaiałam się do codziennego rytmu komunikacji z Rumieniem, uzależniona w równym stopniu od jej częstotliwości, co od intensywności. Wkrótce, gdy tematy rozmów przeszły z jedzenia i prowadzenia taksówki na miasta, książki i niemieckich filozofów, miałam wrażenie, że Rumien i ja prowadziliśmy dwudziestopierwszowieczną wersję dziewiętnastowiecznej korespondencji. „Chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz co do Nietzschego – napisał. – Możesz potraktować to jaką swoją pierwszą lekcję niemieckiego: «*Du musst nich nur mit dem Munde, sondern auch mit dem Kopfe essen, damit dich nicht die Naschhaftigkeit des Mundes zugrunde richtet*». Nie należy jeść tylko ustami, lecz także głową. W przeciwnym razie żarłoczność ust zniszczy człowieka”.

Wysłał zdjęcia książek, które czytał i do których wielokrotnie wracał – *Bay Ganyo* autorstwa jego ulubionego bułgarskiego pisarza Aleki Konstantinova oraz *Berlin: Fate of a World City* autorstwa Waltera Kiaulehna – opartych o wysoką szklanę *Milchkaffee*. Wyjaśnił swoje przywiązanie do Boba Dylana: „On zawsze robi to, czego nikt się po nim nie spodziewa! Szanuję go za to!”. Objaśnił też definicję *Lebenskunst* i *Lebenskünstler*: „Według mnie problem polega na tym, że wielu ludzi nie rozumie idei *Lebenskünstler*. Jeśli spróbujesz odnaleźć własną drogę, robić coś, co nieznacznie odbiega od głównego nurtu, zawsze będziesz zmuszony tłumaczyć się, dlaczego jesteś inny, co czasami może powodować, że ludzie będą czuli się niekomfortowo...”.

W trakcie pobytu w Berlinie miałam okazję poznać odrobinę jego filozofii oraz więcej niż

odrobinę namiętności – nie wiedziałam, czy uda mi się jeszcze poznać kogoś z tak naturalną, wrodzoną pasją. Jednak teraz, choć nie porozumiewałam się z nim w jego ojczystym języku, czułam, że rozmawiam z pokrewną duszą.

„Czyż to nie wspaniały początek pięknej przyjaźni?”, pomyślałam, zamykając laptop.

– No, no! – powiedziałam, gdy Isabel wyszła ze swojego biura na Zachodniej Trzydziestej Dziewiątej Ulicy. Jak zwykle była elegancka, ubrana w bordowy, dwurzędowy płaszcz przewiązany paskiem w talii i kozaki do kolan w kolorze ciemnej czekolady. Uścisnęłam ją tak, jak nauczyłam się podczas *milongas*, przyciskając serce do jej piersi. – Co u ciebie?

Odwzajemniła uścisk jak prawdziwa *milonguera*.

– Wszystko w porządku – odparła. – A u ciebie, młoda damo? Jak się czujesz po powrocie?

– Dziwnie.

– Nie dziwię się.

Poszliśmy w kierunku Times Square, rozłączając się, gdy weszliśmy pod rusztowanie na Siódmej Alei, przystając na chwilę, aby posłuchać mężczyzny przy wejściu do stacji linii 7, który grał na trąbce wolniejszą wersję *My Favorite Things*.

– Wydaje mi się – powiedziałam, gdy przetrząsałyśmy torebki w poszukiwaniu drobnych – że zaczynam rozumieć twoje uczucia względem Nowego Jorku.

– Naprawdę?

– Uhmhm.

Zeszliśmy po schodach do metra. Wiatr w tunelu potargał kilka kosmyków jej krótkich, kasztanowych włosów. Przyglądała je, umieszczając z powrotem w gładkiej tafli otaczającej jej twarz w kształcie serca.

Nie chodziło wyłącznie o jej elegancję, która zadziwiała przy każdym naszym spotkaniu. Chodziło o bijącą z niej radość. Jej chłopak mógł się pogryźć w kryzysie egzystencjalnym, jej praca kierownika do spraw projektów mogła być nudna, a zielona karta uwieczniona w zatkanym, biurokratycznym labiryncie, lecz w jej obecności zawsze wyczuwałam (rzadkie) zadowolenie osoby, która była dokładnie tam, gdzie chciała.

Wsiadliśmy do pociągu jadącego na Queens, wyciągając szyje i wyglądając przez okna, gdy pociąg linii 7 wynurzył się na Long Island City, usiłując dostrzec fragmenty panoramy Manhattanu. Pociąg pojechał na północ, sunąc ze zgrzytem po torach między Jackson Avenue i Queensboro Plaza.

– Gdzie wysiadamy? – spytała Isabel.

– Na Osiedzię Drugiej.

Byliśmy w drodze do kolumbijskiej restauracji poleconej przez dwóch taksówkarzy spotkanych przeze mnie w poczekalni garażu firmy Team. „Próbowałaś kiedyś *bandeja paisa*?”, spytał Hernán, który urodził się w miejscowości Barranquilla. „To nasze danie narodowe – dodał José, który pochodził z Bogoty – z północno-zachodniej części Kolumbii. Tamtejsi mieszkańcy nazywają je *paisas*”.

Pollos a la Brasa Mario była restauracją w Nowym Jorku, w której Hernán i José lubili jeść *bandeja paisa*. Lokal ozdobiony czerwono-żółtym neonem (ESPECIALIDAD EN MARISCOS * ASADOS * COMIDA TIPICA, DARMOWA DOSTAWA), który lśnił w aureoli halogenowych świateł na rogu Trzydziestej Siódmej Alei i Osiedzi Trzeciej Ulicy

w Jackson Heights. Zanim weszliśmy do środka, Isabel i ja przyjrzałyśmy się zdjęciu przyklejonemu do szyby: *bandeja paisa* było pierwszym daniem na liście.

Wybrałyśmy stolik na środku sali jadalnej, pod sztucznym fikusem, który ktoś wcisnął w wysoki pień z *papier-mâché*, zmieniając go w palmę. Moje krzesło z czerwonego laminatu nawet nie drgnęło, gdy spróbowałam przysunąć je bliżej do żółtego stołu – obydwie meble były przymocowane śrubami do podłogi. Gdy zamówiłyśmy *bandeja paisa* oraz przystawkę w postaci *mazamorry* (potrawki ze słodkiej kukurydzy), obsługujący nas kelner, niziutki człowieczek w bordowym fartuchu, wyglądał na zdumionego.

– I jak ci się teraz prowadzi taksówkę? – spytała Isabel, gdy kelner postawił na stole *mazamorrę* oraz talerzyk z ćwiartkami limonki i miseczkę zielonej salsy.

– Hmm... – Wycisnęłam limonkę i dodałam trochę salsy do *mazamorry* wyglądającej jak mleko z kilkoma porcjami tłuczonej kukurydzy. – No cóż...

– *Ay, no!* – zawołał kelner, podchodząc w pośpiechu do naszego stolika, zanim zdążyłyśmy ugryźć chociaż kęs. Spojrzałyśmy na niego z łyżkami uniesionymi w powietrzu. – To do waszej *bandeja* – wyjaśnił, odsuwając limonki i salsę z zasięgu moich rąk. – To... – wskazał na nieregularne grudki brązowego cukru pod brzegiem miski, przypominające asteroidy wielkości łyżeczki – jest *panela*. Jemy to z *mazamorrą*. A *mazamorrę* – dodał, uśmiechając się – jemy przeważnie na śniadanie.

– Och! – wyjąkałam, oblewając się rumieńcem.

– *No te preocupes* – powiedział. Proszę się nie martwić. Szybkim ruchem zgarnął zbezczeszczoną potrawkę i przyniósł nam nową porcję.

– *Muchas gracias*.

Isabel zachichotała, dodając kawałek *paneli* do *mazamorry*.

– Pamiętasz, jak wykańczało mnie jeżdżenie taksówką? Jeszcze zanim poleciałam do Berlina?

– Pamiętam Pana 16.29 – powiedziała Isabel, nadal mieszając. *Panela* rozpuściła się w mlecznej kukurydzy w smudze barwy cynamonu.

Przypomniałam sobie poirytowanego biznesmena, którego wysadziłam na czas na lotnisku JFK.

– Biedny Pan 16.29. – Zjadłam trochę *mazamorry*. Danie było mdłe, ale łagodne w smaku, osiadając na dnie mojego żołądka warstwą skrobi. – Ale wiesz co? – Oparłam łyżkę o brzeg miseczki. – Gdyby wsiał teraz do mojej taksówki, myślę, że byłoby inaczej. – Opowiedziałam Isabel o facecie w kostiumie z lycry i jego dziwnym zachowaniu. – To chyba wpływ Berlina. Tamtejsi taksówkarze, a przynajmniej ci, których spotkałam, podchodzą do tego, lub przynajmniej zdają się do tego podchodzić, w zupełnie inny sposób. Jakby to była kwestia szczęścia. – Spojrzałam na sztuczną fikuso-palmę. – Albo sztuka.

– Mówisz o tym facecie od Zorby?

– Tak. – Uśmiechnęłam się. Isabel czytała wpisy na moim blogu dotyczące Rumena. – Piszemy do siebie, odkąd wróciłam.

– Serio?

Kelner przyniósł nasze *bandeja paisa*. Odsunęłyśmy się od stolika, rozdziawiając usta ze zdumienia, gdy postawił na środku stolika olbrzymi talerz. Wielkość dania przekraczała granice przyzwoitości: smażone, słodkie plantany, porcja *carne asada*, pół awokado, *arepa* (placki

kukurydziane), kawał *chicharrón* (smażony boczek), ryż, fasola i jajko sadzone.

– ¡*Buen provecho!* – powiedział kelner, po czym zniknął w czeluściach kuchni.

– O mój Boże – wymamrotała Isabel, spoglądając na *bandeja* z mieszaniną podekscytowania i obawy.

– Może powinniśmy były popracować trochę w kopalni, zanim zdecydowałyśmy się to zamówić – dodałam, nakładając zieloną salsę.

Isabel roześmiała się, skrapiając wszystko sokiem z limonki.

– Więc nadal utrzymujecie kontakt, tak?

Kiwnęłam głową, odkrawając plaster rozbitego na cienki kawałek *carne asada*. Stek był nieco twardawy, ale nadal soczysty i posypany mnóstwem pieprzu. Opowiedziałam Isabel, co wydarzyło się po kulinarnej wyprawie i co doprowadziło do naszego pożegnania.

– Teraz jesteśmy przyjaciółmi – powiedziałam, rozgniatając widelcem fasolę.

Jednak nasze e-maile nabierały coraz bardziej intymnego i dwuznacznego charakteru. Za sugestią Rumena właśnie czytaliśmy tę samą książkę, *Mieć czy być?* Ericha Fromma. Przez cały zesły tydzień wysyłaliśmy sobie nasze ulubione ustępy. (Ja: „To, co oddane, nie zostało utracone, a wręcz odwrotnie. Utracone jest to, co zatrzymane”. On: „Poznawanie nie jest tym samym, co posiadanie prawdy, raczej chodzi tu o przebicie się przez powierzchnię po to, aby dotrzeć do korzeni... O maksymalizację zbliżenia z prawdziwą rzeczywistością”). „Wiesz, co lubię najbardziej? – napisał w jednej ze swoich ostatnich wiadomości. – Że naprawdę świetnie się rozumiemy”.

Chodziło o Fromma, ale też o coś więcej, czego Fromm był swoistego rodzaju kulminacją. Poza tym coraz trudniej było mi maskować tęsknotę za Rumieniem i za Berlinem. Nie potrafiłam się też nie denerwować, gdy odpowiedź na moją wiadomość zajmowała mi więcej niż pół dnia. Upominałam się jednak w duchu, że i tak nic nie osiągnę, pośpiesznie próbując rozwiązać problem. W dalszym ciągu czegoś szukałam: musiałam dalej prowadzić taksówkę, zostać tu na dłużej, nawet po tym, jak kotka Rebekki upodobała sobie załatwianie się tuż pod moimi drzwiami, a każdy wpis na blogu wydawał się zapowiedzią kolejnego pożegnania.

Udało nam się przedrzeć przez połowę *bandeja paisa*, po czym poprosiliśmy kelnera, aby zapakował nam na wynos resztę smażonego boczku.

– Zapomniałam powiedzieć ci o jednej rzeczy – powiedziałam, gdy szłyśmy ramię w ramię Osiedzią Trzecią Ulicą, wracając na pociąg linii numer 7 i kuląc się w podmuchach październikowego wiatru. – Rumen miał mnie zabrać na lotnisko, ale potem wdaliśmy się w kłótnię, więc wezwałam inną taksówkę. Wiesz, co powiedział mi jej kierowca?

– Co takiego? – Schowała podbródek w kołnierz płaszcza.

– Że Berlinowi zostało dziesięć lat, zanim przeobrazi się w jedno wielkie, ekskluzywne SoHo. Ale mam to gdzieś! Skoro miastu zostało dziesięć lat, to chcę je spędzić razem z nim. – I choć miasto mogło stać się jeszcze bardziej popularne, a złote lata dziewięćdziesiąte Rumena już dawno przeminęły, to nawet z drugiego końca świata nadal było dla mnie prawdziwym Elektropolis.

– Brzmi jak miłość – powiedziała Isabel przejmującym głosem.

Dotknęłam jej ramienia.

– Wiem, że rozumiesz, co mam na myśli, nowojorczanko.

Jechałyśmy metrem w milczeniu. Z ukosa zerkałam na Isabel, która żuła wewnętrzną stronę

swojego policzka. Dlaczego nie chciałam mieszkać w Nowym Jorku, gdzie w odróżnieniu od swojej przyjaciółki mogłam robić to, na co miałam ochotę? „Może – pomyślałam, gdy metro pędziło na zachód – obie czułyśmy pociąg do miejsc, w których nieustannie musiałyśmy odnawiać swoje wędrowne ślubowanie, rok po roku, dzień po dniu zadawać sobie pytanie, czy miejsce, w którym się znajdowałyśmy, faktycznie było tym, w którym pragnęłyśmy być”. Uściskałam Isabel, zanim przesiadła się do pociągu linii R.

– Weź boczek – powiedziałam.

– Jesteś pewna?

– Zrobisz gulasz. – Wepchnęłam plastikową torebkę w jej rękę, a ona wyślizgnęła się z wagonu w chwili, w której kończył się komunikat: „Proszę odsunąć się od drzwi”. Czekala na peronie, ściskając opakowanie z boczkami. Gdy pociąg ruszył, pomachałam jej przez podrapaną szybę. „Jesteś moją siostrą – zdawał się mówić jej smutny uśmiech – i wiem, że musisz stąd odejść”.

Pod koniec kolejnej zmiany, w drodze powrotnej do garażu, uwięziona w korku na Queensboro Bridge, stuknęłam palcami w kierownicę i podgłośniłam Celię Cruz, wzdychając na widok mnóstwa świateł stopu przede mną.

Miałam za sobą dobrą zmianę, nie licząc wszystkich wycieczek do toalety: dwa kursy na JFK bez żadnego incydentu, trzysta dziesięć przejechanych kilometrów, jagnięcinę z ryżem i zielonym sosem chili z budki Kwik Meal na Zachodniej Czterdziestej Piątej (gdzie taksówkarze zawsze byli obsługiwani jako pierwsi), dziewięćdziesiąt pięć dolarów napiwku w kieszeni i dwudziestu czterech pasażerów, z których jednym była dziewczynka o imieniu Alice, która wsiadła do taksówki z dwoma ojcami i powiedziała, że jadą w odwiedziny do jej dziewięćdziesięciodziewięcioletniej babci w Connecticut. Alice była drobną dziewczynką ubraną na fioletowo i tak samo pomalowanymi paznokciami, światową na sposób nowojorskich dzieci, w wieku siedmiu lat mających znacznie szersze horyzonty niż ja w wieku trzydziestu sześciu. „Moją najukochańszą potrawą na świecie – powiedziała Alice, gdy jechaliśmy Szóstą Aleją i mijaliśmy boiska do koszykówki przy Czwartej Zachodniej Ulicy są pierożki z bulionem podawane w Grand Szechuan”. Gdy wysiadła z taksówki, posłała mi całusa. „Zapłaćcie jej mnóstwo pieniędzy”, powiedziała do swoich ojców, po czym zniknęła w podskokach za mosiężnymi drzwiami Grand Central Terminal.

Dochodziła czwarta po południu. Alice była już pewnie w Connecticut, a praktycznie żaden z pojazdów na pasie dla jadących na wschód na moście Queensboro nie posunął się naprzód. Zatrzymałam samochód i usiadłam prosto, starając się wyjrzeć ponad pojazd przede mną. Widziałam tylko światła stopu. Uchyliłam szybę od strony pasażera i wyjrzałam na zewnątrz. Promienie popołudniowego słońca odbijały się od zachodniego brzegu East River, podświetlając Manhattan, który wyglądał jak zarys Legolandu. Pomyślałam o ostatniej wiadomości od Rumena. „Pamiętasz okładkę płyty Boba Dylana ze starą, nowojorską taksówką?! – napisał. – Była zatytułowana MODERN TIMES. Znów często słucham Dylana i myślę o tobie i Nowym Jorku. Powiniennem zobaczyć to miasto choć raz”.

Owszem, powinieneś. Wyciągnęłam aparat z torebki i zrobiłam kilka zdjęć horyzontu, kępy drzew wystających na czubku Roosevelt Island i pustego statku towarowego płynącego po East River, dopóki samochody znów nie zaczęły jechać do przodu.

Odpisałam Rumenowi zaraz po powrocie na Dwudziestą Dziewiątą Ulicę. „Oto garść zdjęć Nowego Jorku”. Wiedziałam już, jaka będzie następna linijka. Ułożyłam ją w taksówce. Przesunęłam palcem wzdłuż krawędzi klawiatury, strzepując drobinki kurzu i okruszki. Może byłam zbyt bezpośrednia. A może pisałam nie w porę? Wystukałam ją mimo wszystko i odczytałam na głos, zastanawiając się, jak zabrzmia dla niego te słowa: „Jeśli zdecydujesz się kiedyś na wizytę, na pewno będziesz mile widziany!”. Wcisnęłam „wyślij”, zanim zdążyłam wszystko przemyśleć.

„MAM NADZIEJĘ, ŻE MÓWISZ POWAŻNIE! – odpisał Rumen dzień po tym, jak wysłałam mu zdjęcia horyzontu. – Może faktycznie się zdecyduję...”

Pociąg linii N przejechał ze zgrzytem po torach. Patrzyłam przez brudne okno swojego pokoju, jak pociąg metra zwalnia i zatrzymuje się na Queensboro Plaza. Ponownie zerknęłam na komputer, odczytując wiadomość do końca i otwierając szeroko oczy. „Może faktycznie się zdecyduję, aby wpaść do Nowego Jorku z wizytą...”

Zeskoczyłam z taboretu. Może? Zaczęłam kręcić się po pokoju. Może tak? Gdy wysłałam to „zaproszenie”, ani trochę nie spodziewałam się, że nawet najmniejsza szansa na jego przyjazd wywoła u mnie tak ekstatyczną reakcję.

„Oczywiście, że mówię poważnie!”. Oczami wyobraźni już widziałam Rumena jedzącego wietnamską kanapkę *banh mi* z kawałkami suma w sosie pieprzowym na promie Staten Island Ferry. Rumena pijącego belgijskie *ale* na dachu baru La Quinta Motel w Koreatown. Rumena jedzącego po raz pierwszy placek z batatów z RCL Enterprises na Rockaway Boulevard. Rumena jedzącego *falafel* z harissą z Taïm na ławce wychodzącą na Dziesiątą Aleję. Rumena odpakowującego bucharskie samosy z Tandoori Food & Bakery na siedzeniu pasażera w mojej taksówce...

„Wyobraź sobie, że jesteś na lotnisku i po bardzo długiej podróży spotykasz się z kimś, kogo kochasz...”. Nieskrępowany uścisk był najbardziej przerażającą częścią moich pierwszych lekcji tanga, i prawie każdego tanga, które zatańczyłam później, nawet jeśli trwało ono tylko trzy minuty. A teraz? Mogłam jedynie objąć ramionami możliwość przyjazdu Rumena do Nowego Jorku. „A jeśli nie przyjedzie?”. To by mnie zdruzgotało. Jednak jakaś część mnie, którą można było nazwać instynktem, wiedziała, że dałabym radę znów się pozbierać.



– Myślisz, że przyjedzie? – spytała Isabel. Stałyśmy na rogu Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy i Park Avenue, czekając na zmianę świateł. Wyciągnęłam notes, sprawdzając dwukrotnie adres Americas Society, gdzie zamierzałyśmy pójść, aby posłuchać, jak Maria Kodama, wdowa po Jorge Luisie Borgesie, czyta jego eseje w nowym przekładzie.

– Nie mam pojęcia. – Spojrzałam na luksusowe apartamenty na najwyższych piętrach sięgające nieba, a potem na ulicę zatarasowaną jadącymi na północ na Upper East Side taksówkami, z których większość była pusta. – Wiesz, co mi powiedział? – spytałam, gdy przeszłyśmy przez wschodnią połowę Park Avenue.

– Co takiego? – Po ulicy przeleciał podmuch listopadowego wiatru. Isabel zakryła podbródek szalem w kolorze wina. Za każdym razem, gdy się widziałyśmy, miałyśmy wrażenie, że to nasze

przedostatnie spotkanie.

– W NRD mieli takie powiedzenie: „Zobaczyć Paryż i umrzeć”. Ale jego nie obchodził Paryż. Rumen zawsze powtarzał: „Zobaczyć Nowy Jork i umrzeć”. Nowy Jork był jego marzeniem.

– Rozumiem to.

– Wiem, że rozumiesz.

Isabel parsknęła śmiechem.

– A jeśli naprawdę tu przyjedzie? – Uniosła brodę znad szala. – Jesteście przyjaciółmi? Czy może...

Przypomniałam sobie ostatnią wiadomość od Rumena: „Zastanawiam się, kiedy przyjechać. Stąd też moje poważne pytanie: czy mogę się u ciebie zatrzymać? Za wszystko zapłacę! Zostałbym na tydzień. Co o tym sądzisz?”

Zapłaci mi? Serce zamarło mi w piersi, gdy to przeczytałam. „Oczywiście, że możesz zostać! – odpisałam, marszcząc brwi. – Mamy dodatkową sofę. I nie musisz mi za nic płacić! Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy”.

– Staram się podchodzić do tego na spokojnie – odparłam. – Byłoby cudownie, gdyby przyjechał. Bez względu na to, kim dla siebie jesteśmy.

Isabel i ja pochyliłyśmy się do przodu jak urzeczzone, słuchając, jak Maria Kodama czyta esej pod tytułem *The Full Extent of My Hope*, „Rozmiary mojej nadziei”.

– „Powiedzmy sobie jasno – wyrecytowała, przekazując słowa Borgesa łagodnym, lecz skwapliwym tonem, jakby z ulgą dzieliła się długo trzymanym w tajemnicy sekretem – że przyszłość nigdy nie ma odwagi, aby być w pełni obecna bez uprzedniego wypróbowania, a to wypróbowywanie nazywa się nadzieją”.

Zerknęłam z ukosa na Isabel, która ścisnęła mnie za rękę.

W końcu po całej masie e-maili, wielu tygodniach ustalania potencjalnej daty potencjalnej wizyty, która nie kolidowałaby z najbardziej pracowitym weekendem dla berlińskich taksówkarzy („Najpierw muszę mieć plan ze wszystkimi datami festiwalu BERLINALE, INTERNATIONALE TOURISMUS-BÖRSE i FRUIT LOGISTICA”), Rumen przysłał mi plan lotu – swojego lotu.

PRZYLATUJĘ DO NY, NY!

Oto wszystkie szczegóły:

HINFLUNG Dienstag 11 Januar TXL ab 11:50 am JFK an 2:59 pm Delta 079 Nonstop

RÜCKFLUG Dienstag 18 Januar JFK ab 7:25 pm Delta 078 Nonstop

Zabieram ze sobą nowy śpiwór. Już się cieszy na wieść, że zobaczy kawałek świata!

PS Znasz jakieś miejsca, w których znajdziemy „dylanowską” atmosferę? ;-)

„Hinflug! Rückflug! Tak, tak, tak!”. Rumen zajadający się smażoną okrą w Rockaway West Indian Roti Shop. Rumen chwalcący bośniacką kiełbasę w Cevabdžinica Sarajevo. Rumen jedzący curry z fasolą czarne oczko w Punjabi Grocery & Deli o trzeciej nad ranem...

Wpadłam do salonu, promieniejąc ze szczęścia. Rebekka uniosła wzrok znad czytanej ulotki, mrugając wściekle. Kot zeskoczył z kanapy i uciekł korytarzem.

– Stało się coś? – spytała. Ramiona miała zgarbione bardziej niż zwykle, zupełnie jakby ktoś na nich usiadł.

Opowiedziałam jej trochę o Rumenu kilka tygodni temu, gdy jego wizyta nadal stała pod znakiem zapytania.

– O tak – odparłam. Opisałam jego marzenie „Zobaczyć Nowy Jork i umrzeć”. „Jasne, że może zostać”, zgodziła się.

– Uhm... – odchrząknęłam – pamiętasz Pana Nietzsche? – takim mianem wcześniej go ochrzciła.

Rebekka zdjęła z kolan bursztynową, szklaną fiolkę zawierającą, jak zdążyłam się domyślić, nowe lekarstwo dla kotki, i zerknęła w stronę korytarza.

– Hę?

– Pan Nietzsche... Mój przyjaciel taksówkarz z Berlina?

– Pan Nietzsche...?

– Chce przyjechać w styczniu...

– Pan Nietzsche. – Złożyła ulotkę od leku i wepchnęła ją z powrotem do opakowania. – W styczniu? Okej. W porządku.

– Jeśli chcesz, mogę przenieść sofę do swojego pokoju.

– Nie musisz. – Wstała i wyszła na korytarz, chowając fiolkę za plecami. – Kici kici...

Ponieważ Rumen miał przyjechać do Nowego Jorku, pisaliśmy ze sobą codziennie, czasami po dwa, trzy razy na dzień. „Teraz chcę cię przygotować, ale nie przerazić, i powiedzieć o miejscu, w którym mieszkam”, napisałam. „Nie przejmuj się mną! Lubię koty – ale nie w śpiworze :)”.

Rozmyślałam o tym, co powiedziałam Isabel – „Byłoby cudownie, gdyby przyjechał, bez względu na to, kim dla siebie jesteśmy”. Owszem, Rumen był nadzwyczajnym człowiekiem – im więcej się o nim dowiadywałam, tym bardziej stawało się to oczywiste. Ale gdy przypomiinałam sobie „martwą babcię”, *Milchkaffee*, słuchanie *Love Sick* na postoju taksówek na Weserstrasse, taniec do albumu Petera Foxa i odpoczynek na przykrytej owczą skórą kanapie, książkę Fromma, *Greka Zorbę* (którą nadal musiałam przeczytać), wiedziałam, że chcę czegoś więcej niż pięknej przyjaźni z Rumieniem. Jednocześnie wbrew (czy też może z powodu) naszej wirtualnej komunikacji, im bliższa była data jego przylotu, tym większy miałam mętlik w głowie odnośnie do dopuszczalnych granic i tego, co mogło się między nami wydarzyć po jego przyjeździe.

Zachowałam jego wizytę w tajemnicy nawet przed rodzicami, którzy zwykle mieli jakieś pojęcie o tym, co działo się w moim życiu miłosnym.

– Poznałaś ostatnio jakichś miłych mężczyzn w swojej taksówce? – spytała mama. Uznała, że taksówka była jedynym miejscem, w którym mogłam kogoś poznać.

– Nie. Ostatnio nie.

– Domyślałam się, że trudno jest trafić w ruchomy cel – odparł tata.

Miałam świadomość, że gdyby mama i tata dowiedzieli się, że jakiś taksówkarz z Berlina miał zatrzymać się u mnie na tydzień, bez względu na to, czy był *Lebenskünstler* czy nie, zamartwialiby się na śmierć („Czy on jest komunistą?”), wymyśliliby jakąś romantyczną

bajeczkę, bardziej kolorową od wszystkiego, co sama byłabym w stanie uknuć („Może wasze dzieci będą taksówkarzami!”) albo przynajmniej zadawałoby pytania, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć („A gdzie będzie spał?”).

„Kiedy przyjedziesz, w sobotę lub niedzielę będę prowadzić taksówkę – napisałam mu tydzień przed jego wylotem – więc możesz mi towarzyszyć przez kilka godzin, jeśli chcesz”.

„Spełni się jeden z moich snów! – napisał. – Nie mam słów... Ale i tak spróbuję: to będzie bardziej niż WSPANIAŁE!!! (Nie chcę używać słowa „niesamowite”. Po upadku Muru ludzie mieli w zwyczaju go nadużywać...). Ale co z twoją licencją? Nie będziesz miała przez to jakichś problemów?”.

„Nie martw się! Mam plan. Potrzebujemy tylko twojej licencji...”. Technicznie rzecz biorąc, towarzystwo jakiegokolwiek osoby w taksówce przy wyłączonym liczniku było niezgodne z prawem, ale w Nowym Jorku chciałam zrobić dla Rumena to samo, co on zrobił dla mnie w Berlinie – zwłaszcza że rozumiałam, ile to dla niego znaczy.

„Jak będzie wyglądało powitanie?”, zastanawiałam się, jeżdżąc o ósmej po mieście w poszukiwaniu pasażerów w niedzielny poranek. Spojrzałam na bożonarodzeniowy płatek śniegu zawieszony nad Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą, połyskujący i niebezpieczny, usiłując przewidzieć każdy możliwy scenariusz naszego spotkania na JFK – krępujący uścisk dłoni, przyjacielskie objęcia, całus w policzek... A potem co? Każdego dnia dodawałam coś nowego do naszego rozkładu podróży po Nowym Jorku. Niemożliwością było zaliczenie wszystkich atrakcji, które chciałam, aby zobaczył i których spróbował w przeciągu jednego tygodnia. Pikantny krab chili chili w Szechuan Gourmet czy mandżurski *chow mein* w Tangra Masala? Burgery w Shake Shack czy smażony kurczak w Amy Ruth’s? Kurczak *jalfrezi* w sosie w Curry in a Hurry czy *focaccia* ze szpinakiem i ricottą w Lorusso? Próba zaplanowania wszystkiego sprawiła jedynie, że dni, które miałam z nim spędzić, wydały mi się chaotyczne i niewyraźne.

Jedyną rzeczą, którą bez przeszkód potrafiłam sobie wyobrazić, była jazda taksówką podczas mojej zmiany. Oczami wyobraźni widziałam Rumena na siedzeniu pasażera. Widziałam, jak pokonujemy Queensboro Bridge, wjeżdżamy na Manhattan na samym początku zmiany, słuchając *Balada para un loco* („Ballada dla szaleńca”), mojego ulubionego tanga w wykonaniu Astora Piazzolla: „*Let’s go flying, my dear / Get on my super sport illusion / let’s run on the edge / with a swallow in the engine...*”.

Hala przylotów Delta International Arrivals na lotnisku Johna F. Kennedy’ego wyglądała jak schron przeciwoatomowy w trakcie budowy. Nie było tu żadnych rozkładów, matowego szkła, przesuwanych drzwi ani ludzi ustawiających się za barierkami z tabliczkami, balonami i kwiatami, jak w moim wspomnieniu z LAX, gdzie jako dziecko z przyjemnością przyglądałam się ludziom opuszczającym pokłady samolotów z Manili, Londynu czy Meksyku i wpadających w ramiona zapłakanych krewnych. Tutaj podłoga była z surowego betonu, mokrego od brudnych śladów butów odcisniętych na śniegu, z sufitu zwisały dwie jarzeniówki w poczerwiałych kloszach, a jakiś pan w pogniecionym garniturze siedział na walizce przed nieoznakowanymi, metalowymi drzwiami, którymi prawdopodobnie wchodził przylatujący pasażerowie.

Przez cały ranek odświeżałam status lotu na stronie Deltę rozdygotanymi palcami. „SAMOLOT WYŁĄDUJE O CZASIE...”. Przed wyjazdem na lotnisko Rumen wysłał mi

ostatniego e-maila.

Guten Morgen, Layne!

Dopiero co wstałem!

Wszystko jest w jak najlepszym porządku!

Biorę ze sobą licencję, tak na wszelki wypadek!

I ciepłe ubrania do walizki!

Jego samolot miał wylądować za pół godziny. Na zewnątrz było prawie minus siedem stopni. Ktoś ustawił w hali przylotów ogrzewanie na tropikalną temperaturę, więc wkrótce zaczęłam się pocić w swojej puchowej kurtce.

– Czeka pan na samolot z Berlina? – spytałam mężczyznę w pogniecionym garniturze. W środku nie było żadnych tablic ani elektronicznych wyświetlaczy.

– Tak – odpowiedział, wzdychając w kierunku metalowych drzwi.

Rozpięłam kurtkę i wytarłam nos, usiłując wziąć głęboki oddech. Powietrze więzło w mojej piersi, nie chcąc spłynąć do płuc. Mężczyzna w garniturze wyciągnął komórkę i wybrał jakiś numer. Wysłałam na zewnątrz, wracając po swoich śladach do AirTrain, sprawdzając ponownie oznaczenia, aby mieć pewność, że rzeczywiście jestem w terminalu Delt. Podmuchy lodowatego wiatru kompletnie zrujnowały mi fryzurę, niszcząc wszelkie ślady atrakcyjności, które pozostały mi po nieprzespanej nocy, niekończącej się godzinie spędzonej w pociągu metra linii E, a potem w AirTrain, gdzie przeżywałam katusze za każdym razem, gdy staliśmy zbyt długo na jakimś przystanku.

Wróciłam po znakach z peronu AirTrain do hali przylotów – mimo że była ponura, znajdowałam się we właściwym miejscu. Mężczyzna w pogniecionym garniturze mamrotał coś co telefonu. Grupki ludzi, z których część mówiła po niemiecku, czekała przed metalowymi drzwiami, które nadal były zamknięte. Co się stanie, gdy przejdzie przez nie Rumen? Zamknęłam oczy, jeszcze raz próbując przywołać w pamięci wszystkie scenariusze. Uścisk dłoni? Przytulimy się? Całus w policzek? Otworzyłam je ponownie, gdy zaczęło mi się kręcić w głowie. Ktoś zdjął blokadę z drzwi.

– Mój Boże – szepnęłam, ponownie wycierając nos. „Dlaczego tu jest tak gorąco?”. Pierwsza pasażerka, kobieta po pięćdziesiątce ubrana w szary golf, przecisnęła się przez drzwi, które otworzyły się przed nią ze zgrzytem. Poszła prosto w stronę wyjścia, jakby ją coś goniło, nie szukając nikogo, kto miałby ją powitać. Spojrzałam na jej walizkę, gdy przemknęła obok mnie, szukając kodu lotniska na naklejce na bagażu. Zobaczyłam go w ostatniej chwili. TXL. Berlin Tegel! Rumen Vassillevski właśnie wylądował!

Wyobraziłam go sobie w kolejce, czekającego, aż urzędnik kontroli przybije pieczętkę w jego paszporcie. „Jaki jest powód pańskiej wizyty w Stanach Zjednoczonych?”. Jaka będzie jego odpowiedź? „Zobaczyć Nowy Jork i umrzeć?”.

Przestąpiłam z nogi na nogę, podciągając torebkę wyżej na ramieniu. Gdzie była granica między paniką a euforią? Kiedy ostatni raz czułam tak wielki strach i ekscytację jednocześnie? Tańcząc tango? Prowadząc taksówkę? Lądując w Buenos Aires, Nowym Jorku czy Berlinie i nie znając tam żywej duszy? Tak. Nie. To był nowy rodzaj niepewności – równie podniecającej, co przerażającej. Co się stanie, gdy wyjdzie przez te drzwi? Wszystko mogło się zdarzyć. Wszystko. Pociłam się w swojej puchowej kurtce. Zaśmiałam się do siebie. W niewiedzy była

pewnego rodzaju radość. „Być zawieszonym w nieświadomości – pomyślałam – to żyć pełnią życia”. Błąkać się w nieświadomości, jak ujął to Keats, bez irytującej konieczności sięgania po pewność.

„A oto i facet gotów do pieszej wycieczki po Syberii”, a przynajmniej tak pomyślałam na widok mężczyzny z zaczerwienionymi oczami w butach do wspinaczki i parce koloru kawy z futrzanym kapturem, który wypadł przez podwójne, metalowe drzwi. Kilka sekund zajęło mi uświadomienie sobie, że to Rumen. Wstrzymałam oddech, patrząc, jak idzie w pośpiechu w moją stronę, ciągnąc za sobą metalową walizkę, która sprawiała wrażenie, jakby za nim nie nadążała. Przewróciła się, zanim zdążył dojechać do miejsca, w którym stałam. Chwycił ją za rączkę, stanął przede mną, postawił bagaż na podłodze i przyciągnął mnie do siebie, całując, z początku ostrożnie, jak gdyby chciał się upewnić, że właśnie tego chciałam. Odwzajemniłam pocałunek. Całowaliśmy się do momentu, w którym zostaliśmy sami na hali przylotów.

To był jeden z najzimniejszych tygodni zimy. Tak zimny, że wagony metra były do połowy puste, uszy piekły nas z bólu, a palce u rąk szczypały nawet w rękawiczkach, gdy hulający po mieście wiatr żądlił po kostkach. Rumen prawie nie zdejmował swojej głupkowatej, zimowej, niebieskiej czapki z nausznikami i złotymi paskami – ale nadal lubiłam na niego patrzeć, jedząc makaron *Liang Pi* w Xi'an Famous Foods w Chinatown, przedzierając się przez śnieg w Central Parku w drodze do Harlemu, zjadając się kawałkami pizzy, ogonami wołowymi w Walkerswood, kanapkami z masłem orzechowym i dżemem na Staten Island Ferry („Chcę jeść wszystko to, co jedzą Amerykanie!”), siedząc mu na kolanach w metrze, dzieląc się słuchawkami jego odtwarzacza mp3, kiwając głowami do piosenek Mikisa Theodorakisa, Boba Dylana i Canned Heat, jego ulubionego zespołu rockowo-bluesowego. Nigdy wcześniej tak świetnie się nie bawiłam.

Dał mi prezent, który pragnął podarować mi ostatniego dnia w Berlinie: dziesięć płyt CD, na których nagrał składanki muzyczne do taksówki, fragment Muru Berlińskiego z certyfikatem autentyczności oraz angielskie tłumaczenia jego pięciu ulubionych książek: *Grek Zorba*, *Cząstki elementarne*, *Narcyz* i *Złotousty*, *Siddhartha* i *Tako rzecze Zaratustra*.

W noc, którą przechadzaliśmy się po Moście Brooklińskim, przekazując sobie butelkę Jamesona z ręki do ręki, Manhattan wyglądał w lodowatym powietrzu jak obrazek ze składanej książki.

– Teraz mogę przyjeżdżać do Nowego Jorku – powiedział, wyciągając ramiona w stronę drapaczy chmur. – Przedtem to było niemożliwe. – Uniósł mnie w górę w miążdzącym uścisku. – *Das ist schon grossartig!*

Spacerowaliśmy po pokrytych rozmokłym śniegiem ulicach Village, odwiedzając miejsca związane z Bobem Dylanem, o których nie wiedziałam, dopóki nie wyszperałam ich dla Rumena: Village Gate, gdzie Dylan napisał *A Hard Rain's A-Gonna Fall* w piwnicy, Gerde's Folk City, gdzie odbył się jego pierwszy profesjonalny występ, klub Fat Black Pussycat, w którym podobno napisał *Blowin' in the Wind* nad filiżanką kawy, Café Wha?, gdzie zagrał kilka piosenek Woody'ego Guthrie w dniu, w którym przyjechał do Nowego Jorku, oraz Jones Street, na której pozował do zdjęcia na okładkę *Freewheelin' Bob Dylan*, idąc ramię w ramię z Suze Rotolo, jego ówczesną dziewczyną.

– Chodź tutaj! – zawołał Rumen, stojąc na środku Jones Street, wyciągając aparat.

– Chcecie, żebym zrobiła wam zdjęcie? – spytała białowłosa pani w fioletowym płaszczu z peleryną, uśmiechając się do nas. Zrobiła nam trzy zdjęcia, jak tulimy się do siebie na śniegu.

– Chcę ci coś powiedzieć – powiedział po naszej wycieczce śladami Dylana, gdy siedzieliśmy przy stole obok ekspresu ciśnieniowego w Café Grumpy, pijąc przedpołudniowe cappuccino. – Chciałem cię przeprosić za twój ostatni wieczór w Berlinie. To było głupie z mojej strony.

– Ja również przepraszam – powiedziałam, obejmując dłońmi brązowy kubek – ale było mi naprawdę przykro, że musiałam wyjechać...

– Kiedy dokładnie przyjedziesz do Berlina?

– W kwietniu. – W kwietniu kończyła się moja nieformalna umowa najmu u Rebekki. Był to również pierwszy miesiąc, w którym będę mogła ponownie uzyskać wizę turystyczną do Niemiec.

– A potem? – Zamieszał swoje cappuccino. – Jaki masz plan?

– Zostać, na czas nieokreślony.

– Naprawdę aż tak bardzo kochasz Berlin?

– Naprawdę. – Zgarnęłam z powierzchni kawy pełną łyżeczkę piany. – Możliwe, że nadal przeżywam oczarowanie rodem z miesiąca miodowego.

Ujął moją dłoń.

– A jak on się skończy?

Opowiedziałam mu o tym, co zdradził mi taksówkarz w drodze na Tegel, o tym, że Berlinowi zostało dziesięć lat.

– Może wspólnie powinniśmy stawić temu opór – odparł, ujmując mnie za drugą rękę. – Co ty na to?

Uśmiechnęłam się.

– Byłoby naprawdę cudownie.

Dopiliśmy swoje cappuccino i poszliśmy Siódmą Aleją w kierunku Times Square. Rumen pokręcił głową na widok korków, patrząc spod zmarszczonych brwi na taksówki zajeżdżające sobie wzajemnie drogę, walcząc o pasażerów jak rekiny o ofiarę.

– Powariowali! – powiedział, zatrzymując się na środku chodnika. – W Berlinie nie podkrada się klientów drugiemu kierowcy! To... jak wy to mówicie? Niepisana zasada?

– W Nowym Jorku nawet kierowcy taksówek nie szanują innych kierowców – odparłam. – Przeważnie.

– Jeżdżą jak kanibale!

– Jeśli chcesz zarobić tutaj pieniądze, musisz być agresywny.

– A ty jesteś agresywna?

– Nie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– W takim razie jesteś wegetarianką.

– Że co?

– Wegetarianką pośród kanibali!

- Może. – Parsknęłam śmiechem. – Albo weganką.
- Czym?
- Nieważne.
- Przekonamy się jutro. – Odgarnął mi włosy z twarzy i pocałował w policzek. – Już nie mogę się doczekać.

Byłam na wpół przytomna, nawet po dwóch kubkach kawy, gdy stawiałam się w garażu o czwartej nad ranem, aby odebrać taksówkę. Nie szesnastego stycznia 2011 roku. Byłam o jeden dzień przed rocznicą swojej pierwszej jazdy taksówką, z szeroko otwartymi oczami, choć Rumen i ja siedzieliśmy do późna, grubo po północy, oglądając nowojorski segment *Nocy na ziemi*. Śmiało się do rozpuku, aż rozboleły nas brzuchy, choć oboje widzieliśmy film niezliczoną ilość razy. Zgadzałam się, że to była czysta poezja.

Poczekalnia w garażu była pusta, nie licząc mnie i dwóch kierowców, których nie rozpoznałam, pochłoniętych oglądaniem telewizji, w której leciała powtórka *Zwariowanej nocy*. Usiadłam na ławce pod ścianą z pustaków i zaczęłam rozmyślać o wszystkich rzeczach, które mogły pójść źle w przeciągu następnych dwunastu godzin. Na zewnątrz było minus pięć stopni z możliwością opadów śniegu, według prognozy pogody stacji WNYC. Co, jeśli będę miała wypadek? Rumen był naprawdę świetnym kierowcą. To byłaby totalna porażka. A jeśli się zgubię? Czy dzisiaj w końcu zaliczę pierwszy kurs na Staten Island? Co będzie, jak Komisja Taksówek i Limuzyn odkryje, że jechaliśmy we dwojkę? Czy mogliby odebrać mi licencję?

Elisabeth Shue kończyła śpiewać *Babysitting Blues*, gdy Mike, dyspozytor, wywołał moje imię. „Do diabła z ryzykiem”, pomyślałam, podchodząc w pośpiechu do okienka. Nigdy tak bardzo nie cieszyłam się z powodu otrzymania taksówki.

- Jest przy dystrybutorze! – zawołał Mike.
- Dzięki!

Para unosiła się obłoczkami z moich ust, gdy odprawiłam pośpiesznie wszystkie rytuały, które zwykle przedłużałam przed rozpoczęciem każdej zmiany: upchnęłam marchewki, migdały i kawałki cheddara w schowku na drzwiach kierowcy, otworzyłam atlas ulic na mapie dolnego Manhattanu i wetknęłam licencję w plastikowej osłonce od Borisa w przegródkę z pleksiglasu za głowę. Wyjęłam nagraną przez siebie płytę z tangami Astora Piazzolli – *Balada para un loco* była pierwszym utworem na liście – chcąc wsunąć ją do odtwarzacza, ale okazało się, że żadnego nie ma. W taksówce nie było radia – ktoś wyrwał je z deski rozdzielczej. „No cóż – schowałam płytę z powrotem do torebki. – To by było na tyle”.

Rumen był w miejscu, w którym kazałam mu na siebie czekać, na rogu Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i Czterdziestej Alei, truchtając w miejscu w swojej parce koloru kawy. Gdy zatrąbiłam, uniósł ręce, potrząsając pięściami w geście zwycięstwa w ciemnościach o piątej nad ranem.

Uchyliłam szybę od strony pasażera.

- Dzień dobry, *sir* – uśmiechnęłam się. – Podwieźć pana gdzieś?
- Zawieź mnie na Manhattan! – powiedział, wskakując na siedzenie pasażera tak, jakby przeskakiwał granicę. Zdjął zimową czapkę i pocałował mnie. – Juuu-huu! – Zabębnił palcami w deskę rozdzielczą.
- Masz przy sobie licencję?

Wyciągnął łańcuszek spod swetra, na której zawieszona była jego berlińska licencja taksówkarska w laminowanej osłonce. Gdyby przyłapała nas Komisja Taksówek i Limuzyn, Rumen pokazałby swoją licencję, a ja powiedziałabym coś w stylu: „To taksówkarz z Berlina, realizuje w Nowym Jorku projekt porównawczy”. Koniec końców, nasza fałszywa misja miała szlachetny cel – byłam prawie pewna, że wypłatalibyśmy się z kłopotów.

Objechałam kwartał, żeby zapewnić mu dobry widok na taksówkarski garaż i kierowców z nocnej zmiany ustawiających się w kolejce do przejęcia pojazdów. Wyjrzał przez szybę, ściskając w dłoni licencję. Gdy odwrócił się w moją stronę, w oczach miał łzy.

– Nie mogę uwierzyć, że to dla mnie robisz.

– Lepiej uwierz – odparłam, rozklejając się odrobinę, gdy skręciłam w Northern Boulevard.

Przejechałam między barierkami budowlanymi na Queens Plaza North, zwalniając na dziurach w asfalcie, mijając ostatnie światła na drodze do wejścia na górny pokład Queensboro Bridge. Rumen wskazał na otwór w desce, w której powinno było znajdować się radio.

– Nie będzie muzyki!

– Sami się tym zajmiemy.

– My? – Roześmiał się. „Łup-łup, łup-łup”, huknęła taksówka, gdy przejechaliśmy po pofałdowanym asfalcie. – Nie ma sprawy! – Wsadził dłoń do swojej torby listonoszki. – Zaczekaj... – Wyciągnął odtwarzacz mp3, wkładając jedną ze słuchawek do mojego ucha, a drugą do swojego, gdy pokonaliśmy zakręty wjazdu na autostradę. – Tylko jeden kawałek!

Dotarliśmy do ostatniego zakrętu, a Rumen wydał z siebie buntowniczy okrzyk.

– JEEEE-haaaaa! – Mieliśmy przed sobą rozświetlony zarys Manhattanu, widoczny na tle atramentowego, zimnego nieba. – Z taksówki wygląda jeszcze lepiej!

– Prawda? – Czasami, pokonując Queensboro Bridge, odnosiłam wrażenie, że miasto przyciąga do siebie niebo.

– Okej! – zawołał z kciukiem na odtwarzaczu. – Gotowa na trochę Canned Heat?

– Jasne!

– *On the Road Again* – powiedział Rumen, recytując wstęp wspólnie z frontmanem zespołu i pstrykając palcami, gdy jednocześnie rozległy się dźwięki organków, bębnów, pianina i gitary rytmicznej. Podjechaliśmy taksówką pod wzniesienie i zjechaliśmy w dół, śpiewając na widok linii horyzontu: „*Well I'm so tired of cryin', but I'm out on the road again, I'm out on the road again...*”.

– Hej! – Odwrócił się w moją stronę – Jesteś głodna?

– Zawsze jestem głodna – odparłam, gdy zjechaliśmy z mostu na Drugą Aleję, podrygując na siedzeniach. – Lubisz pendzabską kuchnię?

PODZIĘKOWANIA

TAKSÓWKARZE Z BUENOS AIRES, NOWEGO JORKU I BERLINA, ta książka jest dedykowana zarówno wam, jak i moim rodzicom. Sally McGrane, dziękuję za pomoc w powołaniu tej książki do życia, za twoją szczerość, wielkoduszność i wrażliwość. Jestem ci nieskończenie wdzięczna za wszystkie godziny spędzone w barze teatru Volksbühne. Chcę podziękować Eleanor Jackson za to, że mnie dostrzegła i wpierała w nieudanych próbach, za bycie moją mistrzynią. Timie O’Connellu, opiekowałeś się tym projektem od momentu jego poczęcia i nadal kontynuujesz swoją pracę. Nie jestem w stanie wyrazić ogromu mojej wdzięczności. Tomie Poldzie, doceniam to, że doprowadzałeś mnie na skraj szaleństwa swoimi wydawniczymi sugestiami. Jestem niezmiernie wdzięczna Michiko Clark, Sarze Eagle i Jordanowi Rodmanowi za zainteresowanie tą książką i rozpowszechnianie wieści o niej. Johannesie Dianovichu Claerboucie, twoja pamięć jest częścią każdej przygody. Matcie Chastertonie, jestem twoją dozgonną dłużniczką za ten cudowny artykuł o *Taxi Gourmet* i poświęcenie swojego czasu na przeczytanie części rękopisu poświęconej Buenos Aires. Vicky Baker, Vero Block, Jessico Bridger, Joanne Camas, Jory Des Jardins, Leah Douglas, Andy Eckardcie, Geraldine Eisendrath, Jorge Luisie Fernándezie, Emily Flake, Vereno Hasel, Thiago Guimaraesie, Nino Aniko Klotz, Simonie McCormacku, Joshuo Partlowie, Olivierze Pratte, Aaronie Rutkoffie, Davidzie Gordonie Smicie, Heike Vowinkel, Julio Washausen i Claudio Weissfeld, dziękuję wam za towarzyszenie mi podczas kulinarnych wypraw i za przekazywanie dalej tej historii. Fabiánie Peralta, Mariangeles Rodriguez, Natacho Poberaj, Oliverze Kolkerze, Pato y Luisie, nigdy nie zapomnę waszych bohaterskich wysiłków, by nauczyć mnie tanga. Iris i Constance Marie, jesteście moimi bohaterami – jeźdźcie dalej, drogie panie. Dziękuję Danielowi Beccarii, Joemu Hennesseyowi, Mike’owi Katzowi, Allenowi, Jake’owi i pozostałym członkom ekipy Team Systems Taxi Garage, jesteście solą tej ziemi. Dziękuję Marii Teresie Mauro z Palmy (Trapani), we Włoszech, Emilowi Dimitrovowi i mieszkańcom Spanchevtsi w Bułgarii za zbudowanie pięknych miejsc potrzebnych do skończenia książki. Querida Adriana Romano, *vos sos un regalo*. Dziękuję Albertowi Bernardinowi Pazowi i Julie Taylor za ich cudowne przekłady oraz Valorie Hart za udostępnienie słów Alberta. Maxine Brown, Elis Graifman, Debro Russell, jestem wam wdzięczna za waszą mądrość, tango i wszystko inne. Liso Barelli, Rynie Birdzie, Christine Fannon, Gabrielo Hallas, Rodrigo Varela Perarnau, Brainy Smurf, dziękuję za wspieranie *Taxi Gourmet* na dobre i na złe. Lilian Moreiro, pokazałaś mi, jak to jest kochać miasto. Julio Fischer, dziękuję ci za moją pierwszą przyjaźń w Berlinie. Wspaniali sponsorzy z Kickstartera – Autumn Arnold, Bob Barad, Clement Barrera-Ng, Ann Bernard, Dave Bloch, Erik Boertjes, Jano Cabrera, Wanda Cairns, Patrick Campbell, Armando Carmona, Laura Chinen, Jon i Diane Claerbout, Lucy Cousins, Don Eash, Ben Emmel, Cheryl Ennis, Oriana Fowler, Terry Michael Gammon, Joshua Goldfein, Steven Goldman, Carolina Gomez-Jones, Caroline Hendrix, Patti Horikawa, Teresa Hernandez Nimmo, Marisa Elana James, Ira Kaplan, Craig Katerberg, Kent Keltner, Kira Lerner, Jongyu Lin, Paul Mariz, Robin Martinazzi,

Frank i Joyce Miner, Lilian Moreira, Frank Mosler, James Mosler, Shirley Nakao, Daniel Neilson, René Clausen Nielsen, Ken i Ann Palmer, Salem Pasha, Karen Plise,Carolynn Pawluk, Sangeetha Raghunathan, Megan Rich, Amy Scott, Audrey Scott, Ed Scott, Matthias Schwab, Brand Smith, Richard Stahler-Sholk, Veronica V-V, Andrew Vollo i Julie Wakelee-Lynch – dzięki wam wyjazd do Berlina stał się możliwy, a ja trafiłam do domu. Enrique, Godfredzie, Zille, cieszę się, że spotkałam was na swojej drodze. Mamo i Tato, dla was droga nigdy nie ma końca... Rumen, *Du bist mein Zorbas*.



O AUTORCE

LAYNE MOSLER pisze dla „New York”, „The Guardian” („Observer”), NPR Berlin, strony internetowej Travel Channel, worldhum.com oraz innych projektów. Mieszka w Berlinie.

Tytuł oryginału:
Driving Hungry: A Memoir

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Paulina Rynkiewicz
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © yukibockle
© Aleksandra Djokic (Shutterstock.com)

Copyright © 2015 by Layne Mosler

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE, an imprint of ILLUMINATIO

Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Kinga Markiewicz

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2017
ISBN 978-83-65506-37-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com